

GABRYELA ZAPOLSKA

ZASZUMI
LAS



LEKTOR
• 1922 •

ZASZUMI LAS

~~19~~ 19

ZASZUMI LAS

Najnowsze wydawnictwa „LEKTORA“.

- D'ALCOFORADO. Listy miłosne tł. Przybyszewskiego. Warszawa 1922.
BARBEY D' AUREVILLY Pieczęta z onyksu. Warszawa 1922.
„ Plemię diabła, ilustr. Ropsa. Warszawa 1922.
BUKOWSKI. O kobiecie i o miłości. Warszawa 1922.
EWERS. Alraune (wyd. IV.). Lwów 1921
„ Indje i ja. Warszawa 1921.
„ Mamaloi, Lwów 1922.
„ Serca królów. Lwów 1922.
„ Wampir. Lwów 1922.
FARRERE. Człowiek, który zabił. Warszawa 1922.
„ Korsarz z Malo. Warszawa 1922.
„ Ludzie cywilizacji. Kraków 1921.
„ Nasze sojuszniczki. II. wyd. Warszawa 1922.
„ Panieństwo panny Dax. Kraków 1921.
FRANCE. Bunt aniołów. wyd. II. Warszawa 1922.
„ Czerwona lilja. Warszawa 1921.
„ Historia komiczna. Warszawa 1922.
„ Zbrodnia Sylwestra Bonard. Warszawa 1922.
GELLA. Rozmowy o miłości. Lwów 1922.
KELLERMANN. B. Ingeborga. Warszawa 1922.
LOUYS. Kobieta i pajac. Warszawa 1921.
OBRZUD. Honor Karola Pęksy. Lwów 1922.
PRZYBYSZEWSKI. Krzyk. Warszawa 1922.
„ De Profundis. Lwów 1922.
SROKOWSKI. Hedone. Akordy zmysłowe. Lwów 1922.
„ Epigoni. Lwów 1922.
VILLERS DE L'ISLE ADAM. Ewa przyszłości. Lwów 1922.
ZAPOLSKA. Antysemitnik. Lwów 1921.
„ Fin de siecle'istka. Lublin 1922.
„ Jak tęcza. Lwów 1921.
„ Janka. Lublin 1921.
„ Kaśka Karjatyda. Lublin 1922.
„ Kobieta bez skazy. Warszawa 1921.
„ Małaszka. Lwów 1922.
„ Modlitwa Pańska. Lwów 1921.
„ O czem się nie mówi. Warszawa 1922.
„ Sezonowa miłość. Lwów 1921.
„ Szaleństwo. Lwów 1921.
„ Wodzirej. Lublin 1922.
„ Zaszumi las. Lwów 1922.
„ Znak zapytania. Lwów 1922.
ZBIERZCHOWSKI: Djabelska przełęcz.

GABRIELA ZAPOLSKA

ZASZUMI LAS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA



WYDAŁ „LEKTOR” INSTYTUT LITERACKI SP. Z O. O.
LWÓW—WARSZAWA—POZNAŃ—KRAKÓW—LUBLIN 1922

WSZELKIE PRAWA PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
COPYRIGHT BY „LEKTOR“ NINETEEN HUNDRED TWENTY TWO.



137429

SKŁADY GŁÓWNE:

WE LWOWIE:
„LEKTOR“, MIKOŁAJA 23.
(DOM WŁASNY). TEL. 525.

W WARSZAWIE:
„LEKTOR“, SIENKIEWICZA 5.
TEL. 253—99.

W POZNANIU:
„LEKTOR“ RATAJCZAKA 33

W KRAKOWIE:
„LEKTOR“, RYNEK GŁ. 22.

W LUBLINIE:
„LEKTOR“, SZOPENA 5.



Okładkę projektował L. Ostrowski w Warszawie.

CZEŚĆ PIERWSZA.



W PRYWIŚLAŃSKIM KRAJU.

I. Matwiej Iwanowicz Tagiejew.

Pan policmajster zaczął podskakiwać, przebierać nogami, tupać, a ostrogi dzwoniły u jego butów, jak dzwonki u szyi konia, wprzagniętego do telegi.

— Jej Bohu, nie wydzierżu! — wołał rozpaczliwym głosem.

Stojąca przy drzwiach sługa, czternastoletnia dziewczyna, rozczochrana, z twarzą zepsutego ulicznika, zachichotała, zatykając sobie usta kulakiem.

— Czego ty... dura?... paszła won! — zakomenderował Matwiej Iwanowicz Tagiejew, policmajster pogranicznego miasteczka N., pan życia i śmierci kupy żydów i żydówek i miejscowej „inteligencji“, stanowiącej ludność, zamieszkującą kilkaset domostw, sterczących samotnie nad brzegami wiecznie wyschniętej rzeczulki.

Sługa, steroryzowana wzrokiem naczelnika grodu, wypadła za drzwi — lecz ku wielkiej ucieście maszynistów i strażaków, zapelniających kulisy teatru, ocaliła honor owej ucieczki, pokazując za drzwiami język Matwiejowi Iwanowiczowi Tagiejewowi.

Jeden z maszynistów, krępy, rostry mężczyzna, z twarzą pokrajaną bliznami, zapytał, śmiejąc się ironicznie:

— Cóż to? znów uhażywa?

Władka parsknęła śmiechem.

— O jej! Krzyczy: nie wydzierżu!.. Jak Boga kocham! — odparła szeptem.

— A pani?..

Władka wzruszyła ramionami.

— Cóż — pani!... Ot — pani, jak pani. Jak zła, to gna won — jak w dobrym humorze, to śmieje się i mówi: jaki pan głupi!...

Maszynista filozoficznie dorzucił:

— Bo też i głupi!..

Gożąco szło straszne od pieca, który aż huczał pod podłogą; blacha rozpalonej do czerwoności rury, przebiegającej ku górze przez klatkę sceny, wydawała swąd duszący i przykry.

Lecz już nieco dalej od owego „kaloryferu“, jak zwano szumnie ten rozwalony, zardzewiały i przepalony kocioł do węgla, zimno dawało się we znaki nie na żarty; zimno straszne, zgniłe, fatalne — ziejące tyfusami, zapaleniem płuc, właściwe tylko budom, w których gnieźdzą się w Królestwie tak zwane teatra prowincjonalne.

Władka usiadła na ziemi, wyciągnęła nogi w zniszczonych trzewikach i rozkoszowała się ciepłem, płynącym z pod podłogi.

Ze sceny dolatywały głosy artystów, grających pierwszy akt Żołnierza królowej Madagaskaru.

Jedna z aktorek miała fatalny akcent galicyjski.

Władka chichotała i powtarzała cicho: „Ta cóż, ta co“... licząc równocześnie dziury w trzewikach, przez które widać było zmoczone śniegiem pończochy.

Za kulisami, na które naciągnięto zniszczone, płócienne płachty, z których farba już dawno się wykruszyła, stała drobna figurka kobiety, odzianej w męski garnitur i kędzierzawą perukę. Obok niej żyd rekwizytor, oparłszy się o drabinkę, słuchał z najwyższym zaciekawieniem słów aktorów. Wreszcie zwrócił się do aktorki, przebranej w męskie ubranie.

— Uni dobrze grają! — wyrzekł z powagą długoletniego znawcy i krytyka.

W tej chwili przez ciasne drzwiczki, prowadzące z sali na scenę, weszło dwóch niemłodych mężczyzn w porządnym futrach, kaloszach, z parasolami w rękach. Mieli miny złapanych na gorącym uczynku jakiegoś niedozwolonego grzechu.

Podeszli prosto do Władki, która ne ich widok odgarnęła spadającą na czoło grzywę i zachichotała, jakby ją kto załaskotał.

— Czy pani już ubrana? — zapytało starsze i wspanialsze z dwóch futer.

— Już! — odparła Władka — ale tam nie można.

— Czemu?

— Bo tam je pan policmajster!...

Mężczyźni ustąpili cokolwiek na bok.

— A... tak!... to my poczekamy!...

Lecz za drzwiami garderoby zawrzało nagle jak w ulu. Władka porwała się z miejsca.

— Oho!... Pani go zaraz gnać będzie!... — zawołała z radością.

Maszyści i strażak wyciągnęli szyję.

Mężczyźni w wspaniałych futrach skierowali się ku wyjściu.

— Chodźmy... niech lepiej nas nie widzi!... Chodź mecenas!

Mecenas ociągał się jeszcze.

— Przejdźmy lepiej do męskiej garderoby i zaczekajmy...

Lecz tamten nie dał się namówić.
— E!... Po co mu włożyć w drogę... Będzie nam potem awantury wyrabiał. Mecenas wie przecie, jaka to stupajka! Mecenas wydał wargi.

— Ja się go nie boję!

— Ale ja się boję... a ja, miejski doktor, od niego zależy... może zrobić na mnie donos... ja idę!

Z garderoby tymczasem dolatywały podwyższone głosy.

— Jej Bogu, nie mogu!... — wołał Tagiejew. — Czort znajet, chto wy wydumali!...

— To niech się pan wynosi! — dał się słyszeć gniewny kobiecy głosik.

— Gna! Jak Boga kocham, gna!... — szeptała Władka z uchem przyklejonem do przepierzenia z desek, które stanowiło ścianę garderoby.

— Mamzel Jabłońska... ja dla was wsio zdziałaju... no pomiłujcie, eto nie moje dzieło, eto prynadleżył żandarmской własći..

Za ścianą rozległo się tupanie nogami i uderzanie pięścią w stół, na którym zabrzęczały słoiki i buteleczki.

— Mnie nic do tego... ja się po żandarmach prosić nie będę...

— No to pust zajdiot wasz rodstwiennik sam...

Nastąpiła chwila pauzy i nagle rozległ się rozkaz:

— Przynies mi pan cukierków!...

W tej samej chwili zagrzmiało, zaszumiało, zadzwoniło, jakby cały pułk kawalerji roznosił na szablach garderobę.

Władka odskoczyła i drzwi rozwarły się z impetem.

Z garderoby wypadł spocony, błyszczący, w wspaniałych lakierowanych butach sam Matwiej Iwanowicz Tagiejew i rzucił się ku wyjściu, wołając:

— Konfektow!... radi Boga! konfektow!

Z brzękiem znikł we drzwiach, prowadzących na korytarz — i natychmiast we drzwiach garderoby stanęło czarujące urodą i pięknnością kształtów kobiece zjawisko w baletowej, różowej sukience.

— Władka!

Dziewczyna podbiegła, trzymając się zdaleka, aby swemi przemokłemi od śniegu łachmanami nie zniszczyć świeżości tarlatanu.

— Słucham pani!

— Gdzie pan Leon?

— Jest w męskiej garderobie.

— Pobiegnij, tylko prędko... każ mu, niech natychmiast tu do mnie przyjdzie. Ty idź na kurytarz i skoro zobaczysz, że policmajster idzie z bufetu — przyleć tutaj i daj znać!...

— Dobrze, proszę pani!

Jak małe kocie, chude i zwinne, przemknęła Władka pomiędzy kulisami i znikła w drzwiach męskiej garderoby. z której buchnęło światło, gwar i dym papierosów i cygar.

Różowe zjawisko cofnęło się za drzwi i zaczęło systematycznie na pozór układać rozmaite drobiazgi, rozrzucone na haftowanej serwetce dokoła ładnego, dużego zwierciadła, oświetlonego mnóstwem świeczek w rozmaitego rodzaju lichtarzach.

W lustrze tam przejrzała się raz i drugi młoda aktorka. Jasno blond peruka, elegancko uczesana, nadawała dziwaczny wyraz jej oczom, które pomimo silnego, czarnego podkreślenia, łagodne były i poczciwe. Dołków na buzi było pełno i na bródce i na policzkach lekko różem pociągniętych.

Dokoła tej szycownej, miłej osóбки unosiły się fale tarlatanu i zapach delikatnych perfum białej róży.

W ruchach młodej kobiety znać było wielkie zdenerwowanie i niepokój. Przekładała pudełeczka i słoiki, strzępywała puszek, lecz czyniła to machinalnie, bez widocznej potrzeby.

Nagle odwróciła się.

We drzwiach stał młody człowiek średniego wzrostu, jasny blondyn z dużymi, szaremi oczyma.

Baletniczka uniosła się na paluszkach i pochyliwszy się ku niemu, szeptać zaczęła.

— Bądź pan dobrej myśli!... on mi da tę przepustkę!

Młody człowiek wyciągnął ku aktorce rękę.

— Jak ja pani dziękuję! — zaczął niskim, sympatycznym głosem.

— Nie dziękuj pan, nie ma za co, żebym tylko nie zapomniiała, jak się pan nazywasz... Leon... Leon... Ach nie!... jak się pan ma s z nazywać! Stefan Popielawski... Dobrze!

— Dobrze!...

— Ja sobie zapiszę...

Porwała pudełko z pudrem i na denku ołówkiem do czernienia brwi zapisała nazwisko.

— Widzi pan — tłumaczyła się — ja uczę się tylu ról, że mi się nazwiska mogą pomieszać!...

Młody człowiek patrzył na nią oczyma pełnymi smutku i zachwytu.

— Jaka pani dobra! I jaka pani dziś piękna... wyszeptał, prawie chłonać ją w swe żrenice.

Dziewczyna przechyliła się zrećnie, przybierając pozę kształtną, wabną, czystą w linjach i wyrazie.

— To kostjum ładny, nie ja: — wyrzekła z uśmiechem.

— Kostjum i pani... Wszystko takie harmonijne... nawet te ściany i to oświetlenie...

Aktorka śmiać się zaczęła.

— No... już nie ściany i nie oświetlenie! A... dopiero odetchnę swobodnie, gdy panu już tę przepustkę wręcze...

Zastanowiła się chwilkę i dodała ciszej

— Dlaczego pan musi uciekać?

On milczał, a milczenie to było mu bardzo ciężkie. Nie chciał, bał się powiedzieć jej całej prawdy, jej, która dobrowolnie, szlachetnie, podjęła się wyrobić mu przepustkę przez granicę i ocalić go w ten sposób od aresztowania, śledztwa, więzienia — kto wie może... posielenia!

A przecież lękał się powiedzieć jej wielkie słowo, odkryć ów powód, owe „przestępstwa“ i milczał przed tą białą, różową, pachnącą kobietą, w której drobnej rączce leżał los jego życia.

Lecz czuł, że milczeniem tem obraża ją, dotyka boleśnie duszę biednej, nieinteligentnej dziewczyny, idącej ku niemu z całym serdecznym poświęceniem siostry.

Była to krótka chwila, lecz tak wymowna, że kobieta strojną i kształtną głowę pochyliła nagle, jakby pod uderzeniem niespodziewanej chłosty.

— A!... zaczęła zmienionym głosem — pan mi nie chce powiedzieć... pan się boi... pan mi nie...

Urwała i swe duże, ładne oczy utkwiała w ścianę z wyrazem smutnego upokorzenia.

Leon porwał się nerwowo.

— Nie! nie!... co pani mówi! to nie dlatego... tylko... to długa historia... tu... ściany cienkie... a zresztą, jeśli pani żąda...

Lecz ona wyciągnęła rękę, na której zadzwonił tuzin tanich branzoletek.

— Cicho! cicho! nie mów pan nic! to twoja tajemnica... co mnie do tego?

Zamknęła na chwilę oczy i dodała:

— Ach! żeby się tylko udało!... żeby się udało!

Miała tak serdeczny ton w głosie, tak gorące pragnienie ocalenie tego człowieka, którego kilka dni temu prawie nie знаła, że sama dziwiła się tej gorączce, która kazała jej mieszać się w tę sprawę i żebrać prawie u policmajstra przepustkę dla „kuzyna, który miał jej z Krakowa przywieść aksamitu na suknię i pięć metrów koronki“. Sama wpadła na to kłamstwo prawdziwie naiwne i kobiece.

Lecz Matwiej Iwanowicz Tagiejew był w niej tak zakochany, tak „włublon“, jak powtarzał od rana do nocy, iż kłamstwo to przyjął za dobrą monetę i tylko bronił się od jej prośb wymówką, że to nie po jego „czasti“ i że rzecz żandarmerji a nie policji.

W garderobie tej, kąciku małym, utworzonym ze starych płócien dekoracyjnych, cicho było jakoś i zacisznie. Nawet głosy ze sceny dolatywały tu niewyraźne i stłumione.

Aktorka i młody człowiek uczyli się przez jedną chwilę odosobnieni i złączeni jakimś wielkim węzłem gorącej, silnej sympatii.

Było to uczucie dziwne, serdeczne, gorące, pełne roz-
zewnienia, a tak piękne i szlachetne, że równocześnie z niem
wstąpiła w ich dusze wdzięczność za tę dobrą chwilę ich
biednej egzystencji.

Aktorka wyciągnęła ku Leonowi rękę. Z ust jej wybiegi
jeden wyraz :

— Biedaku!

I wielkie, wspólne wzruszenie ogarnęło ich teraz i łą-
czyło ze sobą. Ona — po kobiecego miała serce ściśnięte
myślą, iż ten chłopak krył się jak zwierzę ścigane i osaczony
przez tylu ludzi silnych, zbrojnych, dzwoniących szablami,
ostrogami...

Rząd wydawał się jej zawsze, jak zbiorowisko olbrzy-
mów, nasrożonych i gniewnych. Ci olbrzymi nosili wojskowe
czapki i mieli szynele. W oddali migotała niepewna sylwetka,
wydająca krótkie, straszne wyroki. Była to sylwetka cała
jasna, jakby śniegiem przyprószona. Dokoła sterczały piki.
Było to widmo nieuchwytnie i grozy pełne.

Jabłońska widziała kiedyś, dawno już, małym dzieckiem
będąc, jak car przejeżdżał ulicami Warszawy...

Teraz przesunęło się to wszystko przez jej umysł z szyb-
kością błyskawicy. Po za plecami Leona dojrzała całą chmurę
szarych szyneli, rozjaśnionych błyskawicą guzików i szlif.

Ich było tylu! On był zaś sam jeden, szczupły, drobny,
a w sercu miał niepokój postrzelonej sarny.

Szarpnęła się w niej struna tak wielkiej trwogi, jakby
to ona sama ścigana być miała.

I wyciągnąwszy rękę — powiedziała doń tylko jedno
słowo :

— Biedaku!

On rękę tę wziął w swoje dłonie i tulił, lecz to on
raczej tulił teraz swoją duszę w objęcia tej dziewczyny, któ-
rej uczucia wrażliwością swoją odczuł i zrozumiał.

Zdawało mu się, że ona jest w tej chwili uosobieniem
tej całej reszty, którą w tej chwili noc nad krajem zapadła
do chwilowego spoczynku układu.

Jej szata lekka i taneczna kryła ciało przemarzłe od
chłodu, jej usta, pociągnięte farbą, pragną posiłku, jej oczy
przed chwilą uśmiechały się do Matwieja Iwanowicza, aby
dostać przepustkę ocalenia dla niego — który jeszcze był
nędzniejszym niż ona, niż oni wszyscy tam — w cieniu.

Do drzwi zakolałano gwałtownie.

— Idzie! — zawołała Władka.

— Uciekaj pan, — rzuciła Leonowi Jabłońska — i cze-
kaj na mnie w męskiej garderobie.

Leon poszedł powoli, nie spiesząc się.

Nie chciał sam przed sobą wstydzic się swej ucie-
czki. Zdążył jednak wejść w cień, gdy Matwiej Iwanowicz

ukazał się w świetle kinkietów przyczepionych do kulis teatru.

Matwiej Iwanowicz szedł szybko, stawiając nogi jak panna w tańcu.

Był to prawdziwy typ piechotnego oficera rosyjskiego, trochę kokieta i starającego się usilnie „uwlekać“ kobiety i robić konkiety. Twarz miał brzydką i wiecznie spoconą, tak, że nawet na mrozie świeciła się nadzwyczajnym blaskiem. Oczy nieduże, szare, bez wyrazu. Włosy zawsze jakby zmoczone i do wypukłego czoła przylegające.

Matwiej Iwanowicz wiedział, że jest brzydki, lecz zarazem wiedział, że jest zgrabny i foremnie złożony.

Krój jego mundurów, czystość guzików, słowem sztywnej formy, tak bardzo drogiej sercu każdego służącego w wojsku, a nawet w policji Moskala, był bez zarzutu i o ile możliwości elegancki.

Gdy Matwiej Iwanowicz szedł na Rynek sprawdzić, czy rzeczywiście duża świnią pędzona na targ, rozsiadła się „nieprylicznie“ na chodniku, zamianowanym bulwarem, po którym nadeptywała sobie na pięty, między czwartą a piątą inteligencja miejscowa, ubranie policmajstra było tak czyste, eleganckie i piękne, jakby Matwiej Iwanowicz szedł na *journal* do samej pani gubernatorowej.

Na rękę nosił pan policmajster bransoletę srebrną z dużą kulą, na palcu piątym u lewej ręki pierścionek z turkusem, którym starał się intrygować damy swoich myśli.

A dam tych było dużo, ile gwiazd na niebie, przynajmniej tyle, ile aktorek przejeżdżało przez miasteczko N., lub ile żon urzędników spacerowało po bulwarze, pomiędzy czwartą a piątą godziną.

Zawsze i wszędzie był Matwiej Iwanowicz w *l'union*.

I w *l'union* to ojawiało się bzikami tak gwałtownymi, że na pewien czas żydzi nie teroryzowani przez pana Policmajstra, zajętego myślą gdzie indziej — oddychali i rozpozyczynali mieć nadzieję nadziei, że kieszenie ich mniej będą suszone, a oni sami będą swobodniejsi przez czas jakiś.

I teraz miłość dla panny Jabłońskiej ogarnęła płomieniem całego Policmajstra.

Biegał z teatru do kancelarii — z kancelarii do teatru.

Pędzał „garadawych“ — z wachlarzami, dwoma funtami herbaty, funtem czekoladek, albumem grającym i setką papierosów.

Wszystko to były prezenta, wzięte ze sklepów na kredyt i „od czystego serca“ złożone u stóp aktorki.

Ona, śmiejąc się, prezenta odsyłała, a policmajster wydierał sobie włosy, wołał „nie wydierzu“ wylewał na siebie flakon zwietrzałych perfum, wziętych na kredyt u Mordki Fiszbejna i biegł do teatru, gdzie starał się zwrócić uwagę pu-

bliczności skrzypieniem butów, brzękiem ostróg, teroryzowaniem stojkowego i lataniem za kulisy.

Jednym słowem był to „wziatecznik“ pierwszej rangi, czuły i sentymentalny, śmieszny i głupotą swą szkodliwy. Starał się zająć pierwsze miejsce w miasteczku i czynił to brutalnie i bezwzględnie.

Wystarczyło spojrzeć tylko na twarz żyda rekwizytora, gdy Matwiej Iwanowicz przechodził мимо niego, trzymając w czapce pudełko cukierków. Twarz ta zmieniła się w jednej chwili, przedłużyła, wyciągnęła. Z drugiej strony kulisy jedno z paradnych futer także starało się zginać, zmniejszyć, aby nie znaleźć się na drodze p. Policmajstra.

— On szedł prosto do drzwi garderoby, uśmiechnięty, rozradowany.

Postawił pudełko cukierków na stole i natychmiast zaczął szeptać z uśmiechem.

— Wot konfekty... a czto kasajetsia legitimacjonnowo biletu dla waszewo rodswiennika, wy budietie jewo imiet Aktorka zaledwie zdołała ukryć swą wielką radość.

— E... naprawdę? — spytała.

— Jej Bogu! — odparł Matwiej Iwanowicz — ja wot wstrietil w bufecie kapitana żandarmów i on mnie abieszczal eto zdiełat'. — No... kak jewo familia, wy mnie nie skazali!

Jabłońska chwyciła pudełeczko z pudrem.

— Stefan Popielawski!... — wyrzekła szybko.

— Nu... prekrasno! — szeptał policmajster — a tolko pomnitie, czto eto na tri dnia. Czestnoje słowo... on wierniotsia czeres tri dnia?

Jabłońska śmiać się zaczęła.

— Ale czestnoje słowo! — zawołała — wróci, a jakże.. wróci..

I nagle, przypomniawszy sobie, dodała:

— I aksamit mi przywiezie... i aksamit!...

Orkiestra za kurtyną zagrzmiała nagle fałszywie mazura. Matwiej Iwanowicz zadzwonił w ostrogi.

— Mazurka! — zawołał z animuszem — czudnaja mazurka...

I widząc, że Jabłońska śmieje się ciągle, patrząc na niego z pod rzęs silnie uczernionych, z galanterją wyciągnął swą rękę.

— Izwoltie pocielował' waszu ruczku! — wyrzekł z namiętnem uwielbieniem.

Lecz ona, śmiejąc się ciągle, potrząsała rękami, które wzniosła do góry, niby broniąc je od natarczywości pana policmajstra.

— Będę miała aksamit! Będę miała aksamit — powtarzała w takt mazura.

II. Propaganda i buntownicy.

Na ulicach było zupełnie ciemno i blado żółte punkta świateł latarnianych zaledwie przebijały mgłę ciężką i cuchnącą, smutną, która wśród domów się snuła. Leon wyszedł na ulicę, starając się zamykać cicho drzwi, prowadzące ze sceny.

Stróż gasił właśnie latarnię, zawieszoną u wejścia.

W oddali dzwoniły gdzieś sanki, mknące po grudach śnieżnych.

Naprzeciwko teatru, w mieszkaniu mirowego sędziego świeciło się jeszcze w jednym z okien.

Bardzo daleko czerniał jakiś cień.

Był to stójkowy, ziębnięcy w śniegu, jak słup cmentarny, nieruchomy i milczący.

Leon postąpił kilka kroków, otulając się w swe podniszczone palto i kryjąc twarz w kołnierz barankowy.

Nisko na czoło nasunął czapkę z fałszywych karakułów i ręce schował w rękawy palta.

Ze drzwi, prowadzących za kulisy, wyszło kilku maszynistów, odzianych w palta i kurtki podszyte wiatrem.

Milcząc, gęsiego skierowali się w stronę rynku.

Na ostatku szedł ów maszynista, poznaczony bliznami na twarzy.

— Pan na kolację? — zapytał Leona ochryłym głosem Leon drgnął nerwowo, tak niespodzianie głos ten odezwał się tuż kolo niego.

— Tak... — odparł — pójdę... może...

Maszynista zatrzymał się i kołysząc się na szeroko rozstawionych nogach, dodał:

— Bo... pan wie. Jeśli my pierwsi wrócimy, to my panu otworzymy, a jeżeli pan, to... już pan nam otworzył!

I schyliwszy się pod rodzaj pomostu, który prowadził do głównego wejścia, wyrzekł tajemniczo:

— Klucz bandzie tu, pod mostkiem.

I oddalając się już, rzucił jeszcze więcej tajemniczo:

— To bez te psia krewskie złodzieje. co mogom rekwizyta, a ho co. po nocy ściagnąć.

Leon długo wpatrywał się w szereg tych ciemnych postaci, niknących w cieniu.

Zapomniał o zimnie, o ciemnicy wilgotnej, o przepustce — o jutrze...

Widział tylko, jak szereg ludzi czarnych, milczących, zgarbionych, zanurzał się w szarą, gęstą mgłę i nikł tajemniczo, jakby w otchłani.

Jeszcze chwila, jeszcze kilka plam i znikli, jak widzenie senne.

— Nie ma już ich! — wyrzekł półgłosem, jakby z żalem za tymi ludźmi, których nie znał i znać nie pragnął.

— Ich nie ma, ale ja jestem! — odezwał się głos stłumiony po za jego plecami.

Leon odwrócił się szybko.

— To ty!...

Pochwyił ramię wyciągnięte ku niemu szczerym, gorącym gościem.

— To ty!... — powtarzał w radosnem uniesieniu.

Lecz ten drugi wzruszył ramionami.

— Rozplącz się teraz, jak baba z radości, że mnie widzisz... — wyrzekł ironicznie, lecz i jemu młody głos drżał od wzruszenia.

Leon tłumaczyć się zaczął.

— Co chcesz... te dwa dni były dla mnie bardzo ciężkie... Sam jeden, niepewny, co się ze mną stanie, chowam się po kątach, jak pies wściekły... Widzisz — mimo wszystko, jest się człowiekiem, więc gdy cię zobaczyłem, ucieszyłem się bardzo. Nie gniewaj się, Jasiu!

Jaś znów wzruszył ramionami.

— Cóż począć z tobą, mazgaju. Widzę, że trudno ci przyjdzie nabrać hartu, a jakoś zaczyna się tak twoje życie składać, że ci dużo hartu będzie potrzeba. Zresztą... to już twoja rzecz... A teraz... chodź trochę dalej — w cień. Idąc, bezpieczniej rozmawiać... chodź!

Poszli, snując się pod murami domów ostrożnie i rozmawiając prawie szeptem.

Widoczne było, iż mieli wprawę w takim tajonem chodzeniu po ciemnych zaułkach, ścisząc głos, gdy szli mimo nisko osadzonych parterowych okien lub bram.

Obaj mieli jednakowo wytarte ubrania, okrywające młode ciała, zgięte od długiego ślęczenia nad książką i tego jakiegoś, choć niewidzialnego ale moralnego ucisku, który kładzie swe niezatarte, fizyczne piętno na wszystkim, co pod swoją potęgę zagarnia. Coś — nie dozwalało tym młodym czołom wznieść się swobodnie w górę, aby myśl, którą kryły, czytać się mogła w kryształowej jasności wolnego światła. Plecy pochylone zdawały się dźwigać ciężkie jarzmo, pierś zapadła kryła serce ściśnięte goryczą i żalem.

Chód ich niepewny i wahający, to znów znużony, był wlekącym się chodem stworzenia, przywykłego iść po ciasnej desce despotyzmem narzuconego programu życiowego. Fizycznie odbijały się jak w zwierciadle stany ich dusz pochylonych, jak ich piecy, ściśniętych, jak ich serca, gnanych wśród wytyczonych punktów, jak ich kroki.

Leon zdawał się cieniem Jasia, Jaś cieniem Leona.

I w tej głuchej ciemnicy nadgranicznego miasteczka nie zdawali się być już ludźmi żyjącymi, lecz znękanymi, młodymi cieniami tych, którzy już także tylko cieniami dla kraju byli.

Lecz napozór tak podobni, różnili się subtelnie nadzwyczaj delikatnymi rysami.

Leon zdawał się ciągle tonąć w rozmarzeniu, głos jego był miękki i tylko chwilami, pod wpływem słów przyjaciela, nabierał chętnych do czynu dźwięków.

Jana rozmarzenie zdawało się rwać ku górze, nie ciągnąć wśród tumanów mgły i ospałości. Mówił prędzej, gesta jego były nerwowe. Widać było, iż ten spodziewał się, walczył, pragnał...

Uradowany nadzieją dostania dla Leona przepustki, zaczął iść raźniej, śmieiej.

— Dobra dziewczyna! — powtarzał o Jabłońskiej — dobra, ona dotrzyma słowa. Widzisz, jak dobrze się stało, że się do niej skierowałem!

— Gdzie ty się z nią poznałeś — zapytał Leon.

— O! w Częstochowie. Przyjechała z trupą Żołocińskiego. Kochałem się w niej... Byłem wtenczas w czwartej klasie..

— Nic mi o tem nie mówiłeś.

— Mój drogi! to głupstwo, nad którym się nie warto zastanawiać... Zresztą ty zawsze zdawałeś się planować w przestrzeni. Potem, gdy ona była drugi raz w Częstowie, właśnie wtedy nastąpiła... katastrofa.

Zamilkli obaj.

— Tak... katastrofa! — dorzucił wreszcie Leon.

I była to rzeczywiście katastrofa w ich życiu to „wypędzenie“ z gimnazjum za utworzenie komitetu „oświaty ludowej“, który miał zająć się rozprzeźrzeniem książecek, w gruncie rzeczy niezmiernie niewinnych, pomiędzy chłopami i robotnikami fabryk, osiadłych dokoła Częstochowy.

Komitet złożony z pięciu biednych chłopaków, których całym majątkiem były scyzoryki, piórniki, trochę książek i najpiękniejsze serca, jakie bić mogły pod obszarpanym i zniszczonym mundurem — nie był niebezpiecznym dla olbrzyma-Rosji.

Chłopcy nie mieli funduszów na drukowanie owych książeczek — nie mieli nawet na tyle pieniędzy, aby kupić

sobie hektograf — lecz tak gorące było ich pragnienie „działania“, że postanowili pisać sami „drukowanymi literami“ i zabrali się do dzieła z radością, z chęcią, z zapalem.

Pracowali wreszcie „dla kraju“, wprowadzali w czyn marzenia, które każdy dzieciak nosi u nas w swej biednej piersi. Pochyleni nad kartkami, starali się doprowadzić do doskonałości naśladowanie druku. Gdy pierwsza książeczka ukończoną została, uczuli wielką dumę. Tekst książeczki ułożył Leon z pomocą Jasia. Leon od dziecka zdradzał zdolności pisarskie. W klasach uchodził już za... literata. Traktowano go nawet jako romantyka. Profesorowie mówili o nim

— Eto idealist..

On więc, nie kto inny, miał być autorem książki

Lecz chłopcy czuli sami, iż należy nałożyć pęta niepoprawnej imaginacji Leona. Jaś zawyrokował, że nadto sentymentalizmu zostanie niezrozumianem przez chłopów.

— Należy mówić trzeźwo i rozumnie — zawyrokował, występując w roli chłodnego rozsądku — niech Leon napisze, a ja poprawię.

Leon napisał — Jaś poprawił.

Lecz to, co oba uczniowskie mundurki wymyśliły, było tak naiwnie czyste, piękne, gorące, że chłodny rozsądek nie miał z tem nic wspólnego,

Mimowoli i Jasia uniosła, porwała gorączka uczucia i książeczka mówiła chłopom o Polsce, która była, jest i będzie. Kazała im kochać ziemię nie dlatego tylko, że daje ziarno na chleb, rodzi kartofle i rzepeł, ale dlatego, że to jest nasza ziemia, biedna ziemia, niewolna ziemia..

W dwa miesiące później pięćdziesiąt egzemplarzy gotowych leżało w piwnicy domu, w którym mieszkał Jasio, leżało w starym szafliku, napelnionym ziemią i gałganami.

Komitet naradzał się obecnie na sposoby propagandy. Najbardziej romantyczne projekta były podsuwane. Wreszcie postanowiono przypuścić do tajemnicy kobiety, to jest pensjonarki, siostry Jasia, ich przyjaciółkę pannę Kornblum, żydówkę, dziewczynę bardzo inteligentną, i za ich pomocą wejść w porozumienie z chłopami.

— Bez bab nie damy sobie rady — zakonkludował Jaś, stawiając swój wniosek.

Lecz nagle tejsze nocy zadźwięczały dokoła domu Jasia ostrogi i rozległ się krzyk przestachu matki i siostr, gdy zabrano chłopaka i odstawiono do „Gubernij“.

Książeczki znaleziono łatwo, współników zaaresztowano tejsze samej nocy.

I po kilkumiesięcznem więzieniu Jaś, Leon i cały komitet, wypuszczeni na wolność, ujrzeni się „wyrzuceni“ z gimnazjum z ostrym zakazem nieprzyjmowania ich więcej do żadnych naukowych zakładów w obrębie państwa rosyjskiego

Bogatsi z członków komitetu wyjechali za granicę, biedniejsi, jak Jaś i Leon, pozostali w kraju, wykolejeni, bez przyszłości, starając się dopełnić swego wykształcenia, pomagając sobie wzajemnie. Rodziny ich ofiar dla nich ponosić nie mogły. Walczono z niedostatkiem. Ojciec Jasia był urzędnikiem biednym i mało płatnym. Wobec żandarmów, biorących syna, drżał nie tylko o Jasia, lecz o przyszłość całej rodziny; groźba wypędzenia ze służby zawisła nad jego głową. Protekcją został się na miejscu.

W głębi duszy musiał zataić swe uczucie dziwnego rozrzewnienia, jakie go ogarnęło, dowiedziawszy się o winie syna. Pułkownik żandarmjerji z łaskawą dobroduszością nakłaniał go do surowej nagany, skoro syn do domu powróci. Ojciec Jasia przyrzekł, znalazł nawet już w tej kancelarji prowincjonalnego miasteczka słowa udanego oburzenia.

— Niech pan pułkownik będzie spokojny, ja mu natrę uszów... Odehce mu się zajmować czem innem jak nauką.

Pułkownik ładnym, okrągłym gestem, starał się uspokoić tę porywczosć zbyteczną.

— Tylko nie za wiele — mówił uprzejmie — my go tu trochę potrzymamy, to już dobrze na niego wpłynie. Ja mam więcej takich wychowańców i staram się wpłynąć na nich w odpowiedni sposób.

Słońce zimowe iskrzyło się na szybach okna setkami brylantów.

W oddali dzwoniły sanki i słychać było gwizd kolei. W kancelarji było cicho, ciepło i elegancko. Krzywe podłogi założono dywanem, ciężkie firanki zakrywały małe i niezgrabne okna.

Pułkownik siedział w swym fotelu, zasunięty, jak kot. Przed nim leżało dużo, bardzo dużo papierów, poprzy-ciskanych marmurowemi i szklanemi przyciskami. Ojciec Jasia wpatrzył się w te papiery, jakby magnetyczną ciągnioną siłą.

Co w nich było? Ile tajemnic, ile rozkazów, ile dowodów...

Duży, łachmaty pies leżał pod piecem; spokojny w tej atmosferze niepokoju i trwogi, która pozornie tak łatwo do zniesienia, a nawet przyjemną była.

Ojciec Jasia słuchał głosu pułkownika, miękkiego, grze-cznego głosu dobrze wychowanego człowieka, a w duszy jego drżało jedno ciągle pytanie:

— Wyrzucą mnie z miejsca, czy nie wyrzucą?

Pytać nie śmiał, nie chciał, bał się wyczytać z gładko-ogolonej twarzy Iwana Władimirowicza Illicza wyrok, skazujący go na bezczynność i całe gniazdo na niedostatek i walkę.

Iwan Władimirowicz Illicz był to sprytny i obrotny w sprawach żandarmskich dyplomata.

On — bawiąc się teraz kościanym nożykiem do przecinania kartek, wiedział, na jakiej szpilce drży w tej chwili serce tego człowieka, który w wytartym surducie siedział naprzeciw niego na kraju safianem wybitego krzesła.

— Tak... ot i pana syn stał się moim wychowawcem! — dorzucił Illicz — no nie żęłałby ja drugi raz się z nim spotkać...

Zawiesił głos i wreszcie dodał:

— A i dla pana to nie wyszłoby na dobre!

Serca ojca Jasia ścisnęło się szaloną trwogą. Przed oczyma zastąpiła mgła.

Illicz nie patrzył na niego. Teraz uważnie przecinał stronicę żółtej książeczki, wydanej w Genewie, a noszącej tytuł:

„Paweł II. — jewo żyżń, lubownica i ubijsto“.

— Tak! — ciągnął dalej, zdając się równocześnie czytać w kartkach książki — dalsze nieposłuszeństwo syna pociągnęłoby i dla pana dużo nieprzyjemności. Ot — ja pana ostrzegam i wypuściwszy chłopca, pana rękóm go zdaję... Pan już niech go prowadzi i chłopcze, aby znów Jaś nie popadł do mnie na wychowanie. Pan teraz i nie winien, bo pan o niczem nie wiedział, co dzieci tam w szkołach uradziły, ale teraz pan już ostrzeżony i pan winien nad synem czuwać i...

Poprawił się na fotelu — zamknął „Żyżń Pawła“ i wziął w rękę drugą żółtą książeczkę.

Na okładce widniał napis:

„Ekaterina II, jej żyżń, lubowniki i ubijstwo“.

— I tak... Pan nam odpowiesz za jego przyszłe postęпки.

Słowa te zadźwięczały jak uderzenie suchej, grubej pałki o czaszkę urzędnika, który pozornie nie zdawał się ucuwać trwogi i tylko uciskał wargi, aby Illicz nie widział ich nerwowego drżenia.

— Ja postaram się! — wyrzekł wreszcie i powstał, lękając się dowiedzieć coś więcej, domysleć, spojrzawszy na twarz pułkownika.

Lecz twarz ta była uprzejma, grzeczna, rozjaśniona jakimś wewnętrznym zadowoleniem. Tylko oczy zapadłe pod gęstemi, siwemi brwiami migotały jak ukryty ogień, mogący w każdej chwili rozniecić straszny pożar. Z oczów tych szła pożoga, niweczająca czyny, zamiary, myśli ludzkie. W oczach tych była przepaść ciemni więziennych i komnat śledczych. Długie firanki rzes przesłaniały te oczy przed wzrokiem ludzi, lecz przysłaniały niedostatecznie.

Ogień migotał i — groził.

Illicz powstał także z fotelu grzeczny i przejmy.

Obaj ci ludzie czuli, iż po tem, co zaszło, nie mają sobie nic więcej do powiedzenia.

Illicz mógł powrócić do „Żyźni i ubijstw“, które niebacznie chciała przewieźć przez granicą młoda żona miejscowego lekarza w kieszeni modnie skrojonego żakietu, a ojciec Jasia powinien był udać się na swoją stację kolejową i tam przygotowywać system nowego wychowania syna.

Rezultatem tego systemu było, iż biedny urzędnik, zobaczywszy syna, wysiadającego z wagonu, porwał go w objęcia i powlókłszy do stacyjki telegrafisty, całował długo i gorąco.

Wymówek mu robić nie mógł — nie śmiał, tak porwała go w gruncie rzeczy jasność, bijąca z czynów i pragnień chłopca.

Później już tylko, późnym wieczorem, siedząc na łóżku syna, opowiedział mu swą bytność w żandarmerji i rozmowę z pułkownikiem.

Nie dodał nic, mówił nieśmiało, powoli, jakby wstydząc się za siebie i za swoje słowa. Jaś nie odpowiedział nic — lecz silnie uściśnął gorącą dłoń ojca.

Ci dwaj — młody i stary, zrozumieli się. Młody ustąpił i od tej chwili nosił w piersiach grób pragnień i chęci.

Oczy mu pociemniały i twarz postarzała w tej walce z młodością i wielką, olbrzymią, tkwiącą w niej siłą.

Leona nikt po wyjściu z cytadeli nie witał, w objęcia nie brał i... nie gromił.

Chłopak był sam — opiekował się nim tylko wuj, mający hotelik w Kielcach. Opieka ta ograniczała się do niewielkiej pieniężnej pomocy. Wezwany do gubernji, całą odpowiedzialność za postępowanie chłopca ze siebie zrzucił i co do jego przyszłości mieszać się nie chciał.

— A mnie co do tego! powtarzał uparcie — niech sobie robi, co chce... jak sobie pościeli, tak się wyśpi.

— Pan będziesz za niego odpowiadał!

Polkowicz wzruszył ramionami.

— A to co znowu! — odburknął zuchwale — ja odpowiadam za moich kelnerów i dziewczki, co myją talerze i za masło, na którym się smarzą moje sznycle. A ten smarkacz ani mój syn, ani nic w moim hotelu. Nie odpowiadam za niego i koniec!

Polkowiczowi mundur fiolkowy nie imponował.

Nie straszło go widmo cytadeli, którą nazywał „faramuszki“. Cały zajęty swym hotelem i ulepszeniami, jakie zaprowadzić w nim pragnął, niecierpliwził się, że mu tyle czasu zabierano.

Leon miał u niego pozostałe po rodzicach kilkaset rubli.

To był cały jego majątek, z którym miał wywalczyć sobie „pozycję“.

Chłopak zaczął wywalczenie od pisywania korespondencyj do zagranicznych gazet.

Zatytułowane „z Królestwa“ — pisane z artystycznym zakrojem, były czytane chciwie i zwróciły ogólną uwagę.

W piersi Leona serce biło, jak ptak spłoszony.

I lęk i radość przejmowały go równocześnie, lecz radość przeważała.

Widział swą myśl nieskrępowaną łańcuchem cenzury, swobodną, bijącą w górę silnym prądem. Po raz pierwszy doznawał owego upojenia wolności myśli, nie obliczał słów, nie cofał pióra — pisał, co chciał.. jak chciał...

Był pijany poprostu tem szczęściem, tą swobodą. Rozwinął skrzydła, talent jego zajaśniał nagle, wydobyty z oków milczenia. Myśl jego szła prosto z serca, wolna, pełna uczucia i siły. Marzył u wielkiej powieści, o szeregu nowel, związanych ze sobą jak ogniwa kajdan, o dramatach, mogących być epopcją, nigdy nie gasnącą...

I rzeczywiście, w jednym z pism lwowskich pojawiły się dwie nowelki, jedna od drugiej piękniejsza, porywające wielką wiarą, bez trwogi omawiające stosunki w Królestwie, w pięknej, artystycznej formie.

Były to stosunki szkolne — kaganiec obcej mowy, włożony gwałtem na dziecięce usta, niewolniczy ubiór wolnych więźniów nieletnich, modlitwa przedlekcyjna, wygłaszana w formie urzędowej — pierś nierozwinięta jeszcze, a już spętana uciskiem i ciągłą obłudą. Leon dzieckiem jeszcze prawie skarżył się w swoich nowelkach, spowiadał z wrażeń, jakie odnosił od chwili nauczania się pierwszych liter alfabetu, a czynił to prosto, naiwnie, prawie instynktem chwytając najpiękniejszą formę i styl nie przesycony wyrzeźbionymi zwrotami.

Dziecinny pseudonim, jaki obrał, podpisując się „Orliński“ — odkrywał chęć lotu, artyzm jeszcze w kolebce, coś, co się szarpie, rwie i szamocze w duszy pół dziecka, pół człowieka.

Jedną z nowelek opowiadała wrażenia z cytadeli odniesione.

Nie było tam mowy o turturach, o knutach, lecz zmęczona samotnością dusza dziecka, zamknięta w ciasnej klatce więzienia, skarżyła się tak boleśnie i szczerze, że każde słowo było tu poematem i oskarżeniem.

Przyzwyczajony od dziecka Leon zamykać w sobie myśli i ważyć słowa, nawet i teraz, gdy zrzucił ze siebie wiążące go pęta cenzury, nie umiał deklamować i upajać się czczą igraszką słów. Fakta mówiły same za siebie. Artystyczna jego natura nie pozwalała na sentymentalizm bezpłodny, raczej nerwowe czuć było w każdym słowie drganie młodego umysłu.

Nagle — dano mu znać, iż pseudonim jego odkryto i żandarmerja robi starania, aby wydostać jakim sposobem choć kilka wierszy manuskryptu nowel lub korespondencji

i w ten sposób mieć dowód, że on jest autorem potężnych utworów. Do Galicji wysłano nawet kogoś, aby manuskrypt wy dostał, w razie potrzeby, odfotografował.

Należało uciekać jak najspieszniej po za granice kraju.

O paszporcie i mowy być nie mogło.

Szło o przejście granicy pod obcym nazwiskiem. Jaś przypomniał sobie swą znajomość z Jabłońską i ku niej skierował przyjaciela.

Teraz — sam przybył do owego nadgranicznego miasteczka, gdzie już trzeci dzień wśród maszynistów teatralnych przebywa Leon, oczekując na dostanie przepustki.

I w nocy, w ciemni wilgotnej idą obaj uliczką miasteczka, a zdaleka sterczy sylwetka „gorodawago“ w swej długiej, niewolniczej szyneli.

— Byłeś u wuja? — zapytał Leon.

— Byłem. Przywiozłem ci dwieście rubli. Hotelarz rzucał się i złościł...

— Powiedziałeś mu wszystko?

— Piąte przez dziesiąte. Co mam z nim gadać, on przecież nie nie rozumie... Krzyczał: a niech sobie jedzie! a niech już raz się pozbędę tego kłopotu...

Jaś wy dostał z bocznej kieszeni niedużą kopertę.

— Masz twoje pieniądze!

Leon pokiwał głową.

— Zdawało mi się, że miałem trochę więcej. Ale niech tam!... dobrze, że i to dał!

Schował pieniądze.

Jaś upomniał go natychmiast tonem starszego brata

— A nie zgub, bo to cały twój majątek.

— Och! ja tam pracę znajdę.

Jaś przyświadczył z wielką pewnością siebie,

— Naturalnie... tam nasi ci dopomogą!

Wrócili się znów na dawną drogę, bo zdaleka migotały ognie jakiegoś jasno oświetlonego domu.

— Jak ja ci zazdroszczę... — zaczął Jaś, mimowoli podnosząc głos. — Boże! jak ja ci zazdroszczę... będziesz pomiędzy nimi, wolny, swobodny — będziesz z nimi razem pracował dla sprawy, pisał...

Leon pochwyił Jasia za ramię.

— Jedź ze mną!

Jaś zatrzymał się i zwrócił twarz swą w stronę Leona.

— Za co?

— Pieniądze, które mi przyniołeś, dla nas dwóch na drogę wystarczą...

— Nie! nie! to twoje, tobie tam będzie potrzeba... ja później przyjadę!

Leon gorąco podchwycił

— O tak! tak! przyjeżdż — ty nam tam będziesz potrzebny... konieczny nawet.

Mówił już n a m, identyfikując się poniekąd z ową „partją“, o której istnieniu wiedzieli oddawna i marzyli, nie znając dokładnie ani celów, ani środków owej partji.

Dla nich wystarczała ta myśl, iż w kraju wolności, równości i braterstwa żyła i działała pewna ilość Polaków, związanych jedną ideą — miłości dla kraju...

Leon już się czuł ich, już był myślą z nimi i mówił Jasiowi: „ty n a m będziesz koniecznie potrzebny“.

Do czego? na co? nie wiedział...

Nagle umilkli.

Ostrogi zabrzęczały w oddaleniu.

Chłopcy podnieśli instynktownie kołnierze palt, zgarbili się, pochylili czoła.

Równe, eleganckie kroki wydzwaniały ostrogami rodzaj marsza po obłożonych flizach miasteczka.

Jaś i Leon szli naprzód, jakby gnani niewidzialną siłą. Ostrogi były tuż za nimi — wreszcie zrównały się i chwilę zwolniły tempa, jakby zastanawiały się koło tych dwóch zgarbionych i milczących postaci, idących trwożliwie koło murów domostw.

Był to sam Matwiej Iwanowicz Tagiejew, który, wypiwszy riumkę smirnowki w restauracji i przekonawszy się, że wszystko w mieście jest w porządku, powracał do swego mieszkania, marząc o Jabłońskiej, jej zgrabnych rączkach i nóżkach i czerwonych, jak malina, ustach.

Węchem policjanta przeczuł coś „nieczystego“ w tych chłopcach, którzy widocznie chcieli przejść mimo niego niepostrzeżeni.

Nie odwrócił jednak głowy, a tylko w ciemni ulicznej szukał stójkowego, któremu by powierzył opiekę nad spotkanymi.

Jaś i Leon instynktownie zwolnili kroku.

Policmajster szedł szybko, starając się być eleganckim i szykownym nawet w nocnej mgle.

Gdy oddalił się, Jaś odezwał się prawie szeptem:

— Trzeba nam się rozstać. Ja wracam na „bahnhof“.
Za pół godziny odchodzi pociąg.

Leonowi ścisnęło się serce.

Ten Jaś — to była jego przeszłość, najpierwsze i najpiękniejsze porywy serca — to było to, czego się nie zapomina.

— Tak... musimy się rozstać! — powtórzył ze smutkiem.

— Tylko proszę cie... nie zacznij się mazać! — szeptał Jaś z udaną energią — i pamiętaj sobie to, co ci mówię: nie daj się zbytecznie sentymentom! Ty jesteś romantyk!

Ciebie ten romantyzm zje i zgubi... Ja ci to w klasach zawsze mówiłem!...

Leon nic nie odpowiadał. Dławiły go łzy. Chętnie porwałby Jasia w objęcia i wyplakał się na jego szyi. Ale Jaś zdawał się być ze skały wykuty i gięstem energicznym i prawie męskim podał Leonowi rękę.

— Jedź.. pisz pod wiadomym ci adresem... i stań się tam kimś, rozumiesz... kimś, z kogo nasza klasa będzie dumna.

Po chwili dodał:-

— Wtedy ja także tam przyjadę!

Ostrogi, które jeszcze ciągle brzęczały w nocnej ciemni, nagle brzęczeć przestały.

Wprawne ucho Jasia pochwyciło ten szczegół.

— Bądź zdrow! — wyrzekł szybko i zanim Leon zdolał się opamiętać, Jaś rzucił mu się na szyję dzieciennym, miękkim ruchem i całować go począł.

— Bywaj zdrow... mazgaju! — wyszeptał mu nad uchem.

I szybko znikł w małym zaułku, prowadzącym do dworca kolei.

Leon powiódł po twarzy.

Była cała mokra od łez.

Jego? Czy Jasia?

Już nawet rozróżnić nie mógł, tak były te łzy podobne, gorące i czyste.

Matwiej Iwanowicz Tagiejew dopadł wreszcie przy wejściu do rynku Iwanowa Matwiejewicza Siemipudowa, stojkowego, dyżurującego tej nocy na ulicach miasteczka.

Jeszcze nie zdążył otworzyć ust i przykazać stojkowemu, aby dał baczenie na tych dwu ludzi, idących chyłkiem pod ścianami domów, gdy Iwan Matwiejewicz Siemipudow, chłop rostry, barczysty i na kapuście wychowany — wyprzeżył się konwulsyjnie i salutując, zająwił.

— Imieju czest' dołożyt' Waszemu Wosokomu Błagorodju, czto sobaka apotifera zbiesiłaś i biegajet po goroda.

— Czy policmajstra zaświeciły od radości.

Przed nim mignęły rozkoszne obrazy polowania na psy wściekłe, strzelby, obnażone szaszki, tłum żydów, krzyczący, jakby go ze skór obdzierano, i między niemi on, Matwiej Iwanowicz Tagiejew, grający rolę zbawcy i pogromcy dzikiego zwierzęcia.

Matwiej Iwanowicz uprawiał ten sport z dziwnem zamiłowaniem. Skoro się pojawił pies podejrzany o wściekłość, biegł, chwycił za strzelbę i upojony nadzieją zwycięstwa, pędził na czworonoga.

I teraz przechylił natychmiast głowę na bok z junacką odwagą i przechwałką.

— Zawtra utrom ustroim achotu! — wydał rozkaz krotko i dobitnie — sabrat' ludiej!

Stójkowy nieruchomy, jak słup soli, odpart

— Słuszajus wasze Wysoko Błagorodje!

I policmajster pomknął w stronę rynku, zapomniawszy o Leonie, o Jasiu — o dwóch podejrzanych indywiduach, snujących się w cieniu.

Wszedłszy do domu, do swej kancelarji, zaczął oglądać strzelby i dobywać naboje. Spróbował nawet duży kordelas, który kiedyś służył jakiemuś obywatelowi — na dziki — a dziś nad otomanką w gabinecie policmajstra w towarzystwie szpicrut, pistoletów, floretów i jednej prawdziwej polskiej karabeli stał się postrachem dla dzieci Matwieja Iwanowicza.

Matwiej Iwanowicz był wdowcem i ojcem kilkorga dzieci. Chował je starannie i nawet zbyt kownie. Aby zdobyć dla nich środki egzystencji, nie zawahałby się spełnić największą podłość, przywiązaną do swego urzędu.

Tymczasem Leon doszedł do drzwi teatru i cofnął się mimowoli, widząc jakąś postać ciemną, jakby przyklepioną do ściany domu.

— No... chwalić Boga! — wyrzekł głos kobiecy — a bo myślałam, że pan już nie przyjdzie!

Leon zbliżył się. Poznał Władkę i mimowoli uśmiechnął się na widok dziewczyny.

— Niech no pan pójdzie na scenę, bo ja coś dla pana przyniosłam.

Leon zadziwił się tem objawieniem.

— Cóż takiego?

Lecz dziewczyna tajemniczo pokręciła głowę.

— To pani przysła — tylko już pewnie do cna wystygło.

Leon schylił się pod mostek, wziął klucz i otworzył drzwi, prowadzące do wnętrza teatru. Zgnite, piwniczne powietrze buchnęło całym kłębem na zewnątrz.

Leon wszedł na schodki, prowadzące na scenę. Na desce stała mała latarka, w której paliła się świeca. Młody człowiek podniósł w górę latarkę oświetlając drogę, po której szła Władka. W słabem świetle dostrzegł, że dziewczyna cała sina od chłodu, wydobywa z pod chuski talerze, związane serwetką i małą flaszeczkę.

— Cóż to? — zapytał.

— To pani ze swej kolacji przysła panu kotlet i bułkę. A tu — w tej flaszeczce jest trochę koniaku. Tylko pani przeprasza, że to taka flaszeczka od wody kolońskiej — bo pani innej nie miała...

Zaśmiała się, postawiła talerze na teatralnym stole, stojącym na środku sceny i owinawszy się w chustkę, dodała:

— A zresztą koniak, a woda kolońska to wszystko jedno.. tylko jedno pachnie a drugie nie..

Obejrzała się dokoła z rodzajem przestrochu.

— Strasznie tu pusto po nocy w teatrze... pewnie nie długo maszynisty wrócą z szynku, to będzie panu weselej... Ja już pójdę. Niech pan zje i zdrów śpi.

Nie odchodziła jednak i nagle wyciągnęła rękę z jakimś świstkiem papieru w palcach.

— Niech pan przeczyta! — wyrzekła — wtykając mu paperek w rękę.

Leon nachylił się nad latarką i czytał

— Walerjanu za 20 kopijek!

Władka z ważnością palec do góry podniosła.

— To pani moja taka mądra! Pani mówi — o Władka, jakby cię garadowy spotkał, a spytał, gdzie cię djabli po nocy niosą, to ty powiedz, że moja pani ma spazmy i ty lecisz do apteki po tego walerjana...

Zbliżyła się do Leona i tajemniczo dodała:

— Niby, żeby oni się nie dowiedzieli, że pan tu nocuje...

Mówiła słowo o ni napół drwiąco, napół ze strachem.

W tym tonie malowało się to „nieuchwytnie“, które ma w sobie lud w Królestwie dla policji wogóle.

Jest to lekceważenie, pogarda i zarazem bojaźń i szacunek słabszego dla wielkiej potęgi. Żyd płaszczy się, drży i chwytą za kieszeń. — Łyk małomiasteczkowy boi się, lecz zarazem sztydzi. Choć w ten sposób wynagradza sobie swoją przymusową uległość.

— Ja tam z garadowym sobie dam radę! — zaczęła Władka, odbierając od Leona kartkę — tylko nie chciałabym się natknąć na tego wypędka, pana policmajstra. On mnie nie cierpi. A pan wie za co? On mówi, że ja mu u pani przeszkadzam. A co ja mam robić? Pani mówi: „żebyś mi Władka zaraz do garderoby wpadła, jak postyszysz, że ja kaszlę...“ Ja wpadam, a on na mnie „poszła won!“ — Ja się śmieję w kułak i tylko na panią patrzę, a pani mruga -- niby — zostań Władka...

Leon natychmiast ją ostrzegł.

— Ja widziałem teraz, jak policmajster szedł na rynek

Władka klasnęła w rękę.

— A co!... Ja wiedziałam, że ta cholera gdzieś po mieście łązi. On tak całą noc czasem się włóczy. — Niechby on choć raz kłębek zobaczył.

— Jakto... kłębek?..

Władka zdziwiła się nie na żarty.

To pan nie wie, że u nas w mieście koło kościoła, to jest zaczarowany kłębek?

— Nie wiem!..

— A jej! to ja panu powiem!

Oczy dziewczyny rozszerzyły się i z siwych stały się prawie czarnymi. Owinięta w długi ciemny szal Jabłońskiej — cienka i chuda, tonąc cała w półcieniu, zdawała się tajemniczości pełną.

— Co noc, o dwunastej koło kościoła — można widzieć na śniegu kłębek czarnej bawełny. Nie duży kłębek... ot taki!

Jej chude, cienkie ręce migotały teraz z fałd szala.

Poza nią kulisy sterczały tajemniczo, jakiś gwóźdź świecił tylko, jak djament zakłęty.

— Ten kłębek leży sobie na śniegu... ot niby nic. Jeżeli pan się do niego zbliży... ten kłębek się nagle z miejsca porywa i zaczyna toczyć... toczyć...

Jej oczy stawały się coraz większe i coraz ciemniejsze. Szpetota twarzy znikła pod wrażeniem nerwowego napięcia. Jedna ręka wyciągnięta wskazywała jakiś punkt daleki, zagadkowy, nieuchwytny.

— I wie pan! — ciągnęła dalej coraz ciszej — kto pójdzie za tym kłębkim i zechce go pochwycić, to... nigdy go nie schwyci. A taki, co go zdoła pochwycić, umrze przed Nowym rokiem!

Zamilkła na chwilę i dodała, uderzając pięścią o dłoń:

— Żeby ten psiakrew pan Policmajster chociaż ten kłębek złapał!

Po wschodach coś zaszeleściło

Władka porwała się z miejsca, owinęła w chustkę i zwróciła ku wyjściu.

— Niech pan zje i talerze do garderoby mojej pani wstawi. Ja jutro przyjdę... Dobranoc!

I znikła w cieniu.

Leon stał długą chwilę nad rozstawionymi na stole talerzami.

Była to uboga, wystygła kolacja, która wzbudziła w nim dziwne uczucie smutku i tęsknoty. Mimowoli zaczął myśleć o tej ładnej aktorce, która tak po kobiecemu dała mu dówód myśli i troski.

Wiedziała, że on w restauracji pokazać się nie może, przypuszczała, że kieszeń jego pusta.

Podzieliła się z nim swoją strawą codzienną, jak siostra dobra i troskliwa.

Buteleczka z koniakiem, zatkana błyszczącym koreczkiem z etykietą wody kolońskiej, była niejako uosobieniem tej naporóż bezmyślnej i lekkiej istoty.

Pod pachnącą strojną etykietą — bił prąd gorącego, uczciwego uczucia.

Leon zjadł kotlet i wypił koniak. Nie uczuł się na chwilę upokorzony tym rodzajem jałmużny. Podąła

mu ją miękka dłoń kobieca, jakoś nieśmiało i bardzo swojsko.

Zjadłszy i wypiwszy koniak, pachnący wodą kolońską, Leon wziął latarkę i poszedł pomiędzy kulisy odszukać swe legowisko.

W kącie, niedaleko pieca, stała mała kanapka, pokryta kwiecistym kretonem.

Na niej leżała poduszka, wyszyta na kanwie i dwa małe, złocone krzeselka.

Leon krzeselka zdjął, z poduszki strząsnął kurz i śmiecie i zwinąwszy się w kłębek, na kanapce ułożył.

Latarkę postawił opodal.

Lękał się nerwowo ciemności. Drzwi nie zamknął na klucz, licząc, iż maszyniści niedługo powracać zaczną.

Trochę ciepła szło jeszcze od pieca. Leon rozkoszował się niem i kurczył się, chcąc całem swem ciałem chłonać to dobroczynne ciepło.

Leżąc, myślał, a raczej kręcił się w całej masie rozmaitych myśli, które dokoła niego fruwały. Przyszłość przedstawiała mu się chwilami jasną, piękną i niezwykłą.

Jechał do Paryża i tam na swobodzie mógł pracować, rozwijać się, wprowadzić wreszcie w czyn swe pragnienia, chęci i zamiary.

Właściwością jednak nerwowych natur wiedziony, przerzucił się z jednej ostateczności w drugą.

Uciekał, jak zwierz ścigany, pod cudzem nazwiskiem, z okruszyną pieniędzy, nie znając tam nikogo, posiadając zaledwie kilka adresów...

I po jasności następowała ciemność i zwątpienie. Ciężkie kroki dały się słyszeć u wejścia. Ochryple głosy, coś nakształt śmiechu.

Leon porwał się ze swej kanapki i machinalnie przycisnął ręką kieszeń, w której znajdowały się pieniądze.

Maszyniści wracali z szynków i szli po omacku wśród kulis, klnąc i plując mocą nałogu.

— Kto wzion stąd latarkę? — dał się słyszeć głos przepojony wódką.

Leon powstał i poszedł w tę stronę, z której dawały się słyszeć głosy.

Wyciągnął rękę z latarką i podał ją pierwszemu z brzegu maszyniście.

Ten ją wziął w lekceważący sposób i zwrócił się do swych kolegów.

— Mata karty? — zapytał.

— A jakże — odparł długi, chudy chłopak w krótkiej kurtce — gdzieżby się podzieli!

— No to chodźta, utniemy sobie partjom!

Poszli po wschodach pod scenę. Leon zwrócił się ku swej sofce. Dwóch maszynistów pozostało jeszcze na scenie. Jeden z nich, rosty i barczysty chłop o chmurnem wejwrzeniu, stał sobie rodzaj barłogu koło ściany, niedaleko kanapki.

Drugi, z twarzą pooraną bliznami, wydobywał z poza cholewy związane w łachman miedziaki.

— Wicek! — dało się słyszeć z pod sceny — Unjat, idziecie!...

— Wicek! — tupnął nogą w podłogę.

— Cichaj! — zawołał — nie drzejcie się, bo jeszcze jakiego policajskiego ściągniecie.

Pieniądze na dłoń wysypał, potem zwrócił się do drugiego maszynisty, który, siedząc na swoim barłogu, buty rozdziewał.

— Unjat! — zapytał — idziesz do nas?

Nazwany „unjatem“ odpowiedział krótko.

— Nie!

Wicek usta wydał.

— To się wie... ty zawsze po osobno! ja pójdę!...

Lecz nie szedł na dół, kręcąc się po scenie, zwijając sznury, kopiąc budkę suflera, meble i porozrzucane dywany.

Z pod oka patrzył na Leona i śledził „unjata“, który przyległ na barłogu i naciągał na siebie połatany dywanik.

Leon nie spał, patrząc mimowoli w ten kąt, gdzie przyległ maszynista unita, który miał swoją historję na kartach prześladowania. Przebyte ciężkie chwile nie złamały tego chłopca, który z właściciela stał się wyrobnikiem, numerowym w hotelu żydowskim, a wreszcie teraz przygodnym maszynistą.

Wiecznie sam, odludek, robotnik doskonały i wierny, znakomity w sobie, jakby miał ranę w zbolątej duszy, zdawał się strzec w sobie jakiś skarb wielki, święty i drogi.

Z pod z chłopska przyciętej grzywy świeciły oczy jak dwa ognie i nagle znikły pod ciężkimi powiekami.

Ręce miał zawsze zaciśnięte na piersi, jakby dławił w niej jakieś słowa, krzyk, skargę.

Była to wielka, potężna postać.

Leon zapatrzył się w ten kąt ciemny, gdzie krył się „unjat“ wraz ze swą wiarą, i nie dostrzegł, jak ku niemu cicho podsunął się Wincenty.

Maszynista zaczął przewracać niby coś w dekoracjach wreszcie wytaszczył z kąta duże płótno.

— Jak panu zimno — zaczął z pewnego rodzaju niedźwiedzią uprzejmością — to ja panu dam morze, albo ten kawałek lasu, to pan się niemi pokryje. I tak farba się dość ena wykruszyła. Dyrektor nie będzie wiedział!

Rozciągnął nad Leonem szmat płócienny i pochylił się tak, że jego twarz bruzdami poorana i oświetlona latarką, którą trzymał w rękę, znalazła się prawie nad twarzą Leona.

— Po co panu przepustki? — zaczął szeptem — da mi pan pięć rubli., a ja pana bez granicę czyściuteńko i uczciwie przeprowadzę. Co? pan nie wierzy? Żeby mnie szlak trafił, jeżeli kłamię! Ile ja kontrabandy żydom przenoślił, jakem był w Kaliszu. Niech się pan o mnie spyta. Pan może z Wincentym iść wszędzie, choćby prosto w łapy żandar-mom, a Wincenty pana jeszcze wybawi.

Leon zdreptał, widząc tajemnicę swoją w rękach takiego Wincentego.

Maszynista chrypiał dalej.

— Dla mnie to nie pierwszyna. Mnie na wszystkich granicach znajom i jedni mnie się bojom, a drugie ze mną jak z bratem rodzonym... Ja wiem, co z kim. Temu wódki postawię, temu niby trochę kopiejek, temu mówię „bratiec“... no i tak swoje zrobię...

Zatrzymał się na chwilę i pochylił jeszcze więcej.

— A wlezie nam kto w drogę uparty, to i z nim sobie dam radę...

Uśmiechnął się i wskazał na cholewę buta.

— O... tu za butem mam, co potrzeba. Bez huku, bez strzału... Tylko dźgnę i już po wszystkim. Cóż? niechce pan?

Oddech, cuchnący wódką, paraliżował Leona, leżał bez ruchu, starając się nie oddychać, przymykając oczy.

Wincenty zrozumiał, iż nie powinien nawet nalegać. Wzruszył ramionami i zabrał się do odejścia.

— Jak pan chce — wyrzekł — ze mną byłoby bezpieczniej, jak za jakim cudzym paszportem...

Odszedł kilka kroków i latarkę postawił na ziemi.

— Ja tu wam zostawię latarkę, bo może się pan po ciemku boi... A co do tego, żebym ja pana wydał, to niech się pan nie boi. Wincenty pijak, Wincenty awanturnik, ale Wincenty uściwi!

Uderzył się pięścią w piersi, aż jęknęły...

— Ja sam w kryminale siedziałem, to wiem, co to, jak drugi chce się od takiego czegoś zbawić i...

I szurując nogami, zaczął schodzić pod scenę...

Leon pozostał sam, oszołomiony, strwożony pomimo zapewnień maszynisty, niepewien teraz jutra.

Nagle, w kąciaku, gdzie spał unita, rozległ się cichy szmer. Leon wpatrzył się tam z pod brwi zsuniętych i dostrzegł, jak czarna postać maszynisty dźwigała się powoli i cicho z barłogu i przykłęka, zwracając się twarzą do ściany.

I w ciszy tej, przerywanej tylko od czasu do czasu ochrypłymi głosami maszynistów, dobywającymi się z pod podłogi i znaczącymi karty — rozległ się szept chłopskiej, gorącej modlitwy. Leon podniósł się nawpół i z zapartym oddechem w modlącego się unitę wpatrzył.

Światło latarenki zaledwie trochę oświetlało klęczącą tragiczną postać.

Ręce złożone i wyciągnięte ku górze, jakby w mistycznej ekstazie, całe ciało podane w tył w gorącej, rozpaczliwej prośbie.

I pierś ta wiecznie wobec ludzi zamknięta i pieczęcią rąk przyłożona, zdawała się w tej chwili wśród pustki nocej roztwierać jak kwiat, i modlitwa szeleszcząca skrzydłami strwożonego ptaka leciała w czerń, jak modlitwa męczonych chrześcijan leciała z Katakumb za świetlaną postać Chrysta.

Skarb, który miał Unita, zamknięty w swej duszy, krzepił go, karmił i sił dodawał.

Chłop uparcie szeptał swoją modlitwę i szept ten był potężnym protestem przeciw ukazom białego olbrzyma, który w łonie swem miał trzysta milionów chłopów, lecz nie mógł posiadać takiej jednej chłopskiej duszy.

Przed oczyma Leona zrobiło się nagle jasno, przestronno. Pił oczyma postać Unity i wdrażał ją w swą duszę.

I on unosił w swej dziecięcej jeszcze piersi wiarę i religję swoją i uciekał z nią, krył się w takich samych ciemnościach, jak i ten chłop, modlący się w ekstazie.

Religia Leona — była to miłość swobody — wolności — pragnienie oddychania całą pierśią, bez oków, bez więzów.

I obaj w jej chwili — ten chłop i to dziecko modlili się, każdy po swojemu i każdy w buntowniczy sposób.

III. Pan policmajster poluje.

Bieregis! Pałka dierży łuczsze saszku... ach! ty duraczyszcze... dierży gawarju tiebie!

To Matwiej Iwanowicz Tagiejew, strojny jak z pułka, w lakierowanych bucikach, komenderuje na rynku polowaniem na wściekłego psa aptekarskiego — ku zdumieniu i radości całego miasteczka.

Od rana rozniosła się wieść o tem polowaniu. Na rynek wylęła inteligencja i konsystujący w miasteczku oficerzy dragonscy. Wszyscy urągający psu aptekarskiemu, który przechodził w legendę, oczekiwali pojawienia się policmajstra i jego bataljonu.

Słońce świeciło jasno i zalewało rynek potokiem czystego, choć chłodnego światła.

Tu i owdzie leżały kupy śniegu, lecz wogóle było tu czysto i porządnie.

Całe bandy żydów czerniały na wylotach ulic.

Przezorne żydówki kryły się po sklepikach i bramach.

W oknach kamienie oparte o czerwone poduszki siedziały jak w łozach damy i panny Polki i Rosjanki, okryte szalami. Niektóre miały lornetki w rękach i kłaniały się uprzejmie spacerującym po rynku mężczyznom.

Ci — wspaniali — przybierali miny pogromców dzikich zwierząt. Wysuwali się na pierwszy plan, w pierwsze rzędy, dając tem poznać, że drwią sobie z niebezpieczeństwa i pies aptekarza jest dla nich niczem.

Damy machały rękami i zdawały się błagać junaków, aby ci odstąpili i strzegli swoje drogocenne zdrowie, lecz oni posyłali ku oknom najpiękniejsze uśmiechy i spojrzenia i dumnie stali na brzegu chodnika, który stanowił uprzywilejowany deptak inteligencji miasteczka.

Na środku rynku, świecący i upomadowany stał Matwiej Iwanowicz Tagiejew w króciuteńkiej szyneli i małej czapce.

W rękach trzymał strzelbę Dumoulin Frères à Liege, czystą, lśniącą, jak sam policmajster.

Dokoła niego pusty plac, a tu i ówdzie po rynku uwi-
jają się policjanci: Siemipudow na kapuście wychowany,
Pałka suchy, mały w zbyt długiej szyneli, Diermo rudy
z brodą i twarzą muzyka.

Biegają, latają, dobywają szabel, które błyszczą w po-
wietrzu...

Przed drzwiami apteki stoi sam aptekarz, pan Ośmiat-
kiewicz, strwożony, zmieszany, jakby czując się winowajcą
wściekły swego psa i, owinięty w szal, spogląda nieśmiało
w stronę policmajstra.

Lecz serce Matwieja Iwanowicza Tagiejewa drga teraz
niecierpliwie.

Przedewszystkiem dojrzał on w tłumie Jabłońską, która,
idąc na próbę, zatrzymała się na brzegu trotuaru.

Zdaleka w słońcu widzi jej upudrowaną ładną twarzy-
czkę, ironiczny uśmiezek, trochę jasnych włosów, wysuwa-
jących się z pod granatowego kapelusza.

W mufce, zawieszonej na łańcuszku, Jabłońska ma zwi-
niętą rolę i ta bieli się zdaleka na ciemnym tle żakietu.

Policmajster prostuje się, chwytając za strzelbę, jedną
nogę wysunął naprzód w tanecznej pozycji, piskliwym gło-
sem wydaje rozporządzenie:

— Diermo! Asadi nazad publiku!

Diermo pędzi w stronę publiczności, policmajster zwraca
się ku żydom.

— Pałka! otgani jewrejow procz!

Pałka naciera z dobytą szaszka na żydów, ci uciekają
z cichym, pełnym szacunku wrzaskiem.

Nagle twarz policmajstra rozjaśniona i szczęśliwa
pociemniała.

Przez szeregi publiczności z brzękiem i chrzęstem idą
oficerowie dragońscy, rozmawiając i śmiejąc się głośno.

Matwiej Iwanowicz Tagiejew jest przedmiotem ich cią-
głych drwin i żartów.

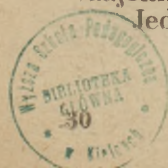
Dumni z nazwy „kawalerzystów“ urągają piechocie,
a policję i żandarmów nie mają za boże poszycie.

I teraz, dowiedziawszy się na nauce w koszarach, iż
policmajster urządził polowanie, porzucili w maneużu solda-
tów i pobiegli na rynek naigrawać się z nieszczęsnego Ta-
giejewa.

Umieścili się w pierwszym rzędzie niedaleko Jabłon-
skiej, napełniając powietrze brzękiem ostróg, rosyjską, spe-
cjalną oficerom, gwarą i tą butą, jaką roztaczają dokoła sie-
bie ludzie, mający do czynienia z końmi.

— Smatri Kola, Szasza, Wania... — wołali na siebie
wzajemnie — wot gieroj! wot ochotnik!...

Jeden z nich, troszkę od rana już cięty, krzyknął



— Gdzie sobaka? radi Boga... gdzie eta sobaka?

I wszyscy zaczęli szukać po ziemi, wołając:

— Gdzie sobaka?

Publiczność zaczęła śmiać się i dzielić dobry humor dragonów, jakkolwiek wyraźnie usunęła się od nich i pozostawiła pomiędzy sobą i oficerami pewną pustą przestrzeń.

Patrzono jednak na nich, a oni, czując ten wzrok publiczności — dokazywali, dzwoniли w ostrogi, podrygiwali, sadzili konceptami — d u r a c z y l i ś, jak sami nazywali swój sposób postępowania.

Na czoło policmajstra wystąpił pot.

Czuł się ośmieszonym w oczach miasta, powaga jego chwiała się fatalnie — w dodatku dostrzegł, jak Jabłońska zakryła usta ręką i śmiała się serdecznie.

Chciał sobie dodać jakiejś ważności i podskoczył do Pałki, który, opuściwszy szablę, stał zagapiony w dragonów.

— Kak dierzysz szaszku, ołuch! — zawołał groźnie.

Dragoni wybuchnęli gremialnym śmiechem.

— Prygajet! prygajet!... zaczął jeden z nich, naśladując piskliwy głos Tagiejewa.

— Na szczęście policmajstra rozległ się krzyk i z posrodka żydów jak z procy wypadł stojkowy w długiej szyneli, wrzeszcząc:

— Bieży! bieży!...

— Gdzie?

— Ot tam... bieży! prjamo k nam!

Żydzi z wraskiem przeraźliwym rzucili się na środek rynku i w jednej chwili jak szarańcza rozlecieli się, przepadając, niewiadomo, gdzie i kiedy.

Dragoni zaczęli wołać.

— Bieży! bieży!... i tupać nogami z wielkiej uciechy. Publiczność na razie ogłupiała. Aptekarz wpadł do apteki i zamknął za sobą drzwi na klucz. W oknach damy i panny pobladały, zapomniawszy pochwycić lornetki.

Ku publiczności rzucił się Policmajster.

— Gaspada! wrzeszczał rozpaczliwie — gaspada radi Boga pa dalsze... Ja atwiczaju za waszu żyż... pa dalsze!...

Publiczność cisnęła się do murów domów, ale nie uciekała.

Nagle z opustoszałej ulicy — wybiegła na rynek mała psina, czarna i kudłata.

Biegła prosto, a raczej wlokła się, tak była znużona i głodna.

Było to tak nędzne i małe stworzenie, iż Siemipudow mógł je śmiało roznieść uderzeniem swego potężnego buta.

Wybiegłszy na rynek — psina zatrzymała się zdziwiona i przerażona.

Cała czerń ludzi, obnażone szable, fuzja policmajstra — wszystko to przeciw niej jednej...

Pies stał, patrzył i nagle rzucił się w bok. Chciał znaleźć drogę do apteki i schronić się tam przed napaścią, którą instynktem przeczuł.

Tłum zaczął uciekać z drogi i pies zdumiony tem ustępstwem zwykle popychających go ludzi, dopadł do apteki i... zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

Po za szybą widniała pobladła twarz pana aptekarza i fioletowa bluzka pani aptekarzowej.

Pies przed temi zamkniętymi drzwiami zrozumiał grozę śmierci, która w ślad za nim biegła.

Instynktem samozachowawczym rzucił się w tył, widząc, iż te drzwi zamknięte były dla niego wyrokiem śmierci. Wpadł pomiędzy dragonów, którzy widząc, iż pies nie ma najmniejszych oznak wściekliwości, postanowili go obronić.

Lecz pies, widząc, iż dragoni pochylili się nad nim, osądził ich chęci wbrew przeciwnie. Dobrowolnie rzucił się jak szalony na środek rynku i teraz zaczęła się śmiertelna gonitwa, trwająca długie chwile.

Pies dobywał ostatki sił i biegał w różnych kierunkach wśród słonecznego światła i śniegu. Z pyska dobyła mu się piana a tylne łapy chwilami kładły się na ziemi.

Lecz wszędzie, gdzie się zwrócił, znajdował przed sobą czarną szynel policjanta i błyszczącą, do góry wzniesioną szablę. Oczy psa nabiegły krwią i w tej chwili walcząc tak o swe życie, zdawał się naprawdę wściekłym zwierzęciem.

Policmajster ciągle przykładał strzelbę, pragnąc wystrzelić, lecz pies z błyskawiczną szybkością biegał po placu, a Tagiejew bał się nietrafnym strzałem ośmieszyć w oczach publiczności.

Ograniczył się więc do wydawania rozkazów.

— Szaszkoj zarubił, — krzyczał, jakby go ze skóry obdzierano.

W tej samej chwili pies gnany przez Siemipudowa, rzucił się w nogi policmajstra.

Tagiejew, chcąc uniknąć zetknięcia się z niebezpiecznym zwierzęciem wykonał skok tak pocieszny, iż dragoni nie śmiali się, ale formalnie ryczeli, trzymając się za boki.

— Prygaj Stioпка! prygaj!... — wołali bez przerwy.

Policmajster rozdrażniony do żywego, zwrócił się ku policjantom.

— Ach wy dubi!... krzyknął — szaszkoj wam gawarju! szaszkoj!...

I Siemipudow ciał szablą z całym rozmachem nieszczęśliwe zwierzę, które nagle po wierzchu czarnych kudłów oblało się purpurową posoką. Pies zwinął się kilkakrotnie i zawył raz jeden, przeraźliwie, z nieokreśloną rozpaczą.

Chciał jeszcze zbiec, uciekać, nie mógł — krew zaczęła strugą łać się na bruk, pomiędzy kamienie.

Pies podniósł w górę mały, ładny łeb i jego oczy rozumne, łagodne, zmęczone, zaświeciły w słońcu, jak dwa czarne djamenty.

Oczy te zaszyły naprzód łzami — potem bielmem. Pies upadł na bok i konać zaczął.

Siemipudow wzniósł w górę swą zakrwawioną szablę i, ze spokojem olbrzyma-zwycięscy pokazał ją ludowi.

Matwiej Iwanowicz Tagiejew z dumą i pogardą spojrział na śmiejących się ciągle dragonów i podszedł ku Jabłońskiej.

— Ja wam siejczas w restoron izwiestnuju wieszcz pryniesu!

Pokłonił się jak przed ikonem i wydał rozporządzenie, aby zdechłego psa czempredzej z rynku uprzatnąć.

IV. Kto u dragonów pije szampanskoje?

Próba miała się już ku końcowi.

Leon usiadł w jednej z łóż parterowych i patrzył, jak na scenie Jabłońska próbowała duet z jednym z aktorów.

Zdziwił się, słysząc głos aktorki — przyjemny, rozległy i dźwięczny. Śpiewała widocznie nieuczenie, ale słuch miała dobry i instynktem się kierując, nie popełniła rażących błędów.

Orkiestra, złożona z kilku żydów, akompaniowała fatalnie. Dyrektor, łysy, okrągły mężczyzna, zacierał ręce i mówił:

— Doskonale! doskonale!

Jabłońska, skończywszy śpiewać, zaczęła się śmiać wesoło.

— A co? jaka ze mnie Patti... zobaczycie — na benefis Halkę sobie zaśpiewam?

Lecz aktorzy rozchodzili się już z próby, dążąc do restauracji na obiad — zmęczeni, zmarznięci, w złych humorach z powodu zawieszonyj wypłaty pensji „do przyszłej niedzieli“.

Restauracja była połączona z teatrem i należała do jednego właściciela. — Duża sień, pełna śniegu i błota, oddzielała bufet od sali teatralnej.

Jabłońska, zapiąwszy żakiet i podniósłszy kołnierz futrzany, weszła do łoży, w której siedział Leon.

— Idę do restauracji — wyrzekła wesoło — tam przyjdzie policmajster i przyniesie mi przepustkę... Będiesz pan mógł jechać wieczorem.

I natychmiast skierowała się ku wyjściu.

— Czekaj pan tu na mnie!

Leon pozostał w łoży i oparłszy się o słup, siedział zdreptały i zziębnięty.

Na scenie Wincenty zabierał się do malowania „przystawki“ potrzebnej na wieczór. Miała to być skała, a na niej rozpięty bluszcz. Drugi maszynista, Klimek, z podbitem okiem i rozdartą kurtką, nabijał płótno na rodzaj szkieletu, skleconego z desek.

Tymczasem w restauracji koło bufetu, na którym gniły marynaty i rozmaitego rodzaju przekąski, zgromadzili się aktorzy, pijąc wódkę i jedząc przeróżne trucizny.

Za bufetem ufryzowany subjekt, pan Kazimierz, nalewał, doprawiał, przykrywał, a aktorki, narzekając na „bryndzę“, jedli i pili obficie, obstałowując barszczyki, kotleciki, zraziki, piwko i naleśniczki.

Za bufetem olbrzymia sala, w której wędło i schło kilka oleandrów, mieściła w tej chwili towarzystwo dragonów, którzy rozweseleni „polowaniem“ policmajstra, przyszli weselić się dalej w restauracji i pić krymskie wino naprzemian z wódką, nazwaną żubrówką. Zajęli duży stół środkowy i rozmawiali głośno, napełniając całą salę gwarem i krzykiem. Aktorzy wchodzili do sali i siadali przy mniejszych stolikach, rozmawiając cicho i starając się nie patrzeć w stronę oficerów.

Ci — spoglądali dość przychylnie ku artystom, widocznie w chęci poznamienia się z nimi, lecz aktorzy trzymali się pomiędzy sobą, tworząc niejako klan, niedostępny dla ogółu.

Jabłońska, w towarzystwie dwóch innych skromnie ubranych aktorek, usiadła przy osobnym stoliku i piła ałasz, zagryzając chlebem z solą. Dostawszy po talerzu zupy, aktorki natychmiast rozpoczęły jeść smacznie, nie zwracając uwagi ani na oficerów, ani na kolegów, którzy ze swej strony mało interesowali się swojemi koleżankami.

Nagle drzwi od bufetu otworzyły się i stanął w nich Tagiejew z rozpiętą szykownie szynelą i ufryzowanemi włosami.

Szybko ogarnął całą salę, dostrzegł dragonów, zmarszczył brwi i tanecznym prawie krokiem posunął ku Jabłońskiej.

Ona podała mu lewą rękę i nie przestając jeść, zapytała:

— Jest?

Policmajster uśmiechnął się i siadając na bliskim krześle, odpowiedział:

— Może być i jest... no preździe zdiełajcie mi cześć wypić sa mnoj pokał szampanskawo.

Jabłońska parsknęła śmiechem.

— Za co mnie pan chce tak karać? — spytała, — ja znieść szampańskiego wina, nie mogę. Niech pan lepiej da mi to, co pan wie, bo ja wcale czasu nie mam! Zaraz po obiedzie druga próba!

— No wsio taki adin pokał... — nalegał policmajster.

I odwróciwszy się ku przechodzącemu kelnerowi, wydał głośny rozkaz przyniesienia butelki „zamrożonego“

Chichot dragonów przesunął się jak różga po jego plecach.

Oficerowie bawili się widocznie jego kosztem i tu w restauracji.

Tagiejew wyjął z kieszeni mały świstek papieru i podał go Jabłońskiej.

— Wot wasz legitymacjonnyj bilet!

Ona aż zarumieniła się z radości.

Porwała ową upragnioną przepustkę i przypatrywała się jej długą chwilę.

„Stefan Popielawski“ — przeczytała półgłosem.

— Eto diejstwitielno wasz rodstwieniik? — spytał Tagiejew z ironją w głosie.

Ale ona szybko wyciągnęła do niego rękę.

— Dziękuję... dziękuję!...

A widząc, że obie towarzyszki zabierają się do odejścia, chciała powstać także.

Lecz Tagiejew zmusił ją do zajęcia miejsca.

— Wot — zaczął — ja wam chatiel czto to kazat'.

— Niech mi pan pozwoli odejść, ja iść muszę...

— Niet, niet! ot i szampanskoje..

Kelner postawił na stole butelkę w platerowanej wazie i kilka długich kieliszków.

Na ten widok dragoni wpadli w rodzaj szału i zaczęli się znów nawoływać.

— Ej Szara, Waśka, Kola... pasmatri kak rozgulałsia Policmajster...

— Na cztos... Policja toże choczet tonu zadat'.

Aktorzy zaczęli wstawać, płacić za swoje jedzenie i piwo i wychodzić.

Jabłońska miała twarz zachmurzoną i co chwila zrywała się z krzesła.

— Astantieś mamzel Jabłońska — prosił ją policmajster, starając się udawać wesołość i swobodę — napijties winca, zamarożennawo jej Bogu eto nie wredno!...

Poza plecami Policmajstra rozległ się tubalny głos jednego z dragonów.

— U mienja zamarożennoje pijet moja łoszad'.

Drugi dragon natychmiast zaprzeczył.

— Eto niewazmożna.

Zacząła się sprzeczka, widocznie ułożona komedja. Policmajster jednak, pomimo pozornej swobody, aż drżał z tajonej złości.

Przez ten czas Jabłońska, wydobywszy zniszczoną portmonetkę, rozpłacała się z kelnerem, odsunawszy od siebie nalany już kieliszek wina.

Nagle jeden z dragonów wstał i zawołał.

— Uwidisz!...

I poszedł do bufetu, gdzie wydał krótki, urwany rozkaz — poczem wyszedł na ulicę.

Policmajster zaczął tracić głowę.

Krew biła mu do skroni ze złości i wstydu. Chętnie byłby uciekł, lecz chciał pokazać Jabłońskiej, iż nie lęka się dragonów i nie ustąpi im miejsca. Przysunął się do aktorki, która niecierpliwie oczekiwała na resztę i nagle, cichym szeptem zaczął jej czynić wyznania miłosne w niezwykle i oryginalny sposób.

Według niego — dla niej, on gotów na wszystko. Porzuci służbę policmajstra i przeniesie się do Warszawy. Tam są cyrkuły, gdzie jak nic można zarobić po dwanaście tysięcy rubli w rok. Naprzykład cyrkuł zamkowy... on te pieniądze odda jej, Jabłońskiej — a dla siebie zostawi tylko dwa tysiące rubli...

Była to kombinacja bardzo prosta. Lecz Jabłońska nie chciała się na nią zgodzić.

— Kiedyż ten kelner resztę z tego rubla przyniesie? — mówiła, gryząc wargi.

Nagle rozległ się straszny łoskot i drzwi, prowadzące z sieni do bufetu, roztwarły się na rozciernie.

Równocześnie kelner wniósł dwie wazy z butelkami szampańskiego wina.

Za nim szedł chłopak z porcelanową miską.

We drzwiach bufetu pojawił się dragon w szyneli zarzuconej na ramiona i prowadził za uzdę dużego, rudego konia.

Koń wstrząsał głową i bił kopytami o podłogę. Dragon pociągnął silnie uzdę i powoli idąc naprzód, przeprowadził konia przez bufet do sali, gdzie wszyscy oficerowie powstali, wydając okrzyki zachwytu.

Jabłońska powstała także od stołu i przyklepiwszy się plecami do ściany, stała tak, wpatrując się szeroko rozwartymi oczami w grupę oficerów.

Policmajster najeżony, nasrożony, szukał czapki i rękawiczek, powtarzając.

— Eto už czerezczur *).

Tymczasem kelner, odkorkowawszy butelki, nalał wino do miski i miskę postawił na podłodze.

Dragon zdjął uzdę koniowi, który wstrząsał łbem i potoczył ślicznymi, czarnymi oczami dokoła sali.

— Pij Gudał!... — prosił oficer.

Gudał cofnął się i oparł silnie na zadnich nogach.

Stońce wpadające do sali zapalało złote smugi na jego ślicznej, rudej sierści. Rozszerzył nozdrza, wciągnął kilka-

*) Tego już za dużo!

krotnie woń wina i wreszcie chrapnąwszy, opuścił głowę nad miską.

Powoli — jakby rozkoszując się, pić zaczął.

Wówczas oficerowie rozstąpili się jakby na komendę i dragon, patrząc wyzywająco w stronę policmajstra, zawołał:

— Wot kto u mienja pijet zamorożennoje!...

Jabłońska przebiegła szybko salę i wypadła do sieni. Za nią rozległ się głos dragona.

— Czelawiek!... dla nas wodki, a dla żywotnych szampanskawo!

Policmajster pobladł i posiniał — przestał się świecić na twarzy, tak był silnie wzburzony.

— Gaspada! — zaczął zdławionym, cienkim głosem — ja idu k gubernatoru!...

— Idi k samomu czortu!... — odpowiedział mu właściciel Gudała.

Tymczasem Jabłońska wpadła do łoży, w której ciągle siedział Leon.

— Ma pan przepustkę... niech pan jedzie!...

On porwał ten zbawczy świstek papieru.

— Dziękuję, dziękuję!

Uczuł, iż ręka jej drżała.

— Co pani jest? Pani drży?...

Ona usiadła na krześle i oddychała ciężko.

— Nic mi nie jest... tylko oni tam, oni tam...

Nie dokończyła.

Zakryła twarz mułką, tży ją dławili. Wreszcie wzięła rękę Leona i ukryła ją w swoich dłoniach.

— To pan dziś pojedzie? — spytała, jakby budząc się ze snu.

— Tak, tak... nie będę pani więcej przyczyniał kłopotu.

Ona spojrzała na niego z wymówką.

— Dlaczego pan tak mówi? Ja dla pana byłabym wszystko zrobiła.

Byli sami, w tej pustej ciemnej sali — oddzieleni jeszcze przegródką łoż i zasunięci w cień.

On przeczuwał raczej rysy tej twarzy, bo światło ze sceny nie dochodziło do miejsca, na którym ona siedziała.

Kobieta widocznie chciała się o coś spytać, bo palce jej nerwowo kilkakrotnie zacisnęły się dokoła rąk Leona.

Wreszcie wyrzekła nieśmiało.

— Ja... chciałam pana o coś zapytać?

— O co? Ja pani szczerze na wszystko odpowiem!

Gdyby w tej chwili spytała go, jakie przestępstwo skłoniło go do ucieczki z kraju, byłby jej powiedział wszystko, nie ukrywając nic — tak była mu teraz bliska i swoja.

Lecz ona po chwili wahania ładnym gościem podniosła jego rękę zziębniętą i wsunęła ją w mufkę.

— Biedactwo! zmarzło — wymówiła żartobliwie i natychmiast dorzuciła, nie patrząc na niego, cicho — cichutko — szeptem:

— Może panu pieniędzy na drogę potrzeba... ja nie mam dużo... ale tu jest... piętnaście rubli...

Chwileczkę zamilkła i zaraz tonem nieśmiałej prośby dodała:

— Niech pan weźmie..

A potem jeszcze ciszej:

— Weź!... Mój złoty!...

On przysunął się do niej tak blisko, iż twarz jego opierała się o rękaw jej żakietu.

— Nie! nie!... — mówił wzruszonym głosem — Dziękuję, ja mam więcej, niż mi trzeba...

I pochyliwszy głowę ku jej rękom, dodał:

— Jakaś ty dobra!

I długo tak siedzieli nieruchomi, przytuleni do siebie, niewiadomo dlaczego, bo miłości dla siebie nie czuli zupełnie.

Lecz widocznie oboje drżeli przed widmem osamotnienia, a czuli, iż, wyszedłszy z tej łoży, pozostaną na świecie sami, wśród masy obcych dla nich istot.

I choć na chwilę starali się być... we dwoje!

V. Chwila zwątpienia.

Granica!

Pociąg z chrzęstem i łoskotem zatrzymał się przed niewielkimi budynkami niskimi i o biednym, prawie zaniedbanym wyglądzie. Kilka latarni słabo płonęło tu i ówdzie. Na platformie — snuły się sylwetki ludzi, ubranych w długą, grubą odzież.

Leon wtulił się w kącik wagonu.

Był sam jeden w oddziale drugiej klasy, a zniszczony płócienny kuferek postawił koło siebie na ławce.

Umyślnie jechał drugą klasą, chcąc wzbudzić zaufanie. O ile możliwości wyczyścił swoje ubranie, aby nie mieć „podejrzanej“ miny. Gdy pociąg dojeżdżał do granicy, Leonowi serce ścisnęły kleszcze trwogi.

Może mają jego sygnalizację na stacji, może go poznają, może go wprost z wagonu „ciupasem“ odstawią do gubernji.

Pociąg stał już chwilę, lecz nikt nie wysiadał. Na kurytarzu wagonu zaroilo się od podróżnych. Każdy otwierał drzwi swego przedziału i stawał u wejścia z paszportem w rękę.

Jakieś dziecko rozbudzone ze snu płakało, podczas gdy matka, ubierając je, powtarzała:

— Ach! Boże mój! Niuta, nie płacz!...

Leon podniósł się i starał się naśladować swych towarzyszy podróży. Włożył w jedną rękę kuferek, w drugą „przepustkę“ i stał we drzwiach, usiłując przybrać swobodną, a nawet wesołą postać.

Obok niego jakiś Niemiec, typowy, rosły blondyn z twarzą purpurową i olbrzymim karkiem, sapał i stękał, taszcząc za sobą kilka dużych tłumoków. Drzwi otworzyły się i wszedł oficer żandarmski wysoki, cienki, chudy mężczyzna, ładnie ułożony i posuwający nogi w dziwny sposób. Był bardzo przystojny, tak jasny blondyn, iż w świetle lamp wagonowych robił wrażenie albinosa.

Odziany był mimo chłodu tylko w surdut mudurowy i zdaleka pachniał wodą kolońską.

Wogóle robił wrażenie jednego z tych białych chartów cesarskich, które już zaczynają przechodzić w stan legendy, a ich hieratyczne pozy upiększają tylko przedpokoje Białego dworca, daleko ponad brzegami Newy, lub strzyżone aleje Gałczyńskiego Parku.

Poza nim szło jeszcze dwóch żandarmów. Obaj silni, rośli, w swych długich szynelach, przeciętych wąską linją skór, na których zawieszzone były szable. Kołpakami sięgali prawie sufitów wagonu. Szerokie ich bary, rozszerzone jeszcze grubemi fałdami sukna, z trudnością mieściły się w ciasnych kurytarzowych przejściach.

Powoli, spokojnie — nie spiesząc się, odbierali paszporty i wprawnym okiem zaglądali do wnętrzów przedziałów.

Oficer przesuwiał się zręcznie pomiędzy podróżnymi i co chwila dotykał ręką czapki.

Z ust jego wybiegało stereotypowe słowo.

— Pardon!...

Gdy znalazł się przed Leonem, obrzucił go szklanem, nic nie znaczącem spojrzeniem.

Leon wyciągnął rękę z przepustką, żandarm papier wziął i poszedł dalej.

Teraz otworzyły się drzwi wagonu i wszyscy wyszli na platformę.

Obok Leona siedł Niemiec, ciągle sapiący, zły i gniewny. — Dowiedziawszy się, iż rewizja odbędzie się na granicy w Szczakowej, rozgniewał się jeszcze więcej.

Leon wsunął się do sali, gdzie stał bufet i usiadł w kątku na wyplatanej kanapce.

Brudno, nieporządnie i ciemno było na tym Bahnhofie granicznym, który miał cudzoziemcom dawać wyobrażenie o przepychu państwa rosyjskiego.

Stoły nakryte grubemi, nieczystymi obrusami, trochę sztucznych kwiatów, pustych butelek — w głębi bufet z masą ordynarnych szklanek — za niemi zaspana bufetowa, szpetna i ledwie odziana.

Leon siedział ukryty za piecem i widział, że bardzo mało podróżnych zajmuje miejsca w sali bufetowej. — Poczł na sobie pytający wzrok kelnera i jakby pod jego wpływem wstał i usiadł przy stole.

— Proszę o herbatę! — wyrzekł cichym, uprzejmym głosem.

Naprzeciw niego siedział czerwony Niemiec i pił piwo. Olbrzymi kufel stał przed nim już do połowy wypróżniony.

Niemiec zapalał właśnie cuchnące cygaro.

— Pan chce herbatę czystą? — zapytał kelner, i nagle, bez widocznej dla Leona przyczyny, dodał głośno po rusku:

— Z limonom ili so sliwkami?

— Z limonom! — odparł mimowolnie po rosyjsku Leon. Cicho, układnie zadzwoniły ostrogi.

Kelner widocznie zdaleka dostrzegł żandarmskiego oficera, który wszedł do sali i chwilę zatrzymał się na progu. Leon mimowoli usunął się poza bukiet kwiatów i siedział tak nieruchomy, z wargami przygryzionymi do krwi.

Oficer przeszedł salę, zbliżył się do bufetu i z uprzejmym uśmiechem poprosił o herbatę. Poczem powoli, nie spiesząc się, podszedł do stołu, przy którym siedział Leon i usiadł opodal, przy samym rogu stołu.

Równocześnie kelner podał Leonowi herbatę.

Wzrok żandarma padł na twarz Leona, którego teraz bukiet kwiatów nie zasłaniał wcale.

Szare, stalowe oczy oficera, mocą nałogu zdawały się wśrubowywać w mózg Leona.

On ten wzrok znał dokładnie. Nieraz, zasypiając w swej więziennej celi, budził się nagle wspomnieniem takich stalowych źrenic, które we dnie podczas indagacji zdawały się śrubami, hakami wydobywać z jego ust słowa, z jego mózgu myśli i notować je w protokole.

Gdyby Leon miał cokolwiek więcej odwagi, wstałby z miejsca i usiadł dalej, w cieniu, gdzie wzrok żandarma nie mógłby działać na niego w takim zbliżeniu.

Lecz Leon czuł się jak sparaliżowany. Niepewność, czy nie jest poznany, ogarnęła go całego.

Przed nim stygła herbata, on siedział nieruchomy i tylko ciszę panującą w sali przerywało syczenie samowaru stojącego na bufecie, pośród szklanek.

Nagle do sali wszedł podoficer żandarmski i oddawszy „cześć“ oficerowi, zawołał:

— Gaspadin Tintenmayer!

Niemiec, posłyszawszy swoje nazwisko, postawił kufel i zająwił:

— Ich bin*s der Tintenmayer.

Żandarm zbliżył się ku niemu z pruskim paszportem w rękę i po rosyjsku krótko objaśnił, iż „Gaspadin Tintenmayer“ nie może przejechać granicy z powodu braku wizy pruskiego konsula na paszporcie.

— Wie? wie? — pytał Niemiec, wytrzeszczając oczy, gdyż naturalnie nie zrozumiał ani słowa.

Oficer powstał z miejsca i układnie zbliżył się ku rozmawiającym.

Zupełnie gładko, po niemiecku objaśnił pana Tintenmayera o braku koniecznej formalności.

Niemiec aż usiadł na krześle z przestachu.

— Aber ich muss fahren! Ich muss nach Wien fahren! — wołał z nietaną wścikłością.

Oficer wzruszył ramionami i odchodząc dodał, że ten pociąg niema połączenia z pociągiem austriackim i pan Tintenmayer musi tę noc przepędzić na Granicy.

Odchodząc, oficer spojrział raz jeszcze w stronę Leona i żrenice ich spotkały się na krótką chwilę.

Leon uczył zimno w mózgu, tuż nad czołem i dech mu zamarł w piersiach.

Równocześnie wiadomość, iż musi przepędzić noc na Granicy, przeraziła go nad wyraz wszelki. Rano nadchodził dopiero kurjer z Warszawy. Należało więc czekać do świtu, lecz gdzie?

Co chwila teraz rozlegał się po kamiennych podłogach kurytarza brzęk ciężkich, dużych ostróg. Żandarmi snuli się tu i ówdzie w milczeniu — rysowali się szaremi bryłami na ciemnawem tle ścian i niknęli poza drzwiami jadalni.

Leonowi brzęk tych ostróg, widok tych szyneli i kołpaków był nad wyraz przykrym i napelniał go trwogą.

— Gdyby mnie nawet nie poznali, — myślał — to zwrócę nareszcie ich uwagę, siedząc w tej sali. Najlepiej zrobię, wyszedłszy na platformę.

Zapłacił i wyszedł z bufetu, lecz natychmiast cofnął się na kurytarz.

Na platformie stał nietylko znany mu oficer, lecz z nim razem znajdował się i kapitan żandarmski, siwy, stary człowiek o pochyłonych cokolwiek ramionach.

Stojąc na środku platformy, tuż pod zapaloną latarnią, rozmawiali z dwoma tamożnymi urzędnikami w płaszczach i czapkach z zieloną obwódką.

Przedmiotem ich rozmowy był brzydki, mały pies, siedzący opodal.

— Tak wasza sobaczka gawarit Wiktor Nikołajewicz? — pytał urzędnik komory.

— Da, Siergiej Pietrowicz — odparł stary kapitan.

I schyliwszy się, ścisnął najeżonemu psu szczęki.

— Nu... skaży... mama!

— Ma-ma — wycharczał pies.

— Nu... tepier tata!

Pies warknął, kudły mu się jeszcze więcej najeżyły.

— Ta... ta!... — wycharczał jak głuchoniemy, który skończył instytut z patentem.

— Maja sobaka imieła czest' pokazywať fokusy piered carskoj familioj — chwalił się z dumą kapitan, a urzędnicy kiwali głowami, podczas gdy młody porucznik, wyprostowany w swym surducie, stał milcząc i z pewną ironją i wyższością spoglądał na zdziecinniałego kapitana.

Leon ujrzał otwarte drzwi, prowadzące na drugą stronę banhofu i wyszedł niemi na drugą platformę, gdzie pusto było i cicho.

Zdaleka tylko czerniała jakaś postać. Tuż zaraz przy drzwiach, oparty o mur, stał siwy, wysoki żyd z długą brodą.

— Może pieniądze do zmienienia? zapytał Leona

Lecz Leon pokręcił głową.

Nie chciał się tu wdawać z nikim w rozmowy i wchodzić w jakieś interesa.

Szedł platformą uszczęśliwiony, iż nie widział żandarmów.

W umyśle jego mignęła myśl — może to granica austriacka, może to już Austria... Pod murem siedział konduktor w kożuszkach i oprawiał świecę w latarkę stojącą na jakiejś pace.

Leon z bijącym sercem zbliżył się ku niemu. Nie miał pojęcia, nie wyjeżdżając poza granicę kraju, w jaki sposób „Państwa“ znaczą swe granice. W jaki sposób jeden naród mówi do drugiego „to moje — to twoje“, było dla niego niezrozumiałem.

W ciemności widział jakiś czarny, wysoki gmach...

Kto wie — może to Bahnhof austriacki.

Gdyby się tak przekraść wśród nocnej ciemności i pozostawić poza sobą przepustki, żandarmów, stalowe żreńce porucznika... wszystko!

Jeżeli jednak wpadnie w jaką pułapkę.

Może to forty rosyjskie, z których uzbrojone wojsko broni państwo od wtargnięcia nieprzyjaciół.

Lepiej zapytać się konduktora — zapytać umiejętnie i mądrze.

Zdaleka od oczów żandarmskich Leon odzyskiwał spokój i krew zimną.

Poszedł do konduktora i zapytał o ile możliwości swobodnym głosem:

— Co to za gmach? Czy może mi pan powiedzieć?

Konduktor spojrział w kierunku wskazanym przez Leona.

— To tamożenny gmach. Tam mieszkają urzędnicy.

— To jeszcze rosyjskie?

— A czyjeż?

Leon stropił się ironją, jaka widocznie brzmiała w głosie konduktora.

— A tam dalej? — zapytał, wskazując na dalsze zabudowania.

Ostrogi zadzwoniły — we drzwiach ciemnych i w pół uchylonych stanął cień żandarma.

— Eto gostinnica — wyrzekł natychmiast po rosyjsku konduktor.

Leon uczuł, jakby go naprzód gnała jakaś szpicruta. Zeszedł z platformy i zaczął iść w kierunku hotelu. Schroni się tam i doczeka do świtu.

Gdy zamknął za sobą drzwi małego pokoiku, uczuł się na chwilę bezpiecznym.

Nikt go nie pytał o paszport. Numerowy zapalił świecę, dał mu wody i wyszedł sennym, leniwym krokiem.

Leon rzucił się na łóżko ubrany, tembardziej, że zimno było w numerze i piec dawno wystygł. Dziwna cisza panowała na kurytarzach i dokoła całego hotelu.

Tylko gdzieś pod podłogą skrobała się mysz cichym, lecz nieustającym szelestem.

Leon zgasił świecę i leżał przez pewien czas nieruchomo, starając się zasnąć, lecz nerwowo odpędzał sam sen od siebie, bijąc się z myślami i trwogą, która go dręczyła.

Porwał się wreszcie i usiadł na łóżku, ukrywając twarz w dłoniach.

Zdawało mu się, że jest znowu w więzieniu, w tym małym pokoiku i siedzi na żelaznym łóżku, na którym tyle nocy przesiedział.

Taki sam szmer dochodzi jego uszów, szmer, który go do szaleństwa doprowadził swoją monotonością i jakimś tajemniczym pochodzeniem, którego nigdy pewnym być nie mógł.

Może to była mysz, a może jaka nocna, podziemna robotka któregoś z uwięzionych, który okrwawionymi paznokciami rozrywał mury więzienne.

Złudzenie ogarnęło mózg Leona. Zdawało mu się, iż lada chwila posłyszycie ciężkie kroki dozorczy i zadzwonią ostrogi żandarma.

— Pożałujcie za mnój! — odezwie się głos znany.

I on — Leon, porwie się z łóżka i na wpół senny pójdzie przez szereg kurytarzy i izb na — nocne śledztwo.

Gdy tam w więzieniu wychodził za progi swej celi, zdawało mu się zawsze, iż nigdy do niej nie wróci.

Tu — poza drzwiami może także oczekiwało go aresztowanie. Poznano go — wzrok oficera żandarmerji mówił to jasno, przepustka o fałszywym nazwisku dopełni miary. W tej chwili zapewne pograniczna żandarmerja zamieniła telegramy z żandarmerją miasteczka N. i aresztowanie jego jest tylko dziełem chwili.

Może uciekać?... Ale gdzie, skoro noc tak ciemna i wszystko tu dokoła jest jeszcze „ruskie“ pomimo, że na stacji świeci napis „Granica“.

Leon porwał się z łóżka, pobiegł do drzwi i porwał za klamkę.

Lecz natychmiast odwaga go opuściła i zdrętwiał cały, gdyż zdawało mu się, iż poza drzwiami słyszy czyjś oddech, że tam ktoś stoi, ktoś, co go szpieguje, pilnuje i pochwyti, gdy on drzwi otworzy.

Co go tam czeka za progiem? Areszt, nowe więzienie i prawdopodobnie zesłanie na Sybir.

Sybir!

Białe tumany śniegowe, płaszczyzna mroźna, wygnanie, pustka, lód dokoła ciała i duszy!

Lecz czyż za jego przestępstwa zasyłają? Dlaczego dla niego wyrok miałby być łżejszy, łaskawszy?

I nagle rozpacz i zwątpienie ogarnęła duszę chłopca.

Oparty plecami o te drzwi, chroniące go przed niebezpieczeństwem, załamał ręce i nawpół przytomny wyszeptał.

Po co ja to zrobiłem?..

Nagle — z po za stor spuszczonego na okno, zajaśniał słaby, waziuchny pasek światła,

Był to świt, który wstawał nad naszą ziemią nie triumfalny i dumny, lecz szary, zbiedzony, trwożliwy, jakby wahający.

I równocześnie z tym świtem, w duszy Leona robiło się jaśniej, promienniejszy, szlachetniejszy. Niepewność, rozpacz, lęk, trwoga, ustępowały i owo aresztowanie, więzienie — ów Sybir, zaczynał majaczeć i rysować się w promiennych linjach bohaterstwa.

Razem z jasnością dnia, jasność młodzięcych marzeń wstępowała w duszę Leona, i gdy pierwsze promienie słońca przebiły się przez płótno stor, jak złote strzały — Leon odstąpił od drzwi, zrezygnowany i przygotowany na wszystko.

I w tej chwili był tak zgorączkowany i porwany nagłą przemianą, jaka nastąpiła w jego duszy, iż byłby nie drgnął, gdyby za progiem zobaczył cały rząd szarych szyneli i żandarmskich kołpaków, a na ich czele porucznika o stalowych oczach i fijołkowym mundurze.

Lecz nic podobnego nie nastąpiło.

Gdy Leon wsiadł do wagonu, wszedł do jego oddziału żandarm i zapytał:

— Wasza familja?

Leon chwilę się zastanowił.

Przejęcia dzisiejszej nocy wyczerpały jego umysł. Z trudem odpowiedział wreszcie:

— Stefan Popielawski.

Żandarm wręczył mu jego przepustkę i wyszedłszy z wagonu, drzwi za sobą zatrzasnął.

Leon cofnął się w głąb i stamtąd patrzył, jak na peron wyszedł stary kapitan ze swoim psem, porucznik o stalowym spojrzeniu i kilku urzędników z komory. Wszyscy stali, przypatrywali się znów psu, który najeżony i zły siedział skurczony opodal i wpatrywał się osowiałym okiem w koła pociągu.

Nagle — porucznik pożegnał się z kapitanem i urzędnikami i szybkim ruchem poskoczył ku drzwiczkom wagonu.

Otworzył je — i wszedł do środka, kierując się do przedziału, w którym siedział Leon.

W tej chwili pociąg ruszył z miejsca.

Leon widział jak we śnie oddalające się sylwetki tamoznych urzędników, starego pułkownika pochylonego nad psem, który miał „cześć dzieła' fokusy“ przed carską familją.

Od okna wzrok Leona przeniósł się na siedzącego naprzeciw niego żandarma.

W tym wąskim przedziale kolejowym zymknieci obaj i pozostawieni sam na sam, ci dwaj ludzie zdawali się w tej chwili być wrogami istotami, zamkniętymi w ciasnej klatce.

Nienawiść rasowa mimowolnie wytwarzała dokoła nich jakąś gorączkową atmosferę.

W piersi Leona wrzały nieuchwytne pragnienia dania folgi wezbranej masie żalu, buntu, gniewu, jaka nim od tak dawna szarpała.

W nerwowem swem rozdrażnieniu widział w tym żandarmie cały rząd, całą siłę, potęgę, która jego — dziecko prawie, gnała na wygnanie i kazała mu przeżywać chwile trwogi i lęku, które go potem rumieńcem wstydu okrywały.

W tej chwili Leon nie czuł trwogi — lecz czuł szaloną nienawiść. Przed sobą miał w tej ciasnej przestrzeni liberję goniącą go i prześladowającą sfory. Po za liberją nie widział człowieka — nie chciał widzieć — nie mógł.

Głowa mu płonęła, głód szarpał jego wnętrzości. Cierpienia fizyczne podniecały siłę moralnych. I za nie czynił odpowiedzialny rząd i jego przedstawiciele. Gdyby w tej chwili kazano mu sformułować swe cierpienia, powiedziałyby bez wahania:

— Jestem głodny, zimno mi, wstydzę się za swoją trwoję i wczorajsze tchórzostwo, boję się nieznanego, do którego jechać muszę, chcę być wolny, wygnano mnie ze szkół, książeczki, które, pisałem sercem — zniszczono, moja przyszłość niepewna, jutro bez jutra... za co? za co?

Żandarm powoli zapalił papierosa i dopiero teraz spokojnie zwrócił swój wzrok na Leona.

W chłopcu serce zakołatało — zagryzł wargi i prawie wyzywająco, z całą nagromadzoną w swej piersi goryczą i pogardą, spojrzął w żrenicę żandarma.

Przez krótką chwilę te dwie pary młodych oczów mierzyły się i przesywały do głębi dusz.

Dusze te postarzały się nagle o cały wiek, o całe stulecie i była to niema rozmowa strasznej przeszłości, nigdy niezatartej, wiecznie świeżej i wiecznie bolącej.

Dusza Leona miała w sobie cały wiek buntu, bólu, tajemnic właściwych oficerom pogromu — dusza żandarma, wyćwiczona w uległości do rządu i rozwijająca się pod tchnieniem presji i ciągłej obławy, migotała w stalowych żreńnicach wojskowego urzędnika chęcią badania tych tajemnic buntów i bólów.

Pierwszy odwrócił głowę Leon.

Jak ostrze noża, przeszła jego mózg myśl, iż żandarm wsiadł umyślnie do jego przedziału, aby go na najbliższej stacji kazać aresztować.

Lecz myśl ta nie przejęła go trwogą. Nerwy jego tak były zbolale całonocną torturą, iż niemal pragnęły jakiegokolwiek rozwiązania, któreby zarazem było ukojeniem.

Niech go aresztują, dostawią do Warszawy, zamkną znów, ześlą...

Leon spojrział w okno.

Całe szmaty ziemi szarej — płaskiej, ubogiej — szarej ziemi polskiej, pociętej bruzdami, wśród których biała śnieg i skakały wrony — zdawały się uciekać het — w dal — z chyżością widziadła.

Ziemia cała zdawała się być spowita w aresztancką odzież, szarą, bezbarwną, beznadziejną. I niebo było takie same katorżne, smutne — bez promienia. pomimo, że dzień wszedł jednakowo dla wszystkich krajów, dla wszystkich ludzi. I nad innymi myślami górować poczęła w umyśle Leona — myśl, iż nigdy, czy zostanie aresztowanym, czy pojedzie za granicę, nie zobaczy więcej tej ziemi w aresztanckiej siermiędze, nad którą kraczą — wrony.

Ogarnęło go wielkie uczucie tęsknoty i żalu. Zdawało mu się, że w tej chwili żegna się z kimś sobie najbliższym i najdroższym, którego od dziecka znał, kochał i dla którego przeszedł już dużo w swem życiu.

Teraz już był gotów na wszystko, z pewną niecierpliwością oczekiwał zatrzymania się pociągu.

Był pewien, iż w chwili, gdy pociąg stanie, porucznik żandarmerji zwróci się ku niemu ze znaną mu już formułką aresztowania.

— Izwoltie... za mnoj!

Czy nie byłoby lepiej, godniej i szlachetniej uprzędzić tę chwilę — rzucić — mu ową przepustkę z fałszywym nazwiskiem i nie mieć przynajmniej przed tym oficerem miny zbiega...

Leon gorączkowo zcisnął w swej kieszeni kartkę, która kosztowała tyle zabiegów Jabłońską i Tagiejewa.

Instynkt jednak zamozachowawczy nakazał mu być ostrożnym i nie dawać się unieść nerwom. Brakowało mu tchu, dusił się formalnie w ciasnym przedziale wagonu.

Przytem zdawało mu się, iż wzrok żandarma działa na niego suggestywnie w kierunku wydobycia tajemnicy.

Coś go rwało do rzucenia całej prawdy pod nogi tego człowieka. Oczy żandarma wyciągały jego duszę na wierzch, analizowały, rozbierały do naga.

Leon porwał się z miejsca i wybiegł na kurytarz.

Zdobył się na ten krok z taką szybkością, iż sam nie mógł się dość zdziwić swojemu czynowi.

Na kurytarzu zaczął powoli powracać do równowagi. Nie miał przed sobą stalowych źrenic i czuł, że władza ich i urok słabnie.

Przeszedł na drugi koniec wagonu i tam stanął w kąciuku.

Oczy zamknął i tak stał, dysząc ciężko, jakby po wyjściu ze strasznie niebezpieczeństwa.

I teraz dopiero przypomniał sobie, że nieraz podczas swego pobytu w więzieniu gubernialnem, a potem w cytadeli, podlegał takiej chęci wyrzucenia z siebie całej prawdy, odsłonięcia całej tajemnicy wszystkiego, co jego młodą duszę w kierunku uczucia dla kraju przepęniało.

Było to zawsze w obecności żandarmów, nie tych stupaek w siermięgach, którzy z brzękiem ostróg biją o kamienne flizy i z ruchami serszeronów wypełniają machinalnie dawane im rozkazy, lecz tych gładkich, grzecznych — czysto odzianych oficerów wyższej rangi, którzy zdawali się zapuszczać mu w duszę obcegi i z niej wydobywać to, co najwięcej chronić zamierzał.

Mówili mu „pan zechce“ — grzecznie, czysto po polsku z lekkim rosyjskim akcentem, wdawali się z nim w rozmowy, chcieli naprowadzić dyskusję na jego pojęcia o systemie rządowym. Traktowali go — (dziecko prawie), jak dojrzałego człowieka, z którym się liczyć trzeba.

A mimo to Leon czuł, rozumiał, co było na dnie ich słów, ich spojrzeń, ich „Ach da! wot ja chatiał was sprosit“ rzucanych nagle od niechcienia przy oglądowaniu błyszczących paznogi lub srebrnych ołówków zakończających sznurki akselbantów.

Inni — mówili mało — siedzieli najczęściej w cieniu — przysłaniali nawet swe oczy starannie pielęgnowaną ręką, lecz z pod owej ręki — patrzyli, patrzyli ciągle — prosto w źrenice Leona.

I ci byli najstraszniejsi, a jednym z takich był niewątpliwie ten młody porucznik, siedzący tam, w pustem teraz coupé i palący spokojnie papierosa.

Nagle — poza plecami Leona rozległ się cichy szelest.

Leon drgnął nerwowo i odwróciwszy się, dostrzegł jakąś postać męską, tulącą się do ściany wagonu.

Było to niewielkie, zupełnie ciemne zagłębienie, założone paczkami, a pozostała widocznie po dawnym syste-

mie ogrzewania wagonów piecami. W samym kącie, przylepiony do ściany, tulił się ów czerwony Niemiec, któremu na granicy zatrzymano paszport z powodu braku wizy. Widocznie pomysłowy Niemiec potrafił przekraść się do wagonu z wiadomością, lub bez wiadomości podoficera żandarmerji i teraz spocony, bliski apopleksji, starał się uczynić jak najmniejszym, jak najbardziej płaskim, aby bądź co bądź przejechać granicę. Dojrawszy, iż Leon wpatruje się w ką, gdzie on znalazł schronienie, Niemiec cichutko zaryczał:

— *Gehen Sie weg!... Gehen Sie weg!*

Leon posunął się dalej i znalazł się przy samem wyjściu z wagonu, lecz przypomniał sobie, iż walizka jego pozostała w oddziale, w którym siedział żandarm.

Wszystko jedno! Jeśli go będą aresztować, zabiorą walizkę.

Pociąg zwolnił biegu i wreszcie, kołyszając się jak pijany — stanął.

Leon niezdecydowany czekał na kurytarzu na zjawienie się żandarma.

Ten powstał szybko i przeszedł przez korytarz, śpiesząc się widocznie.

Przechodząc, potrafił lekko Leona i natychmiast podniósł rękę do czapki, mówiąc grzecznie:

— *Winowat!*

Poczem przeszedł mimo ukrytego Niemca i otworzywszy drzwiczki, zawołał do przechodzącego kelnera najczystsza polszczyzną:

— *No i cóż moja? Moja kawa gotowa?*

Kelner stanął i roześmiał się wesolo.

— *Gotowa — jak zawsze, panie poruczniku.*

Z drzwi stacyjnych wyszedł młody, przystojny mężczyzna w długiej, czarnej szyneli wojskowej i czapce austriackiej z gwiazdką.

— *Dzień dobry!* — wyrzekł, podając rękę żandarmowi.

— *Dzień dobry!* — odparł tenże. — *Pan już pił kawę? Ja przyjechałem na swoją porcję... Napijemy się — dobrze? I poszli razem, udając przyjaźń i przesadzając w kurtuazji.*

O Leona nikt się nie zatroszczył,

Z kąta wylazł teraz Niemiec i miał triumfującą, rozpromienioną minę.

— *Szczakowa!... zawołał radośnie — Wir sind in Österreich!... A! Gott sei Dank!*

I wyszedłszy z wagonu, rozprostowywał pokurczone od długiego stania nogi.

Leon chwilę zastanowił się, tak niespodziewanie znalazł się w tej Austrii, w tej z granicy, która go darzyła swobodą i uwalniała od niebezpieczeństwa.

W drzwiczkach wagonu pokazał się postugacz

— Pan do Krakowa?

— Tak!... do Krakowa!

— Jeżeli pan ma rzeczy, to niech pan idzie do rewizji i wysiada prędzej!

Leon wysiadł i z całą rozkoszą poddał się formalnościom, które dopełniał w brudnej sali — podobnej do stajni — bardzo zaspany, bardzo zziębnięty i bardzo niegrzeczny urzędnik, pragnący koniecznie znaleźć coś nakształt kontrabandy.

Tymczasem — w sali jadalnej oficer o stalowych oczach pił kawę towarzystwie urzędnika austriackiego i opowiadał, że tylko w Austrii, w Szczakowej — on — Walerij Walerjanowicz Troickoj pić może kawę, bo w Rosji — na granicy kawa „gadost“ — i pić jej nie można.

Urzędnik austriacki milczał i rogaliki w kawie maczał.

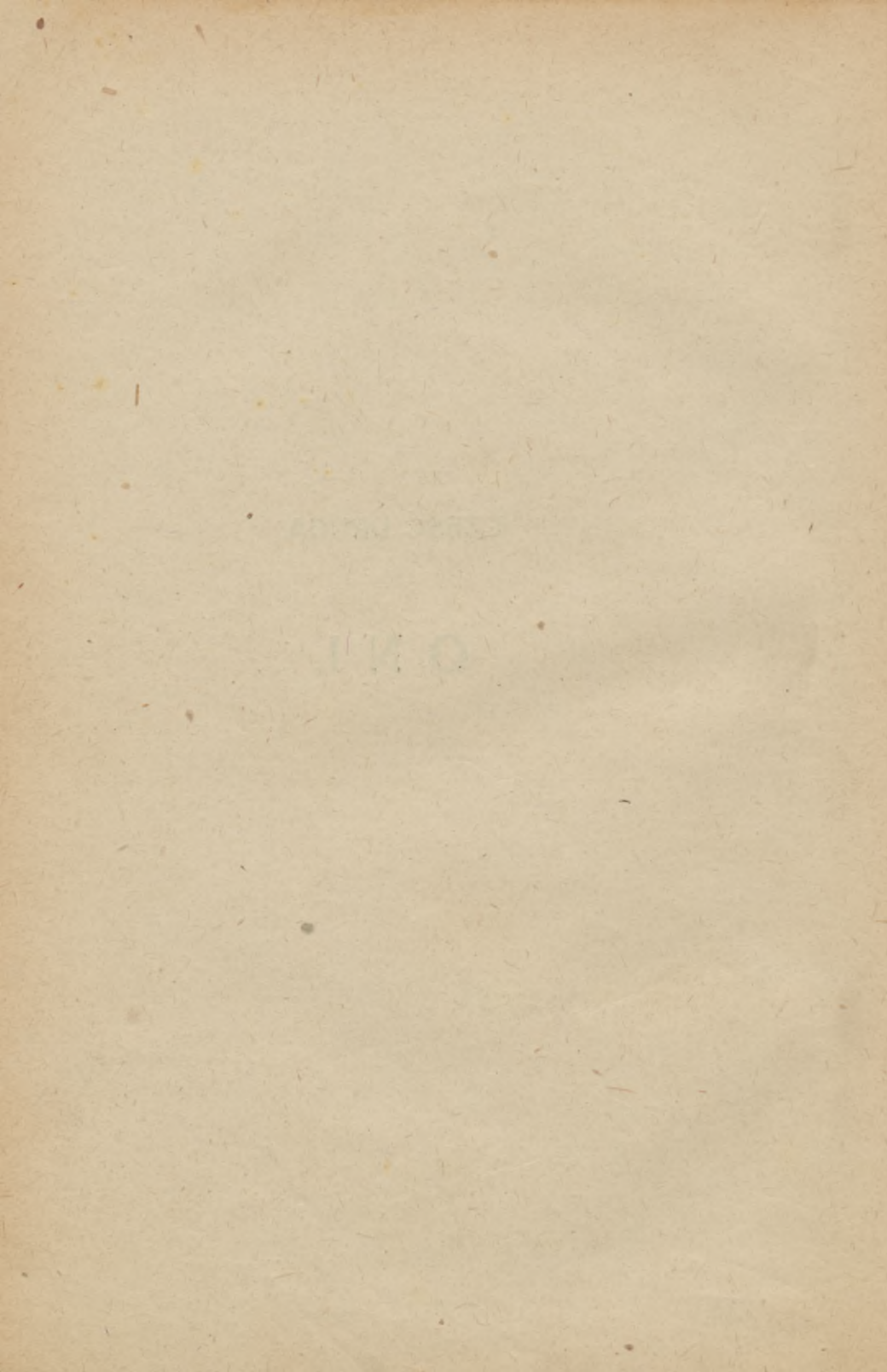
— Nu za to pozwólcie! — dowodził dalej porucznik — czaj u was do niczego... a u nas na Granicy czaj wspaniały. To już my zawdzięczamy kapitanowi. To on nam sprowadził do bufetu turski samowar i teraz czaj bez zarzutu!

— Kiedy pan przyjedziesz do nas na czaj? — trzeba przyjechać!...

Lecz urzędnik dyplomatycznie milczał i ciągle rogałek w kawie maczał.

CZĘŚĆ DRUGA.

—
O N I.



I. Uroczystość narodowa.

— Idźcie dalej... dalej... nie zatrzymujmy się tutaj!

— Dlaczego?

— To nie nasi...

— Jakto? nie Polacy? tu są cudzoziemcy?

Wimpfen ramionami wzruszył.

— Ależ nie... tylko nie nasza partja. Idźcie dalej!

I Wimpfen niecierpliwie prawie popchnął Leona.

Wśród zwartej masy mężczyzn, stojących w przepaściach, Leon z trudnością torował sobie drogę.

Oszołomiony mnóstwem oczu, skierowanych na siebie, szedł prawie na oślep i pragnął schronić się w jakikolwiek kącie, lub przysiąść na pierwszym lepszym krześle.

Lecz próżne były jego żądania.

— Poza nim nieubłagany Wimpfen zmuszał go iść dalej, powtarzając ciągle:

— Idźcie, idźcie dalej!

Wreszcie Leon wydostał się na wolniejsze miejsce i dostrzegł w kącie sali kilku młodych ludzi, siedzących na ławkach.

Ku nim podążył Wimpfen.

— To są nasi! wyrzekł, ukazując Leonowi siedzące postacie.

Leon poszedł w ślad za Wimpfenem. Ten ujął go za rękę i przedstawił:

— Orlicki!

Użył jego pseudonimu po raz pierwszy, i Leon aż drgnął, posłyszawszy tak otwarcie wymówione swe skrywane nazwisko.

Kilka rąk wyciągnęło się ku niemu równocześnie.

— Na długo?

— Na zawsze — odparł Leon.

Wimpfen odwrócił się ku niemu szybko.

— Cóż to, wyrzekacie się myśli powrotu do kraju? — zapytał.

— Sądzę — odrzekł gorąco Leon — iż tu, na swobodzie, można lepiej i skuteczniej pracować!

Wimpfen popatrzył na niego chwilę uważnie i ironiczny uśmiech przesunął się przez jego usta.

— Tak sądziecie? — wyrzekł i zaraz z kurtuazją zwrócił się ku przesuwanym się pod ścianami kobietom.

— Panie z nami? — zapytał.

Młoda dziewczyna o dziwnie jasnych, szarych oczach, odpowiedziała krótko:

— Nie, my do swoich!...

Wimpfen z widoczną lubością wpatrywał się w okrągłą, młodą twarzyczkę dziewczyny.

— Dziś będziecie bardzo nieliczni! — wyrzekł jakby z przekorą — Grzegorzewski nie przyjdzie, Jaskólski się spóźni... nie będzie komu protestować.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i wyprostowała się dumnie.

— A ja? — spytała.

— E... Pani byś nie śmiała.

— Ja? może dlatego, że jestem kobietą?

Wzruszyła ramionami i roześmiała się wesoło.

— Niech się pan nie boi... ja sobie z nimi poradzę, jeżeli nas w czem zadrasną!

I ciągle śmiejąc się, poszła dalej.

Leon mimowoli patrzył za nią, tak wydała mu się miłą, szczerą i sympatyczną w swej czarnej obcisłej sukience, białym kołnierzyku i mankietach.

Twarzyczkę miała okrągłą, pełną i rumianą i całą figurkę kształtną, okrągłą i nadzwyczaj foremnie złożoną.

— Kto to? — zapytał Wimpfena.

— To panna Mazia — odparł tenże — zagorzała działaczka... kocha się w Grzegorzewskim.

— A ów Grzegorzewski?

— O! za wiele chcecie wiedzieć odrazu. Najlepiej siądźcie w kącie i słuchajcie, bo oto zaczynają maładory wchodzić na estradę.

Leon usiadł na ławce i jednym rzutem oka objął niewielką lecz dziwnie jasną salę, w której odbywało się zgromadzenie Polaków, mieszkających w Paryżu.

Sala była półokrągła z zagłębieniem na jednej ze ścian. W zagłębieniu tem stała estrada, pokryta zielonem suknem. Dokoła stołu krzesła. Ściany były białe i widniały na nich tablice marmurowe, blade-szare, pokryte złotymi napisami.

Oślepiający blask bił z żyrandola i kilku ściennych kinietów i zalewał jasnością kilkaset osób, siedzących rzędem w ławkach lub wtłoczonych w ciasne przejścia tuż pod ścianami.

Leon rozróżniał powoli twarze i starał się odgadnąć, kim są ci wszyscy ludzie.

Kobiety były bardzo skromne, przeważnie czarno ubrane.

Tylko w pierwszym rzędzie widniała jakaś jasno zielona suknia i czarno pomierzwiona głowa.

Tuż obok jasno-różowa bluzka i blond pomierzwiona głowa.

Mężczyźni odziani raczej, a nie ubrani, mieli po największej części twarze mizerne, co odrazu uderzyło Leona. Nigdzie nie było widać junackiej, młodej postaci, rwącej za serce i wzniesionej z ufnością w dobrze rozwiniętą siłę. Tylko w oddali pod ścianą Leon zauważył młodego człowieka, rosnącego, dużego, o szerokich plecach i zdrowej cerze twarzy, który, założywszy ręce po napoleońsku, stał i spoglądał z góry na całe zgromadzenie.

W pierwszym rzędzie krzesel siedziało kilku zupełnie starych i siwych ludzi.

Właśnie dwóch komitetowych wprowadziło pod rękę bardzo pochylonego i bardzo siwego staruszka. Na głowie miał fez i idąc, kręcił ciągle głową, jakby się czemuś dziwił i zaprzeczał.

Wimpfen pochylił się ku Leonowi.

— To jeszcze z trzydziestego roku!

Leon otworzył szeroko oczy i czapkę do piersi przycisnął.

Widział teraz przed sobą jednego z tych, których sobie tylko w snach przedstawiał.

Byli dla niego już legendą. Teraz legenda ta ożyła, oblekła się w ciało.

Staruszek usiadł na jednym z foteli i natychmiast rozpoczął głośną rozmowę z jednym ze swych sąsiadów, także starym i wybladłym człowiekiem.

Wimpfen znów pochylił się ku Leonowi.

— Ten drugi — to z sześćdziesiątego trzeciego!...

Ten był jeszcze Leonowi bliższy i nie był w jego myślach nigdy legendą. Często porwany imaginacją chłopak, leżąc na swym ubogim posłaniu, prowadził partyzantkę, staczał potyczki — żył tym „sześćdziesiątym trzecim“, który jako krwawa mara wśród serc i cmentarzy się błakał.

Na estradę weszło kilku ludzi i zaczęli powoli, nie spiesząc się, zajmować krzesła. Leona uderzyło to, iż wszyscy ci „komitetowi“ byli nadzwyczaj wysokiego wzrostu.

Wszyscy byli siwi i mieli miny dawnych wojskowych. W swych czarnych surdutach trzymali się prosto, sztywnie, jakby w mundurach.

W środku, jako prezydujący, zabrał miejsce wysoki starzec z zupełnie białymi włosami. Miał twarz dziwnie łagodną i spokojną.

Obejrzał dzwonek, karafkę z wodą i usiadł wygodnie w swoim krześle.

Wimpfen rzucił znów ku Leonowi jedno słowo — Bogdanowicz!

Lecz przy wejściu zaszemrało — ludzie zaczęli się rozstępować i Leon ujrzał dziwną postać, która odrazu na niego głębokie wywarła wrażenie.

Był to mężczyzna średniego wzrostu — odziany czarno ubogo i prawie niemodnie.

Młoda jego twarz była bardzo blada; nadzwyczaj regularne rysy zdawały się być wyrzeźbione, tak były czyste, foremne i szlachetne. Czarne włosy, niezmiernie gęste, odrzucone były w tył; gęsta, równie czarna broda, ocieniała trochę zaciśnięte i wąskie usta.

Napozór był to człowiek jak wszyscy, silny brunet, o czarnych, zsuniętych pod brwi żrenicach, lecz Leon mimowoli zapomniał na razie o legendowych postaciach emigrantów, o wielkim imieniu Bogdanowicza, otoczonym aureolą bohaterstwa — a całą duszą szedł naprzeciw nowoprzybytemu człowiekowi.

I on wpatrzył się w Leona z pod brwi zsuniętych i zdawał się także nie widzieć nikogo innego, i iść tak wprost ku niemu, jakby wiedział, iż był przez Leona oczekiwany i pożądanym.

Była to krótka, wstrząsająca chwila.

Przed ciałami tych dwóch ludzi, wybiegły na spotkanie ich dusze.

Jedna — zagarniała w posiadanie drugą i chłonęła ją całą w swe gorące promienie.

Dokoła Leona zaszemrano:

— Grzegorzewski! Patrzcie, Grzegorzewski!

On przeszedł mimo — i niedbale, prawie z lekceważeniem, kiwnął głową gromadce, w której znajdował się Leon.

Wimpfen ramionami ruszył.

— Razwiewatiel! — zaczął szyderczo.

Jeden z młodych ludzi trącił Wimpfena nieznacznie.

— Cicho!... — wyszeptał tajemniczo.

Lecz Wimpfen śmiać się zaczął.

— Dlaczego? Przecież on się z tem nie tai. Zdaje mi się, iż dość jawnie głosi swe przekonania i wszyscy mają go za leadera partji.

— Cicho!... szepnął raz jeszcze młody człowiek — nie wiesz, kto cię w tej chwili słucha... możesz wpaść w co niepotrzebne... Co nam do nich i ich rozwiewatelstwa... Niech sobie bzikuje!

Leon spojrzął uważnie na tego, który mówił i dopiero teraz uderzył go szczegół, którego przedtem nie zauważył.

Wszyscy ci młodzi ludzie, którzy go otaczali, byli czysto, elegancko, prawie wytwornie odziani. Maniery ich były układne i wiało od nich chłodem i szablonem.

Nawet sposób noszenia bród spiczasto przystrzyżonych i włosów „pod szczotką“, tak jak nosili brody i włosy Paryżanie, nadawał im wspólną cechę i czynił ich fizjognomje odrębne od niepielegnowanych zarostów innych mężczyzn, znajdujących się w sali. Ci „inni“ mieli nasze, zwyczajne wąsy, rosnące na wolę Bożą, a brody rosnące według własnej woli.

Leon spojrział na Wimpfena i dostrzegł, że ten nadawał niejako ton całej tej gromadce, trzymającej się na uboczu i jakby odpornie. Wiedział, że Wimpfen jest malarzem, że pracuje w atelier Julien — a drogą łatwej kombinacji doszedł, iż Wimpfen, mówiąc o eleganckiej gromadce „nasi“, tak nazwał klan artystyczny i że on — Leon, znajdował się w tej sali wśród tego klanu.

Lecz Wimpfen podniósł się na swem krześle i znów śmiać się zaczął.

— Patrzcie! Patrzcie!... w pierwszym rzędzie hrabina de Różycky ze swoją świtą! Czego one tu chcą? Przecież tu nie atelier i tutaj chyba nikt im żadnego prezentu nie zrobił!

Nagle zaciemniło się przed oczyma Leona. Jakiś tego przysadkowaty mężczyzna w palonych butach i czamarcie stanął, zasłaniając mu plecami estradę.

Wimpfen skrzywił się znacząco i nos zatknął.

— Gore!... zawołał półgłosem — frytura pachnie.

Siedzący obok Wimpfena mężczyzna trącił go w bok.

— Cicho... nie zaczepiaj go — obrazi się i odmówi mi kredytu.

Wimpfen ramionami wrzusił.

— I tak ci odmówi kredytu. Piwnicki daje tylko na kredyt osobom, przedstawiającym gwarancję. A cóż ty jesteś? — *Artiste! C'est triste!...* he? co? panie Piwnicki?

Zainterpelowany odwrócił się i ukazał nagle swoją twarz ogorzałą, upartą, twarz dziwną, bo wyraz jej był nieuchwytny i mienił się co chwila nerwowo, pomimo grubo wyciosanych rysów.

— A czego panu? — zapytał, patrząc z ukosa na Wimpfena.

— Mnie niczego... ale pan nie jesteś przeźroczysty i zasłaniasz nam estradę!

— A-no to siądę.

Piwnicki usiadł na rogu, tuż koło jakiegoś młodego chłopca, który prawie trwożliwie usunął się na bok.

— Władek, chodź tu do nas! — zawołał Wimpfen. Lecz chłopak nie wstał, tylko bojaźliwie spojrzawszy w stronę artystów, zasunął się jeszcze głębiej w krzesło.

— Nigdy nie odkryję tej zagadki! — zawołał Wimpfen.

— Jakiej!

— Nie dowiem się, czy to chłopak, czy dziewczyna...

— Oszalałeś!...

— Ale!... Spójrzcie tylko na tę delikatną szyję, na ten kark kobiecy, a raczej dziewczęcy, wysuwający się z kołnierzyka. A ręce, nogi, a biodra... a głos...

Lecz w tej chwili rozległ się dzwonek przydującego i siwy jak gołąb starzec powstał, otwierając uroczystość króciuchną mową.

Głos jego był wąty i nikły. — Natychmiast po nim podniósł się z miejsca wysoki mężczyzna i zaczął mówić długo i dość zajmująco. Leon, nieprzywykły do mowy wolnej, nie krępowanej, nie więzionej, słuchał z natężeniem i nerwową uwagą. To jednak, co z estrady płynęło, było zbiornikiem frazesów i komunałów. Widoczne było, że mowa ta ogladzona, oszlifowana, dość umiarkowana i letnia, była tylko dopełnieniem obowiązku, przyjętego przez grzeszność a może z obawy pozostania pod zarzutem obojętności dla sprawy publicznej.

Mowca był urzędnikiem w Towarzystwie asekuracyjnym paryskim i cały jego porządek życia był już zatwierdzony i urządzony. — We Francji bawił od lat trzydziestu, cieszył się zaufaniem i szacunkiem umiarkowanej partji kolonji. Kraj był dla niego już dalekim snem. Wiązała go z nim przeszłość i przekonanie, iż każdy uczciwy człowiek winien swój kraj kochać i nie uchylać się od wszelakiej sposobności zademonstrowania owego przywiązania.

Corocznie więc pan Miedwiejski występował kilkakrotnie na estradach w sali Tow. Geograficznego, jeździł do Montmorency, należał do rozmaitych stowarzyszeń i związków, o ile te, ma się rozumieć, nie miały nic wspólnego z „rozwichrzeniem“ i zbyt czerwonymi zachciankami pewnego odłamu kolonji. Na owych estradach, wśród posiedzeń owych stowarzyszeń i związków, p. Miedwiejski miał mowy duże, długie, umiarkowane, które nie obrażały niczyich uzeuć i przekonań, lecz także i nie porywały serc, bo były głoszone mocą przyzwyczajenia nałogowego mówcy.

Jego silny głos, niezła wymowa, marsowa postawa, kilka silnych gościów, podkreślających utarte frazezy, tworzyły teraz konieczną część programu każdej uroczystości. I nie on był jeden, było ich więcej tych mowców, należących do umiarkowanych stowarzyszeń i mówiących ciepłe mowy w jasno oświetlonej sali Towarzystwa Geograficznego.

Wszyscy oni byli wybierani zwykle pomiędzy ludźmi solidnymi, zasiedziałymi w Paryżu, mającymi stanowiska, czyto w handlu, czyto w urzędach. Siwe ich głowy wystygły dawno i nie płonęła w nich żadna iskra zapalu.

Brali udział w uroczystościach narodowych, bo tak należało — i dlatego te uroczystości były zimne, obojętne — tworzyły raczej rodzaj przyzwoicie inscenizowanego widowiska, z rolami naprzód powierzonymi ręką wytrawnych artystów.

Leon po raz pierwszy na takiej uroczystości beznerwową swoją naturą odczuł natychmiast ten chłód, ten brak zapału, który jedynie podobną uroczystość usprawiedliwia i nawet koniecznymi dla podniecenia dusz młodych i gorących — czyni.

Leon pochylił się ku Wimpfenowi.

— Czy żaden z młodych nie będzie mówił? — zapytał Wimpfen spojrzał na niego zdziwiony.

— Młody? tu żadnego młodego do głosu nie dopuszczają... — wyrzekł ironicznie.

Lecz w tej chwili zrobił się ruch na estradzie.

Miedwiejski skończył swą mowę i usiadł, a prezes głosem nateżonym obwieścił:

— Pułkownik Montalambert ma głos!

Z krzesła podniosła się powoli z gracją i dystynkcją wysoka, strojna figura starca, odzianego w doskonale skrojony frak, biały krawat i mającego nad czołem zafryzowany siwy czub à la Rochefort.

Był to typ dawnego wojskowego francuskiego, odzianego w cywilne suknie.

Tradycyjalna hiszpanka, tak droga Napoleonowi III, przedłużała mu twarz i czyniła jego pomięte i prawie tatarskie rysy cokolwiek szlachetniejszymi. Brwi siwe i sterzące, zdawały się być nalepione. Oczy siwe i skośne — usta ułożone w dość pretensjonalne linje.

Lecz najcharakterniejszym w całej twarzy był nos — przetracony i połamany — prawdziwy nos Pawła, który bez hiszpanki i czuba à la Rochefort, czyniłby twarz pułkownika podobną do pyska buldoga lub twarzy zabiłanego na bulwary tatar.

W butonierce od fraka widniała twarzyczka legji honorowej

Na palcach zdaleka błyszczały brylanty.

Pomiędzy publicznością nastąpił szmer.

— — Kto to? co to? — pytano dokoła.

Piwnicki, zdawało się, był najlepiej poinformowany, odwrócił się bowiem ku Wimpfenowi i półgłosem objaśnił:

— To jest taki jeden, co się z nami bił w sześćdziesiątym trzecim. To jest Francuz, ale on bardzo dla Polaków przychylny i dlatego mu dali miejsce do mówienia w programie.

Pułkownik nalał sobie szklanke wody — postawił ją przed sobą i skłoniwszy się wdzięcznie, rozpoczął:

— Mesdames! Messieurs!

Mówił bardzo długo i bardzo patetycznie. Przedewszystkiem dziękował komitetowi, iż raczył mu uczynić ten wysocki zaszczyt i dopuścić go do swego grona, potem dziękował zebranym damom i panom, że raczą go słuchać — następnie dziękował losowi, iż pozwolił jemu — nad grobem już stojącemu, dożyć chwili, że znów tak, jak za czasów swej młodości, znajduje się wśród serc polskich, wśród dusz polskich, które jedne pojmują, co to jest Ojczyzna i jak wielkie i święte są względem niej obowiązki.

On — pułkownik Montalambert, w młodości swej porwany świętością sprawy i słusznością, jaka powstać kazała Polakom przeciw ciemności, pospieszył oddać swą krew i swe życie na usługi walczącym.

— I walczyłem, panowie!... — ciągnął dalej po francusku Montalambert, a głos jego brzmiał donośnie i nabierał akcentów szczeroci — walczyłem, starając się ukryć swe nazwisko i pozostać jednym z nieznanym tam... gdzie każdy był bohaterem i każdy miał do laurów prawa!...

Zawiesił głos chwilowo i wyciągnawszy rękę, zawołał panie i panowie! Każdy z was rodzi się z przeznaczeniem męczeństwa, a wy męstwem swoim, odwagą i miłością dla nieszczęśliwej waszej Ojczyzny zamieniacie tę koronę cierniową na laur bohaterów, przed którym nawet wrogowie wasi muszą chylić czoła!

— Dobrze gada!... — krzyknął Piwnicki, uderzając pięścią w ławkę.

— Francja! — ciągnął dalej pułkownik — była zawsze tą wielką przewodniczką w rozprzestrzenieniu idei wolności i swobody! Lecz wy wyprzedziliście nas od wieków i zrozumieliście, co znaczy swoboda człowieka...

— Swoboda... szlachcica! — odezwał się nagle silny głos wśród publiczności.

II. Banda Grzegorzewskiego.

Wimpfen poruszył się na swem krześle z zadowoleniem.

— To banda Grzegorzewskiego zaczyna! — wyrzekł, zwracając się do Leona.

Lecz to objaśnienie było zbyt ciche. Nie słyszał nigdy głosu Grzegorzewskiego — a jednak, gdy te dwa słowa obity się o jego uszy, był pewien, że to nikt inny, tylko Grzegorzewski je wypowiedzieć musiał.

Wśród publiczności powstał szmer i rozległo się sykanie.

Pułkownik stropiony — pochylił się ku prezydującemu, pytając o znaczenie wypowiedzianych przez Grzegorzewskiego słów.

Lecz prezydujący prawie z lekceważeniem i ojcowską dobroduszością objaśniał pułkownika, iż to młodzi zapaleńcy korzystają z każdej okazji, aby swoje ultra-anti-szlacheckie zapatrywania rozgłaszać.

Pułkownik natychmiast przybrał minę wojowniczą i zapragnął wejść z Grzegorzewskim w bliższą dyskusję — lecz cały komitet szeptem uprosił go, by dalej swą mowę ciągnął i na tę przerwę nie zwracał uwagi.

Leon starał się pomiędzy masą kołyszących się głów dostrzec Grzegorzewskiego.

Udało mu się to na chwilę.

Grzegorzewski stał oparty jedną ręką o ławkę, drugą zasunął za surdut.

Stał — i patrzył z nieukrywaną ironją na estradę, na której szeptał i wzruszał ramionami komitet, na wyniosłą postać pułkownika, na tłum publiczności, z których połowa sykała, a połowa patrzyła na niego z ciekawością, z jaką się patrzy na lwa, gdy z klatki swej nagle łapę potężną, opatrzoną w pazury, wysunie.

W ironji tej, która migotała w czarnych źrenicach Grzegorzewskiego i dokoła jego ust gorączką spieczonych, dostrzegł Leon więcej smutku niż złościwości. Jego czarne źre-

nice nie migotały iskrami, lecz zdawały się być przysłonięte jakimś kirem wielkiego żalu i żałoby.

Jeden z „artystów“, siedzących obok Leona, zatarł ręce z zadowoleniem.

— Będzie chryja... będą się żarli!

Leon doznał jakby uderzenia obuchem w głowę.

— Jakto? tu? kłótnie — niezgody, w samej kolonji na swobodzie... pomiędzy sobą?

Pułkownik Montalambert znów mówić zaczął.

Silnym głosem i giestem uciszył i uspokoił chwilowe wzburzenie.

Mówił teraz o Francji i o jej pięknej, szlachetnej przyjaźni, jaką zawsze czuła dla Polski, z którą wiązały ją obowiązki krwią Polaków pieczętowane.

Lecz obecnie — rząd zmienił taktykę. Depczą prawa logiki, republika łączy się z despotą i czapka frygijska skłania się nisko przed nahajką.

I on, pułkownik Montalambert cierpi nad tym stanem rzeczy i wstydził się za zdradę i odstępstwo swego kraju. On nigdy nie zaaprobuje aljansu, który każe po Marsyljance grać republikańskiej orkiestrze tutaj hymn, opiewający potęgę tyrana! Nie dlatego Francja sto lat temu pławiła się we krwi, aby dziś leżeć u stóp obcego despoty. Nic jej nie usprawiedliwia — ani żałoba po Alzacji i Lotaryngji — ani obawa przed Niemcami!

Głos pułkownika grzmiał teraz i wyciągnięta prawica zdawała się rzucać wzgardę całemu rządowi, całej republice.

— Szczęściem, — zakończył — więcej jest Francuzów, którzy myślą tak jak ja, i z czystym sercem mogą zawołać „śmierć despotyzmowi“ — a życie uciśnionej Polsce!

Zaszumiał huragan oklasków.

Publiczność była porwana tą lawiną frazesów, wygłoszonych z właściwą Francuzom swadą i energją.

Cały komitet z prezydującym na czele zwrócił się ku pułkownikowi z gorącą podzięką.

Montalambert wzruszony, ścisnął wyciągnięte ku sobie ręce — kłaniał się publiczności, uśmiechał się ku damom i równocześnie ocierał łzy z oczów.

Zielona suknia i rozwichrzona czarna głowa, wraz z różową bluzką i rozwichrzoną blond głową specjalnie odznaczały się w wyrazach uwielbienia.

Hrabina Różycky i jej siostra „mademoiselle Kazia“ wyciągały ręce i wołały radośnie:

— Bravo! bravo colonnel!...

Klan Grzegorzewskiego zachowywał się milcząco, gdy sam Grzegorzewski stał ciągle w jednej pozycji, nie zmieniając wyrazu twarzy. Wreszcie entuzjazm przycichł i na

estradzie powstał jeden z solidnych ludzi, pragnąc imieniem komitetu i zgromadzonych Polaków wyrazić serdeczne pułkownikowi podziękowanie.

Mowca — był drugim typem Miedwiejskiego, tak samoczłowiek mający zapewniony byt i oddawna osiedlony we Francji. Jego mowa była wiernem powtórzeniem mowy Miedwiejskiego, ale wprawne ucho mogło dostrzec w niej niektóre odcienia.

I tak Szymborski więcej zaznaczył swoje zapatrywania, swoje przekonania i nie mówił ciągle „my“ — „nam“ — „nas“. — Było w tem już coś więcej indywidualnego, choć był to cień zaledwie — ostrożny i delikatny.

Lecz — widocznie było, iż ten człowiek nie może przenieść odezwania się Grzegorzewskiego, że pragnie wymóc na sobie przemilczenie zaszłego faktu, a resztką temperamentu, jaką ma w sobie, nie dozwala mu panować nad kierunkiem swych frazesów.

I Leon poczuł w powietrzu jakieś ścieranie się myśli przedtem, zanim te myśli w słowa oblec się zdołały.

Oczy, cała postać mówiącego, zwrócone były wprost ku publiczności — a przecież myśl jego biegła wciąż w kierunku postaci Grzegorzewskiego i spotkała w pół drogi drugą myśl, pełną gromu.

I nagle, niezręcznym zwrotem, Szymborski pofolgował swym nerwom i pragnieniom dania nauczki tym młokosom, którzy chcieli gwałtem narzucić jednego ze swoich do komitetu i tem samem swój purpurowy łachman rozwiesić koniecznie tam, gdzie umiarkowanie i przyzwoitość były koniecznymi warunkami istnienia.

— I kraj nasz, wierzymy, wzrośnie i rozwinie się — ciągnął mowca — jedynie wtedy, gdy szanować będzie dawne tradycje, jakie mu po rycerskich jego przodkach pozostały. Są bowiem niestety i u nas nieliczne, na szczęście, indywidua — opętane nowoczesną manją plwania na wszystko, co stanowiło chlubę i dumę naszego narodu. Klejnoty szlacheckie, zdobyte orężem w rękę i nadawane często na polach walki — są dla tych ludzi przedmiotem szyderstwa... Pod płaszczykiem nowych, humanitarnych pojęć, bluzgają jadem i głoszą ciągle o męczeństwach uciśnionego jakoby przez szlachtę — ludu. Są to fałszywi apostołowie, są to ludzie, którzy nie kochają matki Ojczyzny, są to...

Nagle dał się słyszeć Grzegorzewski:

— Proszę o głos!...

— Są to szaleńcy — ciągnął dalej Szymborski — lecz powtórnie odezwał się Grzegorzewski:

— Ja proszę o głos.

Powstała niesłychana wrzawa.

Wszyscy zaczęli naraz mówić, kobiety, mężczyźni krzy-
czeli, podnosili się z ławek, niektórzy wchodzili nawet na
ławki.

Leonowi serce biło jak młotem, poblądł, przycisnął się
do ściany i siedział bez tchu, wpatrzony w tę krzyczącą
i giestykulacją ciżbę.

Wszyscy zdawali się zwracać ku Grzegorzewskiemu
i wszyscy prawie byli dla niego wrógo usposobieni.

— Cicho!... nie przeszkadzać... milczeć... za drzwiami!...
dawały się słyszeć głosy.

Lecz Wimpfen dał hasło gromadce artystów.

— Przeciwnie! dajmy mu mówić! Wspaniale wygląda,
gdy mówi!

I jakby na komendę, porwali się artyści z miejsc i krzy-
czeć zaczęli.

— — Niech mówi! niech mówi!

Głosy ich były silne — piersi zdrowe... Przekrzyczeli
prędko całą salę.

I Leona ogarnął nagle rodzaj szału.

Niedozwolenie dopuszczenia do głosu Grzegorzewskie-
wydało mu się wstrętną niesprawiedliwością. Niech mówią
wszyscy — gdy uroczystość nosi miano „narodowej“ — cały
naród! Tak każe prawdziwa swoboda!

I Leon zgorączkowany zaczął tupać nogami i krzyczeć
głośniej, niż inni:

— Niech mówi! niech mówi!

W zapale posunął się dalej o kilka ławek.

Zresztą zamieszanie było ogólne, wszyscy powstali
z miejsc i cisnęli się w kierunku Grzegorzewskiego.

Nagle Leon uczuł się szarpnięty za rękaw.

Obok niego stał Władek. Oczy miał też pełne i usta
mu drżały.

W pierwszej chwili Leon, widząc tylko jego głowę, są-
dził, iż zbliżyła się ku niemu jakaś kobieta, tak delikatną
i przejrzystą cerę miał ten chłopak.

Prędko jednak poznał swą pomyłkę, gdy Władek za-
wołał do niego z rozpaczliwą prośbą:

— Niech pan ich zmusi, żeby dopuścili Grzegorzew-
skiego do głosu, bo inaczej... ja im co złego zrobię!...

Leon przestraszył się tych rozpalonych, namiętnych
żrenic, tych ust purpurowych, skrzywionych nerwowym
grymasem.

Lecz Władek popychał go i porywał.

— Krzycz pan!... — wołał — krzycz!... ja mam za słaby
głos, mnie nie usłyszają!

I Leon krzyczał, dziwiąc się sam, że głos jego staje się
tak burzliwy, tak donośny i namiętny.

Dokoła niego krzyczeli prawie wszyscy

Byli tacy, którzy się śmiali, stukali obcasami o podłogę — słowem bawili się, jak rozpuszczone dzieci.

Inni giestykulowali z uporem zaciekłych w swych zapatrywaniach wsteczników, którzy, głosząc zasady szlachetne, sami nie umieją uszanować i bezstronnie ocenić zasady innych umysłów.

Byli znowu tacy, którzy się gniewali i na Grzegorzewskiego i na jego oponentów. Wołali ciągle „cicho!“ — obojętni na to, kto mówić będzie, tylko — nie życząc sobie hałasu i krzyków. Niemniej wrzawa trwała ciągle — komitet powstał z miejsca — prezydujący dzwonił na estradzie, podbiegli rozmaici ludzie, a w pierwszej linii hotelarz Piwnicki, który wołał:

— A uspokójcie się, ludzie, do djabła!

W tym zgiełku, hałasie, krzykach, śmiechu, syku, odbijały dziwnym spokojem postacie Grzegorzewskiego i jego nielicznych towarzyszy.

Grzegorzewski stał ciągle nieporuszony i z pod wpeł przysłoniętych powiek patrzył na krzyczącą publiczność.

Poza nim panna Mazia, z oczyma łez pełnemi, z ustami złożonemi w podkówkę, silnie ścisnęła za rękę drugą kobietę, jasną blondynkę, delikatną, z oczyma jakby spłowiałemi od płaczu. Jeszcze kilka kobiet czarno odzianych i dwóch czy trzech mężczyzn młodych, lecz z twarzami przedwcześnie postarzałemi — i to było wszystko, cała tak zwana... banda Grzegorzewskiego!

Wszyscy zbili w gromadkę, milczący, lecz pełni jakiejś egzaltacji, stali wśród rozkrzyczanego tłumu i patrzyli prosto w oczy otaczającym ich ludziom.

Była w ich postawie jakaś karność, jakaś determinacja — gotowość na wszystko.

Wreszcie tłum wyczerpany umilkł.

Wrzawa cichła stopniowo, rozpadała się na części, szumiała jeszcze u stóp estrady i nakoniec umilkła zwalczona — milczeniem.

I wtedy, po krótkiej naradzie, prezydujący odezwał się szablonowym, nie wyrażającym tonem:

— Pan Grzegorzewski ma głos!

Publiczność znowu zaszemrała, ale, jakby przeleciał po niej wicher jesienny: umilkła.

I wśród wielkiej ciszy wzniósł się nagle głos Grzegorzewskiego:

— Przed chwilą — z tej estrady, z której, zda się, nie ziarno niezgody, lecz ład i porządek, a razem szacunek dla wszystkich zasad i przekonania partyjnych spływać powinny — padło ciężkie oskarżenie bezimienne, a jednak ku nam skierowane. Mowca nie wymienił nas po nazwisku — jednak wszyscy uczyli i wszyscy poznali, że owa gangrena narodu

polskiego, ów wrzód, toczący łono matki - Ojczyzny, owa partja wichrząca i wzniecająca niepokoje, nie szanująca tradycji... plująca na herby szlacheckie, na przywileje „panówbraci“, toć nie kto inny, tylko my odosobnieni, my tak wykleci i wydziedziczeni, że nawet na zgromadzeniu narodowym mówić nie mamy prawa. Bronić się nam nie wolno i słuchać powinniśmy z pochyloną głową, jak zaspany indyferentyzm wespół z szablonową patrijotyczną błagą, podają sobie wspólnie ręce, a nam obelgi w twarz rzucają!

I rzeczywiście zbrodnie nasze są wielkie, olbrzymie, nieprzebaczalne. A główna? My nie idziemy z wygodną większością! My pracy około dobra kraju nie uważamy za obowiązek dodatkowy do burżuazyjnej kariery, ale dla nas jest ona celem życia — co mówię, jest ona życiem naszym!

Umilkł na chwilę i z wzrastającą goryczą i rozdrażnieniem mówić znowu zaczął, a zdania całe biegły z ust jego z nadzwyczajną szybkością, tak, iż siła gorąca i namiętna biła z nich i przebiegała ponad całym audytorjum.

— Czy mowca poprzedni zna nas, nasz program, naszą pracę, rezultaty tej pracy? Czy wy tu wszyscy zgromadzeni znacie i wiecie, kim my jesteśmy i do czego dążymy? Przedstawiają nas wam jako potwory bez serca, bez miłości dla kraju — pasące się ludzką pracą.. słowem, grono rozczochranych pasożytów, które wytepić należy. I z tym sądem w sercu i na ustach rzuca się na nas z krzykiem i złorzeczeniem i chcecie nam zamknąć usta i zmusić do milczenia! Bo wygodniej jest kogoś potępić i na jego grobie zbudować tron dla swej pychy i doskonałości, a rozsiadłszy się na nim w karmazynowych butach, które po przodkach zostały, i owinąwszy ciało w ów pas, który to za Sasa popuszczany był codziennie, wołać: „Ja kocham kraj mój!... ja jestem wielki!... ja jestem patrijota!..“

Lecz moja wielka i wygodna większość, to dobre z takimi, — którzy — albo mając sumienie nieczyste, złęką się waszej buty i krzyku, albo sił im zabraknie w pół drogi, ba wzięli się do dzieła bez dostatecznej miłości w sercach, miłości nie dla siebie samych, lecz dla tych, którzy cierpią, którzy mrą w wyzysku, którzy giną w moralnej ciemności! Lecz my zjeść się nie damy! Patrzcie, nas jest zaledwie garstka, kilka osób, kilka kobiet — dzieci prawie, a my śmiało możemy wam stawić czoło i kazać szanować naszą pracę, nasze zasady, nasze cele!

Grzegorzewski w tej chwili był bardzo pięknym, porywającym pięknym.

Leon, który powstał ze swego miejsca i, przyciskając do piersi barankową czapkę, nie spuszczał go z oka, uczuł dla niego egzaltowane uwielbienie i podziw.

Obok niego Wladek, ukryty prawie poza jego plecami, powtarzał co chwila:

— Och, panie! Och, panie... niech on mówi!

Po ostatnich słowach Grzegorzewskiego, zaszemrała cała sala i głowy pochyliły się ku sobie, jak kłosa przed burzą. Prezydujący zadzwonił.

— Prosimy o ciszę! — wyrzekł, usiłując mówić jak najgłośniej — a mowę prosiłbym o cokolwiek umiarkowania... Grzegorzewski roześmiał się ironicznie.

— A... nie!... — odparł żywo. — Umiarkowania mieliśmy przed chwilą poddostatkiem. Dlaczego jednak nie proszono o umiarkowanie mego poprzednika, wtedy, gdy nam zarzucał zbrodnie i podniecał przeciw nam zgromadzonych? Ale dla nas jest inna miara! Myśmy jednak do niej przywykli i nas ona nie dziwi. A mimo to przecież my żyjemy, pracujemy i praca nasza wydaje owoce. Jeżeli kto odrodzi kraj, to nie mumie spowite w powijaki przesądów i niechące słyszeć, że oprócz frazesów o miłości ojezyny, trzeba jeszcze dać ludziom jeść w tej oczyźnie — i zanim się powie robotnikowi: „Kochaj twój kraj“ — należy tak urządzić społeczeństwo i warunki bytu każdej jednostki, aby ten kraj mógł takiego robotnika wyżywić... i niedozwolić jego dzieciom iść drogą kradzieży albo rozpusty! Wtedy, panowie, misja wasza będzie łatwą do spełnienia. Miłość ojezyny rozwinie się w sercu każdego Polaka, bo ziemia ta, którą będzie kochał, będzie mu nie macochą, a matką... a matkę-karmicielkę każdy kochać i bronić od najeźdców będzie.

Głos Grzegorzewskiego potężniał coraz więcej i, rzecz można, nabierał skrzydeł. Słowa nie pełzały po sali, lecz biegły wysoko w świetlaną przestrzeń i tam zawisały pełne potęgi i siły.

— I nie migajcie nam przed oczyma odwagą i bohaterstwem naszych przodków, którzy swe tarcze herbowe zdobywali na koniu zakutym w stal i żelazo, a sami, cali zamknięci w pudełka także ze stali i żelaza zrobione, biegli pod Wiedeń lub na wolnych elekcjach zarzynali się wzajemnie! Są teraz bohaterstwa większe, wspanialsze, więcej uwielbienia godne! Nie dano jest nam walczyć z bronią w rękę, ale często walka nie na oręż sroższa jest i cięższa, a wymagająca więcej poświęcenia i miłości. Oni tam biegli zwartą ławicą — szli tysiącami przeciw tysiącom, uzbrojeni i do wzajemnej rzezi sposobni! Dzisiejsi polscy rycerze są zupełnie bezbronni, a nieprzyjacieli, przeciw któremu walczą, ma jedną, straszną broń... klucze cyta d e l i...

Czy zastanowiliście się wy, którzy wygodnie zdobyliście i zdobywacie sobie stanowiska na obczyźnie, jakie gorące, jakie czyste serce bić musi w takim (według was) szaleńcu, który tam, wśród szpiegów i żandarmerji, idzie ścieżką słowa

prawdy, krzepić upadających, rozniecać wygasające iskry! Jeżeli wśród walki zostanie pojmany, nie czeka go tarcz herbowa i miano bohatera, lecz czeka go katorga, śledztwa i krata w cyfadelu, a często i śniegi Sybiru!... Czy porównać można nawet to, co wy stawiacie — z tem, co się tam krwią i kosztem młodych, w zaraniu będących istnień dokonywało! Czy wy macie o tem pojęcie — wy, pracujący jedynie dla pewnego odłamku społeczeństwa polskiego, a nie dla całego narodu? Wy wołacie tylko „niepodległość kraju“, ale nie troszczycie się, czy w tym „niepodległym kraju“ — ludzie z głodu znów ginąć nie będą? wy...

Nagle, z pierwszego rzędu krzesel podniosło się kilku siwych i dostatnio odzianych mężczyzn i z oznakami oburzenia i wzruszeniem ramion wyszli z sali. Na estradzie komitet zaczął nakłaniać prezydującego do odebrania głosu Grzegorzewskiemu, co widząc publiczność, także coraz głośniej szemrać zaczęła. Grzegorzewski urwał swą mowę, wziął w rękę czapkę i skierował się pośród ławek ku wyjściu.

— A... zresztą! — wyrzekł dobitnie — szkoda słów!... I bez was kraj zakwitnie wtedy, gdy słońce równości dla wszystkich jednakowo zaświeci.

I raz jeszcze powtórzył:

— Szkoda słów!...

Powstał znów hałas i wrzawa.

Za Grzegorzewskim postępowała cała jego partja.

Garstka ta przeszła mimo Leona i gdy się oddalali, chłopak czuł, iż go coś rwie za odchodzącymi. Oparł się jednak tej sile, lecz wyczerpany upadł prawie na ławkę i jak przez mgłę widział tylko, jak za partją Grzegorzewskiego poszedł i Włodek zgorączkowany, ze śladami łez na policzkach.

Wzburzenie trwało ciągle w sali, niektórzy syczeli i wołali za odchodzącymi:

Za drzwi! Za drzwi!...

We drzwiach już odwrócił się Grzegorzewski i płomiennem spojrzeniem ogarnął całe zgromadzenie.

— O, tak!... — zawołał — Za drzwi! Na czystą, swobodną przestrzeń!... Tu zanadto cuchnie pychą i mogiłą!...

I zniknął we drzwiach, a za nim garstka jego towarzyszy.

Wszyscy powstali z miejsc i wymiana zdań wśród ogłuszającego gwaru stawała się niepodobieństwem.

Na estradzie napróżno komitet, przychodząc w pomoc zrozpaczonemu prezydującemu, nawoływał do porządku. Najwięcej hałasu czynił hotelarz Piwnicki, który grubym basem wołał ciągle:

— A to ci panie! a to ci panie!

Hrabina Różycka, silnie wymalowana brunetka, ze siostrą Kazią, silnie wymalowaną blondynką, przedostała się

do klanu artystów i witała się z nimi po koleżeńsku, śmiejąc się jak szalona.

— Dieu!... que je m'amuse! — powtarzała, wykrzywiając niemiłym grymasem swoją twarz starzejącej się żydówki.

Leon zasłonił oczy, nie chcąc nic widzieć i słyszeć.

Zostawał ciągle pod wrażeniem słów Grzegorzewskiego. W uszach miał ten głos silny, potężny chwilami, cokolwiek ochrypli i szorstki, to znów pełen niekłamane go uczucia i szczerości.

Hałas, zapełniający salę, zlał się dla niego w jeden brzęk głosów, przerywanych wykrzyknikami lub łoskotem posuwanych krzesel.

I nagle — gdzieś, jakby z oddali — z samego kącika sali rozległ się śpiew dziecięcy — cichy, drżący, jakby z początku onieśmielony :

Jeszcze Polska nie zginęła!...

To Batiniolczycy — garstka dzieci czarno odzianych, żalobnie, jakby należących do jednej okrytej kirem rodziny, śpiewa marsza Dąbrowskiego.

Prezydujący, nie widząc sposobu uciszenia publiczności, dał dzieciom znak śpiewania.

I te świeże, młodziuchne, niewinne — nie szarpane żadną zawiścią partyjną głosy, odezwały się wśród piekielnej wrzawy i tak wielką była potęga śpiewanej przez nich pieśni, że nagle wszyscy ucichli, powstali i w milczeniu słuchali śpiewu Batiniolczyków :

Biały orzeł górą płynie
Z srebrnych piór obrany,
Za nim śpieszą polskie dzieci.

Leonowi łzy strugą napływały do oczów.

Pierwszy raz słyszał głośno, otwarcie, jawnie tę pieśń śpiewaną.

Przytem ta garstka tych żalobnych dzieci w oddali od kraju chowanych i śpiewających pieśń wojenną i pieśń nadziei — działała dziwnie smutno i ścisnęła serce wielkim bolem trwogi.

Dzieci umikły i wszyscy powoli i w szlachetniejszym duchowym nastroju salę opuszczać poczęli.

Ostatni wyszedł Leon.

Idąc, chwiał się jak pijany — tchu w piersi nabrać nie mógł. Łkanie ścisnęło mu gardło.

Naokoło niego bulwar St. Michel wrzał życiem i wesołością.

Studenci francuscy pili piwo, absynt i bawili się wesoło w towarzystwie swych kochanek, ubranych w berety.

Jakiś ochrypli głos śpiewał woddali :

— Bon soir Ninon — c'est moi qui passe.

Z kawiarni lały się potoki elektrycznego światła. Tramwaje i omnibusy krzyżowały się pośrodku ulicy.

Szybko, jakby uciekając przed tą wrzawą i wesołością, biegł teraz Leon, szukając ciemni i ciszy.

Do piersi tulił ręce, jakby tam chronił jakiś skarb, który przed chwilą udało mu się znaleźć i osiąść.

I wreszcie, wydostawszy się na jakąś krętą i wąską ulicę, zwolnił kroku.

Pusto było — cicho, gaz tylko płonął gdzieniegdzie, nie rozjaśniając ciemności.

I tu mógł wreszcie Leon w ciszy i spokoju pomyśleć nad tem, co widział i nad tem, co w jego sercu świtać zaczynało.

III. Jeden z „wielkich“.

Nazajutrz obudził się Leon z silnym bólem głowy.

Całą noc majaczył i słyszał głos Grzegorzewskiego — widział żałobne mundury dzieci ze szkoły Batiniolskiej...

To znów migwały przed nim płonące źrenice Władka i legja honorowa Pułkownika...

Świt rozwiął te tumany. Leon zaczął godzić się z rzeczywistością. Spojrzał dokoła małej izdebki hotelowej przy ulicy Victor Massé, w której się mieścił.

Okno wychodziło na dachy.

Na tych dachach był las wąskich kominów, a ponad nimi niewielki szmacik szarego, chmurnego nieba.

Leon ubierał się powoli.

Obliczył stan kasy i widząc, że podróż i pierwsze dni pobytu kosztowały go dużo, postanowił poszukać zajęcia.

Sięgnął do kieszeni i znalazł tam trzy listy, polecające go rodakom zamieszkałym w Paryżu. Wystarał się o nie Jaś i wręczył mu je z wielką uroczystością.

— Patrz! — mówił — to do P.

Nazwisko to mówiło samo za siebie.

Wielki pisarz, człowiek wielkich stosunków i wielki bogacz.

Nie szło tu o pomoc pieniężną, lecz o znalezienie zarobku.

Dwa inne były mniejszej wagi.

Jeden z nich do przemysłowca, drugi do literata, korespondenta wielu pism warszawskich.

Jeden już z listów — do Wimpfena — zużył Leon prawie tego samego dnia, w którym stanął w Paryżu.

Leon odrazu zmiarkował, iż na poparcie lub pomoc młodego malarza liczyć nie może.

Wimpfen urządził sobie życie wygodnie, egoistycznie. Miał porządne atelier i jako ładny chłopiec był „rozrywany” przez damy.

Przytem miał przyjaciółkę, pannę od Doucat'a — typ woskowej lalki kształtnej i eleganckiej, która służyła mu za

model do jego cukrowych obrazków, mających dość łatwy zbyt w kraju.

Wimpfen przyjął Leona uprzejmie, ofiarował mu nawet „pójście“ na uroczystość do sali geograficznej, lecz na tem skończyła się jego uprzejmość. Leon uczuł, iż Wimpfen jest zanadto zajęty sobą i tem, co się jego dotyczy.

Postanowił odrazu zacząć od „wielkich“ i pójść do P.

Zobaczę go — będę z nim mówić. Co on mi powie, czy potrafię go zainteresować? Gdybym się zdobył na odwagę i powiedział mu, że jego dzieła umiem na pamięć, że „Pamiętnik“ czytaliśmy w klasach po sto razy, że go kochaliśmy za jego „Rycerzy“. Tak myślał Leon, n biorając się wyjątkowo starannie.

Na chwilę zapomniał o Grzegorzewskim, o Batiniolczykach, o wczorajszym wieczorze.

— Będę go widział! — powtarzał sobie.

Gdy w godzinę później wchodził do wielkiej i wspaniałej kamienicy, zamieszkiwanej przez znakomitego pisarza, serce biło mu gwałtownie. Jaka szkoda myślał, że idę tu z prośbą o protekcję — jaka szkoda — wolałbym pójść tylko prosto — ze złożeniem hołdu.

Zadzwoił u drzwi, udrapowanych zewnątrz wschodnią portjera.

To mu zaimponowało. Pierwszy raz w życiu widział podobną dekorację.

Za drzwiami dało się słyszeć szczekanie, potem szmer sukni, aż wreszcie drzwi uchyliły się powoli.

— Qui est la? — zapytał głos kobiety.

— Moi! — odparł zmieszany Leon.

— Que desirez vous? — brzmiała dalej indagacja.

— Voir monsieur P.

— Qui êtes vous?

Leon zawahał się, czy ma wyjawic swe nazwisko, naturalnie nieznanie wielkiemu pisarzowi.

— Je suis... un Polonais! — odparł po chwili.

Nastąpiła pauza.

Za drzwiami zaszleściły jedwabie i drzwi uchyliły się, ale — niegościnnie.

— Entrez! — wyrzekła kobieta.

Leon wszedł do przedpokoju i odrazu otoczyły go ciemności. Tylko w oddali jaśniały drzwi otwarte i w nich czerniła sylwetka oddalającej się w głąb apartamentów tłustej i wysokiego wzrostu damy, ubranej strojnie, szeroko i dostatnio.

Dama zniknęła i Leon, stojąc na środku przedpokoju z czapką w ręku, zaczął powoli przyzwyczajać się do panujących ciemności i rozróżniać wśród nich niektóre przedmioty. Uderzył go przepych, do którego nie był w kraju

przyzwyczajony. Ciężkie portrety wisiały dokoła ścian. Olbrzymie lustro wysuwało się z całego kłabu kwiatów. U stropu wisiała delikatnej roboty wenecka latarnia.

Tak sobie wyobrażał mniej więcej mieszkanie potentata literatury biedny chłopak z nad Wisły.

— Powiem mu wszystko! Wszystko... wypowiadam się, jak przed ojcem — myślał, gryząc bezwiednie baranek czapki — on mnie zrozumie!

Lecz czekał długo tak na środku przedpokoju tuż pod lampą wenecką i naprzeciw kłabu z kwiatami. Z wewnątrz apartamentu dolatywały go szmery, głosy, kroki, lecz o nim zapominano widocznie.

Nagle z bocznych drzwi wysunęła się pokojówka, odziana czarno, w czepku i fartuchu białym.

Podnosząc jedną ręką portjerę, wyrecytowała z silnym akcentem przedmiemieś paryskich:

— Si vous êtes encor un émigre du Bresil — monsieur ne peut pas vous recevoir!*)

— Bresil!... non! non! — zaprzeczył.

Sługa znikła i on pozostał sam wśród portjer, kwiatów i weneckich latarni.

Powiedzenie sługi zastanowiło go.

Więc „pan“ emigrantów brazylijskich widzieć u siebie nie chciał.

Musiał mieć ku temu ważne przyczyny.

Upłynęła znów długa chwila.

Sługa nie wracała. W sercu Leona jakiś chłód zaczął otaczać gorące porywy, które go do stóp znakomitego starca pędziły.

Nareszcie — pojawiła się służąca.

— Entrez au salon! — wyrzekła, wskazując Leonowi otwarte drzwi.

Leon wszedł i zaraz tuż koło progu usiadł na pierwszym lepszym krześle.

Salon był ogromny. — cztery okna przysłonięte bladzielonemi jedwabnymi storami, oświetlały go jasnym i delikatnym światłem.

Zastawiony był mnóstwem mebli, a wszystkie te meble były to niezmiernej ceny i wartości antyki. Leon nie znał się na starożytnościach, a jednak i on został olśniony temi empire'ami o bronzach delikatnych jak koronka, temi Ludwikami XVI, inkrustowanymi medaljonami, temi bonheur du jour o tak eleganckich i wykwinnych formach, że zdawały się być prosto przeniesione z Petit Trianon, a nawet i z Wersalu.

*) Jeżeli pan jesteś jeszcze jednym emigrantem brazylijskim, pan nie może pana przyjąć.

W głębi — olbrzymi bahut bretoński — wspaniała rzeźba zakrystyjna, na nim całe bogactwo bronzów i figurek z kości słoniowej.

Na ścianach cała kolekcja najcenniejszych płócien i zegar złożony Empire — olbrzymi orzeł, trzymający w dziubie draperję.

Dokoła — zapach, właściwy pałacom i celom klasztornym.

Z poza otwartych drzwi — gabinet obity ciemnozielonym adamaszkciem, zasłany kobiercem.

Z miejsca, na którem siedział Leon, widać było pół szafy wysokiej — napełnionej książkami — a nad nią gobelin.

Co jednak rozjaśniało ten artystyczny i bogaty apartament, to tysiące drobiazgów wdzięcznych i miłych dla oka, porozrzucanych dokoła.

Nie były to ciężkie ordynarne roboty Niemki, lecz szykowne, artystyczne robótki Paryżanki.

Te podarki, ozdobione falbanami, wałki pod głowę ze starych złożonych materyj, ramki pluszowe zdobne gniazdem kolibra, abażury wiązane wstążkami i powiewne, jak spodniczki tancerek nie psuły harmonji stuletnich sprzętów salonu.

Przeciwnie — był to jakiś uśmiech, promień pogody — ślad ręki kobiecej, dbałej i troskliwej o upiększenie gniazda.

W sercu Leona ożyło znowu cieplejsze uczucie. Jakkolwiek bogato tu było i dostatnio — to przecież rodzaj domowej atmosfery rozgrzewał zziębnięte serce chłopca.

I jakkolwiek nic tu nie przypominało — kraju, ani jeden sprzącik, ani jeden obraz — nic, coby dawało do poznania niefrancuskie pochodzenie pana domu, jednakowoż było to już „dom“ — schronisko familijne, czego tułającemu się od tak dawna po norach i wagonach kolejowych Leonowi serdecznie brakowało.

Do gabinetu wszedł ktoś i Leon porwał się z miejsca.

I spojrzawszy w otwarte drzwi, dostrzegł, jak prosto ku niemu po ciemnym dywanie szedł wysoki starzec, trochę pochylony z krótką siwą brodą.

Starzec, wszedłszy do salonu, zatrzymał się o kilka kroków przed Leonem.

Spojrzenie miał obojętne i jakby szklane. Oczy niewielkie, zielone, okolone czerwoną obwódką. Ręce trzymał założone w tył, odziany był w ciepłą, domową, szarą marynarkę.

— Pan... Polak? — zapytał, przymrużając oczy.

W jednej chwili Leonowi zbiegła krew do serca. Ten głos, to spojrzenie pouczyły go o wszystkim.

— Tak, Polak! — wykrztusił wreszcie, widząc, iż P. czeka na odpowiedź.

— I czem ja panu mogę służyć? — zapytał wielki pisarz, stojąc ciągle z rękami w tył założonemi.

Leon wyjął z kieszeni list polecający i podał go P.

— Oto list:

— A... proszę poczekać.

P. poszedł do gabinetu i tam, włożywszy okulary, list odczytał. Poczem list złożył — przycisnął go wspaniałym psem brązowym i powrócił do salonu.

— Wszystko to bardzo pięknie... — wyrzekł stojąc — ale tam u was, w kraju, wyobrażają sobie, że tutaj, we Francji, my istniejemy po to tylko, aby rozdawać wam miejsca, synekury, stypendja, zapomogi... Ten poczciwy Skiba bardzo zdolny i czcigodny człowiek, ale on zupełnie warunków tutejszego bytu nie zna i nie rozumie!

Wzruszył ramionami i podszedł do jednej z poduszek, na której przekrzywiła się kokarda.

— Gdybym nawet chciał, mój młody panie, zrobić coś dla pana, to ja nic nie mogę — mówił dalej, rozglądając pękłe wstążek — nie znam tu nikogo, kto by mógł pana zatrudnić u siebie. Żyję odosobniony, wycofałem się już z interesów... a potem, widzi pan, ile razy kogo zarekomendowałem, to później nie mogłem tego odżałować... tak, tak, nie mogłem odżałować!...

Z początku Leon patrzył z niepomiernem zdziwieniem na postać owego „wielkiego“, który z tak usilnym egoizmem starał się zasłonić przed niesieniem pomocy bliźniemu. Granieciem na giełdzie dorobił się znacznej fortuny, był sam jeden bez rodziny, bez dzieci, którym mógłby zostawić swe mienie, i nic, nic zrobić nie chciał, nic poświęcić, choćby chwilę czasu dla wyszukania zajęcia rzuconemu na obcy bruk chłopca.

— I wie pan co, młody panie — ciągnął dalej P., ułożywszy wstążkę w kształtny węzeł — takich, jak pan, to ja mam dziesięciu dziennie, daję słowo — dziesięciu! A co tych rozmaitych z Brazylii tu nachodzi... już konsierżce zakazałem wpuszczać.

Teraz zabrał się do oczyszczenia pluszowego widposza i roztrzępywania wiszących u niego frendzli.

— Rotszyl-d-by nie wystarczył... — mruknął, jakby sam do siebie i ramionami wzruszył.

Twarz Leona pokryła się rumieńcem. Ten „wielki“ traktował go, jak żebraka.

— Zdaje mi się — wyrzekł — że zaszło tu małe nieporozumienie, szanowny pan sądzi, że ja tu przychodzę po jakiś datek, po jałmużnę?... Jestem za młody, za silny i za chętny do pracy, aby tworzyć sobie w podobny sposób źródło dochodu. Szanowny pan mnie nie zrozumiał!

Mówiąc te słowa, postanowił sobie Leon nie prosić o nic P. — i razem z tem postanowieniem wstąpiła w niego energia, poparta rozgoryczeniem i dziwnym rodzajem ironji, z jaką zaczął się na swoją bytność w tym salonie zapatrywać.

— Ja przyszedłem do pana — zaczął znowu Leon, a głos jego nabrał teraz pewnych ostrzejszych tonów — jako do naszej narodowej sławy i do człowieka serca... Chciałem prosić nie o pieniądze, ale o pracę!...

— Ja panu, panie młody, nic w tym względzie dopomóc nie mogę... — przerwał P., stawiając widposz i zbliżając się ku Leonowi.

Widocznie „sława narodu“ pogłaskała dumę starego egoisty, a zapewnienie Leona, iż nie sięga do jego kieszeni wzbudziło w nim pewne ku chłopcu zaufanie.

— Ja słyszałem, że pan nic dla mnie nie może i dlatego nie myślę zabierać panu więcej drogiego czasu.

— Pan, panie młody, jesteś jakaś gorączka — zawołał P. — jakieś tam dziesięć, dwadzieścia franków możeby się znalazło...

— Proszę mnie nie obrażać! — przerwał mu Leon — ja tu przyszedłem nie po franki, ale poto, aby pokrzepić duszę... pana widokiem.

Ja o panu marzyłem jeszcze dzieckiem i idąc tu, tak pragnałem pana zobaczyć... Ja czytałem pana „Rycerzy“, ja dostawałem kawałkami, wycinkami pana „Pamiętniki“, które wychodziły w Krakowie... myśmy je po nocach z kolegami czytali... cała klasa czytała...

Stary słuchał, przekręciwszy głowę na bok i usta zaciśnięwszy, wpatrywał się w Leona.

— A no!... To proszę, panie młody, do gabinetu... — wyrzekł wreszcie szerokim giestem, ukazując drzwi — porozmawiamy sobie trochę, widzę, że z pana porządny młody człowiek...

„Dla niego — każdy porządny, kto go o nic nie prosi“, pomyślał z goryczą Leon.

— Nie! — odparł — dziękuję panu za zaproszenie. Nie mam czasu. Muszę sobie szukać pracy.

— No, to zaczekaj chociaż!... Dam ci poprawną edycję moich „Rycerzy“!

I P. poszedł do gabinetu, gdzie zaczął przewracać na biurku, a równocześnie mówił bardzo głośno, starając się, aby Leon go słyszał.

— Bo czego wy tu przyjeżdżacie? Czego nie siedzicie w kraju? Co wy tu myślicie, że znajdziecie? Sądzicie, że tu pieniądze na bruku rosną i każdy się majątku dorobi?...

Leona zaczęło teraz ogarniać dziwne uczucie. Było to rozgoryczenie, lecz pomieszane z taką dozą nerwowej ironji.

że mimowoli usta mu się układały do śmiechu i czuł, że łaskotanie wykrzywia mu muskuly twarzy.

Powstrzymywał się całą siłą woli, podczas gdy w umyśle jego przesuwaly się ciągle następujące myśli.

I to tu? w tym salonie chciałeś powiedzieć wszystko, chciałeś się wypowiedzieć, jak przed ojcem, chciałeś roztoczyć swoje ideały, pragnienia, chęci — chciałeś odpowiedzieć o przeszłych już cierpieniach, o cytadeli, o swej ucieczce z kraju!...

I przed kim? Przed tym bogaczem, który zarobione na spekulacjach giełdowych pieniądze przejada najspokojniej i traktując cię jak żebraka, więcej się troszczy o stan swych cacek salonowych, niż o stan twego umysłu, twej duszy i twojej kieszeni.

Dopiero, gdy dowiedział się o twem uwielbieniu dla niego, jako dla autora — wylażł jak ślimak ze skorupy i obdarza cię kilkoma tomami swych dzieł, których rozdać nie ma komu, odciążwszy się od wspólnego życia i wspólnych interesów swych rodaków.

I rzeczywiście — z drzwi gabinetu wyszedł P. trzymając w rękach kilka grubych książek w zielonych okładkach.

— Ja tu nawet panu napisałem kilka słów! — wyrzekł z zadowoleniem. — Weź pan... To ładnie, żeś pan o mnie nie zapomniał i moje książki czytał. Tylko, poco pan z kraju wyjechałeś. Najlepiej zrobisz, jeżeli jak najspieszniej powrócisz!...

— Nie mogę wrócić do kraju! — wyrzekł Leon, biorąc książki i nakrywając je czapką.

— Dlaczego, dlaczego? Co wy tam w tym kraju znów teraz robicie?... Siedźcie cicho!

— My też siedzimy cicho... ale w cytadeli! — wyrzucił wreszcie ze siebie Leon to słowo, które go dławilo od pierwszej chwili i teraz z pewnego rodzaju wyższością patrzył na zdziwionego tym wykrzyknikiem starca.

— A!... a!... — wyrzekł tenże — tak! cytadela!... tak? ale, młody panie, przedewszystkiem trzeba się zająć nauką...

— Przedewszystkiem — odparł Leon — trzeba się zająć się tem, do czego się dusza wyrывa. I pan przecież w swej młodości zajmowałeś się tem, czem ja, czem my młodzi i siedziałeś długi czas w więzieniu. Przynajmniej tak pisałeś w swych pamiętnikach.

Starzec potrząsnął głową.

— Tak, tak!... — wyrzekł — ale to były inne czasy... a potem my byliśmy inni ludzie! Dziś — wy to czynicie więcej z dumy i dla przechwałek, aby potem szeroko rozpowiadać o swem poświęceniu i rozpisywać się o doznanych męczeństwach!...

Leon chwilę wpatrzył się w zielone oczy P. i został zdumiony, ile tam dobrodusznego fałszu mieściło się na dnie tych źrenic.

— Nie panie! — wyrzekł, kłaniając się i dławiąc się od nerwowego śmiechu — my nie pisujemy... pamiętników, my co najwyżej wydrapujemy paznogciami nasze nazwiska na ścianie naszej celi i to zaraz zasmarować wapnem każą! Żegnam pana!...

P. za nim kilka kroków postąpił.

— Zajrzyj pan tu do mnie, młody panie! — wyrzekł uprzejmie — pogadamy jeszcze o tem i o owem!

— Panie łaskawy! — oparł Leon już w przedpokoju — przepraszam, ale prawdopodobnie już więcej u pana nie będę... Muszę się czemś zająć! Ja niestety nie wycofałem się z interesów.

Wydostawszy się na schody, Leon wybuchnął nerwowym śmiechem.

Śmiech ten wzmógł się jeszcze, gdy na okładce książki chłopak przeczytał następującą dedykację:

„Młodemu człowiekowi
na drogę życia

Autor“.

— Niekośztowna pomoc! — śmiał się Leon, — a jaka ojcowska, jaka patriarchalna.

Gdy zeszedł na ulicę i zastanowił się nad swą bytnością u P., przestał śmiać się i ogarnęło go znów rozgoryczenie.

— Wielki — myślał! — wielki... a jaki z bliska... nic, jaki mały!

Do uczucia rozgoryczenia przyłączyła się jednak pewna duma i zadowolenie ze siebie samego.

— Nie wiedziałem, że i ja mówić potrafię... — myślał Leon — wcale mu dobrze powiedziałem o Pamiętnikach i o cytadeli.

Przypomniał sobie wczorajszą mowę Grzegorzewskiego i potrząsnął głową.

— Grzegorzewski byłby mu jeszcze inaczej odpowiedział — za taki egoizm i to wszystko za mało...

Mijał właśnie mieszkanie odzwiernej, która siedziała w głębi naprzeciw wspaniałej lustrzanej szafy i dawała jeść papudze.

— Poco ja wziąłem te książki? — To nie ma sensu!

Wszedł do łoży odzwiernej i położył książki na stole.

— Pour monsieur P. — wyrzekł i wyszedł szybko, podczas gdy papuga zaczęła krzyczeć w niebogłosy:

— Qui est la? qui est la?

IV. Jeden z „małych“.

Zamyślony i zmęczony szedł Leon bocznymi uliczkami ku swemu mieszkaniu.

Wybiła dwunasta i cały Paryż spożywał teraz śniadanie.

Jedli wszyscy — ci, którzy jeść co mieli, zaczawszy od robotników, dorożkarzy, szwaczek aż do bogatych rentjerów, siadających do stołu poza kolorowemi szybami swych jadalnych sal.

Gromady dziewcząt czarno odzianych zatrzymywały się dokoła piecyków, na których smarzyły się kartofle.

Dziewczyny jadły na ulicy, śmiejąc się, popychając i kokietując przechodzących mężczyzn. Były to szwaczki i robiły wrażenie srok, wypuszczonych z klatki.

Leon poczuł także dojmujący głód i zaczął oglądać się za tanią restauracją.

Przechodził właśnie mimo drzwi szklanych, na których złotemi literami widniał napis:

Restaurant tchèque.

— Wejść tu, — pomyślał Leon — przynajmniej mnie nie otrują.

Wszedł i zdziwił się, widząc, jak małe i ubogie było pomieszczenie tej czeskiej restauracji. Jedna niewielka salka przepelniona już gośćmi, poza salką rodzaj niży, w której stał bufet i siedziała tłusta blondynka, podobna do świeżo oskubanej gęsi.

Leon z trudem znalazł miejsce w samym kącie, koło olbrzymiego żelaznego pieca, rozpalonego do czerwoności.

Usługująca dziewczyna zaproponowała mu knedle i gęś — na co Leon się zgodził. Zanim wydał rozporządzenie, już przed nim stał olbrzymi kufel piwa.

Leon rozglądał się po gościach, wypełniających restaurację i zauważył, że wszyscy byli jasnymi blondynami, silnie zbudowanymi, z ramionami oderwanymi od roli chłopów.

Jedli dużo, pili piwo, śmieli się i rozmawiali po czesku głośno, jak ludzie zadowoleni ze siebie i ze swej pracy i mający zapewnione jutro.

Zapach smalcu i pieczeni przepęłniał całą salę. Ciemno było tak pomimo południowej pory, iż w głębi syczały dwa gazowe płomienie.

W tej chwili drzwi otworzyły się i wszedł przez nie młody człowiek wysmukły, dość zręczny, ubrany w grube palto. — Nie zdejmując cylindra, stał chwilę, szukając dla siebie wolnego miejsca. Wreszcie zbliżył się do stołu, przy którym siedział Leon.

— Vous permettez? — zapytał, ściągając grube rękawiczki.

I nie czekając na odpowiedź, wziął krzesło i usiadł naprzeciwko Orlickiego.

Dziewczyna przyniosła dla Leona zupę i chleb i nakryła stół grubą lecz czystą serwetką.

Nowo przybyły przywitał dziewczynę wesołym uśmiechem i nakazawszy podać sobie zupę, knedle i gęsinę, zaczął zdejmować palto i przeglądać się w maluchnem lusterku, które dobył z kieszeni.

Wiek tego człowieka oznaczyć było niepodobieństwem. Był młody, może bardzo młody, a może przekroczył trzydziestkę. Silne zmarszczki czoła, pewne znużenie w rysach, cera jakby ołowiana, były cechami starszego wieku. Natomiast obfitość ciemno blond brody i czupryny, śmiejące się niebieskie poczciwe oczy i również uśmiechnięte, trochę grube usta, jaśniały urokiem młodości.

Usiadłszy naprzeciw Leona, pokręcił się na krześle kilkakrotnie, roześmiał się do tłustej blondynki, siedzącej za bufetem i zawołał:

— Bonjour patronne!

Poczem przelotnie ale bystro spojrzął na Leona i uśmiechnął się jakby do swojej myśli.

— Leon uczuł się zirytowany.

Tak, jak każdy nerwowiec, lubił jeść sam i każdy sąsiad przy stole był mu nieznośnym. Lecz wesoły blondyn wyjął z kieszeni jakąś gazetę i czytać ją zaczął.

Leon dostrzegł, iż była to gazeta drukowana po polsku i serce mu bić zaczęło...

Na jednej ze szpalt dostrzegł tytuł:

Kurjer warszawski.

A więc to był Polak! Kto wie — może pozwoli Leonowi przeczytać ów numer *Kurjera*.

Dowie się wreszcie, co się dzieje w kraju, może są jakie nowe zmiany, rozporządzenia...

Dziewczyna przyniosła piwo i potrawy i uciekła do innych stołów, gdzie dzwoniło na nią niecierpliwie.

Blondyn — *Kurjera* złożył porządnie i ze złośliwym spojrzeniem na stole koło siebie położył.

Poczem z apetytem zaczął jeść zupę.

Gdy wypróżnił talerz, spojrzął znów na Leona, który nie spuszczał oka z *Kurjera* i zapytał:

— Może panu pożyczyć *Kurjera* do przeczytania?...

Leon wybąknął:

— Proszę... jeżeli pan tak łaskaw!...

— Tylko uprzedzam pana! — odezwał się dalej blondyn — iż nie ma nic ciekawego. Chyba, że pana... karnawał obchodzi. A to tego jest pod dostatkiem. W sobotę odbyło się sześć bali, jeden kostjumowy, trzy wieczornice, dwa białe wieczorki, z których jeden bawelniany. A co zabaw w domach prywatnych... na Chmielnej, na Złotej, na Żelaznej... a ile staropolskiej gościnności... a na prowincji... panie — cała prowincja tańczy, kuligiem z pod jednej strzechy pod drugą... Panie — a toż przeczytać taki numer, to można przyjść do przekonania, iż jesteśmy najweselszym narodem na świecie!

Leon pismo na bok odłożył i z zajęciem na nieznajomego spojrzął.

— Ja właśnie przyjeżdżam z kraju! — wyrzekł — i to z prowincji... ale nie z tej, gdzie tańczą i kuligiem jeżdżą. Ja nawet zapomniałem, że to jest karnawał.

— Ja wiem, wiem! — odparł nieznajomy — u nas tak panie, jedni tańczą, a drudzy za nich i za siebie pokutują...

Zastukał nożem o stół i zawołał

— Anna! encore... une oie!

A potem powstając, dodał:

— Ja się panu przedstawię, bo to my Polacy ani rusz bez ceremonji. Nazywam się Juljan Kręcki, jestem z Warszawy i pracuję w domu komisowym Kwiatkowski et Comp. przy ulicy Buffault nr. 7. — A pan?

Leon wymienił swoje nazwisko.

Kręcki pokręcił głową.

— Connais pas! w kolonji nic mi o panu nie mówili.

— Ja dopiero wczoraj po raz pierwszy kolonję zgrupowaną widziałem.

— A! może pan byłeś w sali geograficznej?

— Byłem — odparł Leon — ale pana tam nie widziałem.

Młody człowiek zaśmiał się, pokazując cały rząd młodych, zdrowych zębów.

— Bo ja tam już nie chodzę, mój drogi panie, — wyrzekł, zabierając się do nowej porcji gęsi.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ja ich już umiem napamięć. Ja panu opowiem wszystko, co tam było.

Najprzód — estrada, a na niej cała kolekcja porządnych i solidnych ludzi. Tam był także i mój pryncypał... Widzia-

łem, jak wdziewał tużurek. Potem były mowy, mowy i jeszcze mowy. Nagle banda Grzegorzewskiego zaczęła protestować, zaczęła się borba, starzy się bardzo gniewali, Grzegorzewski im powiedział prawdę i po wszystkim!

— Tak! prawda... tak było — odpowiedział Leon.

— A widzi pan... — ciągnął dalej Kręcki — ja jak przyjechałem do Paryża, chodziłem na te zebrania, na fixy, na posiedzenia... ale potem czasu nie stało. Trzeba biegać za interesami z jednego końca Paryża na drugi, po rozmaitych przedmieściach do spedytatorów, djabli wiedzą gdzie.. Patron skąpy — skoro wezmę tramwaj, już się krzywi, więc Juleczek dyma *per pedes*. — Zmachany taki jestem wieczorem, że gdzie mi tam, panie, bawić się razem z nimi!

— Przecież oni się nie bawią... oni pracują! — zaprzeczył Leon.

— Dla mnie to się nazywa zabawą. Grzegorzewski jest niby studentem medycyny, ale on wcale nie uczęszcza na kursa. Wszyscy oni siedzą lata całe, niby coś robiąc, a właściwie zajmują się tylko robieniem polityki.

— Proszę pana! — odparł Leon — nie wszyscy mogą być komisantami, i są ludzie, którzy potrafią jedno połączyć z drugim!

— Niech pan temu nie wierzy, panie kochany! Politykowanie jak ogarnie kogo, to przepadł. Gdyby Grzegorzewski miał tak, jak ja, starego biednego ojca i dwie siostry, których ja jestem jedyną nadzieją, to nie mógłby całe dni trawić nad swym wydawnictwem i chodzić tam, gdzie będzie mógł roztaczać swe ideje!

Leona ogarnęło nagłe zaciekawienie.

— A... więc Grzegorzewski pisze, wydaje...

— Tak! tak! — odparł Kręcki — pisze, ale zaco wydaje, to prawdziwy sekret, bo cała ta partja jest skandalicznie biedna i nie ma ani centyma.

Urwał — popatrzył przez chwilę na Leona i zaczął znowu ciszej i prawie bez ironji.

— Więc oni pana tak interesują? — Hm! na mnie nie wywarli oni żadnego wrażenia. Zapewne, Grzegorzewski dobrze mówi, ale ja go słuchałem zupełnie chłodno i obojętnie. Może dlatego, że to ja właśnie pochodzę z tego ludu, o którym on tyle mówi — a niewdzięczność leży już w naturze człowieka. Mój ojciec był ekonomem i ja boso latałem po polu, a nawet gęsi zaganiałem... I dlatego mi się zdaje, że Grzegorzewski, choć niby chce być nam bliski, jest bardzo od nas jeszcze daleki.

— A może to pan jesteś już od swoich „daleki“ — wtrącił nieśmiało Leon.

— Może! Choć ja zachowałem z mego pochodzenia chłopski rozum i pewien instynkt. Ja naprzykład — odrazu

panu powiem, kto pan jesteś. Ja poznałem, że pan jesteś Polakiem i to z prowincji, po pana ubraniu, po pana wrogiem spojrzeniu, gdy się do stołu pana zbliżałem. Teraz powiem panu resztę. Pan jesteś idealista, bawienie się w politykę pana ciągnie; olśnił pana Grzegorzewski i jeżeli się pan do nich tam zbliżysz, to... kaput! Krzyżyk nad panem, bo oni pana zjedzą. Pan masz delikatną i nerwową naturę.

Zamilkł na chwilę, poczem dodał:

— A Wilhelminkę pan widział?

— Nie... któż to... Wilhelminka?

— A!... nie widział pan Wilhelminki? Musiała siedzieć przy wejściu i sprzedawać drukowane mowy. Ona się zawsze poświęca, droga dusza! Wilhelminkę radzę panu zobaczyć... szyk panna *numero un!* potem jest jeszcze Mania — okrągłe jabłuszko, ale to już nie Wilhelminka. Wszystkie zresztą zakochane w Grzegorzewskim!

Leona ubodły ciągłe żarty Kręckiego, odparł więc cokolwiek niecierpliwie:

— Grzegorzewski wydał mi się człowiekiem zupełnie serjo i poważnym.

— Nie przeczę... — odrzekł Kręcki — Grzegorzewski jest człowiekiem poważnym, ale widzi pan sprawy serca swoją drogą a powaga swoją.

— Wpół do drugiej! zagadałem się z panem, a tam mój patron wrywa sobie włosy z brody, tembardziej, że dzisiaj starszy pomocnik nie przyszedł do biura; ja zająłem jego miejsce, a na moje nie mamy jeszcze nikogo. Idę... albo wiesz pan co?... chodźmy razem, jeżeli pan nie masz co do roboty. Po drodze wpadniemy na bulwar Poissonière po szkiełka do binokli. Musimy je dziś wyekspedjować koniecznie do Smoleńska... Cóż, pójdzie pan ze mną?

Leon bez wahania powstał — zapłacił i stanął gotów do wyjścia.

Kręcki śmiać się zaczął.

— A co? wziąłem pana? Ja zawsze ludzi biorę swoim dobrym humorem. Lgną do mnie, żeby się trochę pomścić i rozerwać. Pan mi się także podoba, bo twarz ma pan szczerą, ładną i młodą — nie taką, jak ja... Spójrzij pan na nas obu w lustrze, a zadziwisz się poprostu, jak przy sobie wyglądamy. Ja zjedzony życiem, stary cham, a pan jak lalka... No! jak się też panu zdaje, ile ja mam lat?

Stali obaj przed lustrem i rzeczywiście różnica była znaczna. Twarz Kręckiego, jakby ciosana toporem z masą ciemnych włosów i silnemi zmarszczkami na czole, odbijała dziwnie od idealnych niemal rysów Leona, jego długich, marzących oczów i całego wyrazu — więcej kobiecego wdzięku, niż męskiej energii w sobie mającego.

— Ja nie wiem! — odparł Leon — mnie się zdaje, że pan masz około trzydziestu...

Mówił tylko przez grzeczność, sądząc, iż Kręcki ma przeszło trzydzieści lat.

Kręcki parsknął śmiechem i aż usiadł na krześle.

— Ja mam, panie złoty, dwadzieścia jeden! A jak ja wyglądam! Ha? co?

I powstawszy, skierował się ku wyjściu.

— Co pan chcesz! — dodał, biorąc za kłamkę, — cham prędko dojrzewa.

Wyszli obaj na ulicę i w Leona wstąpiła jakaś otucha.

Nie był sam, znał już teraz kogoś — kto pomimo różnicy przekonań był mu sympatyczniejszy, niż Wimpfen. Przytem ta myśl, iż Kręcki pochodził z chłopów, dodawała mu uroku w oczach Leona. I jak każdy, trochę nerwowo zbłąkany, czepiał się natur zdrowszych, choćby te nie licowały z jego subtelnością.

Tymczasem tłum wiecznie przepelniający Wielkie Bulwary spieszył się, dążył, biegł, jakby w pogoni za ubiegłą minutą. Chłodno było i wilgotno — mimo to ludzie latali odziani prawie po wiosennemu. I Leonowi zrobiło się gorąco, bo Kręcki biegł raczej a nie szedł, spiesząc się do swej pracy.

— Chodź pan! chodź! — wołał na Leona — tu spieszyć się trzeba ciągle a zwłaszcza nie wahać się, ale iść śmiało i roztrącać drugich.

Urwał, a potem dodał, śmiejąc się.

— Bo inaczej oni pana roztrącą!

Weszli do kilku sklepów i zawsze Kręcki wychodził obarczony pakunkami. Kilkakrotnie Leon chciał mu dopomóc, lecz Kręcki się wzbraniał, wołając:

— Nie! nie, to Juliś sam nieść musi. Tu są szkiełka... a tu optyczne narzędzia... a tu czort wie co... jakby się potłukło, to Juliś zapłaci!

I obróciwszy się ku Leonowi, zapytał:

— Jak pan myśli — ile ja mam pensji? co?

— Nie wiem.

— Ośmdziesiąt franków, a od jutra... sto! Ja z tego żyję, jem często dwie porcje gęsi, mieszkam wspaniale... a jakże — mam łóżko z kotarą i na kominku dwa połamane kandelabry. A pan gdzie mieszka?

— Rue Victor Massé dziewięć.

— Nie! nie!...

I Kręcki zaczął tak podskakiwać, że „szkiełka“ znajdowały się w niebezpieczeństwie.

— Może pod nr. 32? — zapytał wreszcie.

— Tak!

— A moja kotara i moje kadelabry mieszczą się pod trzydziestym trzecim.

— Co pan mówi!

Ucieszyli się wzajemnie i z uśmiechem szli dalej, coraz weselsi, a nawet Leon bezwiednie nabierał pewnej buty i młodzieńczej werwy.

Kręcki, pomimo pośpiechu, zatrzymywał się czasem przed szybami wspaniałych sklepów i wołał:

— Jak się Juliś ożeni, to musi mieć takie cacane mebelki w swoim salonie.

Albo:

— Jak się Juliś ożeni, to nigdy nie będzie chodził piechotą.

Mówił tak często o tem „ożenieniu“, iż Leon miał wielką ochotę zapytać go, czy nie jest narzeczonym. Lecz nie śmiał.

Doszli na ulicę Buffault, wąską i ciemną.

W bramie jednego z domów zatrzymał się Kręcki.

— Codź pan ze mną do kantoru. Zobaczysz pan, jak się tutaj pracuje... nie tak, jak u nas w kraju.

W kantorze zastali rosłego, czerwonego mężczyznę, śpiącego wygodnie w dużym krześle. Kantor składał się z trzech małych pokojków, zastawionych paczkami i pakami. W jednym z nich stał niewielki żelazny piecyk.

W śpiącym mężczyźnie Leon poznał jednego z tych, którzy na estradzie wczoraj tworzyli komitet. Gdy weszli, Kręcki trącił Leona i pokazał mu na śpiącego.

— Patron! *)

Szmer ich kroków zbudził śpiącego; ten zerwał się na równe nogi i natychmiast krzyczeć zaczął.

— Wpół do czwartej, ściemnia się... gdzie pan byłeś do tej pory! My nigdy nie zdążymy wystać dziś towaru!...

I zaczął biegać po małych pokojkach, roztrącając paki i paczki.

Tymczasem Kręcki zdjął palto, surdut, mankiety i włożywszy starą, wiszącą na ścianie kurtkę, zabrał się do... palenia w piecu.

— Żeby też choć pan był piec przypilnował — odezwał się, grzebiąc w piecu pogrzebaczem.

Kwiatkowski wznosił ręce do góry.

— Piec? mnie także piec w głowie! Ja miałem co innego do roboty. Ja musiałem na pana czekać!

— A, w takim razie!...

Kwiatkowski zatrzymał się przed Kręcim.

*) We Francji tę nazwę dają podwładni swemu szefowi w bardziej familjarnym stosunku.

— Pan żarty sobie stroi, a robota czeka. Rzuć pan ten piec... trzeba pakować.

— Przepraszam, patronie — jak mi palce od zimna zeszywnieją, to i robota prędzej nie pójdzie.

Kwiatkowski znów po kantorze latać zaczął.

— Czego ja oddaliłem Lejenna a pana awansowałem!... — zaczął znowu z lamentem.

— To pan o d a w a n s u j! — odparł spokojnie Kręcki, pakując węgiel i koks do pieca.

— Nie mogę! nie mogę! — jęczał w drugim pokoju Kwiatkowski — dziś podpisałem nominację pana... Tak w biurze przerabiać nie można... Pan chyba nie wie, co to jest biuro!... Ale ja tak zawsze... kieruję się dobrem sercem, a potem sam na tem cierpię!

Kręcki na Leona kiwnął.

— Wie pan! — zaczął mówić szeptem, dusząc się z śmiechu — co się u niego nazywa dobrem, sercem? Przedtem było nas trzech w kantorze. Lejenne, ja i mój pomocnik. Braliśmy razem dwieście sześćdziesiąt franków miesięcznie. Obecnie Kwiatkowski, widząc, jakie może korzyści wyciągnąć z moich zdolności i siły, oddała Lejenne'a i pomocnika, aby mnie awansować o dwadzieścia franków i przyjąć pomocnika na trzydzieści. W ten sposób pensja miesięcznie będzie 130 franków, zamiast 260... a robota ta sama. Ha? jakie dobre serce?

— Ależ to jest poprostu wyzysk! — zawołał półgłosem Leon.

— Nie... to jest dobrze zrozumiany własny interes. Ja zaś dobrowolnie się godzę na tę kombinację, więc nie mam prawa narzekać...

— Dobrowolnie? — pochwyił Leon — prawda, że fizycznie nikt pana nie zmusza... choć i to..

— Być może! — odparł Kręcki — ale co począć, ja się za ofiarę ustroju społecznego podawać nie myślę!

Zapalił gaz i zabrał się do pakowania przyniesionych towarów.

Czynił to lekko, zwinnie, zręcznie, tak, że w dziesięć minut opakował szkiełka i zabrał się teraz do optycznych narzędzi.

— Potem siądę pisać korespondencje...

— Pan masz dużo pracy... Pan robi tu wszystko!

Kręcki zaśmiał się radośnie.

— Tem lepiej! tem lepiej! Nauczę się wszystkiego. Gdy wrócę do Warszawy, będą się o mnie dobijać. Czasem mi trochę ciężko. Zwłaszcza w zimie, gdy trzeba pakować na dziedzińcu.

— Na dziedzińcu?

— Naturalnie. Są towary, które można tylko w szopie, albo na dziedzińcu pakować. Z początku poroździerałem sobie ręce o gwoździe, tkwiące w pakach i miałem wiecznie potłuczone młotkiem palce — ależ teraz to fraszka!

I nagle pobiegł do drugiego pokoju i stanąwszy na progu, zawołał:

— Niech pan nie rusza korespondencji... Ja sobie wszystko tak ładnie poukładałem... Możeby pan na szachy poszedł, abo co!

Wrócił do Leona i znów się robotą zajął.

— A to piernik! — mruknął, dusząc się od śmiechu. Nowa skrzynka była gotowa.

— Teraz pana wyproszę — wyrzekł Kręcki — ale równocześnie zapraszam pana do siebie na herbatę. Dziś mój awans! Będzie bal, herbata, dywan na ziemi, ogień na kominku i gawęda — chce pan?

Leon uściśnął podaną mu dłoń i wyszedł na ulicę,

Okolo dziewiątej wieczorem Leon usłyszał, jak Kręcki powracał do domu.

— Zaraz się wszystko przygotowuje na przyjęcie szanownych gości — zaanonsował przez drzwi basem.

I rzeczywiście Leon przez cienką ścianę słyszał, jak wesoly chłopak porał się z owemi przygotowaniami dobrą godzinę.

Wreszcie posłyszał stukanie w ścianę i głos radosny:

— Wszystko gotowe! uprasza się wnijsć!

I Leon wszedł do małego, jasno oświetlonego lampą pokoiku, zupełnie podobnego do pokoiku, który on zajmował. Tylko u niego było zimno, ciemno, pusto, tu zaś ciepło biło z kominka, jaskrawy blask oświetlał dwa przysunięte do kominka krzesła i mały stoliczek, na którym stały dwie filiżanki i leżały w paczkach cukier, masło i winogrona.

Pudełko sardynek srebrzyło się tuż przy chlebie, trochę szynki rozłożono na małym spodeczku. Scyzoryk i nóż do przecinania kartek dopełniały serwisu.

Na kominku, na rozżarzonych węglach, kipiał duży blaszany imbryk.

— Siadaj pan i pij herbatę — wyrzekł Kręcki.

— Dawno pan z pewnością ludzkiej herbaty nie pił. Ja mam jeszcze warszawską. A potem jedz pan bez ceremonji. Ja będę jadł, bo już dawno o gęsinie zapomniałem, a obiadu bez oszczędności nie jadam!

Leon usiadł i rozejrzał się po pokoiku.

Kilka fotografii wisiąco na ścianach.

— To moje siostry! — objaśniał Kręcki, a to mój ojciec, a to jedna moja uczennica, w której się kochałem, a to druga moja uczennica, w której się kochałem!

— Jakto uczennice?

— A no tak, bo w kraju dawałem korepetycje chłopcom i lekcje literatury polskiej panienkom i z tego żywiłem siebie i moje siostry.

— Zupełnie tak, jak ja... tylko ja nie miałem sióstr do wyżywienia.

— A widzi pan... jest w nas dużo podobieństwa. Zresztą, u nas w kraju jest cała taka bosa komenda, cały taki pułk, co żyje z korepetycji i z lekcji...

I pijąc herbatę powoli, Kręcki z uniesieniem szczerości opowiadał Leonowi całe swe życie, pełne walk, niedostatku od samego dzieciństwa, od kolebki prawie.

On i dwie jego siostry zostawiono w Warszawie na Bożą opiekę, podczas gdy ojciec pojechał za chlebem w głąb Rosji i tam tułał się długi czas bez miejsca. I wtedy on, chłopak dwunastoletni, wystąpił jako opiekun i żywiciel tej gromadki. Postarzał się przedwcześnie, nigdy dzieckiem nie był — lecz ten rodzaj bohaterstwa zachował w nim świeżość duszy i pozwolił mu teraz cieszyć się, pragnąć, do czegoś dążyć i czegoś się od życia spodziewać.

— Ja chciałbym się osiedlić także w Paryżu... i znaleźć jakies zatrudnienie...

— Jakie? — zapytał Kręcki. — Do czego pan jesteś zdolny?

Leon milczał.

— Wiesz pan co — zawołał nagle Kręcki — wejdź pan do naszego kantoru, jako mój pomocnik. Dostaniesz pan z początku 30 fran. miesięcznie, a niedługo podwyższą panu i jeżeli pan będziesz zdolny, wkręcę pana na swoje miejsce, a dla siebie stworzę miejsce najwyższe i przyjmę panu pomocnika. Kwiatkowski się nie sprzeciwi, bo w gruncie rzeczy on zrobi powoli to, co ja zechcę. Żle panu nie będzie... pokrzwawi sobie pan trochę ręce z początku, nogi pana będą boleć, ale się jakoś to przebieduje. No? cóż pan na moją propozycję?

Leon nie odpowiedział odrazu.

Nie przypuszczał nigdy, jadąc do Paryża, iż zostanie pomocnikiem komisanta i będzie załatwiał posyłki. W rozmarzeniu swoim widział się dającym lekcje literatury lub piszącym korespondencje, nowele...

Po chwili namysłu odparł powoli:

— Pan jeszcze nie wie, kto ja jestem.

Kręcki porwał się z fotelu i usiadł na ziemi, plecami do kominka, naprzeciw Leona.

— Słucham! — odparł ciekawie.

Leon półgłosem opowiedział swoją historję, Pomimo chęci, aby być prostym, w szczegółach mimowoli ubarwił fakta poetycznym kolorytem.

Gdy skończył, Kręcki odparł z prostotą:

— Ja taże siedziałem w cytadeli.

— Pan ?...

— Ja; tylko ja nie pisałem książeczek, ale je roznosiłem po wsiach, w czem mi moja chamska powierzchowność dopomagała. Potem moje lekcje literatury miały pewien ton, który się tam, wysoko — nie podobał, no... i.. tego!...

Wzruszył ramionami, jakby się otrząsał przed jakimi przykremi wspomnieniami.

— Ale to do rzeczy nic nie ma! — wyrzekł stanowczym głosem — spłaciliśmy obaj nasz dług i teraz należy pomyśleć o nas samych i zrobić sobie jakieś miejsce pod słońcem. Nie grymasz pan, nie marz o lekcjach literatury a zabierz się do pracy, która panu da chleb i przyszłość. — Możesz wieczorami i w niedziele pisać nowele i korespondencje. To będzie dodatek na... masło do chleba, jeżeli tylko na owe masło wystarczy, bo ja wiem bardzo dobrze, co u nas literatura w początkach przynosi... A potem, jeżeli liczysz na jakieś protekcje... jeżeli masz jakie listy polecające, to lepiej je spal! Szkoda butów, nikt panu nie pomoże.

Urwał i śmiać się zaczął.

— Chyba taki biedak, jak ja! — dokończył, dokładając koks do ognia.

Leon przypomniał sobie wizytę u P. i opowiedział ją Kręckiemu z całemi szczegółami.

— A nie dał panu swoich „Rycerzy“? — zapytał Kręcki, i podnosząc się z dywana, pochwycił z pułki dwie zielone książki.

— Dał — odrzekł Leon — ale zostawiłem u odzwiernej.

— POCO? dlaczego? to się chowa, panie! to się chowa! to są dokumenty!... — wołał Kręcki, potrząsając książkami — tembardziej, że jest i dedykacja, którą i ja także otrzymałem od P. — I czytać zaczął:

„Młodemu człowiekowi“.

— Na drogę życia. Autor! — dokończył Leon.

Młodzi ludzie zaczęli śmiać się serdecznie.

— Daleko można zejść z takim wijatykiem! — wołał Kręcki.

Lecz Leon pochylił się ku ziemi.

Z zielonych książek wypadło na ziemię kilka cieniuchnych, malutkich broszurek. Podniósłszy je, Leon na jednej z nich przeczytał:

— Jak jest, a jak być powinno.

Kręcki ruch jego dojrzał.

— Wydawnictwo Grzegorzewskiego! — roześmiał się — jeszcze z początku wziętem od niego tych kilka broszurek...

— Pożycz mi je pan dziś! — prosił Leon.

Lecz Kręcki śpiesznie mu te książeczki wyrwał.

— POCO? zawróci się panu do reszty głowa! I tak nie masz jej pan bardzo solidną. Jeszcze gotów pan jesteś przystać do nich, bo Grzegorzewski rzuca pewien urok słowem i pismem. — Pan jutro ze mną pójdzie do kantoru, a je te broszurki... spalę!

I szybkim ruchem rzucił w ogień broszurki, które natychmiast zapłonęły jasno i skręciły się później w czarne świstki, na których można było odróżnić jeszcze litery.

— Tak!... — mówił zadowolony Kręcki — należy nam być rozsądnymi ludźmi, a nie idealistycznymi dzieciakami. Powtarzam panu — to dobre dla próżniaków. I cóż? pójdzie pan jutro do kantoru?... W niedzielę, jak pan będzie grzeczny, to zaprowadę pana do Luwru, pokażę takie Rubensy, że aż oczy panu na wierzch wyjdą, a wieczorem pójdziemy na Café concert zobaczyć Yvette Guilbert. Zobaczy pan!

Lecz Leon milczał i ciągle patrzył na ogień, gdzie czerniały i w popiół się rozpadały tajemnicze broszurki wydawnictwa Grzegorzewskiego.

V. Leon pracuje.

Leon poszedł do kantoru.

Wesołość na smutek ma wpływ magnetyczny. Działa jak chloroform na ból zębów. Leon uległ wpływowi chloroformu i poszedł za Kręckim.

Przyjęcie odbyło się łatwiej, niż obaj młodzi ludzie przypuszczali.

Kwiatkowski był w dobrym humorze i jakkolwiek skrzywił się, mówiąc: „jeszcze jeden Polak! tu trzeba energii francuskiej” — lecz zgodził się, widząc, iż Kręcki sobie życzy mieć Leona za pomocnika.

Nie omieszkał jednak przed „nominacją” dać Leonowi cały korzec moralnego obroku, rad, nauk i ostrzeżeń, z czego Leon wywnioskował, iż jego pryncypał sam nie wie dokładnie, co się w jego kantorze dzieje i prawdopodobnie nigdy tej zagadki nie rozpląće.

Gdy Kręcki i Leon pozostali sami, Kręcki zwrócił się do Leona i wyrzekł tonem dość obojętnym:

— Teraz zapal pan w piecu, a potem zamieciesz te wióry i złożysz do paczki, która stoi w sieni.

Leon zdziwiony spojrzał na niego.

— Ja mam palić w piecu?

— Tak, do tej chwili ja spełniałem tę funkcję, gdy chłopak poszedł do klientów, dziś to do pana należy.

Leon stał nieporuszony. Jak każdy Polak trochę wykształcony, uważał ręczną, grubą robotę za coś poniżającego.

— I na cóż pan czekasz? — spytał go Kręcki — czy na swą dobrą wróżkę, która Kopciuszkowi pomagała szurować rondle? Nie przyjdzie! nie przyjdzie! Co najwyżej, wpadnie tu pani pryncypałowa — ordynarna Francuska i wyśmiejemy nas, że nieporządnie utrzymujemy kantor, co wprowadzi w zły humor pana pryncypała...

I widząc, że Leon jeszcze nie zabiera się do palenia w piecu — dodał:

— Może pan nie wiesz, jak się w piecu pali? Nie przypuszczam jednak, że pan w kraju miałeś lokaja, który to robił za pana. Wszakże nieraz musiałeś palić u siebie.

— Tak! — odparł Leon — ale to było u siebie.
Kręcki roześmiał się serdecznie.

— Nie!... te Polaki! te Polaki! — wyrzekł, zanosząc się od śmiechu.

Śmiech ten podziałał na Leona, jak uderzenie szpicrutą. Uczuł, że jest śmieszny i że odezwał się głupio i choć bez zapału, ale zabrał się do napalenia w piecu.

W kwadrans później, zamiatając kantor, myślał mniej więcej w ten sposób:

— Miałem zamiar pisać dzisiaj wieczorem. Co ja mogę napisać, jeżeli dzień zaczynam od pracowania, jak pierwszy lepszy stróż w kraju. W ten sposób umysł mój się przecież nie rozwinie, fantazja nie podniesie..

I ulgą dla niego było, gdy wystany przez Leona na drugi koniec Paryża do składu wstążek *en gros*, jechał na dachu tramwaju i pograżał się w pewne rozmarzające odretwienie.

— To już wolę! — myślał, nie spiesząc się z załatwieniem komisu.

Lecz po powrocie usłyszał wymówkę z ust Kręckiego za marnowanie czasu i nie śpieszenie się z odpowiedzią fabrykanta.

— Tak nie można! — mówił Kręcki — list musi dziś jeszcze odejść wieczorną pocztą. W interesach we Francji punktualność jest pierwszą zaletą. U nas — kpią sobie z interesów i z punktualności. Niech pan zapomni o tych przyzwyczajeniach krajowych.

Leon nie odpowiedział nic, ale to ciągle wytykanie przez Kręckiego błędów krajowych zaczęło go drażnić, tak, jakby on był uosobieniem całego polskiego społeczeństwa.

Gdy wieczorem powracali obaj na ulicę Viktor Massé — Leon był tak znużony, iż ledwo dowlóknął się na górę.

Kręcki, który pracował cały dzień jak dziesięciu tragarzy — pakował, przybijał, owijał — klócił się z ludźmi, należącymi do kantbrów ekspedycyjnych kolejowych, przyjmował klientów, załatwiał korespondencje — był przynajmniej piętnaście razy na ulicy i to bez palta, w swojej starej, odrapanej kurtce, ku wielkiemu zdziwieniu Leona — i pomimo to wszystko zachował swój doskonały humor i drapał się na czwarte piętro hotelu, przeskakując po kilka schodów na raz.

Wieczorem przyniósł Leonowi herbaty i poradził mu położyć się do łóżka.

— Pierwsze dni będziesz pan jak zbity! mówił w rodzaju perswazji — ale do wszystkiego można się przyzwyczać.

— Trudno się przyzwyczać do tego rodzaju pracy odparł z pewną goryczą Leon.

— Tak! piórkiem machać to łatwiej, ale zanim piórko żywić zaczniesz!

Leon otworzył szafę i wyjął z niej paczkę gazet.

Skoro przyjechał do Paryża, napisał natychmiast, aby mu przysłano jego korespondencje i nowele, drukowane poprzednio.

Teraz — chciał Kręckiemu dowieść swej wyższości — przekonać go, że on miał prawo żądać coś więcej od życia, jak zamiatanie kantoru i palenie w żelaznych piecykach.

Kręcki obojętnie spojrzął na gazety i zapytał:

— Cóż to jest?

— To... moje! — wyrzekł Leon, wskazując palcem na tytuły nowel

— A!...

— Weź pan to — przeczytaj!

— Dobrze! i powiem panu, czy pan masz talent, czy zdolność, czy... ani jedno ani drugie.

— Mam kilka bardzo pochlebnych krytyk.

— To jeszcze nic nie dowodzi. Dla mnie krytyki, to tylko indywidualne zapatrywanie się pewnej jednostki na to lub na owo.. Co mnie obchodzi, jak pan X. albo Z. zapatruje się na pana prace. Może ja będę się zapatrywać zupełnie inaczej.

Złożył gazety i usiadł na krześle.

— Ile pan masz pieniędzy? — zapytał, a widząc wahanie się Leona, dodał:

— Nie bój się pan, ja pieniędzy od pana pożyczać nie myślę. Ja tylko chciałem tak panu życie urządzić, ażebyś w pierwszych przynajmniej miesiącach nie cierpiał zimna i głodu.

I systematycznie zabrał się do tej operacji. Pozostałe 280 franków rozdzielił na sześć miesięcy i włożył w sześć kopert. W ten sposób Leon miał zapewnione około 80 franków miesięcznie, w co należało wliczać trzydzieści franków pensji, które dostawać miał w kantorze.

Kręcki obejrzał buty Leona, palto, bieliznę — całą garderobę i zawyrokował, że na długo nie wystarczą, ale jeszcze „wytrzyma“. Za pozostałe dwadzieścia franków miał Leon kupić sobie koniecznie... cylinder.

— Musisz pan mieć cylinder, inaczej kupcy, do których pana poszłę, nie będą mieli żadnego do pana zaufania. U nas, w Paryżu, każdy urzędnik i komisant musi mieć cylinder. Będziesz pan w cylindrze nosił pakuńki i uprzątał wióry w szopie, albo pakował na dziedzińcu mydło i perfumy. Ale bez cylindra nie możesz pan być na serjo handlowcem.

Leon wruszył ramionami. Zaczynał się poddawać wpływom Kręckiego. Czynił to z jakąś desperacką uległością.

Zdawało mu się, że czyni jakąś ofiarę z samego z siebie, ze swych pragnień, ze swych dążeń.

— Dobrze mi tak! — powtarzał w duszy, silnie rozgoryczony sam na siebie.

Ale — za co? nie wiedział.

Gdy Kręcki wyszedł do swego numeru, Leon leżał długo na łóżku i zagasiwszy świecę, otwartymi szeroko oczami wpatrywał się w przestrzeń.

Nie tylko całe ciało miał zbolące i udręczone, ale czuł w tej chwili, że ma duszę chorą chyba jeszcze więcej, niż ciało.

Była w jego piersi, w jego mózgu, w jego sercu, zdławiona, zmęczona, spętana ta biedna młoda dusza świeża jeszcze i chęci do życia pełna.

Leon przedstawiał sobie, z jakimi nadziejami jechał do Paryża, słyszał jeszcze słowa Jasia, słowa pełne zazdrości:

— Jaki ty szczęśliwy, będziesz z nimi razem pracował!

Pracuje teraz, pracuje i będzie pracował od jutra w cylindrze na dziedzińcu, pakując mydło i perfumy do wielkiej skrzyni, pełnej wiórów i skrawków bibuły!

Oni!

Widział ich — i teraz myślał o nich, jak o jakimś śnie dalekim, którego w formy konkretne ująć nie był w stanie.

Wydawali mu się dawniej jakimś jednym, wielkim posągiem wykutym z jednej bryły. Był pewien, że trzymają się ściśle ze sobą złączeni interesami kraju, że pracują w wielkiej zgodzie i jedności.

Teraz — posąg ten rozpadł się na tysiące kawałków. Tyle było... partyj! Gdyby nawet Leon chciał do nich się zwrócić, to do jakiej partji iść należało? do której się zwrócić?

A więc oni byli dla niego dalekiem znów i nieuchwytnym marzeniem. Należało iść samemu i pracować samemu. Ale jak?

Cisza wielka panowała dokoła.

Leon wyraźnie posłyszał, jak za ścianą Kręcki przewracał stronicę dziennika.

Czyta więc jego nowele!

Może teraz zmieni zdanie i przekona się, że on, Leon, nie ze złej chęci, lecz z niemożności, znajduje ciężką tę pracę mechaniczną, dla której Kręcki włożył się z taką łatwością.

I mimowoli Leon słowo po słowie prawie przypominał sobie dwie nowelki. — Tyle razy je czytał, że umiał je na pamięć. I nagle gorące łzy żalu za tem, co minęło, nabiegły mu do oczów.

Zdawało mu się, że go ktoś spętał i kajdany mu na ręce nałożył.

I ukrywszy głowę w poduszkę, Leon gorące, serdecznie — prawie po dziecięcemu płakać zaczął.

Na drugi dzień rano Kręcki wszedł do pokoju Leona i wyrzekł:

— Chodź pan! Przed pójściem do kantoru kupimy cylinder!

Mówiąc to, położył na stoliku złożone gazety.

Leon, zaniepokojony jego milczeniem co do krytycznej strony przeczytanych utworów, spojrział na niego pytającym wzrokiem.

Kręcki wzrok ten zrozumiał.

— Chciałbyś się pan dowiedzieć, czy masz talent? — zapytał.

— Według mnie — wyrzekł po chwili — pan masz... talent. O! ale nie triumfuj! Obecny talent pana leży w naiwnej prostocie formy, którą pan bezwzględnie zachowałeś. I dlatego pan nie dotrzymasz tego, co pan w tych nowelkach obiecujesz. Temat pan wybrałeś szczęśliwy. Poruszyłeś to, co nas najwięcej boli, to jest narzucenie obcego języka i tem porwałeś czytelników. Ale skoro pan zechcesz być więcej artystą, wykańczać, rzeźbić... — to już będzie ciężko!

— A potem — dodał jeszcze — pana talent jest oparty na samoobserwacji. Te nowelki są dlatego szczęśliwe, że są przez pana przeżyte. Jeżeli pan się puścisz w krainy fantazji — to już będzie... kłapa! Teraz naprzykład pan doskonale opiszesz, jak ciężka jest służba parobka, bo sam w piecu palisz i zamiatasz...

I u drzwi już dorzucił:

— I kantor się panu bardzo przyda!

Lecz Leon był jeszcze silnie zdenerwowany i wczorajszym płaczem podrażniony.

— Kantor mnie zabije — zawołał podniesionym głosem.

Kręcki spojrział na niego zdziwiony, poczem nagle posmutniał.

— Ja będę miał z panem ciężką biedę... zanim pana na człowieka wykieruję. Kantor pana nie zabije, bo i mnie nie zabił!

Leon zaczynał być niesprawiedliwym.

— Pan co innego, a ja co innego! — odparł prawie wyniośle.

Kręcki popatrzył na niego długo i zbliżył się powoli tak, że Leon widział po raz pierwszy, jak błękitne, zawsze wesole źrenice „handlowca“ zasunęły się jakąś mgłą smutku i melancholji.

— Mój panie! — wyrzekł nareszcie Kręcki — pan nie wiesz, co jest w mej duszy i prawdopodobnie nigdy się nie

dowiesz! I ja miałem inne aspiracje i drapałem się na wyżyny. Życie nauczyło mnie wiele i kazało zwinąć skrzydła.

Zwinałem je i teraz nikomu niemi oczów nie wykluwam! Czasem je rozwijam, dla własnej satysfakcji i przekonałem się, że kantor mi tych skrzydeł nie połamał, ani nie uszkodził.

A teraz, jeżeli wola, pójdziemy kupić cylinder!

Odtąd życie Leona zaczęło płynąć monotennie i jednostajnie.

Prace w kantorze spełniał Leon dość akuratnie ale bez „zapału“, jak twierdził Kwiatkowski.

Palił w piecu, zamiatał, pakował — przeważnie chodził za posyłkami i spełniał rozmaitego rodzaju polecenia.

Wieczorami — odrabiał francuskie zadania, tłumaczył i przerabiał na francuską prozę bajki Lafontaine'a, podczas gdy Kręcki mordował się nad podręcznikami angielskimi, z których koniecznie chciał się nauczyć po angielsku.

— Zdechnę... a będę mówił po angielsku! — powtarzał z chłopskim uporem, bijąc się pięścią w swą dużą, niekształtną głowę.

Wobec tej energii i chęci kształcenia się w swym fachu, Leon, przez poczucie ambicji, uczył się po francusku, co przychodziło mu z trudnością.

Lecz Kręcki powtarzał mu ciągle:

— Musisz pan umieć języki, inaczej jaki z pana będzie handlowiec?

Prawdopodobnie bardzo nędzny, gdyż on nie ma w sobie ani jednej z tych „żyłek“ które składają się na wytworzenie postaci polskiego handlowca.

Widział on ich z bliska, tych potentatów warszawskich, którzy kilka razy do roku spadają do Paryża poto, aby kupić kilka sztuk nowości a cały stock wysortowanych przedmiotów i towarów.

Przychodzili do kantoru Kwiatkowskiego, z którym mieli ekspedycyjne interesa i rozmawiali zawsze bardzo głośno, bardzo szumnie i bardzo wesoło.

Poczem wszyscy razem z Kwiatkowskim, jako... paryżaninem na czele udawali się do restauracji Peters'a na obiad lub śniadanie.

Obiady te i śniadanka trwały długo i gdy Kwiatkowski powracał po nich do kantoru, twarz jego była granatowa a oczy błyszczące.

Wogóle przez czas pobytu „tych panów z Warszawy“ wesołość panowała w kantorze.

Gwarno było, szumno — ludzie ci byli doskonale odżywieni, rumiani, zdrowi i dostatnio odziani. Kręcki wodził

rej — sadził się na koncepta i nazywał każdego „panem do-
brodziejem“.

Leon zaś usuwał się w cień, czując ciąglą i mimowolną
odrazę do tych patronów z bogactwem, mówiących zbyt
głośno i zadziwiających Paryż swemi „mikołajewskimi“
płaszczami.

Gdy wyszli, Kręcki zaczynał opowiadać historję każdego
z nich i historje te były nadzwyczaj do siebie podobne.

Każdy z nich dorobił się majątku z „niczego“, każdy
przeszedł nędzę — pracował i teraz posiada tyle i tyle ty-
sięcy rubli.

— I dla pana to jest... ideał handlowca! — rzucił raz
Leon ironicznie.

— Nie! odparł Kręcki, dla mnie ideałem handlowca
jest fabrykant, właściciel fabryki...

— To przemysłowiec! — przerwał Leon.

— Nie! to także handlowiec! Otóż ja chciałbym mieć pod
swemi rozkazami całe setki ludzi, całe wojsko, i obracać
nimi, prowadzić...

— Ja zaś tegobym nie pragnął — odparł Leon, zbyt
ciężka to odpowiedzialność!

— W tem właśnie cały szyk! wiedzieć, że tylu ludzi
cię słucha, że tylu ludzi od ciebie zależy.

— Być odpowiedzialnym za ich moralne i materjalne
warunki życia... — dorzucił Leon.

Kręcki urwał i popatrzył na niego przez chwilę.

— Pan Grzegorzewski się kłania? — zapytał ironicznie.

W Leonie serce załopotało radośnie.

Więc coś łączyło go z tamtymi, o których starał się
już nie myśleć, nie marzyć, pograżając się coraz więcej
w swej karierze handlowca.

— Nie wiem, czy to Grzegorzewskiego jest także prze-
konanie — wyrzekł po chwili — ale, że jest moje własne
i głębokie, to więcej niż pewne!

— A jaki pan jesteś niesprawiedliwy! zaczął znów Krę-
cki. — Pan sądzisz naprzykład tych „Warszawskich panów“
powierzchnownie, nie mając żadnych danych na to, aby ich
pod względem humanitarnym potępiać. Pomiędzy nimi
jest jeden, który robi dużo dla swych pracowników.

Wysłała panny ze swego magazynu na wieś w mie-
cach letnich!

— Robi swój obowiązek! odparł Leon obojętnym to-
nem — zresztą dziewczęta te są tak wycieńczone karnawa-
łową albo wyścigową pracą, że ów pan z konieczności wy-
syła je na trawę. Inaczej nie mogłyby znów orać cały na-
stępny sezon!

Kręcki ręce założył w tył i usta szeroko roztworzył.

— A!... a!... — wyrzekł nareszcie — pan powinienes udać się pod sztandar Grzegorzewskiego. Pan tam będziesz bardzo pożyteczny.

Na Leona uderzyły ognie.

Szybko wyszedł do drugiego pokoju, pragnąc oswoić się z tą myślą, że on ma jakieś warunki i kwalifikacje, które uczyniłyby go „pożytecznym“ dla bandy Grzegorzewskiego.

W ostatnich czasach zwątpił o sobie.

Był to znów pierwszy jaśniejszy promyk, który mgłę, otaczającą dokoła, przebijać zaczął.

W kilka dni po wyjeździe panów z Warszawy, Leon, powróciwszy do kantoru, zastał Kwiatkowskiego rozprawiającego z pułkownikiem Montalembert, którego postać dobrze utkwiała w pamięci Leona. Pułkownik, ubrany w długie, eleganckie palto, w cylindrze, z wstążeczką legji honorowej, siedział tuż przy biurku i rozmawiał serdecznie i po przyjacielsku z Kwiatkowskim.

Słyszac, jak Kwiatkowski wydawał jakiś rozkaz Leonowi po polsku — zawołał z entuzjazmem po francusku:

— Sami Polacy! jak mi tu dobrze, jak mi tu miło wśród was!... tak się czuję wśród swoich!... Jaki pan zacny, szlachetny jesteś, że dajesz pracę swoim rodakom!...

Kwiatkowski skłonił głowę z wielką skromnością.

— To jest mój obywatelski obowiązek! — odparł, jakby uchylając się przed nienależnym mu hołdem.

— A ci młodzi ludzie? — pytał dalej pułkownik, patrząc przyjaźnie na Kręckiego i na Leona, którzy zabrali się do sortowania całej masy maszynek benzynowych, przyniesionych im przed chwilą — może to biedni wygnańcy? może bez paszportów, może uciekać chcieli przed przesładowaniem?

Kwiatkowski zaprzeczył.

— Tak! tak! zapewne... nie przeczę! — odparł pułkownik — jednak mój Boże! w tych ciężkich czasach, jakie wy tam w kraju przeżywacie, to zdarzyć się może niejedno.

I zwracając się wprost do Leona, zapytał:

— *Jeune homme!* proszę, powiedz mi — czy to prawda, że was w szkołach uczą wszystkich przedmiotów w rosyjskim języku, a język polski jest tylko dodatkowym — jako język obcy. Czy to być może?

— Tak! — odparł Leon i mimowoli z maszynką w rękę zbliżył się ku pułkownikowi.

— Ależ to okropne!... — krzyknął pułkownik z oburzeniem — przecież to was musi strasznie udręczać? co? Udręcza was? Prawda, młody człowieku?

— Naturalnie! — odparł cichym głosem Leon.

— I dlaczego wy się nie zbuntujecie? dlaczego wszyscy razem nie powiecie — my... nie chcemy! Dlaczego wreszcie

nie pouciekacie tutaj, zagranicę, gdzie są przecież ludzie, którzy was przyjmą, przytulą...

Zwrócił się zupełnie ku Leonowi i Kręckiemu.

— I gdyby który z was w zaufaniu przyszedł do mnie i powiedział — „pułkowniku! zrobiłem to i to — zbuntowałem się, uciekłem, jestem w potrzebie, moi także... wtedy ja ostatni grosz oddam, bo kocham taką młodzież, która ma krew i temperament!...”

Leon patrzył na niego i zdziwił się, jak brzydka i niesympatyczna twarz Montalemberta stała się jasną i pociągającą. Oczy się zaiskrzyły, rysy wyszlachetniały.

Powstał i z bocznej kieszeni wyjął trzy wizytowe bilety.

Kolejno podał je Kwiatkowskiemu, Kręckiemu i Leonowi.

— Proszę -- wyrzekł — weźcie, rozporządzajcie mną w każdej chwili!... Czem mogę — to jest mieniem mojem, nazwiskiem, sobą samym, pragnąłbym choć w części wynagrodzić wam krzywdę, jakiej się dopuszcza względem was i całego cywilizowanego świata moja ojczyzna, Francja, zawierając sojusz z waszym wrogiem i tyranem!

Uściśnął gorąco rękę Kwiatkowskiego a głównie serdecznie i długo żegnał się z Leonem, w którego oczach widocznie wyczytał zbudzoną dla siebie sympatię.

— A pamiętajcie, młodzi ludzie — wyrzekł — iż działać, działać i jeszcze raz działać potrzeba. Nie wolno zasypiać, ale budzić siebie i drugich do walki.

I we drzwiach już dodał:

— A pamiętajcie... ja, choć stary, z wami!

I wyszedł marsowym krokiem, a pomimo to zamykając drzwi cichym, miękkim ruchem, nie licującym z jego marsową postawą.

Po jego wyjściu zapanowało pewne milczenie. Kwiatkowski chrząkał i poprawiał się na krześle.

Leon schował do kieszeni kurtki bilet z adresem pułkownika.

Kręcki pierwszy przerwał milczenie.

— Nie podoba mi się ten Francuz! — wyrzekł, zapalając gaz, gdyż z powodu ciemnego podwórka, na które wychodziły okna kantoru, nieraz należało zapalać gaz o drugiej godzinie po południu.

Leon i Kwiatkowski spojrzeli na Kręckiego ze zdziwieniem.

— Dlaczego się panu pułkownik nie podoba? — spytał Kwiatkowski.

— Nie wiem... ale... tak... coś tego...

— Mój panie! — wygłosił właściciel kantoru — dla tak... coś... tego... nie potępia się człowieka!

— Ależ ja go nie potępiam, mówię tylko, że mi się nie podoba...

Końcem palca zadarł swój nos do góry.

— Przy tem taki nos... brr... Pawłowski pułk w Petersburgu mi się przypomina *).

Kwiatkowski pokiwał głową ze smutną ironją.

— Otóż to... — wyrzekł — otóżto zwykły, powierzchowny sąd o ludziach z powodu ich nosa albo łysiny. Pan widziałeś nos, a ja, mój panie, widziałem serce tego człowieka, który sam przyszedł do nas, odszukał nas, odnalazł i ofiarowuje swoje usługi i swój majątek na sprawy emigracyjne!...

Zawiesił głos i po chwili dodał.

— Panie Kręcki, pan za lekko zapatrujesz się na sprawy, mogące przynieść pomoc twoim rodakom na obczyźnie!

— Otóż to... — odparł Kręcki — ogłoś mnie pan zdrajcą i powieś na latarni, a ja tymczasem korespondencję załatwię.

Leon, zatrudniony w swym kącie, nie mieszał się do rozmowy, lecz i on nie aprobował nagłego wystąpienia Kręckiego.

O ile pułkownik nie porwał go i nie rozentuzjazmował w Sali geograficznej — może dlatego, iż mówił do ogółu — o tyle tu, w bliskości, zwłaszcza gdy ścisnął jego rękę, prąd sympatji ogarnął go całego.

Naprawdę, Kręcki był niesprawiedliwy i Kwiatkowski, jakkolwiek niepotrzebnie mówił w tak napuszony sposób, jednak miał rację.

Leon spojrzął z pod oka na Kręckiego i zadziwił się, jak ten mu wydał się jakoś niesympatycznym. Jego grube rysy, odęte wargi, chłopskie, ordynarne ręce — znamienne cechy „niskiego“ pochodzenia występowały w świetle gazu. — Leon, syn podupadłej „obywatelki“, mimo wszystko i bezwiednie lgnął tam, gdzie była „rasa“. Przytem Leon był świadkiem, jak Kręcki w ostry a nawet brutalny sposób odprawił jakiegoś Polaka — przychodzącego po raz piąty do kantoru w „ważnym interesie“.

— Pana Kwiatkowskiego niema i nie będzie! — mówił Kręcki, zamykając prosiącemu drzwi przed nosem.

— Przekłęte próżniaki! — dodał — pracować nie chcą, tylko od domu do domu się włóczą... Tylko wstyd Polsce w Paryżu robią...

Leon usta zaciął, gdyż miał ochotę powiedzieć kilka gorzkich słów Kręckiemu za jego bezwzględność.

Wprawdzie jegomość „proszący“ miał palto lepsze i cieplejsze, niż on i nowe buty — ale niemniej mógł to być

*) Pułk rosyjski, w którym wszyscy żołnierze mieli przełamane nosy.

człowiek potrzebujący pomocy. I w sercu Leona zaczynało coś się gotować, burzyć przeciwko Kręckiemu, lecz całą siłą woli starał się uspokoić to wzburzenie.

— On jest dla mnie tak pocziwy! — myślał, siłąc się na spokój.

I teraz z powodu pułkownika ta jakaś nerwowa antypatja, jeszcze bardzo słaba, targnęła Leonem.

Stał więc w kącie i dopełniając sortowania maszynek, patrzył z pod oka na Kręckiego.

Nagle drzwi wchodowe otwarły się i z szumem weszła do kantoru młoda i bardzo strojna kobieta.

Wszedłszy, zatrzymała się u progu i z wielkim wdziękiem pochylając głowę, wyrzekła:

— Dzień dobry, a raczej dobry wieczór panom!

Głos jej był śliczny, miękki, melodyjny i miał *timbre* srebrnego dzwoneczka.

VI. Wilhelminka.

Zobaczywszy nowoprzybyłą, Kręcki porzucił korespondencję i radośnie zawołał:

— Panna Wilhelminka!

Z krzesła porwał się również Kwiatkowski, którego nieustanne syczenie gazu usypiać zaczęło.

— Proszę, proszę, niech pani usiedzie... — mówił, szastając się, rozbudzony i nagle ożywiony — cóż nam tu panią sprowadza?

— Chciałam przedewszystkiem złożyć wam wizytę!

— Nie wierzę! — zawołał Kręcki — ręczę, że już tam są jakieś bileciki w kieszeni.

Kobieta roześmiała się, ale rzeczywiście tak czarująco, iż za złe jej nie można było wziąć przeciągnięcie umyślne tego śmiechu.

— To... później! Teraz pozwólcie mi panowie ogrzać się trochę... Jestem cała zziębnięta!

— Usiadła, szeleszcząc jedwabiem podszewek i zaczęła się rozglądać dokoła.

— Więc tak wygiąda kantor? — zapytała z miną królowej, będącej w odwiedzinach u chłopca.

— To nasze prosektojum! — odparł Kręcki.

— Och!... prosektojum! — śmiała się panna.

Kwiatkowski podsunął jej pudełko z papierosami.

— Pani nie pali? — zapytał.

— Ja? — zdziwiła się Wilhelminka — cóż znowu? Czy uważa pan, że każda z nas musi koniecznie palić? To są już tak przestarzałe pojęcia, że dziwić się panu należy.

Wydobyła ze zgrabnej mufeczki ładną bombonierkę wenecką, oplecioną złotymi łańcuszkami.

— Natomiast, jeżeli mogę służyć... — wyrzekła, podając Kwiatkowskiemu bombonierkę — proszę... fioletki osmażone w cukrze, moje ulubione cukierki... proszę!

Kwiatkowski dziękował, lecz Kręcki podsunął się z miną kłowna.

— Łapy mam brudne, bo pakowałem towar! — wyrzekł, klękając tuż przed piękną panną — ale panna Wilhelminka włoży mi w usta jeden cukierek...

Na Leona, ciągle zajętego w kącie maszynkami, uderzyły ognie.

— Jak mógł Kręcki prosić tę panią o coś podobnego? co za wychowanie!

Lecz zdumienie jego wzrosło, gdy zobaczył, jak panna Wilhelmina zdjęła, śmiejąc się, białą rękawiczkę i długimi, cokolwiek zaróżowionymi na końcach palcami wzięła jeden cukierek i włożyła go w otwarte usta Kręckiego.

— Caczana paniusia! — wyrzekł Kręcki i pocałował pannę w rękę.

Wzrok Wilhelminy prześliznął się po Leonie i bombonierka zniknęła w ładnej pluszowej mufce.

— A zawsze szyk, paniusiu! mówił Kręcki, gładząc popufale plusz mufki — żakiecik pluszowy, sukieneczka angielska, kapelusik także Old England... buczki ślicznusie... bardzo, bardzo, bardzo ładna nusia!...

Wilhelmina słuchała, widocznie rada z tych komplementów, w pół dziecinnej wyrażanych formie.

W całej jej postawie, w sposobie siedzenia, patrzenia dokoła, było to coś z kobiety, która jest przyzwyczajona ciągnąć ku sobie spojrzenia mężczyzn i ich łaskawe słowa.

Leon nie patrzył nawet w jej stronę a jednak czuł, że musi gwałt zadawać sobie, aby nie skierować ku niej swych oczów. Nie rozumiał tylko, dlaczego był tak głupio zmieszany.

Ręce mu drżały, krew biła do głowy. Miał ochotę wyjść z kantoru i posiedzieć w szopie, dopóki ta kobieta nie wyjdzie, ale zmieszanie jego było tak wielkie, że poprostu nie śmiał przejść przez kantor.

Tymczasem Kręcki ciągnął dalej swą banalną rozmowę i teraz wpadł na rodzaj indagacji co do osób, należących do tak zwanej „studenckiej kolonji“.

Wilhelmina na każde pytanie odpowiadała: „nie wiem! nic nie wiem, nic nie powiem!“

Wreszcie dodała:

— Dlaczego pan sam się do nas nie wybierze? Dowie się pan o wszystkim na miejscu!

— O! — zawołał Kręcki — to tak daleko ta wasza Glasiera... za morzem. Omnibusami pięć godzin, a piechotą, idzie się dwa dni i jedną noc!... Ja nie mam czasu!

— Ale do cafe koncertów ma pa pan czas chodzić!

— Bliżej... nie na Glasierze!

— Nie ma zlej drogi... pan wie!...

— A toż właśnie w tem bieda, że ja nie mam na Glasierze swojej niebogi. Gdybym ją miał, to kto wie! Możliwym codzień dwa dni i jedną noc szedł w wasze strony.

Umilkł na chwilę, porwał z rąk Wilhelminy mufkę i przyłożywszy ją do ust, wachać zaczął.

— Pachnie... śliczności... jakie to fjołki... nie Vera? nie Pinaud — nie San Remo?

Wilhelminka, śmiejąc się, porwała mufkę i wyjąła z niej garść świeżych fjołków.

— Takie... bulwarowe fjołki! — odparła.

A potem jeszcze z kieszonek żakietu dobywała nawpół zwiędłe fjołki i rzucała je na Kręckiego, mówiąc:

— I tu jeszcze! i tu! i tu!

A potem szybko zmieniając temat rozmowy, dodała, zwracając się do Kwiatkowskiego:

— Nigdy nie byłabym znalazła, gdzie jest kantor pana, ale spotkałam kogoś, kto mnie aż tu doprowadził. Właśnie ten, kto był także u pana...

Kręcki zawołał:

— Ten ktoś ma nos tatarski!

Kwiatkowski spojrzał na swego jedynego i głównego urzędnika surowo i potem, zwracając się ku Wilhelminie z przesadzoną etykietą, zapytał:

— Pani dobrodziejka zapewne mówi o szanownym pułkowniku Montalembert, który raczył odwiedzić mnie przed chwilą.

— Tak! — odparła Wilhelminka — cóż to za miły człowiek! A jakie on ma poczciwe względem nas zamiary! Panowie nigdy nie zgadniecie, co on mi ofiarował...

— Swoją rękę!... — krzyknął Kręcki.

Wilhelmina roześmiała się.

— Wcale nie! Nie wpadł na ten dobry projekt, ale proponował mi, aby...

Urwała — i po chwili dodała:

— Zresztą, nie wiem, czy powinnam!... Wprawdzie pułkownik nie zastrzegł sobie sekretu, ale bez jego upoważnienia nie powinnam zdradzać jego projektów.

I znów, z pewną afektacją zmieniając temat rozmowy, wyrzekła:

— Zimno dziś przejmujące... zmarzłam, idąc do was! Kwiatkowski odwrócił się szybko w stronę Leona.

— Dołóż pan węgla do pieca! rozkazał krótko.

Leon pozostał, jak przykuty do miejsca.

Posłyszał szept Wilhelminki:

— To także Polak?

I poczuł jej spojrzenie ciekawe, przenikające go do głębi. Zdawało mu się, że niema potęgi świata, która zmusiłaby go w tej chwili przejść przez kantor i ukłękawszy przy piecu spełniać funkcję stróża albo popychadła kantarowego.

Zniecierpliwiony Kwiatkowski powtórzył:

— Dołóż pan węgla! słyszysz pan!

Lecz nawet Kręcki porwał się z miejsca i zawołał:

— Niepotrzeba!... niech pan Leon dalej pakuje a ja sam węgli dołożę. Zresztą ja wiem, że panna Wilhelminka lubi patrzeć, jak się pali antracyt... ja trafię do gustu.

I z wielkim ferworem począł dorzucać czarne grudki antracytu do ognia.

Leon nie uczuł, żadnej wdzięczności dla Kręckiego za wybawienie go z kłopotu. Przeciwnie, żal w nim wezbrał straszny, że to za przyczyną Kręckiego on musi znajdować się w tej chwili w tak fatalnej pozycji.

Kręcki załatwił swą czynność z piecem, i z obcęgami w rękę zwrócił się ku Wilhelmince.

— A teraz muszę pani przedstawić naszego nowego współpracownika! Zadziwi się pani, gdy wymienię jego nazwisko — Orlicki!...

Wilhelminka widocznie czytała nowele Leona.

— A!... — zawołała — to pan może, który...

Nie dokończyła, nie wiedząc, czy Kwiatkowski i Kręcki byli wtajemniczeni.

W Leonie serce zabiło wielką dumą i radością. Sam odpowiedzieć nie śmiał, ale dałby dużo za to, aby Kręcki potwierdził zapytanie Wilhelminki.

Lecz Kręcki z minąmi kłowna zbliżył się znowu i kucznąwszy na ziemi, zapytał:

— No? cóż tam dziś paniusia nam ze swego woreczka za niespodziankę wyciągnie? Bilecik na bal? na koncert? loteria? grób Słowackiego? Brazylijczycy? Stypendjum dla studentki? stypendjum dla studenta? towarzystwa Weteranów? Polska pomoc? Łączność?... a może tajemnicze cele Grzegorzewskiego?

Na to ostatnie nazwisko Wilhelminka otrzęsała się niecierpliwie.

— Rzeczywiście, przychodzę tu z prośbą o przyczynienie się do pewnej małej składki, ale zarazem muszę prosić, aby przy mnie nazwisko Grzegorzewskiego nigdy w formie żartobliwej nie było wymienione!

— Ta! ta! ta! — zawołał Kręcki — ma się rozumieć, tacy wstętni burżuje*), jak my, nie mamy nawet prawa wymówić nazwiska waszego bohatera!...

— Być może!... — odparła sucho Wilhelminka.

Leon po raz pierwszy zdecydował się podnieść na nią oczy.

W oczach tych wyrażała się wdzięczność i uwielbienie. Kwiatkowski, dowiedziawszy się, że strojna dama przy-

*) Spolszczony przez kolonję wyraz *bourgeois*, używany w formie pogardliwej dla oznaczenia klasy wyzyskiwaczy, kapitalistów i pasożytów.

szła znów z jakimiś biletami, czy listą składek, wyprostował się, spoważniał i zaczął przewracać papiery.

Nie lubił otwierać kieszeni na „rozmaite cele“ i wogóle nie lubił bawić się w dobroczynność. Nienapróżno ożenił się z Francuską, która dzieciom swym na Nowy Rok dawała w prezencie książeczki kasy oszczędności.

Lecz Wilhelminka z dziwną układnością rozjaśniła swą twarz najmiłym uśmiechem i wyjąwszy kilka biletów, napisanych ręcznie na świstkach papieru, położyła je przed Kwiatkowskim.

— Taniutki bilety!... — zaczęła głosem Warszawianki, sprzedającej wysortowaną japońszczyznę na bazarze — tanie bilety i cel godzien poparcia!...

— Czy wolno wiedzieć, jaki cel? — zapytał poważnie Kwiatkowski.

Czuł, że się nie wymknie, więc chciał chociaż torturować swego kata przez chwilę.

Lecz Wilhelminka zwinęła się jak pluszowy wąż i przechyliła ślicznie kształtną główkę.

— Może mnie pan uwolni od zdradzania cudzej tajemnicy! — wyrzekła prosząco.

Kwiatkowski skłonił się nisko i z szufladki wyjął — pięć franków.

— Służę pani! — wyrzekł — przepraszam, że tak mało... ale...

— O! — odparła Wilhelminka, powstając — i to dużo... Sam P. nie dał więcej, pomimo, że to przecież miljoner.

— Ale może dodał pani „Rycerzy“ z dedykacją — zapytał Kręcki.

— „Rycerzy“ posiadam już od dawna z dedykacją — „młodej Polce — na drogę życia“.

— Hm! piękna i wzniosła dedykacja — przemówił Kwiatkowski.

— Rzeczywiście! — grzecznie dorzuciła Wilhelminka i zwracając się do Kręckiego, dodała:

— A pan pułkownik Montalembert wziął 30 biletów. I wyciągnęła ku niemu rękę z biletami.

— Ja? — śmiał się Kręcki — cóż ja dać pani mogę, jeżeli P..., który krocie na giełdzie zarobił, dał pani sto su... Wreszcie... dla miłego spokoju — proszę o dwa bilety. Oto dwadzieścia susów.

Leon czekał, że i na niego przyjdzie kolej. W kieszeni miał dziesięć franków, które miały mu wystarczyć do końca miesiąca, ale był przygotowany oddać je, aby zawstydzić i upokorzyć swego pryncypała, postępek wielkiego autora-giełdźiarza i Kręckiego, do którego czuł teraz coraz wyraźniejszą antypatję.

Lecz Wilhelminka po chwilowem wahaniu resztę biletów wsunęła w woreczek, zamknęła portmonetkę i opuściwszy tiulową, białą, haftowaną gęsto woalkę na twarz, zaczęła żegnać się z Kręcim i Kwiatkowskim.

— Do widzenia — mówiła, podając ślicznym, pełnym gracji ruchem rękę — do widzenia, dziękuję, jeszcze raz dziękują!

— Niech pani doda, Bóg wam zapłać! — zastosował Kręcki.

— Na pana gniewać się niepodobna! — odparła ze śmiechem młoda panna i z szelestem jedwabnych spódniczek kierowała się ku wyjściu.

Nagle Kwiatkowski porwał się z miejsca.

— Ja panią odprowadzę! — zawołał.

Ale ona wzbraniała się, po co? na co? na ulicy jeszcze dzień...

— Do omnibusu panią doprowadzę — i tak miałem wyjść za interesami.

Ubrał się pospiesznie i dodał z przesadną galanterją:

— Służę pani!

Ona jeszcze u drzwi przekomarzała się z Kręcim, który mówił do niej z udaną skruchą:

— Niech mi już pani daruje tego Grzegorzewskiego... już nigdy o nim lekko mówić nie będę.

— Radzę panu! Możemy się pogniewać na serjo!... Zresztą, gdybyśmy byli sami — ale... (zniżyła trochę głos) wobec... obcych!

— Pani za dobra i za ładna, aby się długo mogła na Julisia gniewać...

— No!... radzę Julisiowi, niech Julis nie nadużywa.

— Służę pani! — zawołał po raz drugi Kwiatkowski.

— A przepraszam... pan już gotów! idziemy!...

I wyszła z szelestem i delikatnym, nieuchwytnym, brzękiem portbonheurów, zawieszonych na złotym łańcuszku branzoletki.

Kręcki stał w otwartych drzwiach i patrzył, jak zręcznie, unosząc suknię z szykiem czystej krwi Warszawianki, przechodziła dziedziniec zagracony masą pak, paczek i wiórów.

Za nią podążył Kwiatkowski z miną ważną starzejącego się Don Żuana.

Gdy znikli w bramie, Kręcki powrócił do kantoru i zamknawszy drzwi, wciągnął w siebie powietrze.

— Ta dziewczyna pozostawia po sobie zawsze zapach świeżych fijołków! Strasznie to lubię!...

I usiadłszy przy biurku, zabrał się do przeglądania korespondencyj.

Leon skończył dawno sortować maszynki i stał teraz beczynnie, oparłszy się o ścianę, mimowoli wpatrzony

w to krzesło, na którym poprzednio znajdowała się Wilhelminka.

Czuł się upokorzony i dotknięty słowami tej kobiety. Powiedziała „wobec.. obcych!“

Więc on, który piórem i czynem dowiódł swych przekonañ, był dla niej.. obcym, a Kręcki prawdziwy burżua, karjerowicz, który drwi z Grzegorzewskiego i często z najpiękniejszych i najprawdziwszych porywów młodzieży — jest jej bliższy — jedynie dlatego, że zna go dawniej i był jej przedstawiony temu kilka miesięcy. Co za powierzchowny sąd i jaka oburzająca niesprawiedliwość!

Zestawiła go razem z Kwiatkowskim, z jednym z tych ślimaków, którym sam Grzegorzewski tak gorzką prawdę cisnął w oczy przed trzema miesiącami.

Oto — czego się doczekał, siedząc w tym kantorze!

— Prawda! szykowna panna? — odezwał się nagle Kręcki, nie podnosząc głowy z nad papierów — podobała się panu, co?

Czy mu się podobała?

Leon nie wiedział nawet dokładnie, jak Wilhelminka wygląda, jakiego koloru ma włosy, jakie rysy...

Wiedział tylko, że to była jakaś niezwykła harmonja, coś rozkosznego i powabnego — pachnącego i odurzającego zarazem.

— A skoro się pan dowiesz — ciągnął dalej Kręcki — kto ona, to pan zgłupiejesz, że taka szyk dziewczyna może się zajmować taką wstrętną rzeczą.

— Któż ona? — machinalnie prawie zapytał Leon.

— Studentka medycyny! brzmiała odpowiedź.

VII. Leon się buntuje — Władek.

Gdy trzy miesiące służby Leona w kantorze minęło, Kwiatkowski zaanonsował mu uroczystym głosem:

— Podwyższam panu o dwadzieścia franków miesięcznie, choć czynię to jedynie dla zachęcenia pana, a nie dlatego, ażebym był z pana pracy zupełnie zadowolony. Nie masz pan energii, ani zapału. Wszystko robisz jak z łaski. Mam jednak nadzieję, że ocenisz pan moje dobre serce i zabierzesz się ze zdwojoną gorliwością do pracy!

Powiedziawszy tę małą mówkę, Kwiatkowski wziął palto i cylinder i poszedł do kawiarni na szachy.

— A widzi pan! a widzi pan! — zawołał radośnie Kręcki — ciesz się pan, już masz podwyżkę. Niedługo przyjmujemy chłopca do grubszych robót, a pan będziesz tylko chodził do klientów... No i cóż? nie cieszysz się pan?

Nie, Leon nie cieszył się wcale.

Zmarszczka, którą miał od pewnego czasu na czole, pomiędzy brwiami, nie ustąpiła ani na chwilę. Widocznem było, iż chłopak dużo pracuje myślą i że myśl ta jest smutna i ciężka do przetrwania.

— Pan jesteś dziwak! — mówił znów Kręcki — przeszedłeś pan już najcięższe chwile, przyzwyczałeś się do pracy, zdaje mi się nawet, że polubiłeś ją i tylko przez dziecinny upór nie chcesz się przyznać, że czujesz się zadowolony.

I Kręcki ramionami z niecierpliwością wzruszył.

Ach! nie! on nie był zadowolony i „włożony“ do pracy, ten mały marzyciel o sentymentalnych oczach i rozgorzałej jeszcze w kraju wyobraźni. On był tylko przybity, ogłuszony z początku znużeniem fizycznym, jakie wywoływała w nim nieludzka ilość pracy i ruchu, jakiej żądano od jego anemicznego ciała.

Lecz teraz — gdy mięśnie się wzmocniły i przyzwyczały do tej pracy — myśl znowu rozwijać się zaczynała i wyrwać z więzów, jakie na nią włożono.

To, co zadawałoby potrzeby estetyczne Kręckiego, to jest chodzenie do Luwru i stawanie godzinami w niedzielę

przed Rubensami lub słuchanie piosenek z XVIII. stulecia nuconych półgłosem przez Irmę Perrot na scenie Eldorada, nie było dostateczną strawą dla duszy Leona.

On miał inne ideały życiowe, jak kilka łokci namalowanego płótna, lub pewną ilość dźwięków, ujętych w harmonijną formę.

Coraz więcej pragnął walki, czynów, narażenia się na niebezpieczeństwa, słowem szerokich horyzontów, wśród których widnieją w błyskawicach, gruzach, krwi i pożodze wielkie kataklizmy dziejowe.

Listy odbierane od Jasia, z kraju, przyczyniły się nie mało do podniesienia w nim tej burzy, która szumieć w nim zaczynała.

Jaś pytał, nacierał — chciał wiedzieć, w jaki sposób Leon rozpoczął za granicą swą pracę dla kraju. Co mówią w kolonii? Jakie mają nadzieje? Czy on, Leon, zajął już jakieś stanowisko...

Leon umówionemi znakami, a właściwie alegorją słów odpowiadał, lecz zarazem kłamał, nie mając odwagi przyznać się przyjacielowi, jak nędzne i bezużyteczne dla sprawy było jego istnienie. Jaś jednak w listach tych zrozumiał i przeczuł, że Leon gnuśniej w bezczynności i w ostatnich swym liście w silny i energiczny sposób pobudzał swego przyjaciela do innych i bardziej dodatnich rezultatów swego pobytu w Paryżu.

— Co ja mu odpowiem! — myślał z rozpaczą Leon, podczas gdy Kręcki kazał mu się cieszyć z podwyższenia pensji — wyznam mu całą prawdę, może on mię wyratuje z tej ślimaczej egzystencji, z której wyrwać się poprostu nie mam odwagi.

Chciał pisać i z przestachem uczuł, że nie jest w stanie stworzyć nawet kilku wierszy korespondencji, które dawniej z taką łatwością i artystycznym zacięciem pisywał no-cami całami.

Brakowało mu tematu.

W Paryżu — żył mało Paryżem, miał za mało wykształcenia. aby ogarnąć duchowo artystyczny rozwój kraju, z kolonją nie miał nic wspólnego, o czemże więc mógł pisać? Wszystko dla niego było — obce!

Co zaś do noweli, i te zdawały mu się być oddzielone od niego całą przepaścią. Nerwowy niesmak, jaki wzbudzały w nim jego codzienne zatrudnienia, gasił w nim iskry zapалу i młodzieńczego natchnienia.

— Jutro trzeba będzie w piecu palić i kantor zamieść — mówił do siebie z gorzką ironją, leżąc na swem hotelowem łóżku.

I słysząc za ścianą, jak Kręcki chrapie, z szalonym rozżaleniem wyciągał ku niemu zaciśniętą pięść.

— Ach!... ty! ty!!! mówił prawie półgłosem z niezwykłą nienawiścią i żalem.

Teraz Kręckiego winił i oskarżał o wszystko. Gdyby nie Kręcki — on byłby dawno już po tamtej stronie Sekwany, gdzie ludzie pracują, gdzie żyją, gdzie są wreszcie „ludźmi“.

Młoda jego imaginacja galopowała gorączkowo, przedstawiając sobie obrazy tej pracy, której nadawała potężne, olbrzymie znaczenie.

Skutki jej dla kraju rosły do gigantycznych rozmiarów i podkopywały gniotących Polskę olbrzymów. — Najszałeńsze zamiary obracały się w czyny i wybuchały nagle, potężne i groźne, dyktujące prawa i zmieniające doszczętnie obecny ciężki stan rzeczy.

I on! on, Leon musiał patrzeć bezczynnie, jak tam drudzy pracują i sam dobijać się handlowej kariery, która jak kłoda zwała mu się u nóg, tuż na progu życia.

Kontrola Kręckiego, przyjacielska, serdeczna ale mimo to... kontrola — dla Leona, pragnącego swobody i wolności przedewszystkiem, była strasznym, ciężarem gniotącym go codziennie i najwięcej przyczyniającym się do podniecenia jego nerwów.

Kręcki, przyzwyczajony od dziecka prawie do zajmowania się i opiekowania kimś, podlegającym jego wpływowi — rozaczał teraz swą opiekę nad Leonem, nie czując nawet, jak zbyt dużą nieraz i nieznośną jest ta opieka.

Dawniej młodsze siostry, później uczniowie byli dla niego przedmiotami nieustannego czuwania. I teraz, gdy mu zabrakło takiego „uczni a“, rzucił się na Leona, jak na zdobycz, przewodząc mu, kierując jego wykształceniem i broniąc go z dzikim uporem przed zetknięciem się z „kolonją“.

Z tego wynikło, iż Leon, nie mogąc swoich czynów usunąć z pod ciągłej kontroli — usuwał przynajmniej myśli i rozkoszował się nadzieją tych marzeń, które go okrażały coraz silniejszą i więcej odurzającą siatką.

— Być tam! z nimi! — powtarzał, gryząc czasem do krwi wargi.

Przytem jeszcze jeden fakt uszedł kontroli Kręckiego.

Nazajutrz, po bytności Wilhelminy w kantorze, Leon, zamiatając rano podłogę, znalazł porozrzucane, zwiędnięte, lecz nie zeschnięte jeszcze fijołki.

Zebrał je z myślą wrzucenia do pieca.

Lecz pierwej — machinalnie podniósł rękę ku twarzy i woń delikatna i nadzwyczaj subtelną owionęła go dokoła.

Przez chwilę — Leon ujrzał przed sobą Wilhelmine, posłyszał jej głos, jej śmiech, przeżył tę chwilę, gdy spojrzała na niego, mówiąc:

— A więc to może pan, który...

I Leon, zamiast spalić fijołki, włożył je w kantorową kopertę i schował.

Lecz, gdy do domu przyszedł, wyjął kwiatki z tej koperty, oznaczonej firmą i adresem kantoru, i przełożył je do innej, różowej, którą kupił po drodze.

Tak wielką bowiem była jego nienawiść do owego kantoru, że nie chciał, aby Wilhelmina miała jakąkolwiek styczność z handlowcami interesami.

— Ona szczęśliwa, swobodna — myślał — żyje, pracuje, działa, widuje Grzegorzewskiego — kto wie, może... kocha go! a ja!...

W takim nastroju ducha znajdował się Leon, gdy Kwiatkowski oznajmił mu, iż podnosi mu pensję o dwadzieścia franków.

Kręcki, nie mogąc się doczekać objawów radości ze strony Leona, wyszedł za interesami na miasto. Leon pozostał sam.

Zapalił gaz, jakkolwiek jeszcze widno było.

— Niech jak najwięcej gazu wychodzi! — mówił sobie z dziecinną pasją, niech wszystko się zrujnuje w tej przeklętej jaskini.

Z nienawiścią spojrzął dokoła.

Te szary ściany, oklejone nudnym, głupim papierem, ten gaz wiecznie syczący, wióry i bibuła na podłodze, w kacie paka z węglami i piec, ten piec znieawidzony, maltretowany jego od gorączki drżącą ręką od rana do wieczora.

— Katorga! — wyszeptał. — Katorga duszy i ciała.

Usta jego wykrzywił gorzki uśmiech ironji.

I poco ci było, głupcze, uciekać z kraju? — myślał — poco to wszystko? Czy nie lepiej było iść na Sybir i tam cierpieć duchową i cielesną męczarnię. Przynajmniej wiedziałbyś, dla czego cierpieć i lżej byłoby ci znieść moskiewską, niż handlową niewolę.

Drzwi kantoru otworzyły się cicho i stanął w nich młody chłopak, odziany w zniszczone i zbyt 'duże na niego palto.

— Czy niema pana Kręckiego? — zapytał po francusku.

Leon, który w pierwszej chwili nie widział nowo przybyłego, tylko jego głos słyszał — był przekonany, że to weszła kobieta.

Podniósłszy głowę, poznał w przybyłym owego tajemniczego chłopca w sali geograficznej, który, ciągnąc go za rękaw, prosił:

— Mój panie, niech Grzegorzewski mówi!

Serce zabiło w nim radośnie.

To był ktoś z kolonji, ktoś z tamtej strony Sekwany, z Glacjery!

— Proszę, niech pan wejdzie!... — wyrzekł po polsku trochę drżącym od wzruszenia głosem.

— A... to pan Polak!...

— Tak! Pan Kręcki wyszedł, ale zaraz wróci. Może pan na niego zaczeka! Niech pan usiądzie!

— Dziękuję panu. Chętnie usiądę, bo już dwa dni chodzę po Paryżu całymi dniami! Szukam sobie miejsca.

— A!...

— Tak! tak! i wszędzie mnie odprawiają z kwitkiem. Byłem nawet u P., ale — mnie nie wpuszczono.

Leon pomyślał, iż nie każdy może dostać „Rycerzy“ na drogę życia.

— A jaki rodzaj zajęcia chciałby pan znaleźć? — zapytał, zbliżając się do Władka.

— Mój drogi panie! — wyrzekł chłopiec podnosząc na Leona wielkie, dziwne, roziskrzzone żrenice — jabym wszystko wziął — bo ja mniej więcej wszystko umiem, byleby tylko z Paryża nie wyjeżdżać.

— Jakto? Pan wszystko umie?

— No... tak... po trochu. Wojażowało się i tu i tam — tu z cyrkami, tam z menażerją, tu tak sobie... to i nauczyło się tego i owego.

W cieple kantoru zaczynała widocznie odżywać fantazja Władka.

— A jakże!... — mówił dalej, mnąc czapeczkę w rękę — p. Grzegorzewski mnie zawsze łaje, gdy ja to opowiadam, ale słowo honoru... prawdę mówię. O! pan Grzegorzewski to będzie mnie miał na sumieniu.

Potrząsnął smutnie głową.

— Będzie mnie miał na sumieniu!

— Dlaczego?

— Bo ja mu służyłem wiernie, jak ten pies — a on mnie od siebie wczoraj odegnał i kazał się na oczy nie pokazywać. Ja też pomyślałem sobie — pójdę na drugą stronę Sekwany... to mnie karjerowicze i burżuje dopomogą i do nich przystanę!

Usta mu drżały i składały się w dziecinną podkówkę.

— Ale pan Grzegorzewski będzie miał na sumieniu moją zmianę frontu.

— A cóż pan robił przedtem? — zapytał Leon.

— Ja byłem przy panu Grzegorzewskim.

— Jakto?...

— A no tak... pomagałem. Ja nawet po to przyjechałem do Paryża...

I nagle pośpiesznie dodał:

— Bo ja byłem u introligatora i oprawiałem książki dla pana Grzegorzewskiego.

— Jakie książki?

— Różne. Zresztą — zapomniałem!

Zaciął usta, jakby żałując, że powiedział za dużo i zasunąwszy się głębiej w krzesło, siedział nadęty i osowiały.

Leon powrócił do swego zatrudnienia, bo uczuł, że Władek oddzielił się od niego moralnie jakąś tajemniczą przegrodą.

Niemniej jednak od czasu do czasu spoglądał na siedzącego chłopca i znów uderzyło go to, co Wimpfen w sali geograficznej powiedział.

Delikatność rysów, owal twarzy, kobieca przejrzystość cery, ręce małe, nogi drobne, pomimo zbyt dużych butów i to coś, nieokreślony jakiś, niezgrabny wdzięk młodej dziewczyny, pragnącej koniecznie przybrać męską postawę.

Patrząc tak na niego, Leon łamał sobie głowę, w jaki sposób rozpocząć z nim znów rozmowę. Chciał koniecznie dowiedzieć się coś więcej o Grzegorzewskim, o nich wszystkich, tembardziej, iż widocznie Władek obracał się w tem kole.

— A gdzie pan mieszka? — zapytał wreszcie, nie mogąc znaleźć żadnego tematu, tak był zgorączkowany i podniecony.

— Na Glacierre — odparł Władek — to jest ja mieszkałem w kancelarji u pana Grzegorzewskiego. Teraz już nigdzie nie mieszkam.

— A!... to pan Grzegorzewski ma swoją kancelarję na Glacierre?

— Tak! i mieszka w tym samym domu. Tam także mieszka panna Mazia i panna Wilhelmina, tylko o piętro wyżej. Tam my wszyscy mieszkamy, choć konsierżka z tego bardzo niekontentna i gniewa się, gdy są *zur fixy*.

— To są na Glacierre *zur fixy*?

— A jakże... codziennie u kogo innego. Każda pani ma *zur fix* a i panowie dają także *zur fixy*.

— A u pana Grzegorzewskiego są *zur fixy*?

Władek spojrział na Leona z pewnem oburzeniem.

— Pan Grzegorzewski to nie jest to, co wszyscy. On czasom chodzi na *fix*, ale on nie daje u siebie *fixów*. Pan Grzegorzewski jest co innego...

Fantastyczne uwielbienie brzmiało w tych ostatnich słowach.

— Pod którym numerem mieszka pan Grzegorzewski? — zapytał nagle Leon, a głos mu drżał i rumieniec wystąpił na twarz, jakby popełniał w tej chwili jakiś czyn karygodny.

— Pod dziewięćdziesiątym, na czwartym piętrze.

— Dziękuję!...

Drzwi otworzyły się i wszedł Kręcki.
Zobaczywszy Władka, śmiać się zaczął.

— A cóż to? — zapytał — tutaj? za czym? co się stało?
Władek powstał i przestępując z miejsca na miejsce,
wyrecytował:

— Ja przyszedłem prosić — może mi pan da jakie
miejsce!

Kręcki szeroko oczy otworzył.

— Miejsce? jakie? ja o niczem odpowiedniem nie wiem!

Zatrzymał się prawie przed Władkiem i patrząc prosto
w oczy chłopcu, dodał:

— A zresztą u nas tylko mężczyźni w kantorze
pracują!

— Proszę pana!... przecież...

— No! no! już nic. Nic...

Kręcki przeszedł się po kantorze i zdjął palto, które
zawiesił na haku.

Leon spojrział na Władka i dostrzegł, że na twarz
chłopca wystąpiły dwie purpurowe plamy.

Kręcki zwrócił się znów w stronę Władka.

— A dlaczego się nie poprosi pana Grzegorzewskiego
o wyszukanie miejsca? — zapytał.

— Ja się z panem Grzegorzewskim... pogniewałem! —
odpowiedział prawie szeptem Władek.

Kręcki ręce szeroko rozłożył.

— A!... to trzeba mi było zaraz powiedzieć! Natural-
nie, skoro się takie dwie burzliwie natury, jak wasze, razem
zejdą, to nie może być mowy o ustępstwach i zgodzie.

✓ O nie! — przerwał Władek — pan Grzegorzewski
jest święty! jest anioł!... jest... wszystko, ale to proszę pana,
jak zaczną baba się wtrącać, jak panna Mazia, panna Wil-
helminka, pani Jaskólska zaczną gospodarować, to poprostu
można głowę stracić!

Niepodobieństwem jest określić wzgardliwy ton, jakim
Władek wymówił słowo „baba“.

Kręcki znów prosto mu w oczy spojrział.

— To się tak bardzo kobiet nie lubi? — zapytał z ja-
kimś dwuznacznym uśmiechem.

— Bardzo! — wyrzekł z całym przekonaniem Władek —
one mogą być bardzo mądre, mogą być dziesięć razy na me-
dycynie, ale w robocie zawsze przeszkadzają. Ja naprzykład
panu Grzegorzewskiemu wszystko przebaczę, bo to... wielki
człowiek, on może mnie nawet wyłajając, wypędzić na mróz —
nawet zabić — dobrze! ja nic nie powiem, ale takie tam
gesi! a nie!... to zanadto!

— Więc pan Grzegorzewski pana wypędził?

Władek podniósł dumnie czoło.

— Nie! tego on nie zrobił! To jest anioł, panu mó-
wię... ale ja sam, dla samego honoru nie mogłem tam
zostać!...

I nagle Władek zakrył twarz rękami i wybuchł płaczem.

— Już go więcej nie zobaczę! nie zobaczę!...

Łkał tak gwałtownie i serdecznie, że aż Leona w gardle dławić zaczęło.

Ze zgorzaniem jednak spostrzegł, że Kręcki dusi się od śmiechu.

— On mi powiedział... — łkał Władek — żebym mu się na oczy nie pokazywał... Jakże ja teraz mogę żyć bez niego?... Jak ja mogę żyć!... Co ja będę teraz robił?...

— Najlepiej do kraju powrócić! — rzekł prawie surowo Kręcki.

— Ja nie umiałbym już żyć w kraju — odparł, łkając Władek — ja wolę się zabić, niż stąd wyjechać!

Łkanie zaczynało przechodzić w spazmy.

Kręcki zbliżył się do Władka i znów uśmiech wykwił na jego ustach.

— Proszę tak nie płakać! — wyrzekł — to... baby tak spazmują — nie mężczyźni.

Łkanie ucichło.

Władek z ukrytą twarzą, zwinięty w kłębek, siedział na krześle.

Przez palce rąk, któremi zasłaniał twarz, przeciekały i padały na ziemię grube łzy.

I nagle, schwyciwszy rękę Kręckiego, począł okrywać ją gorącymi pocałunkami.

— Panie!... panie drogi! panie święty! panie złoty! niech mi pan już miejsca w kantorze nie daje, ale niech mnie pan pogodzi z panem Grzegorzewskim! Niech on mnie napowrót weźmie — niech on mi znów pozwoli być przy sobie — bo ja bez niego nie mogę żyć! nie mogę żyć!...

Znów wił się w konwulsyjnym płaczu.

— Nie mogę żyć! — krzyczał, podnosząc pięści do góry. Kręcki okno nawpół otwarte zamknął.

— Cicho! nie krzycz pan! pomyślą jeszcze, że jaka zdradzona przezemnie albo przez pana Leona jama robi nam tu scenę...

I powróciwszy do Władka, podniósł go prawie siłą z krzesła.

— Proszę obetrzeć nos i oczy i iść ze mną.

— Gdzie?

— No gdzie? Na Glaciere — do Grzegorzewskiego. Zaprowadzę pana i wyproszę przebaczenie. Wolę to, niż żebyś pan tu siedział i szlochał...

— Chodź... pan!...

Leon zdziwił się i równocześnie uczuł zazdrość na myśl, że Kręcki będzie niedługo pomiędzy... ni mi!

— Służę! — mówił ironicznie Kręcki — idziemy!

Władek ocierał łzy chustką i rękami. Gdy wstał i szedł ku drzwiom drobnym krokiem, znów zrobił na Leonie wrażenie przebranej kobiety.

Kręcki odział się w palto i już u drzwi, śmiejąc się, ku Leonowi się zwrócił.

— A co? chciałby pan być na mojem miejscu i pojechać na Glaciere? Aż się panu oczy iskrzą. Ale tymczasem — niech pan siedzi w kantorze i gdy patron z kawiarni powróci — niech pan powie, że ja pojechałem na Claude Bernard, reklamować towar.

I wyszedł razem z Władkiem, który w pośpiechu swoim nie pożegnał się nawet z Leonem.

Gdy drzwi się za nim zamkły, Leon nagle i radośnie podniósł głowę.

— Mam siedzieć w kantorze?... Nie pojedę na Glaciere? Nie będę widział Grzegorzewskiego? Nie poznam się z nimi? — zawołał półgłosem, a w tonie jego był triumf, siła, ironja, przekora — słowem wszystkie uczucia umęczonej i udręczonej woli.

Oczy jego świeciły się jak oczy młodego wilka, pomiędzy wargami błysnęły dwa rzędy zębów.

— Zobaczmy! zobaczymy!

VIII. Jan Grzegorzewski.

Niewielkie dwa pokoiki.

A właściwie nie dwa pokoiki, ale pokoiik i kuchenka. W pokoiiku duży stół, kilka krzesel, rozwalony i zarzewiały piecyk, w którym dawno się nie paliło.

Na stole — foljały.

Kilka kałamarzy, pióra i ołówki — guma w szklanem naczyniu i kilkaset marek.

Na ziemi foljały.

Gazety z Królestwa, z Galicji, z Poznańskiego. Wycinki z obcych dzienników. Masy broszur w rosyjskim i niemieckim przeważnie języku. W kątach, na drewnianych półkach stosy książek, roczników, encyklopedyj. Na ścianach dwa afisze Cheret'a, dziwnie jaskrawością barw odbijające od całego nastroju, panującego dokoła.

Na środkowej ścianie wianek, uwity z cierni i przewiązany purpurową wstążką.

Za nią zatknięty bukiet czerwonych nieśmiertelników.

Wszystko to przyprószone pyłem a dokoła atmosfera gorączkowej pracy, nocy bezsennych, kołatania się i szamotania niewidzialnych skrzydeł, objających się o ściany klatki powszedniej, zwykłej egzystencyi.

Drzwi od kuchenki uchylone.

Tam — piec zastawiony parawanem, piec, na którym całe masy starych broszur, listów, oderwanych kartek, korrekt, pudełek od szuwaksu, kilka szczotek, nieśmiertelna maszynka do spirytusu, imbryk, trochę herbaty w papierku, słuczona cukierniczka a w niej miarki cukier.

Niedaleko pieca łóżko żelazne, na nim prawdziwie sołdacka pościel, jakiś kocyk szary i zniszczony i poduszka skórzana.

Nad łóżkiem dywanik, na nim rewólwer i znów powtórzenie jakiegoś symbolu.

Trochę cierni, czerwonych nieśmiertelników i kawałek purpurowej szarfy.

Wspomnienie jakieś pogrzebu, powrotu z cmentarza, od grobu, z którego chce się unieść ze sobą cokolwiek, czy poprostu synteza życia, zamkniętego w tych ścianach.

Okna obu izdebek wychodzą na dach, na ten dach paryski, zalesiony kominami, szary, ciężki, bezbarwny, wiecznie jakby deszczem zmoczony.

I w izdebkach szare, ciemne, bezbarwne światło — nie rozjaśnione nigdy promieniem jaśniejszej pogody.

Przy stole siedzi Grzegorzewski i pisze.

Zjął surdut i siedzi przy stole w kolorowej koszuli, dającej mu pozór rosyjskiego chłopa. Jego wielkie, czarne włosy i broda podnoszą to złudzenie. Tylko rysy, delikatne, czyste, szlachetne, odbijają od prostej odzieży.

Koło niego szklanka wystygłej herbaty, którą sam sobie jeszcze rano przyrządził.

Teraz — dwunasta, zapomniał o herbacie, o świetle bożym — siedzi i pisze.

W oczach mu płoną jakieś ogniki.

Natomiast twarz jeszcze bardziej wychudła, poczerwiała prawie, usta ma spieczone i ciągle, jakby ze zbytniego pragnienia, rozwarłe. Powstał nagle — poszedł do półek i szuka jakiegoś rocznika jednego z pism polskich, wychodzących w Genewie. Gdy idzie tak przez pokój, widać w nim straszne znużenie, wyczerpanie sił fizycznych, trawionych ciąglą gorączką. Doszedłszy do półek, staje i przeciąga się tym gestem, właściwym jedynie osobom, cierpiącym na płuca.

Jest to pochylenie wtył głowy, podniesienie ramion, zamknięcie oczów — nieuchwytnie dla innych a zdrowych. A potem nagły spadek ramion i wyraz bólu, który mu wraz z oddechem przeszył na wskrós płuca.

Grzegorzewski stał tak chwilę z oczyma zamkniętymi, z twarzą zbolalą i wreszcie ciężkim gestem podniósł rękę i zaczął pomiędzy książkami przewracać.

Pracował noc całą i nie rozbraiał się, nie kładł, pisał pochylony nad zbyt niskim stołem.

Szło mu jednak, aby dać natychmiastową odprawę owemu pismu, które nie omieszka skorzystać z każdej sposobności, aby go w jak najgorszym wystawić świetle. Gdy się odezwie na jakimkolwiek posiedzeniu lub zgromadzeniu, natychmiast wystawiają go jako żywioł anarchistyczny, po to jedynie głos zabierający, aby zasiać niezgodę i zgromadzenie, bardzo dla kraju użyteczne, w puch rozbić.

To jedno go gryzie, bo inne zarzuty, przezywanie go Robespierrem, Marat'em (!) wreszcie, niewiadomo dlaczego, Ravachol'em, nie robi już na nim wrażenia.

Gdy polemizująca strona okaże głupotę, nietakt i nieuctwo, a zwłaszcza nieznamość przedmiotu, który traktuje,

chybia celu. Lecz podsuwanie złej woli zawsze szlachetniejszą naturę wyprowadzi z cierpliwości.

I teraz Grzegorzewski stoi przy półkach i nerwowo szuka jednego z roczników, gdzie chce znaleźć w ich własnym piśmie broń przeciwko zarzutom, które go przygniatają. — Lecz z pewnym zdziwieniem konstatuje, iż ręce mu mdleją i nogi drżą.

— To chwilowe! — mruczy — pracujmy!

Ktoś zastukał do drzwi.

— Proszę wejść! — mówi gospodarz i szuka dalej febrycznie swego rocznika.

Drzwi się otwierają powoli i przez nie wsuwa się — Leon.

Jest tak blady, że sam czuje swą bladość i zmieszanie.

Grzegorzewski patrzy nań pytająco i wzrok jego bystry, przenikliwy, powiększa jeszcze oniesmielenie Leona.

Grzegorzewski milczy — Leon czuje, że on sam powinien pierwszy przemówić.

I nie mogąc znaleźć nic, gdyż pod czaszką czuje szaloną próżnię — pyta:

— Pan Grzegorzewski?

— To ja, czem mogę panu służyć?

— O! to banalne pytanie z ust tego człowieka, o! to banalne pytanie!...

— Ja przyszedłem z panem... pomówić! — szepcze wreszcie Leon.

Grzegorzewski zbliża się do stołu, wskazuje Leonowi jedno z krzeseł i szybko rozłożoną szeroko gazetą pokrywa leżące na stole manuskrypty.

Leon widzi ten gest i rozumie go dokładnie. Grzegorzewski nie ufa mu, boi się go — ukrywa przed nim swoją działalność.

Obelga ta dodaje mu sił. Leon z gorzkim uśmiechem wskazuje na rozpostarty dziennik.

— Niech się pan mnie nie boi, ja nie jestem szpiegiem.

Czeka jakiegoś protestu ze strony Grzegorzewskiego, lecz ten ma tylko w odpowiedzi nic nie mówiący gest wzruszenia ramion.

— Tak... — ciągnie dalej Leon, a na czoło występują mu krople potu. — Pan nie wie, kto ja jestem. Ja także już pracowałem dla kraju. Robiłem, co mogłem i jak umiałem... Potem wypędzili mnie ze szkół, przyjechałem tutaj i widziałem was w Sali geograficznej. Nie miałem spokojnego dnia i nocy... Musiałem tu przyjść... Zresztą, ja już pisałem i drukowano moje prace. Oto są, przyniosłem. Niech się pan przekona, kto ja jestem.

Wyjął z zanadru swe dwie nowelki i garstkę korespondencji i położył je na stole, na owej gazecie, która tak

tajemniczo osłaniała prace innych, może pracę samego Grzegorzewskiego — kto wie!

Grzegorzewski wziął w rękę nowelki i zaczął je przeglądać. Nagle usiadł na krześle i pograżył się w czytaniu jednej z nich. — Leon śledził go z szalonym natężeniem. Chciał krzyknąć — pozwól mi przeczytać, ja ci przeczytam serdecznym głosem, bo z serca to pisałem! lecz nie śmiał.

Grzegorzewski przeczytał — popatrzył chwilę na Leona i zapytał:

— Pan to przeszedłeś w klasach, co opisujesz?

— Tak!

Grzegorzewski wycinki owe na stole położył, powstał i zaczął chodzić szybko po pokoju. Chodząc, zapadał w coraz głębszą zadumę. Zdawało się, że zapominał o Leonie, tylko myślą przenosił się tam, daleko — w „prywiślański kraj“, gdzie małe dzieci szczebioczą obcym językiem słowa obcej historii.

Leon nie śmiał przerywać milczenia. Siedział nieruchomy i dziwnie wzruszony tem lodowatym i chłodnym przyjęciem, lecz bynajmniej nie urażony w swej dumie.

Wiedział, idąc tutaj, że spotka go coś niezwykłego, że poznanie się z Grzegorzewskim różnić się będzie stanowczo od poznania z takim Kręckim.

Grzegorzewski wreszcie ocknął się — spojrzał na Leona i zatrzymawszy się na środku pokoju, zapytał:

— Więc pana wypędzili?

— Aresztowali mnie, siedziałem w cytadeli.

— Zaco?

— Za propagandę pomiędzy ludem.

Grzegorzewski zatrzymał się tuż przed Leonem i oczy swe przenikliwie utkwiał prosto w żrenicach chłopca.

— Za propagandę — powtórzył wolno a ręką nerwowym ruchem targał rozwichrzoną brodę. — Jakaż ona była ta propaganda? — zapytał nareszcie.

Leona wzrok wyrażał zdziwienie.

— Jakaż mogła być? Patrijotyczna! Narodowa!

— Tak! tak!... jednak czy wy...

Do drzwi ktoś zapukał lekko.

Grzegorzewski szybko się odwrócił.

— Kto tam?

Głos kobiety, delikatny, z jakąś dziwną nutą załknienia odpowiedział:

— To ja... Mazia!

Grzegorzewski rzucił się do leżącej na krześle kurtki spiesznie wdziewać ją począł.

— Proszę... proszę wejść!

Drzwi się otworzyły z wolna i wsunęła się przez nie ta sama okrągła i rumiana dziewczynka, którą Leon dostrzegł w sali geograficznej. Wszedłszy, podała rękę Grzegorzewskiemu i, otulając się w pled, który miała narzucony na plecy, ukłoniła się trochę niezgrabnie Leonowi. Mieszkała w tym samym domu, i przyszła bez kapelusza, z głową owiniętą dużemi, jasno-kasztanowatemi warkoczami, które tworzyły dokoło jej czoła jakby chłopską koronę. Oczywiście miała jasne, przezroczyste, piwne, okrągłe i cała poczciwa duszyczka tego dziewczęcia przeświecała przez te źrenice z całą szczerością.

Grzegorzewski wskazał nowoprzybyłej drzwi drugiego pokoju.

— Tam pani znajdzie, co potrzeba... Za chwilę przyniosę drugą część.

— Dobrze.

Zbliżyła się do stołu, skrzypiąc trochę nowemi buciami i z pod pledu wydobyła cały arkusz pocztowych, zielonych marek.

— Tu są pięciocentymowe! — wyrzekła.

— A!... to dobrze — to bardzo dobrze... ale nam jeszcze dużo brak.

Dziewczyna położyła marki na stole i z pewnem zawstyżeniem dodała:

— Zrobiłam, co mogłam!

Grzegorzewski porwał się na te słowa z pewną niecierpliwością.

— Ja wiem, ja wiem... dziękuję!...

Dziewczyna wsunęła się cicho do drugiego pokoju, nie przysmykając drzwi za sobą.

Leon widział, jak cicho i delikatnie układała jakieś drukowane arkusze i rzucając prawie trwożliwe spojrzenia, równocześnie ścierała kurze i starała się zaprowadzić trochę ładu w mieszkaniu Grzegorzewskiego.

Za chwilę nawet — na rogu komódki migotał błękitny płomień. Mazia zapaliła spirytusową maszynkę i robiła herbatę.

Tymczasem Grzegorzewski zwrócił się znów do Leona.

— Tutaj nie chodzi o to — zaczął znów półgłosem — czy pan siedziałeś w cytadeli, ale jakim pan z tej cytadeli wyszedłeś. Różnie bowiem ta tortura na nas działa. Niejednego przerobiła na wygodniśia, egoistę, karjerowicza, który opuścił ręce i zdaje mu się, iż spłacił dług Ojczyźnie przez to, że posiedział zamknięty czas jakiś.

Leon zarumienił się gwałtownie.

— Ja nie jestem takim! — zawołał pełnym głosem — ja nie chcę karjery i nie byłem nigdy samolubem. Dlatego

mimo wszystko przychodzę do was i chcę być takim, jakimi wy jesteście...

Grzegorzewski pochylił się nad Leonem tak, iż ten czuł jego gorączkowy oddech na swej twarzy.

— A czy pan wiesz, jakimi my jesteśmy?

Lecz Leona ogarnęła jakaś rozpaczliwa egzaltacja.

— Ja nie wiem, jakimi jesteście, ale czuję, że musicie być dobrzy, piękni, szlachetni! Ja byłem w Sali geograficznej i gdy wyście wyszli z sali, to cała moja dusza za wami poszła. Ja zostałem z tamtymi, ale dla mnie tylko wy istnieście...

We drzwiach pokoiku stanęła Mazia ze szklanką herbaty w ręku.

Poza nią słońce, wpadające przez okno bez firanek, zapalało złote iskierki jak aureolę w koronie jej warkocza.

Patrzyła na Leona swemi łagodnymi oczami i na ustach jej wół otwartych zdawały się zatrzymywać jakieś słowa, które wymówić pragnęła.

Grzegorzewski nie mówił nic, tylko, odsunawszy się i oparłszy o półki z książkami, badawczo w twarz Leona patrzył.

I Leon nie oburzał się na to powątpiewanie, na to badanie, na tę niewiarę, której Grzegorzewski ukrywać nawet nie usiłował.

Tak bardzo pragnął zbliżyć się do tych ludzi, taki czuł się u siebie w tym wystygłym pokoiku, zarzuconym książkami, iż wyjść stąd bez możliwości powrotu zdawało mu się wyrokiem śmierci.

Zastukano i równocześnie uchylily się drzwi, a przez nie wsunął się Władek, odziany w zbyt długie, zszarzone palto. Ukłonił się niezgrabnie i cicho podchodząc do stołu, rzucił ukośny wzrok na Leona. Poczem na stole położył znów arkusz marek i paczkę kopert, a wzięwszy ze stołu nożyczki i flaszeczką z klejem, wysunął się do drugiego pokoju.

Tymczasem Mazia postawiła na stole szklankę herbaty i zwróciła się ku Grzegorzewskiemu.

— Niech pan się napije herbaty! — prosiła nieśmiało tak tu zimno... pan jeszcze nic nie jadł..

— Zimno tu? — spytał Grzegorzewski — to dziwne... mnie się zdawało, że tu gorąco!

Leon powstał, lecz wyjść nie mógł, nie miał siły. Miałże wychodzić, nie przekonawszy tych ludzi o swych najlepszych chęciach. Na razie nie mógł myśli zebrać, odwaga go opuściła, czuł, że już nic więcej nie powie.

Mazia stała ciągle przy stole i z pewnym żalem patrzyła na Grzegorzewskiego. W postaci jej jednak, w całym zachowaniu się była pewna subordynacja podwładnego

wobec wodza. Widocznem było jednak w jej wzroku, iż pragnęła, aby Grzegorzewski pozwolił Leonowi pozostać między nimi.

Nagle u drzwi zaszumiło, zaszeleściło i bez stukania we drzwi, w tę biedną izdebkę weszło uroczę zjawisko, odziane dostatnio, strojnie, z ładnym loczkiem na czarnych, ufryzowanych włosach, z mufką bobrową, na której był przypięty bukietek fiołków.

— Dzień dobry państwu!

Głos kobiety rozległ się donośnie, wesoło, szykownie. Rozjaśniło się, ociepliło, zapachniało perfumami. Wilhelmina ścisnęła już ręce Grzegorzewskiego, wołając:

— Ach: jakie zimne ręce! Co panu? weź pan na chwilę moją mufkę. Nie zgnieć mi pan fiołków. Dobrydzień Maziu! Wracam ze szpitala, z Saint Amere... Ballet był dziś nadzwyczajny, a ten Anglik, któremu przez grzeczność pozwolono mieć prelekcję, nic nowego nie powiedział...

Zniżyła cokolwiek głos i zbliżyła się do Grzegorzewskiego.

— Cóż? Kent przysłał? Byłam wczoraj u niego wieczorem i mówiłam, żeby głupstw nie robił i nie odmawiał nam kredytu. Zapłacimy za dwie ostatnie broszury niedługo. — Urządźmy loteryję...

— Kent przysłał — wyszeptał Grzegorzewski — ale powiedział, że to ostatni raz... co będzie dalej, nie wiem.

— Wczoraj był w drukarni pułkownik Montalambert, proponuje pożyczkę...

Mazia szybko zbliżyła się ku rozmawiającym.

— Błagam was, nie bierzcie nic od tego człowieka!

Wilhelmina wruszyła ramionami i śmiać się zaczęła.

— Dlaczego?

ia zarumieniona spuściła oczy ku ziemi. Wilhelmina parsknęła śmiechem.

— Ach! rozumiem!... — zawołała prawie głośno — widziałam, jak ci asystował na ulicy Claude Bernard. Ale, moja droga, on nam wszystkim *fait la cour*. Co innego jego galanterja a co innego dobro sprawy. Prawda?

Zwróciła się ku Grzegorzewskiemu.

Ten od chwili kaszlał gwałtownie, trzymając się za lewy bok i opierając głowę o półki.

— Co? co? przepraszam, nie słyszałem!...

Mazia szybko podała mu szklanę z ciepłą jeszcze herbatą. Wypił trochę i usiadł pobladły i osłabiony na krzeselku.

— Tak mi dziś jakoś... niewyraźnie! — wyrzekł.

O Leona nikt się już nie troszczył.

On stał, jak przykuty do miejsca, nie śmiejąc się ruszyć, zwłaszcza onieśmielony od chwili wejścia Wilhelminy.

Ta kobieta imponowała mu, przygniatała jego imagi-

nację wspaniałością swego stroju i pawim urokiem, jaki roztaczała dokoła!

— Odniosłam panu ową broszurkę — zaczęła Wilhelmina, wyjmując jakiś zeszytek z muflki. — Czy pan wie, że to jest tak naiwne a tak szczere i śliczne, że jestem oczarowana!

Grzegorzewski podniósł się z krzesła i zbliżył się do stołu.

— A!... ta broszurka, pisana drukiem — wyrzekł, biorąc zeszytek w rękę — tak! tak! bardzo zielone. To podobno młodzi chłopcy, nie mając na drukarnię, radzili sobie w ten sposób.

Spojrzał na zeszytek i przycisnął go do piersi.

— Drogie! kochane dzieci!... — wyrzekł z gorącą serdecznością w głosie.

Leon począł drzeć cały, jak w febrze.

Poznał swoją pracę, swoje dzieło, swój utwór zbrodniczy, który wtrącił go do cytadeli i nie dozwolił kończyć zaczętych nauk. — To był jego zeszytek, pisany w obawie i trwodze wśród nocy bezsennych — jeden z tych kilkunastu egzemplarzy, z takim trudem złożonych i „wydrukowanych“ piórem w gimnazjum, w małym miasteczku.

I teraz nagle, jak objawienie, w chwili dla niego tak ważnej, tak stanowczej, zjawia się znów ta książeczka poto, aby stać się najlepszym rzecznikiem jego uczuć, jego chęci, jego zapału dla sprawy narodowej.

Powraca mu odwaga, czuje, iż mówić musi, iż powinien mówić, jeśli nie chce ominąć tej cudownej prawie sposobności przedstawienia swej duszy taką, jaką jest w istocie.

Powoli, drżącym gestem wyciąga ręce ku Grzegorzewskiemu.

— Ja znam tę książeczkę! — mówi i nie poznaje swego głosu, tak jego dźwięk się zmienił, zniżył, spokorniał, a mimo to drży niecierpliwością i wielkiem szczęściem.

Grzegorzewski, Mazia, Wilhelmina, zwracają się ku niemu i spoglądają ze zdziwieniem na zmieszaną twarz chłopca.

— Pan znasz Tę książeczkę? — pyta wreszcie Wilhelmina — czytałeś ją pan?

— Tak!...

— Gdzie? w kraju?

— Tak!

— Może pan znasz autora? — pyta Grzegorzewski, i twarz jego ożywia się nagle i pięknieje — powiedz nam, gdzie on? kto on? To piękne, czyste, śliczne serce! Takich nam właśnie potrzeba.

— Gdzie on, kto on? — nalegała Wilhelmina.

Zbliżyli się ku niemu, otoczyli go prawie i jest mu teraz bardzo gorąco, krew mu bije do głowy, serce ściskają jakieś kleszcze.

— Kto on? — powtarza jeszcze Wilhelmina.

— To... ja!

Wyrzucił te słowa i równocześnie zdaje mu się, iż spadł mu jakiś ciężar z piersi. O jedno mu chodzi tylko — aby mu uwierzyli, aby nie przypuścili, iż chce wyzyskać szczęśliwą okoliczność i zyskać w ten sposób ich zaufanie.

— Tak! — mówi szybko i gorączkowo — to ja pisałem, ja i mój przyjaciel i kilku jeszcze kolegów... Ja napisałem tekst... nie mieliśmy pieniędzy... chłopci łatwiej czytają drukowane litery... trzeba było drukować. O! to nas dużo pracy kosztowało... Proszę zobaczyć... tam na ósmnastej stronie słowo „tyran“ zamazało się, a nieco dalej, na dziewniętnastej jest duży kleks. Ale my byliśmy już bardzo zmęczeni, bo to były egzaminy... i ręce nam drżały. To, co państwo mają, to moja robota... Ja poznałem po okładce. Ja wyrysowałem orła w kajdanach... To bardzo źle i niezgrabnie narysowane, ja wiem... koledzy się śmiali... ale ja nie umiem rysować, tylko pisać...

Podniósł oczy i teraz patrzył po nich wszystkich przez łyż, bo pomimo usiłowań, łyż mu zaszkliły źrenice.

— A potem... — zaczął znowu — tam jeszcze na ostatniej stronie ja dopisałem...

Lecz pierwsza przerwała mu Mazia i porwała go za rękę, wołając z entuzjazmem:

— Ależ my wierzymy! — powtórzyła Wilhelmina — i jesteśmy bardzo szczęśliwi, że pana mamy pomiędzy nami.

Lecz Leon stał nieruchomy i wzrok pełen bojaźni podniósł na Grzegorzewskiego, który ciągle jeszcze książeczkę do piersi cisnął.

Czekał na jedno słowo z ust tego, któremu w tej chwili składał na usługi swą duszę i siebie całego na ofiarę.

Grzegorzewski powoli wskazał ręką dokoła, jakby pozwalając z tą chwilą wejść Leonowi we wszelkie tajniki, jakie kryło w sobie jego mieszkanie.

— Jesteście u siebie! — wyrzekł — należycie do nas... będziemy pracować razem. Nauczym was kraj kochać pożytecznie i prawdziwie. Cały kraj! rozumiecie? Nie czasikę, ale przede wszystkim tych, którzy pracują i często na codzienną strawę im nie starczy. Będziecie z nami kochać wszystkich, lecz pracującą klasę najbardziej. — Ostrzegamy was, iż uważają nas za potwory, wyrzutki, Rabagasów i szaleńców. Zresztą... widzieliście już, jak nam płacą za nasze niesamolubne przekonania! Jeżeli nie macie dość siły znieść wycia filistrów, rozkoszujących się w egoizmie i niesprawiedliwej chęci samoużycia — opuście nas lepiej, lecz wza-

mian pamiętajcie, iż my sami znajdujemy tak wielką rozkosz w spełnianiu naszych obowiązków, w doprowadzeniu naszych idei do czynów, iż jest to nagroda najwyższa, jaka za taką pracę nas spotkać może!

Wyciągnął ku Leonowi rękę i dodał:

— Nie będziecie mieli uznania większości, pracować będziecie w cieniu i niedostatku, ofiary nieraz ponosić będziecie musieli wielkie, ale sumienie wasze będzie czyste, jak kryształ i ono zachęcać was i zagrzewać będzie!

Leon porwał podaną mu dłoń i pochylił się nad nią, jaby chcąc pocałować tę suchotniczą, zwalaną atramentem rękę, którą trawiła gorączka i brak sił.

Lecz Grzegorzewski wyrwał mu swą rękę i, starając się pokryć wzruszenie, które go ogarnęło, zerwał ze stołu gazety, pokrywające rękopisma i książki.

Leon go odczuł i zrozumiał.

Grzegorzewski tym jednym ruchem dał mu poznać, iż wierzy mu w zupełności i pozwala mu uważać się za należącego do partji.

— A teraz? może nam zechcecie w pracy pomagać...

— zawołał Grzegorzewski, podając Leonowi marki i podłużne bandy papieru.

— Proszę te marki tu naklejać... o! panna...

Głos jego zawahał się, spojrzął na obie młode kobiety tak, jakby pomiędzy niemi wybierał jedną.

One wyprostowane, jak żołnierze słuchający komendy. czekały.

— Panna... Mazia wskaże wam, jak się to robi!

Mazia sztywnym, automatycznym ruchem zbliżyła się do Leona. Stała koło niego, jak opiekuńczy duch, poważna i prawie surowa.

Po twarzy Wilhelminki przesunął się cień niezadowolonia. Widocznie ona miała ochotę być delegowaną do boku Leona. Lecz nie powiedziała ani słowa, tylko wyszedłszy do drugiego pokoju, przywitała się z pracującym tam Władkiem.

— Jak się masz! Dlaczego dziś do mnie nie przyszłaś, ty próżniaczko...

Leon nie słyszał tych słów, tak był cały zajęty i wzruszony przebytą chwilą.

Ręce mu drżały jak w febrze, gdy zaczął według wskazówek Mazi kleić marki.

Duma i szczęście rozsadały mu czaszkę.

Miał ochotę rzucić się na kolana, płakać, śmiać się, całować ziemię, brzeg sukien kobiet, rozrzucone manuskrypta...

Grzegorzewski, kaszląc, herbatę wystygłą pić zaczął i równocześnie jakies pismo socjalistyczne niemieckie przeglądał, robiąc uwagi na marginesie.

— Panno Wilhelminko! — zawołał — ten artykuł trzeba będzie streścić.

— Dobrze, proszę pana! — brzmiała z drugiego pokoju odpowiedź. — Ja to zaraz nawet tutaj zrobię!

Zaległa cisza, przerywana szelestem papieru, band i składanych w drugim pokoju świeżo zadrukowanych arkuszy papieru.

„Partja“ pracowała.

IX. Fanatyczka.

Gdy po skończeniu „roboty“ Grzegorzewski pożegnał obie panny, Władka i Leona, powiedział gorączkowym tonem:

— Idę do sali Waagram, będzie mówił Jaurès, idę go posłuchać!

Leon miał ochotę powiedzieć:

— Ja pójdę z panem! — ale nie śmiał. Grzegorzewski pomimo serdeczności, jaką szczerze teraz Leonowi okazywać zaczął, onieśmielał go.

Na kurytarzu zatrzymali się teraz we czworo, napozór niezdecydowani, jakby nagle opuściła ich rządząca nimi dusza.

— Ja idę dziś do opery komicznej — wyrzekła wreszcie Wilhelminka — muszę się śpieszyć na obiad! A pan, w którą stronę? — dodała, zwracając się ku Leonowi.

— Ja... nie wiem, do domu.

Lecz Mazia z pewnem zakłopotaniem wsunęła się pomiędzy nich, rozrywając niejako prąd magnetyczny, który z czarnych oczu biegł w źrenice Leona.

— Chciałam prosić, ażeby pan do mnie zaszedł! — mówiła Mazia — Grzegorzewski prosił, aby dać panu kilka książek. One są u mnie...

Wilhelminka uśmiechnęła się ironicznie.

— Ha! Skoro mi pana zabierasz!...

Mazia podniosła głowę. W jej niebieskich, łagodnych źrenicach błysnął gniew.

— Nie ja!... Grzegorzewski kazał!

— Tak! tak!... wycedziła przez zęby Wilhelminka i zwróciwszy się ku Leonowi, dodała z bardzo ładnym uśmiechem i ukłonem ślicznie ułożonej panny:

— Więc innym razem zamawiam sobie towarzystwo pana... Dziś... takżebym nie ustąpiła, gdyby nie rozkaz Grzegorzewskiego!

Nagle Władek, który nic do tej chwili nie mówił, podsunął się ku niej.

— Ja odprowadzę...

Wilhelminka wzruszyła ramionami.

— Ty? — wyrzekła. — Nie trzeba, nie chcę. Proszę iść naprzód do mnie i poczekać w sieni. Zjemy razem obiad. No, idź!...

Władek z pod oka spojrzął na mówiącą i z grymasem zepsutej dziewczyny odparł:

— Nie trzeba! obejdzie się... ja pójdę tam, gdzie pan Grzegorzewski, do sali Waagram!

— Tak! tak! Włócz się pomiędzy ludzi, poznają i za-aresztują!

— Nieprawda. Nikt nie pozna, a gdyby chcieli mnie aresztować, to ja ich...

— Nie pleć!

Wilhelminka zwróciła się jeszcze ku Leonowi i podając mu rękę, oparła silnie palce na jego dłoni.

— Do widzenia, panu! Ja także mieszkam na Glacierre, trzy domy dalej... W poniedziałek mój fix.

Skinęła głową Mazi

— Do widzenia, Maziu! Będziesz jutro w Maternité?

— Będę!

Widoczne było, iż rozstały się chłodno.

Gdy Wilhelminka zeszkła ze schodów i szelest jej jedwabnych podszewek przestał szumieć, Władek wykrzywił usta pogardliwie.

— Pozerka! karjerowiczka, burżuazka! — wyszeptał, plując na kamienną podłogę kurytarza.

Mazia spojrzała na niego surowo.

— Cicho! Nie mówić źle o nieobecnej... skoro takie jest wasze przekonanie, należało jej to powiedzieć w oczy, otwarcie, gdy jeszcze tu była.

— I, zaraz, — odrzucił Władek — a czemu wy jej nie powiecie tego, co o niej myślicie? A że myślicie to samo, co ja, za to szyję daję.

— Nieprawda! — zaprzeczyła gorąco Mazia — Wilhelminka jest może trochę próżna, ale to wszystko. Pozatem serce złote, inteligentna i bardzo gorliwa dla sprawy.

Władek coraz więcej wydymał usta i krzywił się pogardliwie.

— O, taka koszlawa gorliwość! Wszystko z próżności i z kokieterji... A tak! tak! aby skokietować pana Grzegorzewskiego!

— Milczcie! — zawołała Mazia, a okrągłe jej policzki oblały się żywym rumieńcem — to niegodne, co mówicie i to jeszcze wobec pana, który nas po raz pierwszy widzi...

I z dziwną, wcale niedziewczęcą energią Mazia schwyła Leona za rękę.

— Proszę pana za mną... niech pan nie słucha takich złych i dla partji szkodliwych wyrazów!

Zgorączkowana, ciągnęła Leona za sobą w głąb karytarza.

Władek schodził już ze schodów, zatrzymał się jednak i ku Mazi i Leonowi rzucił:

— Wy, koleżanko Maziu, jesteście fanatyczka, nic więcej! Dobrze mówią o was — fanatyczka! słyszycie?

Mazia otworzyła drzwi, znajdujące się w głębi kurytarza i wciągnęła Leona w głąb mieszkania.

— Niech pan nie słucha — wyrzekła szybko — to przewrócony umysł... nie można tego brać na serio.

Malutki, ciemny przedpokoik prowadził do większego, prawie pustego pokoju.

W rogu stało żelazne łóżko. Na niem mały, za krótki siennik bez materaca, pokryty ciemno-szafirową, watowaną kołderką. Poduszczyca nieduża, z szydełkowej roboty wstawką leżała na łóżku. Koło okna bez firanek duży, biały stół, założony papierami i książkami. Dwa krzesła małe, lusterko na ścianie, dzbanek, miska, maszynka spirytusowa na oknie — oto całe umeblowanie.

Zimno tu było, pusto, smutno.

Nic nie rozjaśniało tych ścian, na które padał już mrok zimowego wieczoru.

W głębi czarna jama kominka, zasłonięta blachą.

Przed kominkiem malutki, żelazny piecyk, którego ruda i przepalona rura wchodziła przez otwór, wycięty w blasze, w głąb kominka.

Nieco opodał paka drewniana. W niej trochę węgla, koksu i wiązka drzazg.

Na kominku książki, flaszka ze spirytusem, trochę cukru na spodku, zapalki, szklanki i biedny, fajansowy imbryczek.

W przedpokoju stał kuferek i wisiąco na gwoździach trochę sukienek.

Mazia, wszedłszy do pokoju, stała przez chwilę na środku, jakby starając się odzyskać spokój i równowagę.

Wreszcie zwróciła się ku Leonowi:

— Niech pan nie zdejmuję palta, bo tu bardzo zimno. Jest to narożny pokój — przytem ja nie lubię ciepła... nie palę.

Lecz Leon chciał dać koniecznie dowód kurtuazji i zdjął w przedpokoju palto, co widząc Mazia, zerwała swój szal z ramion i narzuciła mu go na plecy.

— Ja nie chcę, ażeby się pan zaziębił... my tu już przyzwyczajeni do tego chłodu... proszę pana.

Leon, rozbawiony tą serdecznością i brakiem przyzwyczajenia, owijał ją nawzajem szalem i przez chwilę dwoje tych młodych śmiało się szczerze, srebrzyście, tak, jak tylko młodzi śmiać się umieją.

— W takim razie napalimy w piecu! — zawołała Mazia.

I szybko, zręcznie porwała smolne drzazgi i zapaliwszy je, wrzuciła do wnętrza małego piecyka. Zahuczało, zadudniło i po chwili maluchny ogień płonął, szarpiąc drzwiczkami, rurą, piecykiem całym kominkiem.

— Teraz — niech pan siada — ja zrobię herbaty i będziemy rozmawiać.

Leon usiadł i uczył się odrazu spokojny i jakiś pewniejszy siebie wobec tej dziewczynki, tak prostej, serdecznej i szczerzej. Widocznym było, iż Mazia walczyła z nędzą, bo nędza i niedostatek wyglądały tu z każdego kąta. Lecz ona sama miała w sobie tyle promieni serdecznego ciepła, iż w tej smutnej, lodowej pustce, w jakiej żyła, jeszcze dla innych ciepła i światła starczyło.

I gdy tak krzątała się w swej czarnej bluzce, przystrojonej tylko welwetowym kołnierzykiem, Leonowi nagle przyszła na myśl ta druga, ta „studentka“, która z takim szelestem po schodach schodziła. I nawet myślał o niej zaniepokojony, nie mógł się powstrzymać od pytania:

— Czy panna Wilhelmina jest naprawdę studentką?

Mazia roześmiała się.

— Tak! a dlaczego to pana dziwi? Czy pan sobie nas wyobrażał jak potwory z postrzyżonymi głowami i w okularach na nosie?

— A... to i pani studentka?

— Tak i ja... a nawet starsza od Willi. Ja dawniej od niej przyjechałam do Paryża.

— O!...

— Ja miałam stypendjum! Ona ma bogatych rodziców. Ja już nie mam stypendjum. Odmówili mi. Później powiem panu, dlaczego.

— Więc pani chce zostać lekarzem dla kariery?...

Mazia spojrzała w oczy Leona z pewnem zdziwieniem, które powoli zmieniło się w smutek.

— Ja nic nie robię dla kariery! odparła z prostotą — Ja pragnę zostać lekarzem, bo znajduję, że to jest zawód bardzo piękny i pożyteczny. Ja jestem na medycynie tak, jak i inne moje koleżanki — z zamiłowania!

— A panna Wilhelmina?

Mazia zawahała się chwilkę z odpowiedzią

— Sądzę, że tak — wyrzekła. — Przeciwno Wilhelmince mówią pozory. Ja nie lubię koleżanki — bo ona jest trochę... trochę...

Szukała wyrażenia i znaleźć nie mogąc, dodała:

— Trochę zanadto... Warszawianka. Przytem — ona jest bogata. — Pan wie, to wzbudza zazdrość... Willa nie umie, nie chce zastosować się w życiu do przekonañ, jakie

partja wygłasza, i wskutek tego, widząc jej sposób życia, zarzucają nam fałsz i obłudę. Mówią — wymyślacie na burżuazjów, a sami prowadzicie sybaryckie i burżuazjów życie...

Leon obejrzał się dokoła.

— Chyba o pani tego nikt nie powie! — zawołał... i przeraził się sam swojej niedyskrecji. Lecz szybko powrócił do równowagi, widząc z jakim spokojem Mazia przyjęła jego słowa.

— Rzeczywiście — odparła, uśmiechając się — tu raczej panuje spartańska prostota. U Grzegorzewskiego to samo. Gdy pan poznasz jeszcze innych członków naszej partji, zobaczysz, jacy my wszyscy jesteśmy biedni i jak u nas zimno i brak wszystkiego. Ale widzi pan — przeciwnicy nasi to są ludzie złej woli i oni z jednej osoby biorą miarę ogółu. Zresztą to zawsze tak bywa!

Zastukano do drzwi.

— Ktoś z sąsiadów — wyrzekła Mazia — tu cała kamienica pełna naszych!

Jakto? należących do partji?

— O nie! nas jest bardzo niewiele!

Poszła drzwi otworzyć i przez nie weszły dwie młode kobiety. Obie w kapeluszach i żakietach. Jedna chuda, cienka, blada, druga krępa, rumiana z pełnym gorsem i kręconemi włosami. Szczupła kobieta, wchodząc, odedrzwii zawołała, przeciągając litewskim akcentem.

— Cóż to? Już się w piecyku pali?

I kończąc te słowa, potknęła się o próg, przewróciła i rozciągnęła się na ziemi tak dziwacznie, tak płasko, że zdawała się przez chwilę z blachy wykrojoną figurą. Podniósłszy się z pomocą Mazi, usiadła na krzeselku koło pieca i stękając, wyrzekła:

— Piąty raz dziś już padłam!... Niedawno wprost na ulicy, na gładkiej drodze.

— A chciałam ostrzec panią, że próg wysoki, tylko nie zdążyłam — odparła Mazia.

Litwinka machnęła ręką.

— Ta i takby nie pomogło! To musi być choroba...

Zwróciła się ku swej towarzyszce, która stała z miną zafrasowaną na środku pokoju.

Panna Kamilla, przesunęła się do piecyka.

— To panna Kamilla, która niedawno przyjechała do Paryża — śpiewała Litwinka — ja ją dziś wzięłam na spacer, bo to dzień niedzielny i pozwoliłam sobie przyprowadzić ją pani. My byłyśmy aż na Montmartre u Juljusza Słowackiego, strasznie my zziębły i do pani prost, aby się zagrzać.

— Proszę, proszę!... — wołała Mazia — ja zaraz do piecyka dosypię koksu.

— Pani pozwoli, ja wyręcę! — zaproponował Leon.

Lecz panny ze śmiechem zapróbowały. Nie, one już same wolą zająć się piecykiem. Mężczyzna nie ma dość cierpliwości. — Panowie rozsypują tylko węgle.

Litwinka, która przybyła po to do Paryża, aby czuwać nad moralnością swego brata — malarza, rosnącego i barczystego chłopca, Ignasia — z nadzwyczajną powagą wygłosiła następujące zdanie:

— Ja... tak sobie poradziłam z moim r y ż y m piecykiem.

— Jak to .. piecyk ryży? — zapytała Mazia.

— No tak, ryży... rudy. Tak się przepaliwszy, że zrużdział ze wszystkim. Tak ja wybieram z niego popiół łyżką wazową. Ignas siedzi i rysuje, a ja wybieram popiół łyżką na gazetę. Czasem tak przesiedziawszy całe poobiedzie.

— A cóż Ignas?

Litwinka westchnęła.

— Ta co? Po bulwarach lata! Mama pisze — czuwaj! Ta jakże? Będę po bulwarach za nim latała?

Leon patrzył na nią z zajęciem.

Była ładna, młodzianka i miała na swej drobnej twarzy pomieszany wyraz zaleknięcia z nadzwyczajną śmiałością. Widocznie jednak misja czuwania nad moralnością Ignasia była dla niej za ciężka i nad jej siły. Na samo bowiem wspomnienie głęboka bruźda przecięła jej ładne czoło.

— Och! ten Ignas!...

Mazia, widocznie ubawiona, zapytała:

— Czemu go pani do mnie nie przyprowadziła?

Siostra Ignasia zaczęła mrugać oczyma i z zakłopotaniem patrzyła na koniec swego bucika.

— Nie mogę... — wyrzekła wreszcie — pani przez to, że taka rozumna, mówi nieraz tak... bez wiary. Pani zachwiała kiedyś wiarę w Ignasiu...

— Czemu?

Lecz Litwinka odpowiedzieć nie chciała. Widoczne było, iż w głębi jej duszy tkwiło jakieś zbyt dla niej śmiałe słowo Mazi i że ta dusza, żyjąca jedynie pięknnością legendy, musiała czuć się zraniona słowami studentki.

Mazia, widząc, iż pytanie jej pozostaje bez skutku, zwróciła się ku pannie Kamilli, która, czerwona jak piwonja, w szczelnie zamkniętym żakiecie, siedziała na brzegu krzesła i literalnie pożerała Mazię wypukłemi, siwemi oczami.

— Czy pani na studja? — spytała Mazia.

Panna Kamilla z purpurowej stała się po prostu siwą. Uczucie wstydu i przygnębienia odmalowało się na jej okrągłej i tłustej twarzy.

— Nie!... — wybełkotała — ja... tak...

— A! aby poznać Paryż?

— Nie... ja...

Urwała i widocznem było, że panną Kamilla przebywa w tej chwili moralną torturę.

Zabrała znów głos Litwinka:

— Pannę Kamillę przysłali tu rodzice, aby się uczyła...

Lecz Kamilla porwała się z miejsca i chwyciwszy Litwinkę za rękę, zaczęła wołać z egzaltacją:

— Na miłość Boską! Niech pani nie mówi, zwłaszcza przed panią, która jest studentką! Ja spałę się ze wstydu!...

Mazia spojrzała na Leona, potem na obie panny szeroko otwartemi oczyma.

— Czegoż pani się ma uczyć w Paryżu? — spytała zdziwiona — żadna nauka chyba wstydu nie przynosi!

— Och!... nauka!... — zawołała tym samym egzaltowanym tonem panna Kamilla — co innego nauka, tak jak u pani, medycyna! filozofja!... ale ta nauka, którą ja muszę przechodzić, ta nie wspólnego z wiedzą nie ma! To nie nauka... to robota!

— Wszystko jedno! — odparła Mazia — zawsze jest to praca... O cóż chodzi? Czego się pani ma uczyć.

Panna Kamilla z minoderją zakryła twarz rękami.

— Nie powiem! Nie powiem — wołała.

Mazia wzruszyła ramionami.

— Czego więc? może... akuszerji?

— O!!!

Obie panny oblały się pąsem i Litwinka, chcąc zatrzeć wrażenie tego „straszego“ słowa, krzyknęła:

— Panna Kamilla ma się uczyć robić... kapelusze!

Nastąpiło chwilowe milczenie.

I nagle rozległ się jak dzwonek srebrzysty śmiech Mazi.

— I tego się pani wstydziła?

Kamilla uczuła się tym śmiechem studentki głęboko dotknięta.

— Proszę pani! — wyrzekła z dumą — u nas, w Warszawie, obywatelskie córki nie mają sobie za zaszczyt zostania szwaczką albo magazynierką. Potrzeba zmusza mnie do tego poniżenia, a raczej upór mojego wuja, który chce łączyć na moje wykształcenie, ale tylko w kierunku rzemieślniczym. Mama żyje na łasce wuja i musieliśmy się zgodzić.

— Wuj pani ma rację! — odparła Mazia.

Tłuste wargi Kamilli wykrzywił ironiczny uśmiech.

— A dlaczegoż pani nie kieruje się na szwaczkę, tylko na doktora? — spytała.

Mazia, zaskoczona tem pytaniem, nie mogła się zdobyć przez chwilę na odpowiedź.

— Ja? — powtórzyła prawie machinalnie — ja!...

— Tak, pani!

— Gdyby wszystkie kobiety poszły na uniwersytet, niktby nie zajmował się handlem, ani przemysłem...

— A to niech się nie zajmuje! — upierała się Kamilla — Ja także chciałabym chodzić na kursa, być doktorem i potem w karetce do chorych jeździć!

Mazia nagle odzyskała pewność siebie.

— A!... Pani głównie o tę karetę chodzi. Pani byłaby doktorem nie z zamiłowania, ale dla kariery.

— Spodziewam się. Przecież to nic przyjemnego słęczeć i uczyć się. Tylko, jak to później przyniesie dobry dochód i korzyści, to nie żał przysiedzieć fałdów. A — kapelusze!...

Wzruszyła ramionami, wspaniała w swej pogardzie dla owych kapeluszy, które były poprostu zmorą jej życia.

Leon z pewnem uczuciem solidarności, ale zarazem i wstydu, patrzył na ten bunt „obywatelskiej córki“ przeciw ręcznej, fizycznej pracy. I on przecież codziennie buntował się tak w swym kantorze, pakując szkielka, kwiaty, albo inne handlowe przedmioty.

— Więc pani leczylaby tylko bogatych ludzi? — spytała nagle Mazia.

— Spodziewać się! — odparła Kamilla — za konsylja same kazałabym sobie płacić setkami. Mają pieniądze... niech płacą.

— A ja, skoro skończę medycynę, będę się starała o najuboższą klientelę.

Kamilla spojrzała na studentkę zdziwionemi oczyma.

— W takim razie! — wyrzekła — rodzice pani źle lokują pieniądze, kiedy jej pozwolili chodzić na medycynę. Już ja nie zmarnowałabym darów Bożych i umiałabym się wybić na wierzch.

Litwinka wzruszyła także ramionami.

— Z panny Mazi zawsze... fanatyczka!

Leon spojrział na Mazię z wielką ciekawością.

Już drugi raz dzisiaj słyszał, iż tę dziewczynkę nazywają w kolonji „fanatyczką“.

Czekał, że ona zaprotestuje, podniesie sama tę kwestję — lecz Mazia, widocznie oswojona z tą nazwą, przyjęła ją znów z obojętnością zupełną.

Tymczasem obie panny powstały i zaczęły się gotować do odejścia.

— Muszę już iść! — objaśniała Litwinka — Ignas powróci, trzeba w piecyku zapalić, obiad przygotować... strasznie grymaśny. Nie chce jeść nic, tylko mięso. A tu funt kosztuje franka!... Co zrobisz? Choć siadłszy — płacz.

— Niech pani kupuje koninę!... — radziła Mazia.

— O Jezu Nazarański! miałabym konia jeszcze w tym Paryżu spożywać! — zawołała siostra Ignasia — a toż grzech i brzydko... konie są pod wierzch i do zaprzęgu, a nie na talerze!...

My wszyscy jemy koninę! Lepsze mięso, tańsze, dają więcej...

— Ach nie! nie! niech pani nie mówi nawet... bo już mi słabo i czuję, że padnę! Chodźmy, panno Kamillo!

Kamilla żegnała się z Mazią i Leonem. Ciągłe nadęta, zła, czerwona, oglądała się z ciekawością po pustym pokoju Mazi.

Ta ostatnia dostrzegła ten wzrok badawczy i ciekawy i z wielką swobodą wyrzekła:

— Panią dziwi bieda panująca w mieszkaniu studentki?

— Nie! odparła Kamilla — ale ja myślałam, że u pani będzie kościotrup albo jakie piszczele... tak mi opowiadali, że to u tych, co się uczą na doktorów, to pełno kości się wala!

Leon zauważył w duchu, iż ta „obywatelska córka“ wyraża się bardzo trywialnie, a rozwój jej umysłu pozostawia wiele do życzenia.

— Nie! tłumaczyła jej Mazia — u mnie przynajmniej kości się nie walają. Jeżeli nawet wezmę jaką *pièce* ze sobą, to ją umiem schować i nie potrzebuję ludzi resztkami trupów od siebie odstraszać!

— O! ja się nie boję! — odparła Kamilla — przeciwnie, ja czuję, że mogłabym swobodnie krajać trupy. Ja mam bardzo silne nerwy!

— E! zdaje się pani — trupy to nie kapelusze!...

Głos Mazi, gdy mówiła te słowa, brzmiał pewną niecierpliwością.

— Ja wiem! upierała się Kamilla — ja byłabym bardzo zdolną studentką.

— A czy pani wie, co to jest baccalaureat? — rzuciła jej już prawie wyzywająco Mazia.

— Kamilla zamilkła na chwilę — ale szybko znów usta wzdęła i wyrzekła:

— Nie wiem — ale jeżeli pani wie, to i ja mogłabym się dowiedzieć...

— Wątpię!

— Dlaczego?

— Bo ja od dziecka starałam się być do niego przygotowaną!

Mnie też na pensji dużo uczyli!

— Może!

Z djalogiem tym doszły do samych drzwi.

Litwinka przebyła szczęśliwie próg. Potknęła się tylko i zaraz jęknęła.

— Najświętsza Panno! znów się przewrócę!...

Widząc jednak, iż przecucie jej się nie sprawdziło — zaczęła od progu wołać na towarzyszkę:

— Chodźmy już... ciemno! chodźmy!

Wyszły — i Mazia, zamknąwszy drzwi, powróciła do pokoju.

Widocznie paplanina tych dwóch kobiet zmęczyła ją, trochę.

Usiadła na krzesetku i opuściła ręce z wyrazem znużenia. Szal opadł jej z ramion i zwisał dokoła jej bioder ku ziemi ciężkimi, miękkimi fałdami.

Ciemno już było prawie zupełnie, tylko purpurowy ogień z rozwartego piecyka oświecał kolana, stopy i jedną opuszczoną rękę dziewczyny. Tors, twarz ginęły w cieniu.

Leon patrzył na nią w milczeniu i nagle to biedne, pełne odosobnienia, nauki, prywacji, życie młodzieńczej dziewczyny, stanęło mu przed oczami. Wśród tej ciszy, samotności chłodnej, lodowej, jaka z pustych ścian wiała — przed tym biednym ogniem, który płonął, nie gorejąc, zrozumiał, iż trzeba mieć w swej duszy wiele siły, hartu i prawdziwego zapału, aby wytrwać, aby w pół drogi nie cofnąć się i nie upaść.

I w głębi swej duszy Leon pytał tej „milczącej“, która siedziała przed nim, pogrążona w zadumie, skąd wzięła moc i siłę, skąd ciepła, które nie pozwoliło jej zlodowacieć na tej pustce i przeświecało jej jasno do pracy nad sobą i dla drugih?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, z piersi studentki wyrwało się ciche, stłumione westchnienie.

Oczy jej zwolna spoczęły chwilę na twarzy Leona i jakby ciągnąc za sobą jego źrenicę, przeniosły się w kącik nad łóżko, na ścianę, na której Leon dopiero teraz — z trudnością dojrzał wiszący jakiś przedmiot.

Zmrużywszy powieki, rozróżnił powoli wianek nie duży, uwity z cierni, po za który zatknięte czerwieniły się małe bukietki pąsowych nieśmiertelników. Kawałek czarnej, zniszczonej krepy owijał ciernie. — Za gałęziami wnetnięte kilka broszurek białały zdaleka z poza fałdów krepy.

Ten sam znak, ten sam symbol, który widniał w mieszkaniu Grzegorzewskiego.

I tam było zimno, pusto i ubogo. I tam ciernie czeptały się ściany nagiej, wystygłej — ledwo schronienie dającej.

Był to źródło, z którego czerpali wiarę i siłę on“ wszyscy, pracujący w ciszy i odepchnięci od „porządnego świata? Ta plecionka cierni, nieśmiertelnej purpury krwawego potu wyzyskiwanych, żalobnej krepy niewoli i pomiedzy tem rzucony biały kwiat ich pracy, to było przypomnienie Polski, która nigdy tak bliską i drogą nie wydała się Leonowi jak w tej chwili, na tej Glacjerze, w chłodnej izdebce czarno odzianej... fanatyczki.

X. W kraju swobody.

Leon wiódł teraz podwójne życie.

Powrócił do swego zajęcia i pracował dalej, lecz była to dziwna, mechaniczna praca, która niczem nie wiązała go duchowo, bo, podczas gdy ręce pracowały, duch szybował wysoko — zgorączkowany i podniecony.

Leon nie powiedział Kręckiemu o swej bytności na Głacierze. Bał się, że Kręcki jakimś ironicznem słowem, jakąś niewczesną uwagą lub przestrogą zniweczy mu urok i zepsuje wrażenie, jakie on wyniósł z owej niedzieli, która mu pozostała teraz jak wijatyk na pracę całotygodniową. — Grzegorzewski, Mazia, Wilhelmina, Włodek — słowem wszyscy urosli w jego sercu i imaginacji do potęgi bohaterów. Nie znał dokładnie ich działalności, czuł, że jakkolwiek napozór zupełnie otwarcie przypuścił go do swego grona, jednak, wyznaczając mu nieznaczającą robotę nalepiania marek pocztowych, ową powierzchowną pracą oddzielili go od gruntu prawdziwej działalności, jaką się oni zajmowali. Nie miał im jednak tego za złe. Tak był szczęśliwy i dumny z tego, co się stało, że oprócz wielkiej, trochę egzaltowanej wdzięczności, nic dla nich innego nie czuł. Kręcki natychmiast dostrzegł, iż w życiu Leona zaszła jakaś zmiana. Gdy Leon powrócił do domu w ową pamiętną niedzielę, zamknął się w swoim pokoiku i na propozycję Kręckiego, aby udał się z nim do jakiego Café-concert'u, pozostał głuchym. Leon bowiem położył się natychmiast do łóżka i czytać zaczął „Historję rewolucji w Rosji“ Herzena.

Książkę tę dała mu Mazia, mówiąc:

— Gdy pan tę książkę przeczytasz — zrozumiesz, że pomiędzy rządem rosyjskim i jego wykonawcami a ludem rosyjskim istnieje cała przepaść, i że tyle tam jest krzywd, łez, bólu, niesprawiedliwości, co i na naszej polskiej szali.

Przypomniał sobie jednak, że dziewczyna natychmiast dodała:

— Tylko, nie sądź mnie pan internacjonalistką i nie przypuszczaj pan, że w tym celu daję ci tę książkę. Zobaczysz sam, jaki duch z niej wieje i powiesz mi swoje zdanie.

I ze ślicznym, kobiecym prawdziwie uśmiechem, dała:

— Ręczę, iż, będzie takie samo, jak nasze!

Czem więc dla Leona wobec tej zakazanej książki, wobec głosu Herzena, mogło być wewnątrz kawiarni paryskiej, gdzie Yvette Guilbert (ohydny typ ubielonego kłowna), wyla z giestami manekinu brukową piosenkę powracającej z wesela pijaczki. Leon chciał pozostać sam i Kręcki znudzony próżnym pukaniem do drzwi poszedł wreszcie szukać odpoczynku w ciasnym fotelu zadymionej, kawiarnianej sali.

Leon czytał do białego ranka. Gdy nafty zabrakło w lampie, spalił resztki świec, wreszcie, gdy świece zgasły, z radością powitał świt szary, wkradający się przez okno. Wskoczył z łóżka, owinał się kołdrą i czytał, czytał dalej, widząc przed sobą rosnącą potęgę dwugłowego orła, dynastję Romanowych, rozsiadającą się na tronie, którego słopnie tworzyły stosy trupów, a purpura carskich, koronacyjnych płaszczów zabarwiała się krwią pomordowanych poprzedników. I czuł, jak ta Rosja rozciąga się powoli nad całą półkulą na wzór posrebrzonego lodem potwornego kraba — którego nogi, złożone z całej armii czynowników, zagarniają coraz większe obszary, sięgają po coraz większe zdobycze. I potwór ten, krab żarłoczny o tysiącach nóg i z głową jednego autokraty, był cały zwierzchu lśniący od pochwytej cywilizacji, a wewnątrz miał w sobie wiekową pleśń barbarji, mieszaną z gorzką poezją cierpiącego ludu. Nie doszedł drogą ewolucji, jak inne narody, do brylantów wiedzy i czarów arcyzmu. Teraz — kołysał się pijany od źle wyuczonyj roli i chwilami nogi puszczały się w prysyudy wtedy, gdy głowa kiwała się w takt menueta.

Niemniej była to potęga olbrzymia, niezmiernona, nie do zgnięcia.

Leon, czytając Herzena, czuł tę potęgę tak bliską, tak gniojącą go swoim ogromem, że lękał się spojrzeć poza siebie. Zgorączkowany nieprzespaną nocą, siedział na brzegu stołu z książką opadłą na kolana, a usta jego mimowoli szeptały:

— Ryleieff! Boratyński! Bestudżef!...

To była cała litania orlich umysłów, skuwana łańcuchem niewoli. Herzen mu ją wskrzesił i z cieni wydobył.

I nagle z jego ust poblądłych wybiegły znów dwa nazwiska, jakby asocjacja tych myśli była nierozzerwalna, jakby tamte włokły za sobą tych dwoje kołyszących się straszliwym widmem na drzewcu szubienicy.

— Żeljabow!... Perowska!...

Działo się z nim w tej chwili coś dziwnego. Zdawało mu się, że dusze tych moralnie i fizycznie pomordowanych weszły w niego i cierpią, szamocą się, rzucają, wracają do życia.

Krople potu spływały mu po czole. Świt wstawał niepewny, bez jasności słonecznej, a on powtarzał sobie:

— Zemścili się — jedni za drugich... jaki to łańcuch! Jaki łańcuch!..

I cóż stąd, że on był tylko marnym, biednym ucznia-kiem z prowincjonalnego miasteczka? I on wy dobył ze swej duszy jak Puszkina, jak Czerniszewski to, co miał najlepszego, najpiękniejszego i nadał temu formę słów. I on za te słowa uciekać musiał przed Sybirem, rzucić swe książki, nauki — i tulać się teraz na obczyźnie, drzeć przed widmem głodo-wem i moralnie być sam! wiecznie sam!.. Cóż stąd, że on nie był geniuszem, znakomitym poetą, historykiem! On, co mógł, na co się był w stanie zdobyć, dał ze siebie z całą wiarą gorącą, poświęceniem. Więc jego dar dla społeczeń-stwa był tem samym, czem dar tamtych... wielkich!

I on doznał prześladowania tego jednogłowego a stuno-giego kraba o lodowej, roziskrzonej rubinami krwi i pro-mieni zorzy północnej — koronie...

— Och! Żeljabów... Perowska!..

Teraz zrozumiał, dlaczego Mazia mu dała te książki. Powiedziała doń:

— Należy poznać swych wrogów, poznać ich dokładnie... Wiedzieć, gdzie leży przyczyna i umieć rozróżnić tych, co tak, jak my, cierpią, od tych, co nas i ich prześladują.

I pamiętała, że dziewczyna dodała:

Umiem rozróżnić tylko... kochać ich nigdy! Bo nawet my tych Rosjan, którzy cierpią rządowe prześladowania, kochać nigdy nie będziemy mogli. To silniejsze, niż nasza wola i dobre chęci. Prawda?

On potwierdził i dziś czuł to samo. Powoli teraz roz-różniał rząd od całego narodu, a jednak... jednak litości, współczucia dla nich nie czuł, czuć nie był wstanie.

Gdy Kręcki do drzwi zapukał, aby zabrać go ze sobą do kantoru, Leon zbudził się, jak z sennego marzenia. Rze-czywistość chwyciła go w żelazne szpony. Przez drzwi krzy-knęła, że się ubiera i że na ulicy Kręckiego dogoni. Lecz nie spieszył się wcale. Ciągłe był pograżony w rozmarzonej egzaltacji. Chciał czempredzej zobaczyć Mazię, powiedzieć jej, co czuje, co myśli. Grzegorzewskiemu nie śmiałyby nigdy zwierzyć się ze swych myśli. Lecz Mazia w ciągu jednego dnia zyskała w jego oczach całe zaufanie. Ona, pomimo swej pozornej rozwagi, widocznie uzyskanej przez wpływ Grzegorzewskiego, miała w sobie całą masę temperamentu i nerwowego fanatyzmu dla wiedzy i dla sprawy narodo-wej. To był punkt, na którym schodziły się i porozumiały nadzwyczaj szybko dusze tych dwojga młodych.

Gdy Leon schodził dnia tego ze wschodów, spotkała go madame Bauer, karmicielka i zarazem zarządczyni hoteliku.

— Czy pan już zrobił swoją deklarację w policji? — spytała go po francusku.

— Nie! A czy to konieczne?

— Jako? Pan musi to zrobić i to bez zwłoki, naza-jutrz. Pan mnie narazi na nieprzyjemności.

— Ja myślałem, że we Francji każdy może mieszkać swobodnie...

Pani Bauer wykrzywiła usta.

— Każdy Francuz! — wyrzekła — ale nie cudzoziemiec.

Gdy Leon przyszedł do kantoru, sam pan Kwiatkowski spotkał go wymówką za opóźnienie się półgodzinne.

Leon popatrzył na swego „patrona“ jak senny i przeszedł do Kręckiego, który natychmiast dał mu kilka komisjów do spełnienia. Spojrzawszy jednak na Leona, Kręcki zdziwił się, widząc zmianę w jego twarzy.

— A panu co? Wyglądasz jak lunatyk!

Lecz Leon zabrał się do roboty i nie odpowiedział nic na dalsze pytania Kręckiego.

Pod wieczór dopiero, gdy zostali sami w kantorze, Leon zaczął się informować, w jaki sposób musi złożyć „deklarację“ w policji.

— A no... pójdzie pan z paszportem, a dziś tymczasem pana z fotografują.

— Z fotografują?

— A jakże... jak złodzieja, albo mordercę.

— A jeżeli ja nie zechcę?

— Nie będziesz pan o tem wiedział... oni pana wyfotografują w sekrecie przed panem.

— Poco?

— Aby fotografię pana złożyć rosyjskiej ambasadzie.

Leon aż drgnął, posłyszawszy te słowa.

— Poco?

Kręcki ręce szeroko rozłożył.

— To już ich i ambasady sprawa!

— Ależ... ja myślałem, że my tu jesteśmy bezpieczni.

— My? bezpieczni? we Francji? Wierz mi pan, że my tu jesteśmy sto razy więcej szpiegowani, niż w kraju. Tam nas jest dużo... tu na dwóch, trzech Polaków i Rosjan, jeden agent...

Leon przygryzł wargi i uczuł, że mu serce gwałtownie bije, gdy posłyszał Kręckiego, mówiącego następujące słowa:

— Dlatego od Glaciera radzę panu trzymać się z daleka... Skoro pan powrócisz do kraju, to panu może złego figla wypłatać.

— Ja nie myślę wracać do kraju — odrzucił Leon.

— Ho! ho! — zawołał Kręcki — jaki z pana patriota, ekspatriujesz się pan? Ja zaś myślę wrócić do kraju i tam dla jego rozwoju przemysłowego pracować.

Teraz Leon uśmiechnął się ironicznie.

— Dla rozwoju kraju, czy dla rozwoju swojej kieszeni? — zapytał.

Lecz Kręcki bynajmniej się nie zmieszał.

— I dla jednego i dla drugiego... inaczej istnieć nie można.

— A ja będę inaczej istniał!

— Owszem... będę ciekawy, śledząc pańskie życie...

Leon coraz więcej się gorączkował.

— Wątpię... ścieżki nasze są różne!

— O tak!... moja nie prowadzi do Glaciere, tylko do fabryki.

Leon uderzył pięścią o stół.

— Nie szydź pan ciągle z Glaciere. Pan nie jesteś wart rozwiązać rzemyka u obuwia tych ludzi. Pan...

Zabrakło mu słów — drżał cały, oczy jego ciskały płomienie.

Kręcki obojętnie, zimno na niego spoglądał.

— Pan tam już byłeś! — wyrzekł, kiwając głową.

— To do pana nie należy.

— Owszem. Należy! Gdybym widział, że pan toniesz, musiałbym pana ratować. Inaczej byłbym nieuczciwym człowiekiem!

Wyciągnął przez stół rękę.

— Daj mi pan słowo, że pan tam już więcej nie pójdziesz...

Lecz Leon nie uściśnął podawanej mu ręki.

— Skoro zechcę... to pójdę! — Jestem pełnoletni i wiem, co mam robić!

Ręka Kręckiego opadła.

— Ha!... trudno!... — wyrzekł ze smutkiem — widzę, że pan jesteś bardziej chory, niż przypuszczałem. Szkoda mi pana.

I już do końca dnia pracowali, nie mówiąc do siebie ani słowa.

.....

Nazajutrz poszedł Leon do prefektury policji.

Wiedział, że iść musi w tym kraju wolności. Wolał więc iść sam, niż czekać aż go *par force* zwołają, ściągają i w ten sposób bacznieszą na niego zwrócą uwagę.

Na szczęście Leon nie zniszczył owej przepustki, która w razie potrzeby mogła uchodzić za paszport.

Wszedłszy do gmachu policji, błąkał się długo po korytarzach, brutalnie i błędnie informowany przez drabów o zbrojeckim wyglądzie, w uniformach policyjnych francuskich agentów.

Wreszcie dostał się do podłużnej, jasno oświetlonej sali, w której kilkunastu urzędników siedziało poza biurkami, ustawionymi na środku sali. I tu panowała prawdziwa chamsko-republikańska niegrzeczność i grubiaństwo. Leon, odsyłany od jednego biurka do drugiego, wątpił już w możliwość złożenia swej deklaracji — gdy został zatrzymany przez jakiegoś urzędnika, czyszczącego sobie paznogie pilnikiem i zabierającego się do wykłuwania w zębach ostrzem tego samego pilnika.

— Vous désirez?

Leon objaśnił cel swego przybycia.

— Ah! oui! — odpowiedział urzędnik — et vos documents?

Leon wyjął z kieszeni ową przepustkę i urzędnik zaczął oglądać na wszystkie strony ten kawałek papieru, kręcąc głową.

— Cóż to za język? — spytał wreszcie, wskazując Leonowi rosyjskie litery, któremi była zapisana przepustka.

— To po rosyjsku — odparł Leon.

— A... tak!

I znów przez dłuższy czas wpatrywał się w litery.

— Epatant! — zakonkludował i przycisnął nieznacznie ukryty pomiędzy papierami dzwonek elektryczny.

Lecz Leon dobrze śledził każdy jego ruch i teraz był przekonany, że albo go w tej krainie swobody zaaresztują, albo... sfotografują.

— Nazwisko pana?

I zaczęła się mozolna praca dyktowania po literze pożądanego nazwiska i komponowania na prędce miejsca urodzenia i nazwisk rodziców.

Po czole Leona perlily się krople potu.

Było mu tak, jak w cytadeli podczas indagacji. Ci republikańscy urzędnicy sprawiali na nim wrażenie rosyjskich żandarmów. I tu i tam badali jego życie, opisywali, negując w ten sposób prawo istnienia człowieka swobodnego pod słońcem. I tu i tam musiał Leon trzymać na wodzy swe myśli i słowa, nie pozwolić się zdradzić i zmuszać się do kłamstwa.

Leon trzymał pochyloną nad biurkiem głowę, gdyż urzędnik, spisujący jego słowa, kazał sobie dyktować powoli litery, wykrzywiając się przytem pogardliwie, tak, jak każdy Francuz, słyszący cudzoziemskie nazwisko. Nagle — do Leona zbliżył się młody, wysoki człowiek — ubrany dość starannie, i dotknąwszy lekko ramienia Leona, zapytał:

— Vous dites?

Leon odwrócił się szybko i uczuł zimne, stalowe żreńnice, wpijające się w jego oczy. Urzędnik patrzył na Leona z taką mocą, że ten chwilkę stał nieruchomy, zwrócony twarzą do światła, zahipnotyzowany prawie.

Przed sobą miał marę, cień, kopję rosyjskiego żandarmskiego oficera ze śledczej kancelarji, tylko ta mara zamiast fjołkowego muduru i czerwonych wypustek, odziana była w czarny surdut i jasno-perłową krawatkę.

Lecz oczy były te same, stalowe, świdrujące mózg, ciągnące haczykami hipnozy tajemnice dusz. Oczy, przed któremi wie się trzeba z trwogi, aby nie zacząć krzyczeć, co się w sercu kryje, oczy — nie oczy, ale noże, ale stal, ale skalpel dysekcyjny.

I wtedy Leon zrozumiał, że czy w Rosji, czy we Francji, czy na jakiejkolwiek stronie świata, jest jedna wielka rodzina — policją nazwana. I wszyscy oni, ci bracia, mają jedne i te same oczy, które wciskają się w głąb duszy człowieka...

Tylko w Rosji ci „bracia“ noszą mundur fjołkowy i brzęczące ostrogi.

A ludzkość, z której ona i oni wyszli, wije się z podaniem i milczy pełna grozy pod spojrzeniem tych oczu, niepewna w swem istnieniu, śledzona — mająca to przekonanie, że nawet myśl jej nie należy do niej i jest fantych własnością.

Kilkanaście sekund pozostawał Leon pod władzą francuskiego agenta i w tej chwili uczuł jakieś dziwne, niepojęte wrażenie. Zdawało mu się, że ktoś ściągnął z jego twarzy delikatną siatkę i cisnął nim samym o jakąś płaszczyznę. Równocześnie Leon spostrzegł, że opodał sformowała się grupa, złożona z trzech mężczyzn. Dwóch widocznie zasłaniało trzeciego. I to wrażenie ściągnięcia maski z twarzy powtórzyło się raz jeszcze z migającą szybkością.

Leon w tej chwili uczuł, że go sfotografowano. Z wściekłością w duszy na samego siebie odwrócił się od urzędnika i pochylił znów nad biurkiem. Lecz już było za późno. Ambasada nazajutrz miała jego rysy z podpisem na odwrotnej stronie:

Stefan Popielawski
né en Russie (Pologne) etc.

Klasyfikacja zwierzęcia na wystawie bydłowej, kartka wejścia złooczyńcy do kryminału, lub patent na przyszłego zbrodniarza przeciw spokojowi publicznemu.

O, straszna, bolesna nędzo ludzkiego istnienia, wielka bezbrzeżna, upokarzająca nędzo!

Leon schodził po białych schodach prefektury policyjnej i w rękę miał *Extrait du Registre d'Immatriculation* według ustawy prawnej z 1893 roku. Jedyнным protestem na ćwiartce tego papieru, opatrzonej pieczęcią prefektury, były

te słowa „Russie — Pologne“. — Ta „Polska“ na wyraźne i uparte żądanie Leona, wpisana została, lecz kryło ją natychmiast słowo:

Nationalité — Russe.

I na uwagi Leona urzędnik pozostał głuchy. Napisał że Leon jest Rosjaninem i tak pozostać musiało.

Za ten patent na Moskale Leon zapłacił 2 fran. 55 centimów. Oznajmiono mu jednak, że z powodu gościnności (z której się tak sławi Francja), musi jeszcze na dole uiścić cztery franki za prawo przebywania na francuskiej ziemi.

Leon zeszedł na doł i zaczął znów się błąkać pod kolumnadą. Deszcz padał lodowaty — na dziedzińcach czerniało śliskie, lepkie błoto, właściwe tylko błotom większych miast. I znów za wskazówkami agentów Leon doszedł wreszcie do jednego z dziedzińców, gdzie spostrzegł gromadkę ludzi, ustawionych wężowo w kierunku jakichś drzwi zamkniętych. Kilka osób znajdowało się w ten sposób pod kolumnadą, lecz reszta mokła na deszczu, a nogi tonęły w błocie.

Był to elegancki sposób odbierania od cudzoziemców pieniędzy za ich pobyt we Francji. Leon długo czekał, zanim go do owych drzwi dopuszczono. W rozmaitych językach (najwięcej we włoskim), słyszał przekleństwa i wymysły na sposób traktowania cudzoziemców, przychodzących składać swój haracz rządowi. Wielu z tych ludzi było w bluzach roboczych i śpieszyło się do swych zajęć. Trochę dalej dostrzegł Leon upartą, kudłatą głowę rosyjskiego studenta i duże oczy marzącego wichrzyciela. Wzrokiem spotkali się, ale nie porozumieli. Oczy ich rozbiegły się zaraz zobojeźniałe. Był to przecież widocznie także „zbuntowany“. Leon to odczuł instynktownie — przeczytał w oczach, które otworzyły się przed nim nakształt księgi. Lecz nic ich nie złączyło, pomimo może wspólnego pragnienia wolności.

W ciasnej izdebce, gdzie huczał rozpalony piec, ściągnięto z Leona ów haracz, wydano mu pokwitowanie i wyprowadzono czempredzej. Tu już była tylko czynność czysto skarbowa, widoczna chęć powiększenia, choćby kosztem godności państwa — rocznego budżetu.

I wyszedł z tej republikańskiej prefektury policji — biedny student polski, opisany jak wąż, zziębnięty, przemokły, uboższy o dziesięć franków (na trzydziestu fr. miesięcznego dochodu), sklasyfikowany w księgach policyjnych, opatrzony pieczęcią jak wół na targ piątkowy i sfotografowany i wydany w ręce, jako możliwy zbrodniarz i żer Syberji ambasadzie, reprezentującej owego autokratę, przed którym on krył się, jak ścigane przez horde psów zwierzę...

I wzrok zmęczonego fizycznie i moralnie chłopca padł na fronton gmachu, na którym, jak na urągowisko, przez siatkę deszczu widniały złote litery:

Liberté! égalité, fraternité!

Wolność! równość! braterstwo!...

Smagająca duszę ironja! Wolność na gmachu policji, związanej nierozzerwalnym węzłem z białym domem ambasady — tam — na ulicy Grenelle! Równość, braterstwo... czcze słowa: równymi i braćmi tu są tylko silni, wielcy i potężni.

Słabi i uciemienzeni są tak samo żerem i pastwą — podwójną, bo Francji i swego naturalnego wroga.

I ta republika, spławiona we krwi królewskiej, z której powstała jasna zorza swobody, ta republika nie mogła pozostawić w spokoju biedne dziecko, tulące się pod płaszcz jej, utkany przed wiekiem z rozrzuconych popiołów monarchów w Saint Denis i smug krwawych, płynących z pod noża gilotyny.

W tej chwili fotograf utrwał twarz tego młodocianego rewolucjonisty, w którego piersi gorzała zbrodnicza miłość dla Ojczyzny, a nazajutrz republikański agent wręczy agentowi Autokraty ten dokument i zbuntowane a kochające dziecko będzie miało swego szpiega, lecz już nie będzie miało swoich czynów, swoich pragnień, swoich słów, swoich myśli. Vive la République!

XI. U Wilhelminki.

Wychodząc z pod kolumnady prefektury, Leon dostrzegł pułkownika Montalembert, który właśnie zabierał się wsiąść do czekającego nań powozu. Leon ukłonił się grzecznie przyjacielowi Polaków, a ten skwapliwie oddał mu ukłon i pomimo deszczu podbiegł do Leona i podał mu rękę.

— Bonjour jeune homme! — zawołał, wstrząsając silnie dłonią chłopca — bonjour!...

I z zajęciem zapytał, co robi w policyjnym gmachu.

Leon w odpowiedzi pokazał mu swój Extrait, co wywołało ze strony pułkownika wyrazy gorącego oburzenia na niegodziwość podobnego postępowania względem cudzoziemców.

— Ja także byłem dziś w policji!... — wyrzekł po francusku — bo niestety każdy z nas ma coś do czynienia z tymi... panami!

Nieopisana pogarda brzmiała w jego głosie, gdy mówił „o tych panach“.

— Lecz... — dorzucił dalej — ja przyszedłem tu w sprawie... mego zaginionego psa. Tak! tak! psa... prosiłem, aby mi go odszukano.

I z wielką melancholją dodał:

— Co chcesz, młody człowieku, skoro się jest samym i starym — trzeba się do kogoś przywiązać, choćby do psa!

Leon poczuł litość dla tego opuszczonego i samotnego starca.

— Pan jesteś sam na świecie?

— Tak!... sam! sam!

Chwila milczenia, poczem pułkownik Montalembert dodał:

— Dlatego chcę sobie utworzyć rodzinę z was, z Polaków, których kocham, jakby to były moje rodzone, moje własne dzieci!

Położył rękę na ramieniu Leona i oczy jego zaszyły mgłą.

— Takbym pragnął, ażebyście mnie pokochali i mieli do mnie zaufanie...

Leon chciał coś odpowiedzieć, lecz napróżno siłił się znaleźć jakieś serdeczne słowo.

Na szczęście pułkownik, nie czekając na odpowiedź, zaproponował mu, aby wsiadł z nim do jego powozu i pojechał z nim na Glaciere.

Leonowi serce zakolało gwałtownie. Pokusa była zbyt silna. Kantor mógł poczekać.

— Pojedziemy do panny Borman.

— Ja nie znam panny Borman.

— Jaktó? Pan nie znasz czarującej panny Wilhelminy?...

— A... tak... Pannę Wilhelminę znam.

— No więc, pojedziemy do panny Wilhelminy Borman.

Mam do niej interes, a ty, młody człowieku, będziesz miał szczęście zobaczyć tę czarującą młodą osobę!

Pułkownik wymawiał „czarująca młoda osoba“ z naciśkiem galanta-konesera. Lecz zaraz w powozie zmienił przedmiot rozmowy. Zaczął mówić o Glaciere, o Grzegorzewskim, z takim zapałem, że porwał nim Leona i zjednał sobie zupełnie jego serce.

— Poznałem tych ludzi — mówił gorąco — poznałem i uchyliłem przed nimi czoła! Co za energja, co za wiara, co za praca, a potem co za abnegacja! Oni wszystko, co mają, poświęcają dla sprawy. To święci ludzie! Ten Grzegorzewski dostaje z domu jakieś osiemdziesiąt franków miesięcznie. On żyje suchym chlebem i herbatą, nie pali, słowem... asceta! Wszystko poświęca, oddaje na owe wydawnictwo... Dowiedziałem się o tem... to nadzwyczajne, nadzwyczajne!...

I nagle zwrócił się ku Leonowi:

— Pan należysz także do nich... prawda?

Jedną chwilę, jakieś niepojęte dla Leona wahanie przebiegło jego mózg, lecz duma należenia do tej tak wysoko stawianej partji przeważyła.

— Należę! — zawołał donośnym i szczerym głosem.

— A... a dawno?

— Dawno!

— Może jeszcze w kraju — bo oni przecież muszą mieć połączenie z krajem.

Nie ostrożność, lecz pewien wstyd przed kłamstwem, kazał powiedzieć Leonowi:

— Nie, ja ich tu w Paryżu poznałem!

Lecz pułkownik sądził, że Leon nie chce być przed nim zupełnie szczerym.

— Młody człowieku! — wyrzekł — młody człowieku, widzę z żalem, że mi nie dowierzasz i nie chcesz wszystkiego powiedzieć... Ale ja ci się nie dziwię — Francja tyle ma win obecnie wobec was, że nie możesz zrozumieć, iż we mnie bije gorące serce i całe wam oddane!

Milczał przez chwilę, jakby walcząc ze wzruszeniem, które go ogarniało i znów zapytał, nie patrząc na Leona:

— Dużo was tu jest przynajmniej w tej partji?

Leon, raz skłamawszy, że do „partji“ należy, czuł się zmuszony brnąć dalej.

— Nie dużo! — wyrzekł półgłosem.

— To źle... powinniście agitować, wciągać jak najwięcej Polaków, młodzieży — nawet rosyjskich rewolucjonistów. Ja sądziłem, że wy macie szerokie aspiracje, godne sił młodości! A!... gdybym ja był wami, podkopałbym cały system rządowy, pociągnął za sobą lud, proletarjat... wszystkich!... Lecz wy jesteście niedołęzni... nie umiecie się brać do rzeczy...

I nie zwracając się ku Leonowi, porwał go za rękę.

— Lecz może ja was oskarżam niesłusznie, może działanie wasze jest właśnie takie, jak ja myślę. Co?..

Lecz Leon, wprawiony w straszny kłopot, a nie chcąc się przyznać, że nie wie nic o działaniach partji, bąkał:

— Rzeczywiście... to jest... my chcemy, my robimy, co możemy...

W lusterku, zawieszonem na przedniej ścianie karetki pomiędzy szybami, odbijała się doskonale twarz Leona. Pułkownik wpatrywał się w to lusterko bardzo bystro i śledził zakłopotanie chłopca.

I do samego domu, zamieszkanego przez Wilhelminkę, ciągnęła się ta rozmowa, a właściwie monolog pułkownika, z którego Leon wynioskował, że pułkownik wie o partji Grzegorzewskiego prawie tyle, co on sam, z tą różnicą, że pułkownik bywa w drukarni, w której się drukuje wydawnictwo Grzegorzewskiego i zajmuje się gorąco tem wydawnictwem.

— Bardzo piękna to i wzniosła praca! — mówił Montalembert — i radbym z duszy poznać współpracowników. Mam dla nich cześć i szacunek...

Karetką zatrzymała się i Montalembert, wysiadając, kazał na siebie czekać. Nie była to zwyczajna paryska dorożka, lecz dość elegancka, ciemna karetką. Stangret miał czarny płaszcz zwyczajny i twarz niefachowego — pańskiego stangreta.

Wilhelminka była w domu i usługująca jej kobieta nakrywała właśnie do śniadania na brzegu stołu w salonie.

Warszawianka zażenowała się, widząc wchodzących gości i kazała szybko sprzątnąć niezbyt czystą serwetkę i talerze. Poczem wybiegła do kuchni, skąd powróciła owinięta białą, jedwabną, haftowaną chustką, którą owinęła cały biust i pokryła skromną, flanelową domową sukienkę. Panna Borman upudrowała się widocznie świeżo, a na nogi wsunęła złotem haftowane, wschodnie pantofelki. Z wielką swobodą w obejściu, nie wykluczającą pewnej dystynkcji, przy-

jęła swoich gości. Ładym gestem wskazała im miejsca i sama usiadła na bujającym fotelu, pokrytym pluszową, żółtą draperją. Plusz był tani, draperja upięta szpilkami, widocznie przez niewprawną rękę, lecz gdy Wilhelminka usiadła na fotelu i przechyliwszy głowę, oparła ją na pluszu, czarne jej włosy zarysowały się prześlicznie na tem złocistem tle. Twarz zdawała się bielsza, doskonalsza, jakby z ekcentrycznej polichromji zdjęta.

Leona ta swoboda obytej w świecie panny podbiła i zaimponowała mu niemało. Przytem całe otoczenie, ten salonik, był dla niego czemś nowem i zastanawiającem.

Był to niewielki pokój, zastawiony mebelkami, przeważnie przeznaczonemi jedynie do figurowania a nie do użytku. Były to stoliczki tak małe, że tanie japońskie figurki, stojące na nich, już je przytaczały sobą, krzeselka tak delikatne i cieniuchne, że siadać na nich byłoby zuchwalsstwem.

Jakaś wyrzeźbiona filigranowa szafeczka stała w rogu, to znów pułeczki trzciniowe dźwigały masę fotografii pozytywanych w wachlarze. Na ścianach przeważnie porozpinane były kawałki materyj, imitujących stare tkaniny. Na nich poprzyczypiane karnećki warszawskich balów, kilka dekoracyj kotyljonowych, afisze amatorskich teatrów i znowu fotografie, całe masy fotografii artystów, aktorów, aktorek, znakomości europejskich, kilka Sienkiewiczów, jeden Gawalewicz, Faure, Richepin i upiorowy Ibsen. Pomiedzy oknami wspaniały Cheretowski afisz, płomienny, przedstawiający Taniec ognia, przysłonięty był dyskretnie draperjami firanek, które spadały na okna, obite zewnątrz różową, lekką materją.

Ta różowa zasłona, przez którą przebijać się musiało światło, nadawała całemu pokojowi jakąś fantastyczną barwę. Firanki koronkowe, upięte ukośnie, zdawały się być cieńsze i delikatniejsze, niż były rzeczywiście. Leon, pożerający wzrokiem ten dziwaczny w swoim rodzaju pokój „studentki“, nie dostrzegając, iż firanki były zrobione z falban balowej sukni a zasłonki różowe z podszewki tejże sukni, posztukowane i pospinane umiejętnie. Łóżka w tym pokoju nie było ani śladu. Widocznie Wilhelminka pragnęła mieć „salon“ i wygoda musiała ustąpić przed elegancją.

Gdy zamykała drzwi od kuchni, dojrzeć można było materace i pościel złożone w kuchni na kufrze.

W salonie zaś był tylko „szezłag“ wysunięty ukośnie, z pretensją buduarową, na środek pokoju.

Na szezłagu leżało kilka poduszek, obciążonych angielskim muślinem. Po za szezłagiem stał mały japoński parawanik, za który zatknięty był duży wachlarz jaskrawych kolorów.

Lecz najciekawszem ze wszystkiego było biurko a raczej stół do pracy, który stał ukośnie na przeciwniejszej szelagowi ścianie. Okryty jutą niebieską w kremowe pasy, zamiast klasycznego sukna, przedstawiał miły nieład, rzeczywiście artystycznie ułożony. Ciężkie książki ujęto w pluszowe przegródki i ustawiono kokieteryjnie po obu stronach. Na środku trupa głowa, ładna, gładka, ślicznie spreparowana, miała otwartą czaszkę, a wewnątrz pełno kwiatów, lewkonij i chryzantemów. Kilka statuetek z fałszywej saskiej porcelany rozpinało swe koronki i harcocyfy — podczas, gdy porozrzucane notatki przyciśnięto dość swawolną grupą z terracoty, sprzedawaną w tanich, bulwarowych bazarach. Niewielka, grupa oprawna w dość poważne, dębowe ramki, przedstawiała kilku profesorów i kilka internów w fartuchach... i z czapczkami, a pomiędzy nimi Wilhelminka w aksamitnej sukni, w białym fartuchu, uśmiechała się obok siwej genialnej głowy Charcot'a.

Lecz zaraz koło tej fotografii, przypominającej białą fartuchów zbyt świeże operacje, lampa służąca do oświetlenia nocnej pracy studentki, była strojna w tak kokieteryjny abażur, różowy, pokryty koronką, iż dziwić się należało, jak pod tem światłem, przywodzącem raczej na pamięć balowe toalety, mogła studjować ciężar skomplikowanej wiedzy pani tego domu.

Leon, który nigdy nie przebywał w podobnie urządzonej mieszkanie, odrazu uczuł się podbitym i zachwyconym. Patrząc na siedzącą przed nim Wilhelminkę, która załotnie rozmawiała z Montalembertem, uczuł nagle przerażające go ściśnienie serca i pragnienie rzucenia się do stóp tej ślicznej „działaczce“, w złotem haftowanych pantoflach.

Nigdy nie wydała mu się tak piękną, tak ponętą, tak kobietą, jak tu, u siebie — w tym saloniku, pełnym bazarowych cacek.

Wilhelminka tymczasem cały swój wdzięk i czar zwracała ku pułkownikowi. Leona przywitała bardzo życzliwie, jako znajomego, ale z pewnym odcieniem wyższości. On przypisał to poprzedniemu zajęciu na wschodach, gdy wzywany przez Wilhelminkę do towarzyszenia jej, poszedł za Mazią.

Gniewa się na mnie — pomyślał — ale ja ją prześlągam.

Nie mógł zrozumieć, że skoro jest dwóch mężczyzn, z których jeden przedstawia jednostkę, a drugi zero, takie panny, jak Wilhelminka, będą zawsze oddawały pierwszeństwo... jednostce.

A jednostką tą był bezwarunkowo pułkownik. Z czułem spojrzeniem rozkochanego starca proponował właśnie Wilhelmince przejażdżkę w swej karetki na Pola Elizejskie.

— Deszcz przestał padać... pojedziemy do lasu, pani trochę odetchnie świeżym powietrzem — to konieczne, konieczne. Niepodobna oddawać się nauce i tylko nauce. Piękne oczy mogą blask stracić, a to większa byłaby szkoda dla społeczeństwa, niż niezdany egzamin...

I usiadłszy blisko fotelu Wilhelminki, ścisnął jej rękę, całował paluszki z galanterją nadzwyczajną — ona zaś broniła się ze śmiechem, widocznym jednak było, że powóz pułkownika dobrze zrobił na niej wrażenie.

— Pan ma własne konie? — zapytała, kołysząc się na fotelu.

— Tak...

— Szczęśliwy! chodzić po błocie to tak nieprzyjemnie. Prawda, panie Leonie?

Zapytany zniechęcony, zarumienił się i nie znajdując na razie nic mądrzejszego, odpowiedział:

— Są... tramwaje, omnibusy!...

— O!

Pułkownik porwał się zgorszony.

— Oto jest młodzież! — zawołał z ogniem — oto jest nieszanowanie i nieocenie kobiecej piękności. Jaki to nieszczęśny? Ty chciałbyś skazywać te drobnouchne stopy na pieszą wędrowkę, na stykanie się z obłożonymi kamieniami? — Och! niegodziwy!

Leon uczył się rzeczywiście bardzo winnym. Dostrzegł we wzroku Wilhelminki pogardę dla niego, a uwielbienie dla rycerskiego Montalemberta.

— Mówią, że Polacy są narodem rycerskim! ciągnął dalej pułkownik — chcę temu wierzyć i wierzę. Lecz — strzeż się, młody człowieku, zatracić tę galanterję i rycerskość, jaką ci twoi wielcy przodkowie w spadku pozostawili. My, Francuzi, mamy ją jeszcze i umiemy okazywać naszą cześć i szacunek piękności i wdziękowi.

Leon zauważył, że rycerski Francuz siedział w palacie wilgotnym w saloniku i parasol swój postawił na dywanie.

Lecz pułkownik w zapale zwrócił się ku Wilhelmince.

— Gdyby odemnie zależało rozporządzać losami tego arcydzieła, jakim pani jesteś — nie chodziłabyś nigdy piechotą — ani jeździła tramwajami! — Gdybym był mężem lub narzeczonym pani, nosiłbym panią na ręku lub wózki w *coupé*, jak drogocenny klejnot...

Wilhelminka huśtała się ciągle na fotelu i teraz z pod przysłoniętych źrenic spoglądała na pułkownika.

— Dlaczego się pan nie żenisz? — spytała nareszcie dziwnym, przeciągłym tonem.

Leon uznał znów za stosowne wmieszać się do rozmowy.

— Pan pułkownik nie ożeni się nigdy. Powiedział mi to przed chwilą. Pan pułkownik z nas, Polaków, chce sobie stworzyć rodzinę...

Wilhelminka zagryzła usta.

— To bardzo pięknie! — wyrzekła, zwracając się do pułkownika. Czy rzeczywiście takie są pana projekta na przyszłość?...

Montalembert westchnął.

— Tak myślałem! — odparł — ale... każda chwila przynosi zmianę...

Długo patrzył w oczy Wilhelminki, która wzrok ten bohatersko wytrzymała.

— A!... a propos — spytał wreszcie pułkownik — cóż słyhać z naszym projektem?

— Owe schronisko dla młodzieży emigrującej z Rosji?

— Tak! wszakże nie powinniście odrzucić mej oferty. — Ja będęłożył na wszystko. Chodzi mi tylko o to, aby pani i pan Grzegorzewski dali swoją firmę. Ręczę, że ściągając będzie ta firma wszystkich zbuntowanych i spiskujących z całej Polski i Rosji. Damy im opiekę, przytulimy... znajdziemy pracę. Czy mówiła pani już o tem panu Grzegorzewskiemu?

— Mówiłam... ale...

Wilhelminka się widocznie zakłopotowała.

— Ale... co?... — nalegał pułkownik.

— Ale... Grzegorzewski zwłóczy z odpowiedzią... chciałby... sam!...

Pułkownik zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju.

— Sam! sam! — powtórzył. — Pan Grzegorzewski, który chce zwalczać autokratyzm, bardzo mi coś na autokratę wygląda. Pan Grzegorzewski nie znosi, aby ktoś także pracował z nim wspólnie i dlatego moją pomoc odrzuca. Czy nie mam racji?

Wilhelminka zaprzeczyła żywo:

— Nie! Grzegorzewski jest człowiekiem doskonałym, niezdolnym do uczuć poziomych i niskich... Tylko Grzegorzewski ma swoje przyczyny... a nie moją rolę jest, badać jego myśli.

Leon patrzył na studentkę i dostrzegł, jak twarz jej rozjaśniała się, skoro była mowa o Grzegorzewskim. Śliczne jej czarne oczy zabłysnęły jak gwiazdy, rumieniec pokrył delikatną cerę.

Leon instynktem uczuł, ile miejsca w sercu, czy wyobraźni Wilhelminki zabierał Grzegorzewski.

— O! gdyby ona tak o mnie kiedy mówiła — pomyślał, wpatrując się w nią jak w tęczę.

Pułkownik zatrzymał się przed fotelem Wilhelminki.

— Czy niepodobna ominąć pana Grzegorzewskiego? — zapytał, — Pani, ja... może panna Mazia...

Wilhelminka skrzywiła się lekko.

— O! Mazia...

— Tak! tak... — ma pani rację — panna Mazia jest jeszcze więcej zakochana w Grzegorzewskim, niż pani!

Wilhelminka wyprostowała się, jak struna.

— Pan się myli, panie Montalembert — wyrzekła z godnością — żadna z nas nie jest zakochana w Grzegorzewskim. My go kochamy — to jest różnica.

— Ta, ta, ta, — przekomarzał się pułkownik — nie wierzę. Młode panny, młody, piękny człowiek...

— Och! czyż tylko młodość ma nieprzewyciężony urok? — rzuciła Wilhelminka.

Pułkownik porwał ją za rękę i ucałował.

Powrócił jednak do dawnej rozmowy z uporem dziwaka.

— Ja ciągle wracam do owego schroniska... Więc jeśli panna Mazia ma za mało samodzielności...

— To pewna, — wycedziła przez zęby Wilhelminka — Mazia nie ma ani siły, ani wytrwałości...

Leonowi przed oczami przesunęła się zimna, pusta izdebka Mazi, w której dziewczyna o chłodzie i głodzie uczyła się i tak silnie, tak wytrwale przebojem szła do celu.

— Ani wytrwałości... — ciągnęła Wilhelminka, — To dobre dziecko... ale...

Machnęła ręką i wyraz niewysłowionego lekceważenia osiadł na jej ustach.

Leon zrozumiał, jaki antagonizm dzielił te dwie studentki, pomimo całej szlachetności, z jaką Mazia starała się mówić o Wilhelmince.

— A więc — wyrzekł pułkownik — skoro panna Mazia nam odpada, pozostaje pani, tylko pani. Może pani weźmie jeszcze kogoś do pomocy z waszej partji... Nie znam was, pani mi wymieni kilka nazwisk... może coś wybierzemy.

Lecz Wilhelminka milczała.

Leon uczył i rozumiał, że ona nazwisk nie powie. Było to już wrodzone w duszy każdego dziśniacza, iż nazwisk nie wymawia się nigdy.

Pułkownik usiadł tuż obok studentki i przymilająco wpatrywał się w jej oczy. Leon na chwilę doznał olśnienia. Zdawało mu się, że w źrenicach pułkownika coś błyszczało... jakiś refleks stalowy, coś nakształt żandarmskiej wzrokowej sondy.

— Więc... kogoż tam jeszcze mamy? — pytał Montalembert.

— Och... to także nie są ludzie czynu... — odparła wymijająco Wilhelminka.

Pułkownik zagryzł wargi i przestał nalegać.

Szybko zwrócił się do Leona.

— To... może pan... jak pan sądzi?

Po ustach Wilhelminki przesunął się uśmiech lekceważący.

— Pan? Pan Orlicki? — zaśmiała się lekko — cóż znowu? Leona uśmiech ten zranił do głębi.

— Ja, jestem na pańskie rozkazy — wyrzekł, zwracając się do pułkownika — jeżeli tylko mogę być pożytecznym...

— Ależ pan jesteś za młody! — zawołała Wilhelminka — przytem... niech pan daruje, ale... pan nie jest jeszcze żadną... firmą, więc...

Na twarz Leona wystąpiły płomienie.

— Nie jestem jeszcze firmą tu, w Paryżu, — wyrzekł prawie dumnie i szorstko — ale w kraju nazwisko moje wśród młodzieży jest znane i ma pewne znaczenie. Pani widocznie zapomniała...

Dziwił się sam sobie, że głos jego brzmiał tak brutalnie, ale czuł, że inaczej mówić nie mógł.

— Bravo! o to nam chodzi — zawołał Montalembert — potrzeba nam właśnie kogoś, ktoby się porozumiewał ciągle z krajem i informował tamtejszą młodzież, że działać może śmiało, mając w razie ucieczki zapewnioną tutaj opiekę i pomoc... Bravo, młody człowieku!...

Leona chwilowa odwaga opuściła.

Nie śmiał teraz spojrzeć na Wilhelminkę. Sądził, że studentka gniewa się za jego szorstkie wystąpienie. To też prawdziwym uczuciem ulgi posłyszał jej śmiech wesoly, dzwięczny, choć trochę na sztuczną naciągniętą nutę.

— Pułkownik jesteś prawdziwy czarodziej, wszystkich dla siebie umiesz pozyskać! Prosiłabym jeszcze o czas do namysłu.

Wstała jak królowa, która skończyła dawanje audjencji. Pułkownik i Leon powstali także i żegnać się zaczęli. Wilhelminka z wielkim wdziękiem i uprzejmością ścisnęła dłoń pułkownika, dla Leona miała tylko konwencjonalne, grzeczne i eleganckie podanie ręki. Rozmawiając, wyszli do przedpokoju, ciasnego, jak wszystkie przedpokoje paryskie. Nagle rozległ się dzwonek. Leon, najbliższj będąc drzwi wchodowych, otworzył je i wszedł przez nie Grzegorzewski, mając pomimo zimna narzucone na ramiona palto.

Pułkownik rzucił się ku nowoprzybytemu z taką radością i serdecznością, jakby spotkał rodzzonego brata po kilkuletnim niewidzeniu się.

— Drogi! drogi nasz leader! — wołał.

— Leader? — spytał z roztargnieniem Grzegorzewski, witając się z Leonem i Wilhelminką.

— Naturalnie, nasz leader, naszej partji! — miodowym tonem wołał Montalembert.

Lecz Grzegorzewski wzruszył ramionami i powiesił swoje palto na hakach.

— Żadnej partji nie ma, więc i leaderów być nie może— odparł krótko i zwrócił się ku Wilhelmince.

— Mam z panią pomówić! — wyrzekł gorączkowo.

Z chwilą pojawienia się Grzegorzewskiego, oczy Wilhelminki zapłonęły tym samym blaskiem, jaki błysnął w nich przed chwilą, gdy studentka broniła Grzegorzewskiego przed zarzutem samowładztwa.

— Służę panu! — wskazując drzwi, prowadzące do saloniku.

Teraz już zdawała się nie zwracać uwagi na pułkownika, który wchodzącego do saloniku Grzegorzewskiego za rękaw przytrzymał.

— I cóż — wyrzekł — salon mój na was czeka.

Grzegorzewski się odwrócił i pytająco na Montalemberta spojrział.

— Salon mój — powtórzył pułkownik — salon mój w Passy. Duży, widny, ciepły. Sto razy tam przyjemiej będzie urządzać wasze zebrania...

— Niema żadnych zebrań! — odparł Grzegorzewski.

— Nieprawda! — nastawał pułkownik — musicie mieć tajne zgromadzenia. A przecież lepiej u mnie, w domu, gdzie niema konsierżki...

Zniżył głos i dodał tajemniczo :

— Strzeżcie się w Paryżu konsierżek... Wszystkie są zaprzędane policji. Ja wiem coś o tem. No cóż? Kiedyż skorzystacie z mojego salonu?...

— My nie skorzystamy — przeciął Grzegorzewski.

— Ha, trudno, może później... — wyrzekł pułkownik i zwrócił się ku Leonowi:

— Chodźmy, młody człowieku!

I wyciągnął rękę, ujmując Leona za ramię.

Lecz Grzegorzewski wyciągnął równocześnie rękę i położył ją na ramieniu Leona.

— Zostańcie z nami! — rzucił prawie rozkazująco — i z wami mam do pomówienia!

Leon uczuł się tak szczęśliwym, że o mało nie ucałował tej suchej, zgorączkowanej ręki, którą czuł blisko swej twarzy.

I prawie brutalnie odsunął się od pułkownika.

Ten ostatni przymrużył swe siwe oczy i prawie złośliwie spojrział na Grzegorzewskiego.

— Panie Grzegorzewski! — zaczął, kłaniając się nisko i kurtuazyjnie — z panem walczyć nie można. Czarujesz pan wszystkich i rządzisz nimi niepodzielnie. Jesteś pan rodzajem... cara na Glacjerze...

Oczy Grzegorzewskiego zagrały nagle snopem promieni.

Nigdy Leon nie widział podobnej siły w oczach, jaką miał w tej chwili Grzegorzewski.

Pułkownik cofnął się szybko i znikł poza drzwiami. Wilhelminka zaś pociągnęła Grzegorzewskiego do salonu.

— Uspokój się pan, to stary głupiec! — wyrzekła nie-
dbale.

Ujęła rękę Grzegorzewskiego i z nadzwyczajną trokliwo-
ścią przysunęła fotel bujający do kominka, na którym tliło
się trochę koksu.

— Pan zziął.. jak można wychodzić w narzuconem
palcie... Pan ma gorączkę...

Szukała pulsu i sięgała do stolika po złoty zegareczek,
zawieszony na postumencie, lecz Grzegorzewski wyrwał
jej prawie rękę i zaczął wołać radosnym głosem:

— Przyszły... pani wie, przyszły!...

— Dużo?

— O!... dużo!... trzysta rubli... brat przysłał... Zapłacimy
długi w drukarni.

— Nie — przerwała Wilhelminka — przedewszystkiem
pan wyjedzie.

— Gdzie?

— Na południe!

— POCO?

— Dla nabrania sił, dla płuc!...

Grzegorzewski włosy w tył odrzucił. Śliczny uśmiech
rozpromienił jego zniszczone i zmęczone pracą rysy.

— Moje siły? — zawołał — moje siły powrócą, gdy
wydawnictwo moje będzie silniejsze i powiększone... Marzy-
łem o drugiej edycji... dla chłopów. Jedna dla miejskiego
proletariatu, druga dla chłopów. Teraz mamy pieniądze, mo-
żemy odbijać więcej egzemplarzy, wyślemy emisariusza,
połączymy się z Londynem z „Wolnymi Robotnikami“, jak-
kolwiek zachowamy swoją niezależność!...

Zaczął chodzić po pokoju, trawiony potrzebą ruchu,
cały w ekstazie, nieprzytomny prawie.

— My nie możemy pozwolić, ażeby pan pieniądze przy-
słane dla ratowania pańskiego zdrowia oddawał dla spra-
wy... — zaczęła Wilhelminka — pan musi się leczyć! Pan
musi wyjechać! Ja to panu mówię, ja... lekarz!

Stanęła naprzeciwko niego i porwała za rękę.

Leon ze wzruszeniem patrzył na nich. Oboje byli bar-
dzo piękni i młodzi. W jej oczach przebiegała się egzaltowana
miłość, on zaś miał w zrenicach gorączkowy obłąd fana-
tyzmu.

— Nie! nie! — mówił Grzegorzewski — sprawa pierw-
sza, ja — potem! Teraz właśnie gorąca chwila. Miałem wia-
domości... szumią liście boru... zobaczycie!

Po twarzy Wilhelminki przemknęło jakieś rozpaczliwe postanowienie.

— Ja muszę panu powiedzieć prawdę... — zawołała, a głos jej miał straszną determinację istoty zmuszonej do odkrycia śmiertelnej grozy — z panem jest źle... jeśli pan nie wyjedziesz... ta zima w Paryżu... zabije... pana!..

Zbladła, powiedziawszy te słowa. Leon czuł także, że blednie, jakby usłyszał tony pogrzebowego dzwonu.

Grzegorzewski podniósł swe błyszczące oczy na Wilhelminkę i milczał przez chwilę, jakby piorunem rażony.

— Czy tak? — zapytał ochrypłym głosem — czy tak? więc ja jestem tak bardzo chory?

Przymknął powieki i przez tę jedną chwilę zdawał się kazać swej duszy badać zniszczenie i rozkład swego ciała.

— Tak! Tak! — wyrzekł prawie szeptem.

Lecz nagle podniósł szybko głowę i znów gorączkowe ożywienie zajaśniało na jego twarzy.

— Właśnie też dlatego — dlatego, że jestem tak chory, śpieszyć się muszę! Należy nam teraz pracować ze zdwojoną siłą i gorliwością. Rozrzucajmy wszędzie, po całym kraju myśli płonące, jak iskry... budzące do walki, do czynu! Ja nie dożyję owoców mej pracy, ja nie zobaczę, jak nad Polską zaświeci łuna pożaru, która się w świt zamieni... lecz wy będziecie wiedzieć, że ta purpura, to mój siew! To moja krew! To ja cały! I gdy tam wszyscy będą wolni, równi, i gdy nie będzie niesprawiedliwej nędzy — powiecie tym, którzy szczęśliwi będą, że to szczęście wyrosło na mojej mogile, wykwitło z mojego ofiarnego trupa.

Kaszel przerwał mu i rozdzierał piersi, lecz on mimo to rzucał coraz bardziej gorączkowe zdania.

— Wydam wszystkie.. wszystkie moje myśli... Niech lecą do kraju, jak ptaki! Niech kołaczą do umysłu gnuśnych... i serc zatwardziałych... Niech zbudzą chłopca... robotnika... Niech żydom powiedzą, że i oni mają obowiązki dla ziemi, która ich żywi... niech dzieciom każą mówić po polsku nawet pod grozą kar w szkole... niech przelecą ponad miastami i wioskami, dotrą do ziem zabranych, do Wilna! do Brześcia! do Łucka! do Ukrainy, skąd ja jestem rodem!... Niech lecą razem z mojem życiem i ostatniem tchnieniem mojem.

Zasłonił rękami oczy i dodał:

— Bo umysł polski, to młody bór, nikt nie wycinał nieużytków w nim i te rozrosły się tak, że głuszą w tym lesie szum wichru i tamują promienie słoneczne... Lecz powoli — padną nieużytki, liście martwe i śpiące poruszają się pod wpływem społecznej wichury i... zobaczycie: zaszumi las!...

A Leon postłyszał w swem sercu jak echo:
Zaszumi las!...

XII. Zwątpienie.

Grzegorzewski wyciągnął rękę ku Leonowi.

— Dla chłopów wydamy... waszą książeczkę, uzupełnimy ją, przejrzymy, i wydamy... Czy zgadzacie się na to?

Leon uszom swoim wierzyć nie chciał. Jego praca miała wejść w skład wydawnictwa Grzegorzewskiego! Było to szczęście, o jakim marzyć nigdy nie śmiał.

— Tylko! — mówił dalej Grzegorzewski — pomieszaliście towarzyszu kwestję socjalną, zajmując się przeważnie ideą patriotyczną. Musicie związać jedno z drugim. Trochę dobrej woli i wiary w słuszność naszych przekonań, które krzepią razem ciało i duszę, a ręczę, iż praca wasza będzie doskonała. Pomożemy wam! Panna Mazia da wam wskazówki i pokieruje, a raczej dopomoże rozwinąć się waszej myśli. Idźcie do niej i zajmijcie się jak najspieszniej poprawieniem waszej broszurki.

Mówiąc te słowa, trzymał rękę Leona w swej dłoni i patrzył mu prosto w oczy swemi wielkimi, bystremi, płonącymi źrenicami. Leon doznawał prawdziwie olśnienia, tak gorący był ten wzrok, strzelający z pod brwi czarnych, ściągniętych i przeciętych głęboką bruzdą. Lecz — dusza Grzegorzewskiego nie koncentrowała się cała w tych oczach. Rozlana była raczej w każdym calu, w każdym muskule jego pięknej twarzy, spieczonej gorączką, płonącej od wewnętrznego żaru, jak pochodnia, i drgającej nerwowo pod wpływem, nurtujących mózg, myśli.

Gdy Leon oszołomiony, upojony szczęściem, żegnał się z Wilhelminką i Grzegorzewskim, zdawało mu się, że i ona z większą uprzejmością podała mu rękę.

Jestem już kimś w jego oczach, zaczynam być... — pomyślał sobie, wychodząc do przedpokojku.

Gdy się ubierał w palto, postyszał, jak Grzegorzewski, który także żegnał się z panną, pytał półgłosem:

— Więc... jutro?

— Jutro — odparła Wilhelminka — ale nie tam, gdzie zawsze, tylko u mnie... Jestem zmęczona... tutaj bezpieczniej... Miałam właśnie zawiadomienie...

Leon wyszedł i schodząc ze wschodów, myślał ciągle o posłyszanych wyrazach. Tych dwoje — naznaczyło sobie widzenie się. Cóż go to mogło obchodzić? Musieli widywać się często, codziennie... Co jemu do tego?

Przed domem, w którym mieszkała Mazia, Leon zatrzymał się chwilę. Grzegorzewski kazał mu się zobaczyć zaraz z Mazią. Wprawdzie kantor czekał, lecz coś znaczyły teraz rozkazy patrona wobec woli Grzegorzewskiego. Mimo to Leon stał niezdecydowany i nagle przed nogami swemi ujrzał czarny cień, rozpościerający się na asfalcie. Cień ten padł z migawkową szybkością i z równą szybkością powstał.

Leon poznał w nim siostrę Ignasia, Litwinkę, którą widział zeszłej niedzieli u Mazi, opowiadającą dzieje ryżego piecyka.

Ona poznała go również.

— A co, jak długa się rozciągnąwszy! — zawołała prawie triumfalnie, strzepując swoją biedną, wytartą, czarną sukienkę — to dziś czwarty raz padam... Nie widział pan gdzie Ignasia?...

— Nie mam przyjemności znać pana Ignacego...

Litwinka westchnęła.

— Och panie! — wyrzekła — to żadna przyjemność!... Mnie mama wysłała, żeby nad nim czuwać... Jakże czuwać? Ta panie, on dziś wcale do domu nie wrócił! Może go zaaresztowawszy, wzięli do ciupy... Bóg raczy wiedzieć...

— A może wyjechał w okolice Paryża!

— A może! Ja biegam od rana, bo to mój obowiązek. Chodzę wciąż koło kawiarni, bo on tam często siedzi, myślę, może zobaczy i wyjdzie... Teraz wracam do domu poprzebać trochę w piecyku, bo pewnie niecnota wygaś... A pan do Mazi?

— Tak!

— I ja do niej wpadnę, może ona widziała Ignasia.

Lecz w bramie zatrzymała ich konsierżka.

Mademoiselle, według jej relacji — wyszła, bo przysłała po nią rzeźniczka do swego nowonarodzonego synka. Mademoiselle bowiem była zgodzona do całego przebiegu choroby i do dziecka przez sześć tygodni. Więc panna Mazia poszła i pewnie niedługo powróci.

— A może można pójść po panienkę? — spytała łamaną francuszczyzną siostra Ignasia.

Lecz konsierżka obrazila się i z wielką dumą objaśniła Litwinkę, że ona jest konsierżką, a nie żadnym komisjone-rem, przytem — jeżeli panna Mazia zgodziła się do rzeźniczki na całą chorobę, to nie można jej odrywać od jej zajęcia.

Co powiedziawszy, strażniczka miotły i honoru kamienicy weszła do swej loży, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Leon i Litwinka wyszli na ulicę. Siostra Ignasia była widocznie oburzona hidalgowskimi zachowaniem się konsierżki.

— Harda, jak prosię w deszcz! — wymówiła wreszcie, potykając się na gładkiej flizie.

Leon pochwyił ją za rękaw, bojąc się, aby znów nie upadła i niedosłyszawszy, zapytał:

— Harda jak co?

— Jak prosię — powtórzyła panna i nagle wyrwawszy się Leonowi, popędziła jak kula naprzód.

Leon, zdziwiony, wpatrzył się w ulicę i dostrzegł idącą ku nim Mazię.

Studentka szła szybko, bez kapelusza, pomimo chłodu, z żakiecikiem narzuconym na ramiona. Twarz miała silnie zarumienioną.

Siostra Ignasia powitała ją swoim stereotypowym pytaniem:

— Nie widziała pani gdzie Ignasia?

— Nie! — odrzuciła Mazia i nie zatrzymując się, szła w stronę swego domu.

— Zapodział mi się gdzieś... nie nocował w domu, może jakie nieszczęście...

Mazia wzruszyła ramionami.

— Powróci, niech się pani nie hoi. Lepiej niech pani mu cytryny do herbaty przygotuje...

Nadszedł Leon. Mazia podała mu rękę.

— Był pan u mnie, czy u Grzegorzewskiego?

— Widziałem pana Grzegorzewskiego przed chwilą. Dał mi zlecenie do pani.

Głos Leona brzmiał nieokreśloną dumą i oczy promieniały.

— W takim razie, niech pan pójdzie ze mną na górę. Mogę tylko chwileczkę czasu panu poświęcić. Muszę wracać do mego pacjenta.

Lecz nieszczęsna siostra Ignasia złapała Mazię za poły żakietu.

— Ja muszę panią poprosić — zaczęła — żeby pani zajęła się panną Kamillą.

— Jaką panną Kamillą?

— Tą, z którą ja byłam u pani w niedzielę. Pani wie, ta, co się miała uczyć kapeluszy. Ona stanowczo rzuciwszy kapelusze i wziąć się chciawszy do medycyny. Nie można jej przeszkadzać, to powołanie, ona mówi, że będzie karetą jeździła.

Głos Litwinki zgrubiał na wyrazie kareta. Okrągła jej twarzyczka przybrała minę wielkiej powagi. Zdawało się, że to ona ma sobie w życiu wywalczyć ową karetę i dyplom doktorski.

— Ta panna jest śmieszna ze swojemi pretensjami — wyrzekła Mazia — z kilku słów zamienionych z nią, widzę, że jest niewykształcona i nieinteligentna.

— Ona! — zawołała Litwinka — ależ ona *parle france* lepiej, niż my wszyscy. A jeśli, duszko, ona aspiruje ku wysokości, to trudno i grzeszno jej przeszkadzać. Tak mówił Ignas i...

— Więc niech chodzi na medycynę, na prawo, na przyrodę — na co chce! — zawołała prawie zrozpaczona Mazia — żegnam panią...

— A wskazówki? Jak się ma zabrać do tej medycyny? — nalegała jeszcze Litwinka.

— Ja... ja nie mam czasu... — tłumaczyła się Mazia — zresztą niech mi ją pani przyszle. Chodźmy, panie Leonie.

Weszli na wschody i Mazia jakby znużona oparła się o poręcz.

— Pani zmęczona? — spytał Leon.

— Trochę, mam pacjentkę bardzo wymagającą... przygotowuję się do egzaminu... Ale to nic! To przejdzie...

Weszli do zimnego i pustego pokoju. W dzień pustka ta jeszcze była straszniejsza. Piecyk wystygły, na stole chleb czerstwy i trochę sera w papierze.

Mazia pobiegła do stołu i wzięła w rękę grubą książkę, którą szybko przewracać zaczęła.

— Więc Grzegorzewski dał panu zlecenie? — spytała.

— Tak — odparł Leon — i stojąc przy stole, wzruszonym głosem opowiedział Mazi radosne dla niego postanowienie Grzegorzewskiego wydania jego książeczki i kolportowania jej w kraju.

— Pani ma mi dopomóc, aby książeczce tej dać zarazem podkład socjalny.

— Chętnie! Z całej duszy! — zawołała studentka, to łatwo przyjdzie. Pan bezwiednie ciągnąłeś już w naszą stronę. Tam idea sprawiedliwości i chleba dla wszystkich przebija się pomiędzy wierszami...

I wyciągając rękę ku Leonowi, dodała:

— Tak się cieszę, tak się gorąco cieszę, że pan do nas jeszcze więcej należeć będzie.

Leon rękę dziewczyny uściśnął gorąco.

— Ja cały do was należę duszą, sercem — całą moją istotą... — wyrzekł wzruszony i szczęśliwy, że może tak tak two wywnętrzyć się z uczucia, przepelniającego mu piersi wobec tej dobrej i szczerzej dziewczynki.

— Możecie mną rozporządzać... moją krwią, moją myślą, życiem mojem!

Mazia podniosła na niego swe szlachetne, czyste zrenice:

— Przyjmujemy! — wyrzekła z dziwnym nastrojem w głosie — bo może i życie wasze będzie nam potrzebne!

I potem zapanowała cisza pomiędzy tym dwojgiem młodych — zamkniętych w ciasnej przestrzeni zimnego pokoju. Zdawało się, że jakieś wielkie, ofiarne słowa zadźwię-

czają i, mocą swoją usunęły wszystkie małostkowe i egoistyczne wrażenia. Nie był to chłopak i dziewczyna w rozkwicie sił i młodości, lecz dwoje wielkich ofiarników, składających swe żałobne dusze u stóp niewidzialnego ołtarza, na którym płonął wieczysty ogień miłości Ojczyzny.

Pierwsza ocknęła się Mazia. Oczy jej utkwione w przesrzeń z wyrazem nieokreślonego smutku i bolesnego przecucia — przeniosły się powoli na trzymaną w rękę książkę.

— Pozwól pan, że zajmę się moim małym pacjentem! — wyrzekła z uśmiechem.

— Może ja pani przeszkadzam?

— Nie! Zostań pan, ja nie mam dla pana tajemnic.

Usiadła przy stole i zaczęła szukać w lekarskim podręczniku recepty na chorobę dziecka rzeźniczki. Szukała długo i pracowicie. Leon patrzył na nią z zajęciem. Dziecinna jej twarzą mieniła się co chwila innym wyrazem. Widocznie było, iż myśl pracuje, przypomina sobie z natężeniem.

Wreszcie Mazia zagięła kartkę w książce i szukając na stole ołówka, wyrzekła:

— Gdyby pan wiedział — jak ja się boję cokolwiek choremu zaordynować... Prostu kompres zimny lub ciepły jest dla mnie źródłem najwyższego niepokoju. Tak zazdrośnie mężczyznom lekarzom ich zimnej krwi i braku nerwów! Ja dzisiaj przez ten ciepły kompres nie będę spała całą noc! — A potem — gdybyś pan wiedział, co to jest taka rzeźniczka paryska... jakie to pretensje... jakie wymagania!...

Wysunęła biały mankiet z pod lewego rękawa sukienki, i najspokojniej zaczęła przepisywać jakąś receptę z książki na płótnie mankietu.

— Tak jestem spokojniejsza, że się nie pomyłę! — wyrzekła z uśmiechem.

— Pani nie jest jeszcze lekarzem. Pani recepty pisać nie wolno...

— E! Tu nie tak srogo we Francji — u znajomych aptekarzy i nie podpisując się... Całe nasze szczęście... Inaczej — z głodu-by umrzeć przyszło.

Zapukano do drzwi.

— Ktoś idzie — uciekajmy!

Porwała się z miejsca i szybkim skokiem posunęła się do drzwi. Otworzyła je. W sieni stała młoda dziewczynka w kolecie barankowym i kapeluszu z pękiem fiołków.

— Przepraszam... — wyrzekła nowo przybyła — czy koleżanka wychodzi?

— Tak! odparła Mazia — idę do pacjentki!

— A... to nie przeszkadzam. Dwa słowa tylko... nie — nie — nie wejdę nawet. Powiem tak na progu.

Panienska w kolecie była przeciętnym typem panienski-warszawianki zgrabnej, z grzywką ładnie ufryzowaną, w rękawiczkach porządnie zapiętych na cztery guziki. Garbaty nosek, kędzierzawe włoski i pewne skrzywienie ust, dawały do poznania semickie pochodzenie. Ciekawe oczka obrzuciły Leona szybkim spojrzeniem.

— O cóż więc chodzi? — spytała Mazia.

— O sąd honorowy! — wyrecytowała panienska. — Koleżanka Rosenheim powiedziała na koleżankę Wilkowicz, że koleżanka Wilkowicz jest zarozumiąłą. Koleżanka Wilkowicz się uniosła i powiedziała na koleżankę Rosenheim, że koleżanka Rosenheim jest... idjotka. Naturalnie jest to obraza, której puścić płazem nie należy i nic dziwnego, że koleżanka Rosenheim zażądała sądu honorowego. Ja jestem arbitrem ze strony koleżanki Rosenheim, ze strony koleżanki Wilkowicz jest koleżanka Deptuch, chodzi nam o superarbitra...

— Więc chciałycie mnie prosić? — zapytała Mazia.

— Tak...

Mazia załamała rękę.

— Bójże się Boga! panno Goldenkranz, przed egzaminami! A toż nam taki sąd przynajmniej dwa dni zabierze...

— O! Pięć dni najmniej — zaprzeczyła panna Goldenkranz — musimy wniknąć w przyczynę sprawy — wysłuchać świadków, których zacytowano, siedmnaście osób. Przytem koleżanka Wilkowicz będzie się starała przeprowadzić dowód prawdy i dowieść, że koleżanka Rosenheim jest idjotką. Chodzi więc o obronienie koleżanki Rosenheim i o wydostanie od osób kompetentnych i profesorów świadectwa, że koleżanka Rosenheim jest nawet wyjątkowo inteligentną.

— Ależ — jęknęła Mazia — ja nie mam czasu, ja jestem bardzo zajęta — przytem chodzi o taką drobnostkę...

Żydóweczce zapłonęły oczy.

— Wcale nie o drobnostkę! — zawołała — koleżanka Wilkowicz jest antysemitką i cała ta sprawa wynikła stąd, że Roseheimówna jest żydówką... Pani — panno Maziu, która głosi zasady równości, powinnaś nie odmawiać przyjęcia roli superarbitra w tej sprawie..

— Dobrze! Ja jeszcze pomyślę... nie odmawiam, tylko — chodzi mi o zmarnowanie czasu...

Obie panny zaczęły schodzić ze schodów, za niemi szedł powoli Leon i przyglądał się z zaciekawieniem tej jeszcze jednej studentce, opadłej na bruk paryski.

Gdy, rozstawszy się z Mazią, znalazł się na bulwarze Saint Michel — otoczył go gwar, wir, hałas życia paryskiego.

I zdawało mu się, że z jakiegoś prowincjonalnego polskiego miasteczka przeniósł się nagle w samo centrum cywilizacji europejskiej. Owa Glaciera była rzeczywiście „odcięta od Paryża“, jak mówił Kręcki. Lecz Leon już tylko żył i oddychał Glaciera. Z pewnym wstrętem zaczął ocierać się o Francuzów, zalegających bulwary i zasiadających w kawiarniach do przedśniadaniowego absyntu. Twarze tych Francuzów były bardzo brzydkie i dziwnie do siebie podobne. Przeważali tu studenci i kupczyki i rozróżnić ich nie można było, gdyż tak jedni, jak drudzy, mieli jednakowy wyraz twarzy i trywialność całej postaci. Pomiędzy nimi kręciły się kobiety — przeważnie młode i niektóre bardzo ładne, lecz w ruchach, w pozach, w barwie koletów i kapeluszy nieharmonijne, bez cienia kobiecości.

Leon, błędząc wzrokiem po nich, powracał myślą do Grzegorzewskiego, Wilhelminki, Mazi...

Wydali mu się jak duchy, jak zjawiska wobec tej tłuszczy pijącej przed stolikami brudne płyny w dużych szklankach. Kobiety nawoływały się ochryplemi głosami i w każdym zbliżeniu się do mężczyzny czuć było skryte żądanie wyłudzenia jakiejś kwoty pieniężnej, lub kieliszka absyntu lub amerpikonu.

I nagle Leon dostrzegł idącą wzdłuż tarasów kawiarnianych czarną postać kobiecą, nieśmiałą, spłoszoną, a mimo to snującą się z uporem istoty, spełniającej włożony na jej barki obowiązek.

Była to siostra Ignasia — szukająca brata. Błada jej twarzyczka zdawała się być wykrojona z opłatka a wypłowie i bezsenne oczy trwożliwie przebiegały rozpustne bandy, zalegające kawiarniane stoliki.

Natknąwszy się na Leona, kiwnęła mu głową i spytała:

— Nie widział pan Ignasia?

— Nie! Zresztą nie wiem, jak pan Ignacy wygląda.

— Dwa razy taki duży jak ja... bardzo czerwony i włosy ma kuderlawe jak...

Urwała — Leon dostrzegł, jak oczy jej szeroko się rozwarły i skierowały w kierunku werandy pod markizą, w której siedziała cała banda młodych mężczyzn i kobiet. Krzyczano i hałasowano tam bardzo. Kobięce głosy górowały. Akompanjował im stuk szklanek, kieliszków i spodków. Twarze tej bandy miały cerę dziwną, przysypaną popiołem, właściwą ludziom, którzy strawili noc całą na rozpucie lub na których śmierć czyha.

Leon uczuł, jak Litwinka schwyciła go kurczowo za rękę i wyszeptwała:

— Ignas!...

— Gdzie?

Lecz w tej chwili siostra Ignasia odwróciła oczy, gdyż źrenice jej spotkały się z ciekawemi, wyzywającemi spojrzzeniami kobiet, otaczających rozpustnem kołem pijących mężczyzn.

I cała fala prześlicznego rumieńca nabiegła na bladą twarzyczkę dziewczyny. Znużone jej powieki zasłoniły wstydlive oczy, ręka puściła dłoń Leona i siostra Ignasia cicho, bez słowa, odeszła — znikła.

Powróciwszy do kantoru, Leon spodziewał się srogich wymówek od Kręckiego. Lecz pomylił się. Kręcki pogroził mu palcem i rzucił wesoło:

— Ja tu już za pana robotę odrobiłem!...

Leon miał ochotę wszczać sprzeczkę.

— Wypadło mi zabawić trochę dłużej na mieście! — odparł prawie szorstko.

Kręcki śmiać się zaczął.

— Ho! Ho! — Paryżanki nęcą i wabią... co?

Leon uczuł się gwałtownie dotknięty posądzeniem Kręckiego.

— Dla mnie Paryżanki nie są niebezpieczne — odparł — mam za dobry gust na to.

Kręcki ukłonił mu się aż do ziemi.

— A... jeśli tak, to proszę siadać. Widzę, że masz pan ochotę wszczać ze mną batalję, ale Juliś dziś taki kontent! taki wesół, że nie będzie się z panem kłócił!

Leon uśmiechnął się szyderczo.

— Jakiż powód do radości? Czy wolno wiedzieć? Czy podwyższono pensję Julisiowi? — zapytał.

Lecz Kręcki rzeczywiście tak był rozpromieniony, iż nie zwracał uwagi na ironiczne usposobienie Leona.

— Nie! — odparł — ale moja dziewczyna pisała dziś do mnie — i — patrz pan, co przysłała!

Wyciągnął z szuflady biurka niedużą książeczkę w szarej okładce i podał ją Leonowi.

— Pańska dziewczyna? — zapytał — nie rozumiem!

— No tak, moja narzeczona.

— Pan masz narzeczoną!

— Naturalnie. Każdy młody Polak, który wyjeżdża do Paryża, ma w kraju narzeczoną. Tylko na dziesięciu jeden do owej narzeczonej wraca. Ale ja będę tym jednym!

Leon przeczytał tytuł książeczki:

P R Z E Z Ł Z Y

zbiór nowel.

A na ukos, pod spodem, nazwisko i imię:

Marja Orion.

— To ona, to jej nowele! — zawołał Kręcki — moje maleństwo pisze, i wcale nieźle pisze. Zobaczysz pan. Przeczytaj. Dużo ma wdzięku i poezji. To — Przez łzy — to tytuł pierwszej nowelki. Wieczorami pisze, gdy wróci z kanтору. Siedzi w jednej redakcji za kratkami, przyjmuje prenumeratę.

Twarz Kręckiego odmłodziła, rozjaśniła się cała, oczy pokryła mgła, przez którą myśl handlowca biegła, daleko — do Warszawy — za owe kratki, po za którymi tęskniła i czekała drobna dziewczynka z jasno-płowemi włosami, splecionemi w dwie długie kosy.

Leon spojrzął na Kręckiego zdziwiony.

— Narzeczona pana biedna dziewczyna?

— Ho! Ho! Ma ze cztery koszule i dwie sukienki mocno podniszczone.

— A ja myślałem, że pan ożeni się tylko z posażną panną.

— Ja?

Kręcki śmiać się począł długo i serdecznie.

— Widzi pan, niby to z pana autor, a nie umiesz czytać w duszach ludzkich. Jeżeli ja męcę się, pracuję, pragnę dojść do pieniędzy i znaczenia, to dlatego, aby po nędzy i niedoli być wreszcie szczęśliwym. Prawda? — A jakże można być szczęśliwym, jeżeli się nie kocha swej żony? Co?

Leon przerzucił książeczkę z zaciekawieniem pewnem.

Pożycz mi pan do przeczytania? — zapytał?

— Ja panu dam ten jeden egzemplarz. Maryś przysłała mi trzy egzemplarze. Kochane dziecko.

I nagle „handlowiec“ wziął górę nad rozkochanym narzeczonym.

— Zapłacili jej sto rubli za tysiąc egzemplarzy. Drukowała przedtem w fejetonach i to już jej przyniosło do trzystu rubli. W ten sposób ten tomik dał jej czterysta rubli. Na początek, to wcale ładny zarobek. Później, gdy ja powrócę, to zabierzemy się inaczej do panów wydawców...

Zatarł ręce i zwrócił się do Leona.

— Jeżeli Maryś zarobi pisaniem osiemset rubli na rok, to już zawsze jest cztery procent od dwudziestu tysięcy rubli...

Leon spojrzął na ostatnią stronicę książeczki i przeczytał datę, rok i nazwę jakiejś nieznaney mu miejscowości:

SZAROCIE.

— Co to znaczy Szarocie? — zapytał.

— To fabryka cukru, gdzie brat Marji jest buchalterem — odpowiedział Kręcki. — Ona do nich czasem jeździ i w tym Szarociu, podczas wakacyj letnich napisała te nowelki. Tam są nawet dwie z robotniczego życia... Dziewczyna

ma troszkę przewrócone w głowie... To socjalistka, nie wiedząc o tem!

Potrząsnął głową i dodał:

— Socjalizm w Królestwie i w gubernji Warszawskiej!... Szaleństwo! Już ja jej to z głowy wybiję, skoro tylko powrócę do kraju!

Leon uczuł znów przekorę w swej głębi.

— Dlaczego to pan jest tak przeciwny socjalistycznym ideom?

— Bo mącą spokój ludziom, którzy chcą dojść do czegoś!

Leon popatrzył chwilę z nieokreśloną pogardą na Kręckiego.

— Ludziom, którzy chcą dojść do samolubnego spokoju i dobrobytu kosztem produkcji innych... — wyrzekł głośno i dobitnie.

Kręcki podniósł głowę i popatrzył wprost w oczy Leona.

— Dawno pan byłś na Glacierzce? — zapytał.

— Wracam stamtąd! — odparł wyzywająco Leon.

— A!

Milczeli chwilę i wreszcie Kręcki, widocznie sądząc, że obracaniem w żarty ważności Glacierskich mieszkańców, osłabi korzystne wrażenie, jakie mogli uczynić na Leonie — śmiać się zaczął.

— I cóż... bardzo panny kochają się w Grzegorzewskim? A ten sułtan rzucił już swą chustkę innej... czy ciągle jest wierny pannie Wilhelminie?

Leon uczuł, że mu krew nabiegła do skroni.

— Pan jesteś szalonym! — krzyknął — pomiędzy panną Wilhelminą a panem Grzegorzewskim nic nie ma, na to przysięgnę!

Kręcki podniósł w górę rękę, gestem uspakajającym.

— Cicho!... — wyrzekł — nie krzycz pan i porozumiejmy się. O kogo panu chodzi — o Grzegorzewskiego czy o Wilhelminkę?

— O oboje! Ja jestem ich przyjacielem, ja nie pozwolę, ażebyś ich pan znieważał bezkarnie... ja...

— Jakaż to zniewaga? O co panu idzie? Jeżeli tylko uczucie przyjaźni przez pana przemawia, to powinieneś się pan cieszyć, że tych dwoje ludzi młodych i bardzo a bardzo ładnych kochają się. Przecież to bardzo naturalne. Wszystko ich łączy... wiek, uroda, inteligencja — przytem partyjne przekonania...

Te ostatnie słowa wymówił z przekąsem i usiadłszy przy biurku, zatopił się w przeglądaniu korespondencji.

Leon wyszedł na dziedziniec i doglądał przybijania pak. które emballeurzy w niebieskich bluzach ładowali. Wśród huku młotów — stojąc pod szopą, pełną wiórów i skraw-

ków papieru, Leon myślał ciągle o słowach Kręckiego. Ta myśl, że pomiędzy Grzegorzewskim, a Wilhelminką może być coś naksztalt romansu, przepelniała jego serce straszną goryczą i gniewem. Chodziło mu prawie tak o czyste wyobrażenie, jakie miał o Grzegorzewskim — jak i o Wilhelminkę. Lecz — gdyby Leon był szerszym i umiał analizować swą duszę, dostrzegłby wielką różnicę pomiędzy temi dwoma uczuciami. Gdy myślał o Grzegorzewskim, zdawało mu się, że ktoś błotem bryzgnął na samą ideę narodową, na nadzieję odrodzenia, na uosobienie miłości dla kraju. Wyobrażenie jednak Wilhelminki, mogącej być kochanką choćby Grzegorzewskiego, przejmowało go uczuciem tak strasznego bólu, że chciał płakać, krzyczeć głośno... skarżył się jak dziecko do krwi zranione. Oba jednak te uczucia mieszały się z tak wielką szybkością, że Leon czuł cierpienie straszne, a rozróżnić go nie mógł.

— Te godziny, które przestał do zmroku na dziedzińcu, zdawały mu się nieskończoną wiecznością. Pragnął pozostać sam i skryć się ze swem cierpieniem. Gdy Kręcki, po ukończeniu roboty, zaproponował mu pójście do restauracji czeskiej na obiad, Leon szarpnął się na tę propozycję.

— Nie! Nie! głowa mnie boli... muszę pójść do domu!

I poszedł sam jeden do swego hotelu. Zamknął się w swym pokoiku i tam zaczął przetrawiać swą boleść. Zwinął się w kłębek, jak zbolale zwierzę, przeleżał na swem łóżku do rana, nie śpiąc zupełnie. Lecz gorycz jego tylko się zwiększyła, bo przypomniał sobie słowa, wyszeptane pomiędzy Wilhelminą i Grzegorzewskim w chwili, gdy on ubierał się w przedpokoju.

— Więc jutro?

— Jutro!

— Nie tam, gdzie zawsze... — lepiej u mnie — a nie daj pan na siebie czekać!...

Tak mówili do siebie, cicho, cichutko, jak dwoje kochanków.

— Kto wie, może Kręcki miał słusność.

I Leon zaśmiał się szyderczo.

On ich miał za świętość!... A oni romansowali między sobą i naznaczali sobie schadzki wtenczas, kiedy on drżał cały jeszcze od świętego wzruszenia i wzniosłego uczucia! Schadzka!

Tak, niewątpliwie była to schadzka. Grzegorzewski miał przyjść wieczorem — ukradkiem. Bo gdyby tak nie było, dlaczego znizali głos? Wszakże przed nim nie mieli sekretów. Mówili głośno o wydawnictwie, przypuszczali go do ogólnej pracy. — Tak, tak, zejdą się — tam u niej, w tym ślicznym saloniku i on będzie całował jej stopy, obute w pantofelki, wyszywane złotem...

Leon usiadł na łóżku, blady — zmęczony — siny prawie w świetle zimowego ranka. Zwątpienie zagarnęło go w swe szpony.

— Przekonam się! — wyrzekł głośno — przekonam się, czy to nie fałszowane bogi!

Gdy Kręcki zobaczył Leona w kantorze, aż cofnął się na widok bladości i zmęczenia, widocznego w rysach chłopca.

— W imię Ojca i Syna! — zawołał — jak pan wyglądasz!... Z grobu pan wstałeś?

I po chwili dodał, kiwając głową.

— Ha!... to skutki... Glacjery!

XIII. Anioł Stróż paryski.

Trotuar pokryty cały czarnem, oślizgłem błotem.

W powietrzu zapach właściwy Glacierre, zapach skór garbowanych w pobliskich garbarniach, zmieszany z jakąś nieuchwytną wonią, właściwą wiejskim cmentarzom.

Ciemno już i tylko zdaleka mającą żółtawo-zgniłe światła gazu.

Pusto na ulicy zupełnie.

Tylko naprzeciw domu Wilhelminki, na trotuarze, czernieją dwie męskie postacie. Leona trudno poznać. Zmienił swój handlowy cylinder na czapkę barankową, tę, w której przekradał się przez rosyjską granicę, podniósł kołnierz od palta, przecesał włosy.

Stoi w cieniu, stoi — to znów odchodzi daleko, lecz ciągle wykręca głowę w stronę domu, w którym świecą się, jak dwa czerwone rubiny, okna mieszkania ładnej studentki. Dziwne jest to światło o krwawych refleksach, nieznanym Leonowi. Na firankach widać od czasu do czasu cień, okolony czerwoną linijką.

— To ona!

W serce Leona wślizgnęło się jakieś uczucie rozrzwienia na widok tej sylwetki. Coś radosnego szarpnęło się w nim na myśl, że ten cień, to ona — tak blisko, a zarazem niewystawiony smutek ogarnął jego serce. Dlaczego on ją śledzi? Jakiem prawem? Dlaczego on jej czyni krzywdę szpiegowania jej kroków? W tej chwili zaczynał kochać ją tak wielką i potężną miłością, że sam siebie nienawidził za urojoną krzywdę, jaką jej wyrządził. W egzaltacji modlił się do tych okien, w których objawiła mu się na krwawym tle smukła sylwetka strojonej panny. Złożył ręce i, wpatrzywszy się dobrze w krwawe widziadło, postanowił odejść do domu, unosząc ze sobą to mroczne wspomnienie.

Lecz nagle — postłuszał za sobą ciche a szybkie stapanie. Było coś fałszywego i kociego w tych krokach, a jednak Leon nie wyczuł dźwięku tego chodu i w głębi duszy zawołał:

— To Grzegorzewski.

Cofnął się w cień domów i na chwilę przymknął oczy, taki ból przeszył mu serce.

Ołtarz purpurowy ze smukłą sylwetką dziewczęcą przysłonił welon zwyczajnego, pospolitego romansu. Z kamienia, zda się, wykuta postać Grzegorzewskiego, ślaniała się i padała w gruzy u stóp, obutych w złote pantofelki.

I dla Leona wszystko się waliło w gruzy!...

Lecz kroki zbliżyły się ku niemu i ktoś delikatnie potrącił tulącego się do muru Leona.

— Excusez! — wyrzekł głos nieznan.

Leon radośnie otworzył oczy i spotkał się w ciemności z dużemi plamami jakiś oczu, wpatrzonych w niego bystro z pod daszka robotniczej czapki.

— Excusez! — powtórzył robotnik i obrzuciwszy Leona bacznem wejrzeniem, poszedł dalej.

Leon, uszczęśliwiony, spozirzał znów w okna mieszkania Wilhelminki. Lecz dziewczyna znikła i tylko tiul firanek dwoma smugami znaczył się na szybach.

Leon spozirzał w stronę, w którą się oddalił robotnik i dojrzał, że ten zatrzymał się na trotuarze i zdawał się chcieć zapalić cygaro. Trwało to zapalenie jednak długą chwilę. Widocznie był to robotnik, który z roboty do domu się nie spieszył.

Zapaliwszy cygaro, robotnik zawrócił się i znów przeszedł obok Leona, nie patrząc jednak na niego. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, stanął i rozpoczął zapalanie cygara, które palić się widocznie nie chciało. Rzucał zapaliki na trotuar, przyczem odwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę ulicy. Niedaleko była wąska przecznica, prawie ciemna. Robotnik powoli wsunął się w tę głębię i zniknął z oczu Leona.

Lecz ktoś nadchodził szybko i teraz Leon poznał najdokładniej Grzegorzewskiego. Szedł w palcie, narzuconem na ramiona według swego zwyczaju i kaszlał głośno. Leonowi zdawało się, że Grzegorzewski musi go dostrzec i poznać. Płomienie wstydu uderzyły mu na twarz. Lecz Grzegorzewski szybko wbiegł do sieni domu, w którym mieszkała Wilhelminka.

Leon machinalnie iść zaczął. Chciał teraz uciec z tego trotuaru i nie widzieć więcej purpurowych okien. Lecz uszedłszy kilka kroków, zatrzymał się, jak przykuty. Coś go więziło i przytrzymywało na bruku tej Glacjery, będącej dla niego teraz całym światem. Żelazne szpony rwały mu serce.

W oddali zajęczała nagle przeciągle jakaś maszyna. Jęczała długo i przeraźliwie. Leon przycisnął rękę do serca, bo zdawało mu się, że ten jęk wbija mu się w piersi ostrzem noża.

Ciężko mu było rozstać się z wyśnionemi ideałami.

Stojąc tak na rogu ulicy i przecznicy postyszał pod murem oddech ciężki i dojrzał czerwonawy punkcik zapalnego cygara. I w ciemności — dojrzał, choć z trudnością, tego samego robotnika, który go potracił przed chwilą. Robotnik ów, oparty o mur, zdawał się z całą rezygnacją na kogoś, lub na coś czekać...

Leon cofnął się i znów znalazł się naprzeciw okien Wilhelminki. Światło gorzało zawsze krwawo i sylwetek ciemnych na tem tle nie było.

Leon potarł zgorączkowane czoło i zdjął z głowy czapkę. Czuł, że powinien iść do domu i pozostawić tam na górze tych dwoje rozkochanych i zatopionych prawdopodobnie w gorączce pieśczoł zmysłowych.

O! Jak oni mu każdym pocałunkiem plamili duszę — jakim wałem błota otaczali piedestał, na którym on ich ustawił. Miał ochotę wyciągnąć ręce tam, w górę, ku tym oknom i krzyknąć:

— Nie zabierajcie mi wszystkiego, zostawcie dokoła siebie choć trochę jasności, choćby kłamliwej, choćby ułudnej...

Lecz rzeczywistość była przed nim brutalna i nieubłagana.

Kręcki prawdę powiedział. Ci ludzie ze spiżu, ci „działacze“, romansowali pomiędzy sobą banalnie, jak garstka szwaczek i subjektów po zamknięciu sklepu...

Przez mózg Leona przebiegło ostrze stali.

Czyżby i praca Grzegorzewskiego i jego bandy praca promienna patriotyzmem i humanitarnymi zasadami była tylko... sklepem, handlem, przemysłem?...

Leon gwałtownie, bezwiednie uderzył się pięściami w pierś i zajęczał głucho.

Na ten jęk — robotnik wysunął się z poza węgła domu i bystro w Leona wpatrywać zaczął.

Lecz Leon nie zwracał na niego uwagi. Cały wpił się w purpurowe okna wzrokiem i pobladł cały jak opłatek, a usta mu zsiniały. Robił wrażenie gracza, który przegrywa w tej chwili wszystko i czuje, jak pada karta, stanowiąca o jego zgubie.

Karta padnie i pozostaje graczowi rozpacz i nędza dalszego istnienia.

Zaszemrały jakieś drobne kroki i ciemna sylwetka mknąć zaczęła wzdłuż kamienicy, zamieszkaney przez Wilhelminkę.

Postać zatrzymała się chwileczkę, obejrzała dokoła i weszła szybko do sieni jasno oświetlonej zwyczajem paryskim.

I w tej krótkiej chwili Leon poznał w czarnej postaci... Mazię.

Dziewczyna wbiegła na wschody a z nią poszło w ślady i serce Leona.

Więc nie sam Grzegorzewski miał prawo znajdować się u Wilhelminki, więc to nie była schadzka...

Ale jeśli oni drzwi nie otworzą — przeciwnie, jeżeli Mazia zadzwoni i czekając napróżno wpuszczenia — zejdzie...

Kilka minut oczekiwania wydały się Leonowi wiekiem.

Lecz Mazia nie zeszła, pozostała na górze, co więcej, niedługo Leon dostrzegł cienie obu panien na tiulu firanek.

I Mazia wydała mu się w tej chwili aniołem, który mu wrócił całą wiarę w Grzegorzewskiego, w Wilhelminkę, w sprawę, w ideały... Znów dwóch mężczyzn weszło do sieni i zniknęło w drabinie wschodów. Byli pochyleni, mieli długie, watowane palta, czapki barankowe, słowem przysiąc było można, że są to Polacy. Po nich nadeszła jeszcze smułka i niknąca literalnie w cieniu kobieta, w której Leon poznał widzianą w Geograficznej Sali Jaskólską.

Teraz Leon zrozumiał znacznie wczorajszych słów Grzegorzewskiego i Wilhelminki.

Było to naznaczenie — nie schadzki miłosnej, ale posiedzenia partji.

I Leon uczuł straszny wstyd, ściskający mu serce.

Gdyby mógł, rzuciłby się na kolana przed tym domem i błagał o przebaczenie tych ludzi, którzy jak cienie wsuwali się w jasną przestrzeń i niktęli tajemniczo, pnąc się ku purpurze światła, która teraz Leonowi jutrznią pełną nadziei zdawać się zaczynała.

Lecz równocześnie z tem uczuciem zaczęło w sercu Leona budzić się i inne.

Oni tam zeszli się razem i pracują dla dobra kraju, wymieniają promienne myśli, przedkładają wzajem projekta—działają wreszcie.

On zaś, odosobniony, stoi tu na dole i może tylko patrzeć na zamknięte okna, może tylko czuć w swej wyobraźni obraz tego posiedzenia, ich zamiary. Wstyd go ogarnął, wstyd i uczucie straszego poniżenia.

Więc on mimo wszystko nie był godnym zasiąść tam między nimi? Czyż on tak, jak oni, Polski nie umiłował? Czyż on w zaraniu swego życia nie poświęcił się dla kraju tak, jak mógł i umiał?

A oni nie wierzą mu, odosobnili się, odgradzili, wywyższyli nad niego i każą mu cierpieć, pożądać i pragnąć.

I zdali mu się oni, tam w górze, tak bardzo wywyższeni w purpurze światła, że wzbili się ponad chmury, gęstą ławą zwisłe nad Paryżem.

I dusza jego poszybowała za nimi, lecz wstrzymała się u progu butna i rozgoryczona.

Hardość w niej było tyle, że on sam się jej uląkł.
Lecz nie ulękała się jego wola i usta jego wyszeptaly:
— Ja z wami tam muszę być, i będę.

.....
Jak długo przestał na trotuarze Leon, o tem on sam nie wiedział.

Nie mógł odejść — patrzył wciąż w okna, w sieni, na wschody. Biegł po nich fantazją, myślą, sercem całym.

Godziny jęczały w oddali.

Na rogu ulicy, przysunięty do muru, stał ciągle robotnik i żuł cygaro.

Wreszcie Leon go dostrzegł i fakt tej uporczywej obserwacji — zdziwił go poniekąd.

Zaczął chodzić tam i z powrotem i kilkakrotnie przeszedł koło robotnika. Zauważył, że człowiek ten miał twarz bladą i dość delikatną. Przytem bluza robotnicza włożona była na czystą, krochmalną koszulę, podwiązaną pod szyją porządnym krawatem.

Robotnik, widząc się obserwowanym przez Leona, cofnął się z trójkąta światła, jakie padało z niedalekiej latarni. Ciągnął się w głąb przecznicy, lecz natychmiast z niej wyrzął.

Jeszcze ktoś nadchodził, lecz — po żwawym, nerwowym chodzie — lekkim palcie jasnym i cylindrze, łatwo można było poznać w nadchodzącym Francuza.

Niemniej jednak człowiek ten, dochodząc do okien Wilhelminki, zwolnił kroku i widocznem było, że wpatrywał się uparcie w te oświetlone okna. Stał nawet i wtedy Leon w smudze światła mógł dostrzec twarz sympatyczną i energiczną, młodą, okoloną ciemną, przyszczyżoną szpiczastą brodą. Francuz z pewną niecierpliwością obejrzał się dokoła. Leon mimowoli zaczął iść dalej. Robotnik cofnął się znów w cień.

Wówczas Francuz bardzo ładnym i sympatycznym barytonem zaczął śpiewać znaną, starą, francuską piosenkę.

— *Bonsoir Ninon, c'est moi qui passe!*

Był to śpiew od niechcienia, ot, jakby ktoś zabawiał się, przechodząc ulicą Glacjery. Lecz — jedno z okien purpurowych otworzyło się jakby magicznie i smukła, ciemna sylwetka strojnej panny pojawiła się nagle na tle płomiennem z taką gwałtownością, że Leon, który w tej chwili patrzył także w okna, doznał olśnienia.

Francuz, śpiewając ciągle:

*Ninon, la belle Ninon,
C'est l'amour, ouvre la fenêtre..*

oddalił się powoli, jakby z żalem pozostawiając po sobie smugę śpiewanej piosenki. I nie wiadome było, czy to głos

jego umyślnie wywabia do okna ładną studentkę, czy przypadek tak zrządził, że Wilhelminka otworzyła okno właśnie w chwili, gdy śpiewano:

Ninon, belle Ninon!

Całe to zdarzenie pozostawiło w sercu Leona niepokój i pomieszanie

Instynktem odczuł, że tędy przeszła — miłość.

I to dziwna miłość romantyczna, śpiewająca poezję i muzykę XVIII stulecia. W Paryżu na Glacierre pod oknem studentki polskiej śpiewał szykowny Francuz w jasnym palcie wezwanie do Ninon...

Czy to był wypadek?

Lecz okno Wilhelminki pozostało już tak otwarte, choć ona sama znikła w głębi pokoju. Noc była ciepła i pomimo wilgoci, dość łagodna. Widocznie w niewielkim pokoju zebrania było duszno i dlatego nie zamykano raz otwartego okna.

Cisza dokoła była wielka i turkot i hałas miasta ucichł zupełnie.

Leon postyszał nagle kilka głosów zmieszanych ze sobą, potem pojedynczy głos Grzegorzewskiego, wyraźny i donośny. Rozróżnił słowa, treść, zdania. Odpowiedziała mu Maza i jej głosik słychać było na ulicy dokładnie, czysto.

Leon zrozumiał, że mówiono o wyborze emisariusza do kraju i sprzeczano się nie żartem na tym punkcie.

Teraz z zaułka wysunął się raptem ów robotnik i podszedł prawie na środek ulicy. Widocznem było, iż chciał także słuchać głosów, które z taką naiwną nieostrożnością wydobywały się z uwięzi pokoju. Robotnik stanął i zdawało się Leonowi, że nawet rękę w trąbkę zwiniętą do ucha przyłożył.

I w tej chwili Leon poznał w przebranym robotniku — policyjnego agenta.

Nie ulegało wątpliwości, to był prosty, francuski, rządowy — szpieg.

Lecz co on słuchał? Co chciał zrozumieć w tej lawinie polskich słów, które płynęły z taką siłą z góry w ciszę uliczną?

Jeżeli słuchał — musiał przecież rozumieć. A więc ten szpieg, ten agent... rozumiał mowę polską, był Polakiem!

Dojmujący ból przeszył serce Leona na tę myśl. Miał ochotę rzucić się ku stojącemu na środku ulicy agentowi i wołać:

— Dlaczego ty to robisz? Za pieniądze? — jeśli tak — weź wszystko, co mam przy sobie, weź to, co zarabiam w kantorze... tylko nie rób tego! nie szpieguj swych braci!...

Egzaltacja porwała go. Jak obłąkany zwrócił się ku agentowi. Lecz gdy doszedł do niego, gorączka go opuściła.

Nie wiedział, co ma mówić, a mimo to nie zmienił swej groźnej i wyzywającej postaci.

I agent z szybkością kocią rękę w zanadrze wsunął. Obrączki kasteta zajaśniały na jego palcach. Przybrał postawę obronną, lękając się widocznie napaści.

I tak uzbrojony — czekał.

Ten kastet — ta broń w rękę szpiega, oprzytomniła Leona. Szybko, gorączkowo zapytał:

— Pan — Polak?

— Je ne comprends pas! — odmruknął agent.

— Pan — Polak, jak widzę... ja ka żę panu iść precz tej ulicy, inaczej ja panu głowę roztlukę.

Ironiczny uśmiech przewiniął się po ustach agenta.

— Fichez moi la paix! — wyrzekł trywialnie, odwracając się tyłem do Leona.

Lecz Leon pociągnął go gwałtownie za rękaw bluzy, wołając:

— Idź stąd precz! idź stąd precz... rozumiesz?

Agent odepchnął od siebie Leona i zaczął wołać na agentów policyjnych.

— He!... les agents!

Lecz nikt nie pojawił się na ulicy i to jeszcze więcej ośmieliło Leona.

— Idź precz! idź precz!... — powtarzał przez zaciśnięte zęby, podsuwając ściśniętą pięść pod twarz agenta.

Ten ostatni zawahał się chwilę. Zrobił ręką uzbrojoną w kastet ruch, jakby zabierał się do uderzenia, lecz wprędce się opamiętał.

Wzruszył ramionami i oddalił się w przecznicę, rzucając Leonowi na pożegnanie:

— Nous nous rencontrerons encor!... — w formie groźby.

Leon pozostał teraz sam i zaczął chodzić tam i napowrót naprzeciw domu, w którym odbywało się posiedzenie, jakby na straży. Radość przepełniała mu piersi.

On — ochronił ich od podsłuchania ich planów przez agenta.

Długo jeszcze odbywało się posiedzenie i dopiero koło trzeciej nad ranem Leon dostrzegł, jak drzwi sieni otwarły się i wyszła z nich cała „partja“ z Grzegorzewskim i Mazią na czele. Wychodzili, rozmawiając głośno i gorąco. W oknie pojawiła się Wilhelminka i przechyliwszy się ładnie przez balustradę, rzucała z góry:

— Dobranoc!

— Dobranoc — odpowiadano jej z dołu — spokojnej nocy...

A jeden z mężczyzn dodał:

— Spokojnych marzeń!

Leon cofnął się na ich widok w przecznicę. Taki wstyd i lęk ogarnął go w tej chwili.

Lecz Mazia dostrzegła tę postać męską, znikającą w cieniu, bo zawołała, śmiejąc się wesoło :

— Patrzcie, nasz Anioł Stróż dziś jeszcze inaczej ubrany!

I rozeszli się wszyscy, żegnając z hałasem, po polsku — ot jakby byli w Warszawie, albo w Lublinie.

Gdy kroki ich ucichły, wysunął się Leon ze swej ciemnej kryjówki i odważył się iść pod domami ku bulwarowi Arago z głową silnie wsuniętą pomiędzy ramiona. Wilhelmina bowiem jeszcze stała w oknie i on czuł teraz, jak jej wzrok musiał pogardliwie śledzić jego kroki — z jaką nienawiścią patrzyła w ślad za nim, biorąc go za agenta, za Anioła Stróża, którego, republika francuska wysyła śladami tych, którzy złudzeni jej pozorną „wolnością“ pod jej skrzydła się chronią.

XIV. W czem odrodzenie?

W kilka dni później Grzegorzewski wezwał do siebie Leona telegramem pneumatycznym.

Przedstawił mu poniekąd cały plan swego wydawnictwa i mówił z nim szeroko o zmianach w kierunku socjalistyczno-narodowym w jego broszurze. Leon każde słowo lidera chwytat w lot i zapisywał je ognistemi zgłoskami w swej duszy. Grzegorzewski miał porywający dar wymowy i słowo jego każde było płomieniem. Leon z powodu swej młodości i wielkiej egzaltacji płomień ten rozżarzał do potęgi i teraz purpura ognia zalewała jego umysł i duszę. Grzegorzewski, poznawszy tę duszę, grał na niej, jak mistrz na strunach harfy. Odczuł wprawą i rutyną działacza artystyczną naturę chłopca. I pokazał mu socjalizm nie ze strony suchych cyfr i nienawiści do klas posiadających — lecz ze strony humanitarnej, budząc w Leonie wszechludzką miłość i poczucie sprawiedliwości. Oświecił tę stronę wielką dozą artyzmu, czując, że Leon jest przede wszystkim artystą i porwał chłopca, rzuciwszy go, jak swoją własność, w wir swych idei i przekonań.

Przedstawił mu w niedługiej przyszłości całą Europę socjalistyczną i pytał go:

— Czyż wtedy jedna Polska ma być tym narodem zacołania w środku wszystkich socjalnie urządzonych państw i krajów? Czyż, jeśli nie pójdziemy za ogólnym prądem, nie staniemy się tą martwą naroślą, którą po prostu wyciąć i wypalić będzie należało raczej, aniżeli wydobyć z cienia i obdarzyć dla równowagi wolnością?

Siedzieli tak we dwóch późną nocą w mieszkaniu Grzegorzewskiego, w paltach narzuconych na plecy, pochyleni nad stołem, na którym leżały broszury i korekty wydawnictwa Grzegorzewskiego.

Za oknami, o szyby łopotał wiatr jesienny, prawdziwy wiatr paryski, który hula, jęcząc wśród lasu kominów, wysoko ponad całym miastem.

Pierwszy raz Leon znajdował się tak długo sam na sam z Grzegorzewskim i pierwszy raz lider partji mówił doń

tak jasno, otwarcie i serdecznie. Grzegorzewski bowiem czuł, iż potrzebuje tylko kilkunastu zdań gorętszych a Leon, który był już prawie jego własnością, stanie się nią cały niepodzielnie i bez zastrzeżeń.

A przytem Grzegorzewski uległ nawzajem urokowi, jaki Leon roztaczał także dokoła siebie. Jego wielka piękność fizyczna, podniesiona egzaltowanym, marzycielskim wyrazem twarzy, ciągnęła wzrok, jak arcydzieła prymistów. I dusza jego czysta, dziecięca promieniała na zewnątrz i biegła naprzeciw drugim dusz, słodka i poświęceń pełna. Leon mówił mało, nie miał napozór daru wymowy. lecz tak silnie myślał, iż wrażliwsze natury odczuwały i czytały myśl jego. — Bardzo często zdarzało się, że ktoś nagle spytał milczącego chłopca:

— Pan mówisz, że...

Leon zdziwiony spoglądał na pytającego, a zdziwienie jego rosło jeszcze więcej, gdy posłyszał dalej odpowiedź na swą myśl, którą on jeden tylko znał i nie wyraził w formie słów.

I teraz zdarzyło mu się to kilkakrotnie z Grzegorzewskim i po raz pierwszy baczniej zastanowiło jego uwagę. Grzegorzewski czytał w jego mózgu, jak w otwartej księdze i na wątpliwości jego znajdował argumenta, może niezbyt logiczne, ale tak gorąco wypowiedziane, tak pięknie sformułowane, że Leon przyjmował je jak katechizm i w pamięci swej ognistemi zgłoskami wypalał.

Wieczór ten zbliżył ich bardzo i zbratał ich duszę. Nawzajem odkrywali w sobie jasne strony i romantyzm Leona zachwycał gorączkową energję Grzegorzewskiego. Obaj dążyli do jednego celu, kochali jedno i pragnęli jednego. Kraj nieobecny. ta Polska tak daleka. — granicami państw obcych przedzielona, zdawała się im być całą obecną i utulać ich, jakby niewidzialnymi skrzydłami. Skrzydła te były czarne, żałobne — lecz oni słowami swemi, czynami, pragnieniem rzucali na nie snopy iskier, które miały zagrać całą tęczą wyzwolenia.

Grzegorzewski ręce łamał.

— Ludzi! nie mam ludzi, którzyby za mną szli ręką w rękę — mówił z rozpaczą — kilka kobiet, wprawdzie wielkie, ofiarne dusze, ale to mi za mało...

— Czy w partji nie ma więcej mężczyzn?

— Tu w Paryżu mam jeszcze dwóch, *trzech, ale oni walczą z niedostatkami, chcą sobie wyrobić sytuację — lękają się chwilami, drżą — pragną powracać do kraju... dławią się tęsknotą.

Wstał, zaczął chodzić, wreszcie zbliżył się do okna i oparł płonące czoło o szyby, w które bił teraz deszcz.

Ja ich rozumiem... — wyrzekł wreszcie, jakby do siebie — ja także czasem... tęsknię do kraju, za krajem...

I potem milczał długo, jakby cały uleciał het, daleko, na Ukrainę, skąd był rodem.

Leon powstał także i cicho podszedł ku Grzegorzewskiemu.

— Jeśli ja mogę być panu na co przydatny, weź mnie pan, rozporządzaj i mną i życiem mojem.

Po raz drugi już na Glacierzce składał partji swe życie w ofierze.

Grzegorzewski odwrócił się szybko i położył rękę na ramieniu Leona.

— Tak! — wyrzekł — tak! Biorę pana, bo wiem, bo czuję, że będziesz bardzo naszym, bardzo moim, że to, co w tobie dla sprawy, dla kraju płonie, to nie iskra przelotna, ale już sama istota twej duszy i twego życia. — Kto wie, co ze mną będzie, kto wie, jak długo ja żyć będę... i dlatego bądź ze mną, bądź przy mnie... bądź drugim mną jeśli istotnie oddajesz swe życie, nie mnie, lecz — sprawie, której służyć będziesz.

Postąpił na środek pokoju i ukazał Leonowi ów wianek cierniowy, opleciony kirem żałobnej krepy.

— Oto godło naszej partji — wyrzekł z goryczą — oto musi być godło i twojego życia. Ciernie, pogarda świata — błoto, którem nas obrzucają nieprzyjaciele partyjni, ciernie, które nam wciskają w dusze podłością swych insynuacyj i zarzutami braku miłości dla Ojczyzny. A kir ten, i krepa — to przysłonięcie żałobą rozkoszy życiowych, to wyrzucenie ze swego istnienia wszystkiego, co daje miłość zmysłowa, rozkosz życia burżuazyjnych radości, wśród których stępieją się energia i chęć działania odbiega.

Zbliżył się do owego cierniowego wieńca i przyglądał się długo z oczyma smutku pełnemi.

— Oto wszystko, co ci da praca w naszej partji... Wszystko! A... zapomniałem jeszcze. Wróciwszy do kraju, bo możesz wrócić jako emisariusz — turma, kajdany — potem w najlepszym razie Sybir... posilenie!

Potań ręką czoło i roześmiał się gorzko, ironicznie, przeciągle...

— A jak tam pojedziesz pomiędzy kolonję, pomiędzy tych porządnych, tych umiarkowanych, co to pięciofrankówkę dziesięć razy obejrzą, zanim ją dadzą na cel patriotyczny i na żadne turmy się nie narażają, to oni ci powiedzą, że my to wszystko robimy dla pychy, dla dumy, dla ambicji, że my jesteśmy Robespierre, Rabagasy... że my zdradzamy ojczyznę... że my plujemy na patriotyzm... że my nie kraj kochamy, lecz siebie... słyszysz pan, siebie...

Gorączkowo teraz zaczął bić się w piersi i widocznie gorycz, jaką dławił w sobie od tak dawna, wezbrała w nim teraz ze zdwojoną siłą.

— Co więcej, oni panu powiedzą, że my żyjemy z partyjnych pieniędzy, że my kradniemy to, co nam składają z kraju na sprawę...

Leon czuł, że aż pobladł od tych słów.

— Nie! zawołał — nie, oni tego nie powiedzą, nie ośmielią się...

— Oni na wszystko się ośmielią! — krzyknął Grzegorzewski — oni nas, mnie — Mazię — którzy od ust sobie każdy centym odejmujemy, aby mieć na drukarnię, na marki, na ekspedycję, zrobią pasożytami, złodziejami.

Urwał i po chwili dodał z nieopisanym bolem:

— Oni to już nawet nieraz powiedzieli!

Leon porwał się gorączkowo.

— A wy cóż na to? — zapytał.

— My!... Mazia, Wilhelmina — kobiety, płakały, chorowały... Ja? — ot! biłem się dwa razy. I cóż mi z tego przyszło? — Raz — skończony szubrawiec skaleczył mnie dotkliwie, drugi raz — wymieniliśmy kule... „bez rezultatu“. Przytem, to nic nie zmieniło w opinji ogółu, powiedziano w kolonji, że biłem się z pychy i chęci reklamy...

Umilkł, usiadł znów koło biurka i dodał:

— Teraz już... co do pojedynków mam inne przekonanie. — Życie nas, Polaków — to codzienny pojedynek z wrogami naszego narodu. Na tę walkę powinniśmy schować wszystkie nasze siły a bratobójczą broń od siebie precz odrzucić...

— Więc obelgę zbyć milczeniem?

— Obelgę pokonać czynem! To, co my dla kraju zrobimy, wyda kiedyś tak piękne, tak czyste kwiaty, że one pomszczą, jeśli nie nas... to pamięć naszą, to nasze cienie!

Sam był podobny do cienia w tem półświecie zielonego klosza lampy. Oczy jego olbrzymie, czarne, płonące pomimo mgły smutku i żalu jak dwie gwiazdy, czyniły jeszcze bledszą jego śliczną, niezwykłą twarz, okoloną falą ciemnych włosów.

I był już jak zjawisko, nie należące do ludzi i świata, tak był pobladły i wynędzniały, ten dobrowolny męczennik, zziębnięty i zgłodniały, żyjący prywacjami i wielką, ofiarną miłością dla kraju, który tylko we snach swych widzieć był w stanie.

— I gdy pomyślę... że razem ze mną, z moją śmiercią, miałyby się skończyć praca moja, zmilknąć ta pobudka, którą dzwonię od lat tyłu kosztem nadludzkich wysiłków, budząc uśpione i zamierające serca Polaków — ogarnia mnie szal, rozpacz i na lat dziesięć życia zaprzagnąłbym się do pług,

aby jak bydle rwać się w krwawej pracy, byle tylko żyć! żyć! i dalej wołać, dalej budzić!... dalej siać ziarno, które wejdzie zorzą kłosów w chwili ogólnego ludzkiego spokoju i panowania prawdziwej wreszcie sprawiedliwości!...

Z ramion jego zesunęło się palto i w rozchylonej na piersiach koszuli blady trupio — prawie nieprzytomny — wyciągnął ręce przed siebie.

— O! widzieć taką chwilę, widzieć, jak i my w równości najwyższej zajmiemy przynależne nam miejsce i staniemy do walki z egoizmem, z samolubstwem, zaprzegającym całe masy ludzkich istnień dla wytwarzania możności rozkoszy i użycia uprzywilejowanych klas — widzieć, jak pot robotników będzie miał tę wartość, co perły na szyi magnatki, jak każdy będzie mógł po pracy zjeść tyle, ile jeść ma prawo — widzieć swe dzieci, przyszłych robotników, rosnące zdrowo, odziane ciepło — oddechające czystym powietrzem, a nie więdnące w ciemnicy suteryn... Za swą pracę, za swój pot — do tegoż chyba każdy ma prawo. I tego ja pragnę, tego się domagam w moich pismach, za to życie swoje kładę dla wszystkich!

Powstał — wyciągnął się jak struna, oczy zamknął i cofnął w tył głowę.

— Chleba, chleba, słońca, pracy dla wszystkich! — wołał głucho — czyż to tak wiele! Z piwnicznych głębi, gdzie po kilkanaście ludzi kona, chciałbym wydostać te masy i tym, którzy sami jedni w kilkunastu pokojach bezczynny żywot pędzą, zabrać... och! czwartą część (nie więcej), aby i tamci istnieć mogli z tego, co ci marnują. Ja mówię pod przemością... ja nie wiem, czy wy mnie rozumiecie... Mieszkanie — to wszystko, co do życia potrzebne... Rozumiecie?

— Tak! tak! — wyszeptał Leon.

— I pomyślcie... gdyby ta przemiana stała się już u nas, u nas wolnych, swobodnych, bez jarzma — bez kajdan naszych najeźdźców. Jeżeli słońce swobody i równości zabłyśnie dla wszystkich, toż nie ma racji, ażeby nas Polaków pozostawiono w niewoli! Prawda? Muszą i nam powrócić nasze prawa polityczne, choćby dla równowagi. Nie będzie tyranów, a więc i dla nas tyranów nie będzie. Jarzmo zrzucone! Jarzmo materialne i moralne, a więc i nasze jarzmo i nasze kajdany...

Trzymał ciągle oczy zamknięte, jakby mówiąc o tem, co będzie, nie chciał psuć sobie wrażenia nędzą rzeczywistości.

— Och! dożyć takiej chwili, dożyć!... — wyszeptał.

Nagle oczy otworzył! Zdawały się jeszcze czarniejszymi jeszcze większemi, wydostając się tak nagle z pod zsiniałych powiek.

— Rozumiecie teraz, dlaczego my jesteśmy socjalistami narodowymi? — zapytał.

— Rozumiem!

— Rozumiecie teraz, że jedyna nasza nadzieja — nadzieja naszego odrodzenia, w odrodzeniu sprawiedliwości wszechświatowej?

— Tak!...

Wiatr jęczał ciągle, bijąc gradem deszczu o szyby okien. Światło lampy pociemniało, snąc zabrakło lampy w rezerwoarze. Cały pokój tonąc zaczynał w zielonawym zmroku. I nagle Grzegorzewski upadł na krzesło i zaczął targać się głową wśród porzucanej masy papierów i książek.

— Nie zobaczę ja tej chwili! nie zobaczę! — powtórzał, jęcząc.

Leon zbliżył się, ujął jego dłoń zimną, chłodną — robiąca wrażenie dłoni trupa.

— Panie!... panie! — mówił cicho.

— Nie starajcie się wmówić we mnie, że jeszcze żyć będę... a gdyby nawet — to ten świt, ta zorza nie wzejdzie za rok, ani za dwa — kto wie — kto wie, ani może za lat dziesiątki... ale wzejdzie! wzejść musi... wzejść musi, choćby po takich, jak mój trupach!...

I rękę wyciągnął, a zimnym jak lód palcem czoła Leona się dotykając — dodał:

— I po twoim trupie także!...

Zimno przenikające przeszło mózg Leona.

Zimno to, jak stygmat pozostało dlań duchowem, widmowem uczuciem i towarzyszyło mu już przez resztę życia — nie opuszczając ani na chwile.

I Leon stał teraz nieruchomy, przyjmując z ekstazą ten stygmat, tę odznakę przyszłego męczeństwa, zabierając je w swoją duszę, jak cenny klejnot, jak płomień, który miał, paląc jego czoło, rozjaśniać mu zarazem ciernistą ścieżkę obowiązku i prowadzić ku zorzy oswobodzenia kraju w chwili świtu potęgi sprawiedliwości a zaniku przemocy, wyzysku, tyraństwa i samolubnego użycia.

XV. Dziwna noc.

— Szkoda, że mieszkacie w hotelu! — powiedział raz do Leona Grzegorzewski. — Nieraz Mazia, albo która z kobiet mogłaby zejść do was w jakimś interesie... a do hotelu trudno mi posyłać młode dziewczęta. One pójdą bez szemrania — bo nie mają żadnych przesądów, ale ja sam czuję, że jako studentkom należą się pewne względy...

— Ja wyprowadzę się z hotelu! — odparł Leon.

— Dobrze! Teraz będę musiał częściej porozumiewać się z wami. Czasu wiele nie mam chodzić tak daleko, przysięgam jakoś mi sił brak...

— Ja się przeniosę na Glaciere!...

— Nie! Nie! — zawołał żywo Grzegorzewski — nie trzeba. Dla nas to nawet pożyteczne mieć kogoś, mieszkającego z tamtej strony Sekwany. My jesteśmy nawskróś otoczeni szpiegami. Na Glaciere nie ma chyba kamienia, któryby nie słuchał, co mówimy i nie śledził naszych kroków. Czasem trzeba coś z domu wynieść, skryć — u was będzie lepiej i bezpieczniej.

— Dlaczego więc mieszkacie na Glaciere?

— Jeżeli wszyscy się przeniesiemy — szpiegi pójdą za nami. Tak — rozstrzeleni będąc tu i ówdzie, możemy ich zderutować. Oni — uważają Glaciere za *siège central* naszych działań. Niechże więc już tak pozostanie,

Leon powrócił do kantoru ze stałym postanowieniem szukania sobie mieszkania. Lecz długo nie mógł zdecydować się na podzielenie się z swym postanowieniem z Kręckim. — Leon ciągle jeszcze pozostawał pod wpływem Julisia. Bał się jego szyderstw, drwin i przycinków. — Chował w swem sercu kult dla Glaciere, tak wielki, tak niezwykły, że każde szydercze słowo sprawiało mu ból fizyczny.

Wreszcie zdecydował się na wymówienie wielkiego słowa:

— Ja się wyprowadzam z hotelu!

Kręcki uśmiechnął się ironicznie.

— A... spodziewałem się tego.

Jechali obydwoj na dachu omnibusa „Batignolle Clichy-Odeon“. Wielkie, żółte pudło, zaprzężone w trzy białe konie, dndniło po bruku paryskim z hukiem i podskakiwaniem, nie mającym nic wspólnego z paryską kulturą.

W ciasnych uliczkach pasażerowie, siedzący na dachu, zaglądali do wnętrza antresoli i bardzo często dowcipne komplimenta wpadały w otwarte okna, jak bukiety kwiatów, zwłaszcza gdy dojrzano w głębi pokoju jakąś sylwetkę kobiecą.

Ciepło było i jasno dnia tego. Prawie wiosna już śmiała się w powietrzu. Po ulicach szły tłumy. Wystawy sklepów połyskiwały w słońcu. W ogrodzie Tuilleryjskim bawiły się dzieci. Jedno z nich miało jaskrawy, aksamitny, porpurowy płaszczyk. Na złocie piasku, którym były wysypane aleje, wyglądało to, jak olbrzymi mak na łanie zboża.

Daleko — majaczył, łuk triumfalny, ściągając ku sobie czarne linje powozów, płynących ku Bulońskiemu laskowi triumfalnym pochodem niczem nie powstrzymanej próżności.

Kręcki, widząc, że Leon milczy — podjął znowu swoje słowa.

— Nie pytam się, gdzie się pan wyprowadza, zapewne na Glacière. Ostrzegam pana, że jeśli pan zechce pozostać w kantorze, to będzie pan musiał wstawać o szóstej z rana, aby na czas stawić się u Kwiatkowskiego.

— Nie wyprowadzam się na Glacière! — odparł sucho Leon.

— A!... więc dlaczego się pan wynosi? Czy może sąsiedztwo moje panu nie miłe?

Leon nie odpowiedział nic, zadowolony, iż może choć w ten sposób sprawić przykrość Kręckiemu. Lecz Juliś był nieprzebranie dobrym chłopakiem. Widocznem było, iż wyprowadzenie się Leona jest mu bardzo przykre.

— Jaki pan niedobry, ucieka pan odemnie wtedy, gdy ja się o pana najwięcej troszczę! — zawołał, udając dobry humor — ja namówiłem Kwiatkowskiego, aby kazał swe dzieci uczyć po polsku. I pan wie, kogo ja mu na nauczyciela poradziłem? Pana!

Leona, zajętego myślą o polityce, nie wzruszyła bardzo ta wiadomość.

— Dziękuję panu! — wyrzekł chłodno — ale prawdopodobnie praca ta będzie bardzo uciążliwa, jakąż mi korzyść przyniesie?

Kręcki popatrzył na niego z ukosa.

— Gdybym był złośliwy, odpowiedziałbym panu — wyrzekł powoli — że prawdziwy patrijotyzm pana powinien znaleźć korzyść w moralnem zadowoleniu nauczania polskiego języka dzieci, zrodzonych na obczyźnie. Lecz... Juliś nie jest złośliwy i powie panu po prostu: Kwiatkowski płacić

panu będzie 40 franków miesięcznie i wspaniałomyślnie dodaje... obiad. Za to będzie pan uczył dzieci trzy razy tygodniowo po godzinie, a w Niedzielę trzy godziny po południu. Ca va?

— Kiedy czas na to znaleźć?

— W dni powszednie zwolnię pana trochę wcześniej z kantoru. Robotę za pana ja sam odrobię, W święta chyba masz pan dość czasu...

— Ja święta chciałem zarezerwować dla siebie...

— E!... pójdzie pan rano albo wieczorem na Glaciere. I tak jeszcze za długo tam będzie pan siedział.

— Tu nie chodzi o Glaciere... — odparł Leon, ale już mniejszym głosem, bo dobroć i serdeczność Kręckiego zaczęła go wzruszać — ale moje własne prace. Mam tyle do roboty...

— A! pan znów pisze nowele?

— Nie!

Urwał i dodał z dziecinną prawie dumną w głosie:

— Ja mam teraz coś poważniejszego na warsztacie.

Użył tego słowa, bo kiedyś w jego obecności Grzegorzewski, mówiąc o jakiejś literackiej swej robocie, powiedział: „mam teraz ten artykuł na warsztacie!”

— Fiu! fiu!... — zawołał Kręcki — jakie pan teraz fachowe masz wyrażenia. Zdaje mi się, że Glaciera więcej będzie miała z pana pociechy, niż kantor Kwiatkowskiego. Strasznie pan jesteś roztargniony. Naprzykład wczoraj — gdzie pan poszedłeś z tem pokwitowaniem firmy Durand i Martin?

I Kręcki zaczął strofować Leona w handlowych sprawach, które rzeczywiście bardzo cierpieć zaczynały wskutek Glaciere. Leon wykonywał swą kantorową pracę z taką odrazą i wstrętem, że przypuszczaby należało, iż umyślnie nieraz popełnia omyłki, aby spowodzić zamieszanie w znieprawdzone przez siebie kantorze.

— Pan czasem na mnie robisz wrażenie Konrada Wallenroda! — mawiał Kręcki — chcesz pan zdeorganizować kantor i zniszczyć w ten sposób... zakon, to jest, handel!

Leon ramionami wzruszał i doglądając pakowania pudeł z kwiatami, układał zdania swej broszury, która gorzała ciągle w jego duszy, płonęła i trawiła go wciąż podsyconym ogniem.

Lekcje u Kwiatkowskiego Leon po namyśle przyjął, gdyż w ten sposób mógł uzyskać większą kwotę, która mogłaby mu pozwolić przyczynić się do powiększenia wydawnictwa Grzegorzewskiego.

Ambicją jego było teraz wydać swą broszurę za swe własne pieniądze a nie obciążać nią budżetu partyjnego a właściwie zabierać pieniądze Grzegorzewskiego.

Chodząc tu i ówdzie, wynalazł na Montmartrze pokoik z rodzajem przedpokoju większego i z oknem. Mieszkanie to mieściło się na czwartym piętrze a okna wychodziły na monmartrowski cmentarz. Cały dom był widocznie zamieszkały przez ubogich ludzi i konsierż miał minę hipokryty.

Lecz sam zaproponował Leonowi „umeblować“ to mieszkanie za pewną niewielką kwotę miesięcznie. Leon zgodził się, kładąc za warunek, aby w mieszkaniu znajdował się duży stół i półki. Wprawdzie ani na stole ani na półkach nie miał co położyć, lecz chciał, aby jego mieszkanie stanowiło było urządzone na wzór glacierskich mieszkań.

Radość znalezienia się u siebie psuła mu wprawdzie trochę zasmucona twarz Kręckiego. Juliusz widział, że razem z tem wyprowadzeniem się z hotelu, Leon wymyka się z pod jego władzy. A Kręcki nagle zaczął przechodzić teraz okres sentymentalny i uczuwał konieczną potrzebę „wygadania się“ o swej narzeczonej. Przysłane przez nią nowelki podnieciły spokojną miłość, unormowaną w sercu handlarza, i Juliusz zaczynał być gadatliwym a rozkosznym chłopcem.

— To minie! — mawiał, śmiejąc się ze swego uspoibienia. — Juliusz to wszystko poklasyfikuje i pięknie znów do kasy pozamyka, ale aż mnie dusi, jak babę, aby się wygadać!

I Leon słuchał tego „wygadywania się“, słuchał z poczucia wdzięczności dla Kręckiego a przytem i on był — zakochany, choć jeszcze sobie z tego sprawy nie zdawał, więc sympatja dla „zakochanego Juliusia“ kiełkować w nim zaczynała.

Na prośbę Kręckiego przeczytał ów tomik nowelek „Przez łzy“ i nie zastanawiając się bardzo nad erotycznymi wypracowaniami pensjonarki, połąkł jednym tchem dwie nowele z życia robotników, pracujących w fabryce cukru.

Z nowel tych biło tak wiele poczucia niesprawiedliwości i krzywd, wyrządzanych klasie pracującej — tak w gorących słowach młoda autorka brała stronę wyzyskiwanych i o złe ich strony moralne winiła tych, których los obdarzył nad zasługi i miarę, że Leon uderzony został niebanalnością myśli, jakie w tej dziewczęcej głowie wirować musiały.

— To musi być niepospolita dziewczyna! — wyrzekł z całą szczerością nazajutrz, gdy Kręcki niecierpliwie czekał na jego zdanie.

Pocziwa twarz Kręckiego, twarz spracowanego chłopca, rozjaśniła się, jakby padły na nią promienie słoneczne.

— Prawda?... trochę przewrócona głowa, ale serce złote...

— To, co pan nazywasz przewróceniem głowy, stanowi właśnie dodatnią stronę jej talentu.

— No! no! Niech i tak będzie. Nie będę się z panem dziś sprzeczał, bo pogłaskałeś pan moje narzeczeńskie serce.

Zaczął chodzić po kantorze, pogwizdywać, poklepał dobrodusznie piec, w którym dziś, z powodu ciepła, panującego na dworze, nie palono i jakby od niechcenia odezwał się wreszcie:

— A... jak pan tam będziesz, na... pan wiesz, tam na... Glacierre, to pokaż im pan te nowele...

— Pokażę!... duch w nich dominujący spodoba się im niezawodnie!

Kręcki zaczął przerzucać towary, widocznie chciał coś jeszcze dodać, ale ogarnęła go nagle niezwykła u niego nieśmiałość.

— I niech pan doda... że to pisała... Julisia narzeczona!

Leon spojrział na niego zdziwiony.

— Dlaczego panu o to chodzi? Wszak pan całej Glaciere nie masz za Boże poszycie.

— Tak!... ale widzi pan... oni tu wiecznie siedzieć nie będą. Nabiorą rozumu, wyzdrowieją i powrócą do kraju, tak, jak każdy uczciwy Polak zrobić powinien. Więc chodzi mi o to, aby przyjechali do kraju już z przekonaniem, że Julisiowa żona nie jest „byleco“ i umie impoze w lepszym gatunku!

— Krótko mówiąc, pan robisz to przez próżność?

Kręcki śmiało już teraz spojrział w oczy Leonowi:

— Spodziewam się. Przez próżność i przez dobrze zrozumiany własny interes. Im więcej głosów oznajmiać będzie o talencie Maryni, tem więcej jej wydawcy płacić będą.

— A!...

— Tak! A my będziemy mogli żyć dostatniej, mieć lepiej urządzone gniazdko, meble stylowe, a Maryś będzie pisać na biurku cacanem Louis XVI. z bronzami i figurkami na pułczkach, w które każę powprawiać lusterka.

I rozgadał się Juliś, opowiadając, że Maryś jest bardzo szykowna i frontowa dziewczyna, że biedactwo ziata sobie często sukienkę z „byleczego“, a on Juliś ściągnął gdzie jaki paryski żurnal, przyniósł jej, sam kokardki porobił, poprzy-pinał i tak Maryś wysztafirował, że u Wioslarzy, albo u Cyklistów, albo u Handlowców, albo czasem u Wyznania Mojżeszowego — Maryś była najszykowniejsza, najcacańska i najładniej ubrana.

— Fotografje to nie dadzą panu wyobrażenia, bo rysów tam niema, a nosek jak kartofelek i oczęta japońskie. Ale za to cera, włosy, zęby, figurka — pierwszy sort! Nic auszusu, wszystko udane. Wilhelmińka by przy niej zgasała.

Leon chciał zaprotestować, powiedzieć „wątpię“, ale nie mógł, bo czuł, że płomienie wystąpiły mu na twarz, jak u pensjonarki i zawstydzony pochylił się, starając ukryć swą twarz przed wzrokiem Kręckiego.

I tak — przekonania polityczne rozdzielały ich i w sercu Leona wytwarzały ku Kręckiemu całą moc pogardy i nienawiści.

Natomiast miłość dla kobiet połączyła ich i wytworzyła atmosferę sympatji dokoła tych młodych i niezsputych dusz ludzkich.

Niemniej jednak Leon przeniósł się na swoją nową siedzibę, obrany co do ostatniego centyma przez usłużnego konsierża. Za ledwie pozostało mu parę centymów na kupienie sobie porannych bułek. Obywać się zaczął bez herbaty, którą mu poprzednio gotował Kręcki i przynosił prawie do łóżka. Całym jego pożywieniem był obiad u Kwiatkowskich wzamian za owe lekcje polskiego języka, które stały się dla Leona źródłem najwyższej udręki.

Kwiatkowski, żonaty z jakąś eks-pokojówką francuską, miał z nią kilkoro dzieci, brzydkich fizycznie, trywialnych moralnie, rozpuszczonych, jak wszystkie wogóle dzieci paryskie. Pomimo „solidnego patriotyzmu“ ojca — dzieci te nie mówiły prawie wcale po polsku, lecz za to charczały ordynaryjnym paryskim argotem, który u nas w kraju zwykł nosić miano „paryskiego akcentu“ i w wielkiej cenie bywa w domach galicyjskiej arystokracji.

Leon, który początkowo marzył o jakichś lekcjach idealnych, w których rozwijałyby w młodych, dziecięcych duszach przywiązanie do nieznannej im Ojczyzny, ujrzał, że pragnienia te były złudzeniem, z którymi co prędzej pożegnać się należy. Skurczony więc nad stołem, w małym pokoiku, w którym były skrzynie z brudną bielizną rodziny Kwiatkowskich, masa odzieży porozwieszanej na ścianach, i cała armja bucików na podłodze — starał się wmówić w aroganckich pół-francuzików, spowitych w cuchnące flanele i czarne, żałobne fartuchy, że table nazywa się po polsku „stół“.

Wybuchy śmiechu przyjęły jego słowa.

— „Stol“ — powtarzali chłopcy, którzy, charcząc gardłowo *r*, nie umieli wymówić *ł*.

— Il est plus simple de dire table!*) — zakonkludował wreszcie Jeannot, najstarszy i najinteligentniejszy z synów pana Kwiatkowskiego.

Leon jednak nie dał za wygraną. Podtrzymywała jego energię Mazia, która wmawiała w niego szczytną misję, przypadającą mu w udziale. Najwięcej denerwowała Leona

*) Daleko prościej powiedzieć table!

sama pani Kwiatkowska, bardzo rośła Francuska, silna brunetka z zadartym nosem, włócząca się cały dzień po domu w czerwonym, flanelowym peniuarze i z włosami zawiniętymi w papiloty. Szelest jej pantofli działał na Leona w fatalny sposób. Wpijał sobie paznogie w dłonie, aby przetrzymać przejście przez pokój tej kobiety, której z całej duszy nerwowo nienawidził. Czuł w niej pogardę, jaką każdy Francuz żywi dla cudzoziemców, nawet wtedy, gdy z nich żyje.

Przytem pani Kwiatkowska, mająca o Polakach bardzo niejasne pojęcie, uważała nas za naród wymarły i myśl Kwiatkowskiego, aby dzieci uczyły się po polsku, nazywała *une fantaisie couteuse* (kosztowną fantazją).

Powoli — Leon urządzał się w swoim mieszkaniu. Maszynka spirytusowa, imbryk, dwie szklanki, tanie łyżeczki zjawily się na oknie. Lecz Leon miał teraz podwójny cel w oszczędzaniu pieniędzy. Przedewszystkiem chciał zebrać na nowe wydawnictwo swej broszury i po obliczeniu oszczędności, zebranych w przeciągu miesiąca, doszedł do przekonania, że nie zdoła własnym nakładem wydać broszury nawet za rok. Porwała go straszna rozpacz. Zapowiedział bowiem na Glacierre, że bierze sam na siebie kosztą swej broszury dla chłopów. Zrobiło to najkorzystniejsze wrażenie i Wilhelmina znalazła nawet dla niego kilka najpiękniejszych uśmiechów, które on, jak relikwie, uniósł ze sobą nad ów montmartowski cmentarz.

Lecz teraz — czas naglił. Broszury dla proletariatu miejskiego, fabrycznego, robotniczego, ba... nawet dla żydów składały się powoli — jedynie brakowało tylko książeczki Leona, którą on z umysłu przerabiał powoli, motywując swoje opóźnienie brakiem czasu.

Nagle Grzegorzewski pewnego dnia odezwał się do Leona.

— Drukarz mówił, że możecie mu dać zaliczki 50 franków. Na resztę wydać weksel!

Leonowi zabiło serce radośnie.

— Ale trzeba się śpieszyć, koniecznie. Dłużej na was czekać nie będziemy mogli. Ktokolwiek inny z partji broszurę napisze, a my wydamy.

— Jutro manuskrypt i pieniądze przyniosę! odparł trochę wyniośle Leon.

Powróciwszy do domu późną nocą — gdyż tylko wieczorami jeździł teraz omnibusem lub szedł na Glacierre — usiadł Leon przy otwartym oknie i zaczął dręczyć się najszaleńszymi myślami, jakie przez mózg jego się przesuwają zaczęły. Obliczył swe oszczędności.

Miał załędwie w szufladce trzydzieści franków. Brako-

wało ma dwadzieścia i te zdobyć musiał jutro za jakąbądź cenę.

Ambicja jego była podrażniona do najwyższego stopnia. Przytem zdawało mu się, że partja straci całą do niego wiarę i odsunie go od siebie. Cały Paryż, na tę myśl, wydał mu się lodową pustynią.

Stracić ich, Glaciere, Wilhelminę, Grzegorzewskiego, równało się dla niego śmierci.

Wstał i oparł się o balustradę okna.

Przed nim — w oddali, w ładnem, spokojnem, księżycowem świetle stało się całe morze białych cmentarnych krzyży i nagrobków. — Gdzieniegdzie bezlistne drzewo rzucało koronkowy cień, delikatny jak koronka.

I dokoła wznosiły się domy ciche, spokojne także, jak te nagrobki o ciemnych oknach i szczelnie zawartych bramach.

I tu i tam spali ludzie. Ci lżej — ci mocniej. Lecz tu i tam, był to tylko sen...

— Sen — życie, sen — śmierć!

Spokój, panujący dokoła, nie wpłynął dodatnio na nerwy Leona. On w tej chwili trawił się całą myślą dostania owych dwudziestu franków.

Zaniosę co do zastawu — myślał.

— Lecz gdzie jest zakład zastawniczy? — dam stróżowi, wstydzę się... nie chcę, aby wiedział, że jestem bez centa... poproszę Kwiatkowskiego, żeby mi dał naprzód... O! nie przejdzie mi to przez gardło... Pożyczę... ale od kogo...

— Kręcki!

Leon cofnął się, jakby już dojrzał ironiczny uśmiech na twarzy Julisia.

— Dwadzieścia franków... to dużo. Kręcki odmówi. Połowę wezmę u stróża, połowę u Kręckiego. Niech się dzieje, co chce! Dla sprawy nie będę miał pychy...

— Dla sprawy?

Nie byłaż to raczej wygórowana ambicja i chęć zaimponowania innym? Leon nie badał już wnętrza swej duszy. Pozostawał już zimnym na spokój czarownicy, rozlany malowniczo dokoła. Dawniej — ta srebrna biel z tem morzem krzyży porwałaby go i rozmarzyła. Teraz — już szybował myślą gdzieindziej, inne miał cele i inne pragnienia.

Gdy rano zbudził się i spojrzął w lustro wmurowane nad kominkiem, przeraził się, tak był blady, tak zmienione miał rysy twarzy.

Postarzał się, siatka zmarszczek zarysowała się dokoła jego ocz. Usta zwykle świeże i dziecięce ścisnęły się bolesną blizną.

Zeszedłszy ze wschodów, udał się do łoża konsierża i tam bez tchu wyrecytował z góry ułożone zdanie. Konsierż, spojrzawszy na Leona z miną hipokryty, sięgnął do swej szafy i z pod bielizny wyjął dziesięcio-frankówkę. Leon, poczuwszy pieniądze w dłoni, dopiero doznał prawdziwego uczucia upokorzenia. Konsierż nie wymówił ani słowa i to milczenie zrobiło na Leona większe wrażenie, niż cała serja targów lub zapytań.

Niemniej — pierwszy krok został na tej drodze zrobiony. Gdy Leon poprosił Kręckiego o pożyczkę, miał już pewniejszy siebie głos i spojrzenie.

Kręcki roześmiał się filuternie i pogroził Leonowi na nosie.

— Ja wiem, co pan z temi pieniędzmi zrobi... wyda pan bał dla socjalistycznych narodowców.

— Nie! — zaprzeczył gorączkowo Leon — to nie dla nich... to na pościel, na mieszkanie.

Już idąc, wymyślił sobie ową „pościel“ w razie, gdyby Kręcki pytał go, na co mu pieniądze potrzebne.

— To źle! — wyrzekł Kręcki — wolałbym, ażebyś pan wydał fix — zaprosił Wilhelminkę, Mazię, Grzegorzewskiego, jeszcze tam kogo, no... i mnie. Kupiłbyś ptifurów, magdalenek, jabłek, mandarynek i zabawilibyśmy się trochę.

— Ja nie dla zabawy pieniędzy w tej chwili potrzebuję.

Kręcki wyjął z portmonetki dziesięć franków i podał je Leonowi.

— Ja panu coś opowiem, tylko niech pan przedtem pieniądze weźmie.

Leon pieniądze wziął i zdawało mu się, że z jakiegoś topieli wypłynął nagle na brzeg.

— Jeżeli pan chcesz dawać pieniądze partji na cele wydawnictwa — zaczął Kręcki — to staraj się pan zwalczyć tę chęć w samym początku. Później nie będziesz miał siły. Gdy cię to ogarnie, to już przejdzie po prostu w nałóg, jak pijaństwo, albo gra w karty. Ja przez dwa miesiące, jeszcze w kraju, byłem takim nałogowcem. Byłbym duszę sprzedał, aby tylko mieć pieniądze dla... sprawy. Ale się opamiętałem! I pan się opamiętaj, póki czas, inaczej będziesz ot... tak jak Grzegorzewski — zgubiony!

— O! tak być zgubionym, jak Grzegorzewski — tego pragnę z całej duszy — zawołał Leon z zapałem, ściskając w rękę dziesięciofrankówkę. Taka zguba to... życie!

— Piękne mi życie... on lada chwila w anemji umrze.

— Ale jego c z y n y żyć będą!

Kręcki ramionami wzruszył i palcem po czole postukał.

— Pańskie tymczasem czyny nie przeżyją podróży z Paryża do Moskwy, jeśli pan tak będziesz pilnował pakowania lornetek, jak to wczoraj miało miejsce. Musiałem wszystko

dziś rano przepakować i to w sekrecie przed Kwiatkowskim, aby na pana nie gderał.

Leon nie mógł się doczekać wieczora.

Od obiadu u Kwiatkowskich wymówił się i zgorączkowany, z zupełnie pustym żołądkiem, pobiegł jak szalony w kierunku Glacjery. Nie miał nawet na omnibus trzech susów. Zaledwie dwa *su* plątały się w jego kieszeni. Biegł tak szybko, że roztrzącał przechodniów i cały obłany potem zaczął wspinać się po schodach, prowadzących do mieszkania Grzegorzewskiego.

Zastał u Grzegorzewskiego Mazię, Wilhelminkę i Barumzwajga, studenta medycyny, który zdawał już ostatnie egzamina i czekał na dopłom doktorski. Był to wysoki, suchy mężczyzna, mówiący prędko i cicho, brodaty o zarostem nisko czole. Mówiąc, miał przyzwyczajenie szarpać gwałtownie brodę i targać ją niemiłosiernie, przyczem, doznawszy bólu, szeptał przez zęby :

— O! psia krew!

I regularnie dodawał :

— Przepraszam.

Należał od dawna do partji, choć przystług wielkich nie oddawał sprawie. Wiedziano o nim, że był uparty, odważny i imponował szczeniaczom ogromem swojej postaci. Barumzwajg potrząsł silnie dłonią Leona i powiedział bardzo szybko, jakby go kto bił pięścią po karku :

— Jak się macie kolego?

Leon otarł pot z czoła i przybliżył się ku Grzegorzewskiemu, który nadzwyczaj zaaferowany, rozgorączkowany, jakieś pismo angielskie przeglądał.

— Proszę! — wyrzekł Leon półgłosem — oto manuskrypt i pieniądze.

— Co? jak? — zapytał Grzegorzewski, nie odwracając głowy.

— Pieniądze na wydanie mej broszury!

— A! dobrze... połóżcie to wszystko tu pod przyciskiem.

Leon uczynił to, co mu kazano i widząc, że Grzegorzewski pograżył się znów w czytanie gazety, usunął się powoli w kąt pokoju. Mazia i Wilhelminka rozmawiały, stojąc przy półkach i wybierając z nich jakieś książki.

Barumzwajg skrzył papierosa i nie zwracał uwagi na nikogo z obcych.

Leon, przywitawszy się z pannami, stał pod ścianą, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Inaczej zupełnie wyobrażał sobie tę chwilę, kiedy on zapowiedziane pieniądze na koszt wydawnictwa złoży. Przeszło to cicho, bez wrażenia. Leżały teraz te franki, tak mozolnie uzbierane razem z dziesięciofrankówkami stróża i Kręckiego pod kawałkiem brukowego

kamienia, służącego Grzegorzewskiemu za przycisk. Nikt o ofierze Leona nie wiedział, nawet Wilhelminka.

W Leonie weszła gniew i bunt. Postanowił pochwalić się. Zbliżył się do panien i wyrzekł półgłosem:

— Przyniosłem pieniądze na wydawnictwo!

— A! — wyrzekła Mazia.

Wilhelminka milczała, tylko dalej przewracała na półkach książki.

— Trzeba oddać pieniądze Grzegorzewskiemu!

— Oddałem!

Mazia spojrzała na niego zdziwiona.

We wzroku jej wyraźnie czytać można było: — Jeżeli oddałeś pieniądze, komu należy, dlaczego nam o tem mówisz?

Leon nie mógł pogodzić poprzedniego uznania, z jakim się spotkał w chwili, gdy oznajmiał, że bierze na siebie druk swej broszurki, i zupełny brak entuzjazmu, z jakim powitano jego pieniądze.

Późniejsze dni mu tę zagadkę odkryły.

W tydzień później Leon otrzymał pensję w kantorze i nie mając jeszcze w swej duszy dostatecznego hartu, pozwalającego mu wytrwać długo w życiu, złożonem z prywatności i odmawiania sobie koniecznych potrzeb, kazał stróżowi przynieść węgla, koks i kupił sobie herbaty, cukru i spirytusu, postanawiając napić się herbaty. Dziwnym bowiem kaprysem natury, nagle ciepło, panujące we Francji, zmieniło się na zimno dojmujące a wieczorem zaczął padać śnieg dość gęsty — gość we Francji nieznan i budzący w Paryżu ogólne zdziwienie. Na ulicach zaroilo się od przechodniów, którzy wybiegli zobaczyć *comme il neige*. Leon, widząc śnieg, doznał dziwnego uczucia. Porwała go szalona tęsknota za krajem i za tym polskim, małomiasteczkowym śniegiem, brudnym i rozplywającym się w kałuże. Potem mignęły mu przed oczyma szerokie płaszczyzny, całe białe, po których skaczą czarne wrony. I tylko w oddali ciemny wał lasu — a słupy telegraficzne sterczą i tu i tam, krzyż drewniany wyciąga swe ramiona. Co pod nim, pod tym krzyżem, na którym nie ma ani, daty ani napisu? Czyje szkielety śpią w mogilnej, pobitkowej jamie? Kto się w proch rozsypie?

Moskale? Polacy?

Może i jedni i drudzy złączeni w majestacie śmierci?

Ach! ani Moskale ani Polacy. To już tylko popiół po ludziach, którzy wzajemnie wpychali sobie w pierś bagnety.

Tylko jedne bagnety były najeżdźcze a inne były obronne...

I wszystko ucichło, zastygło i znikło w mogilnej jamie.

Ziemię pokrył śnieg. Na wiosnę wyrosnie trawa, gdzieś niedziedzie polny kwiatek — krzyż będzie wciąż wyciągał swe wielkie, miłosierne ramiona, niosące wspomnienie Chrystusa, a w oddali cicho, tajemnie... zaszumia drzewa lasu.

Leon powrócił do swej izdebki i usiadł przy rozpalanym na kominku piecu. — Kupił sobie chleba, masła — kawałeczek sera. — I dopuścił się wielkiego zbytku. W kieszeni palta przyniósł sobie kilka jabłek, które, dziecinnem zdjętym pragnieniem, zapragnął upiec przy kominkowym ogniu. — Nalał w maszynkę spirytusu i zaczął gotować wodę. — Jabłka wbił na patyczki i ustawił niedaleko ognia. Poczem przysunął krzesło i usiadł obok kominka.

Mieszkanie Leona, dzięki manji naśladowania Grzegorzewskiego, przybrało prawie identyczny wygląd z mieszkaniem lidera partji. Tak samo stał pośrodku — bliżej okien, duży stół zawalony gazetami i papierami. Leon kupował stare francuskie dzienniki, wiązał sznurkami i rozrzucał te paczki na stole i po kątach pokoju. Przytem książki, które mu nadesłano z Galicji — gazety pożyczone przez Mazię — broszury zalegały pułki.

Kałamarz — pióra — słowem to wszystko, co się znajdowało na Glacjerze w wielkiej ilości, tu w miniaturowym formie zalegało kąty.

W drugim pokoiku — łóżko żelazne, pokryte ubogim kocykiem — poduszka, stolik, zamiast komody — krzesło, umywalnia blaszana i na pace maszynka spirytusowa, szczotki do butów — szuwaks i znów gazety... gazety...

Leon z pewnego rodzaju zadowoleniem obejrzał się dokoła: był u siebie, nie w hotelu, ciepło miłe płynęło z kominka — i to uczucie zaczęło neutralizować trochę tęsknotę za polskim śniegiem.

Napiję się herbaty, zjem pieczone jabłka! — myślał z dziecięcą radością.

Nagle uczucie pustki przejęło go całego.

— Lepiej było pojechać na Glacjerę do Mazi albo Grzegorzewskiego. — Nie był u nich od czasu owego wieczora, w którym złożył na biurku Grzegorzewskiego pieniądze. — Coś go krępowało. Miał do nich trochę żalu i bał się, sam nie wiedział dlaczego, spojrzeć im w oczy. — Lecz moc nałogu, przytem rozkochanie się w oczach Wilhelminki ciągnęły go znów na Glacjerę. — I zaczął myśleć głównie o niej i przyznał sam, że ona jest ideałem jego wyobraźni.

— Kocham ją! szeptał szczerze, patrząc w ogień z wielką egzaltacją.

— Taka... cała w purpurze! — dodawał, kręcąc z zachwytem głową.

Odkrył bowiem przyczynę owego czerwonego światła, które biło taką łuną z jej okien. Purpurowy abażur pokrywał lampę. Ażur był jedwabny, koronką przystrojony. Leon kupił sobie także czerwony abażur, ale z taniej, gniewionej bibułki.

— Niech będzie tak, jak u niej! — wyrzekł z radością, zapalając lampę.

I dziś czerwony blask zalewa jego pokój. Jest to odstępstwo od naśladowania Grzegorzewskiego, u którego jest zielona zasłona, ale tu romantyzm bierze górę nad polityką. Leona oczy boją od czerwonego światła, znosi jednak mężnie ten ból, aby choć w części, choć barwą blasku mieć wspomnienie tej, która mu jest droższą nad światy całe i nieodłączną od patriotycznej idei.

— Ach! gdyby ona tu w tej chwili była!... — wzdycha biedny samotnik, obracając melancholijnie na patyczku jabłko.

Puk, puk — do drzwi — „puk“ delikatne, dyskretne, eleganckie.

Leonowi zdaje się, że to halucynacja.

Lecz pukanie powtarza się, drzwi się otwierają i w nich, ubrylantynowana cała śniegiem, stoi Wilhelminka.

— Czy wolno?

Czerwone światło słało się jej pod stopy i świeciło dwoma ognikami na noskach lakierowanych bucików, które widać było z pod uniesionej sukienki.

Była wdziękiem, czarem, poezją, miłością, stojącą na progu mieszkania tęskniącego samotnika.

Leon wreszcie opamiętał się i porwał się z miejsca.

— To pani? pani?...

— Tak, ja. Cóż w tem dziwnego? Mazia przyjsć nie może, jest przy chorej. Grzegorzewski zajęty. Prosimi mnie, abym poszła do pana w sprawie pana broszury... Czy mogę wejść dalej?...

— Proszę!... może pani usiądzie przy ogniu?

Drżąc cała, jak w febrze, zmieszany, prawie nieprzytomny, podsuwał krzesło tak blisko ognia, że zdawało się, iż lada chwila nogi się zapalą.

— Dziękuję panu, usiądę, choć ja tu przyjechałam tylko na chwilę.

— Dlaczego Grzegorzewski nie napisał, ażeby sam przyszedł. Taka straszna pora!

— Co pan mówi? Śnieg! To mój żywioł. Pasjami lubię śnieg. Przypomina mi Warszawę, karnawał. Ach! karnawał!...

Usiadła na krześle przy ogniu i jednym rzutem nogi strąciła mozolne rusztowanie, na którym piekły się jabłka.

Leon zarumienił się z obawy, aby strojna panna nie dostrzegła owych patyczków i jabłek, lecz Wilhelminka była cała zajęta strzepywaniem śniegu z mufki, z woalki, z obramowania sukni i nie spojrzała nawet na zniszczone dzieło rąk Leona.

— Nie pisaliśmy do pana, bo trzeba tę rzecz ustnie załatwić. Przedewszystkiem należy panu wytłumaczyć, o co chodzi, a powierzać to listom lub telegramom jest niebezpiecznie. Nie mogliśmy pana wzywać dopiero na Glacière, bo zależy głównie na pośpiechu. Jutro rano musisz pan tę sprawę załatwić. Inaczej nigdy z tem wydawnictwem na czas nie zdążymy.

Zdjęła rękawiczki i rozciągnąwszy delikatnie tiul woalki, suszyła go przed ogniem, zajęta cała fatałaszkami swego stroju.

Leon stał opodal, jak oniemiały, jak chłop, do którego chaty weszła w noc zimową cudna królowna z baśni.

Wilhelminka podniosła oczy i spotkała się z jego wzrokiem, w którym wyczytała to oglupiające uwielbienie. Otworzyła na pół usta, jakby jakieś słowa zatrzymywała na uwieży i nawet pytająco patrzyła wprost w twarz Leona.

Poczem powoli znów zwróciła swój wzrok na tiul woalki i Leonowi zdawało się, że wyczytał w wyrazie jej twarzy niesmak i znudzenie.

— Czy pan jesteś sam? — spytała wreszcie studentka — czy tam niema nikogo?

— Nikogo?

— Tak!... ale ja także tego, co powiem, krzyczeć nie mogę, aby mnie na korytarzu słyszano. Niech pan weźmie krzesło i usiądzie blisko mnie.

Leon wyszedł do drugiej izdebki, przyniósł zepsute krzesło ze zdezelowaną jedną nogą i ostrożnie postawiwszy je, jeszcze ostrożniej usiadł na niem, starając się utrzymać równowagę.

Radość z przybycia Wilhelminki zatręły mu dwie myśli: ser i masło prozaicznie rozłożone na papierze, na rogu stołu i owe krzesło, które lada chwila groziło wywróceniem się i rozciągnięciem go na ziemi na wzór siostry Ignasia.

Nagle... zastukano gwałtownie do drzwi.

Leon porwał się i zanim zdążył dojść do drzwi, już konsierż był w pokoju. W rękę trzymał jakiś list i z miną hipokryty szybko obrzucił bystrym spojrzeniem siedzącą najspokojniej w swem krześle Wilhelminkę.

— Ten list może dla pana? — zapytał po francusku, wyciągając rękę z listem, na którym był adres innego lokatora.

— Cóż znowu? — zapytał niecierpliwie Leon — adres wyraźnie napisany. Czego pan chcesz tutaj?

— Myślałem, że to list do pana! — powtórzył i kierując się ku drzwiom, dodał — proszę mi wybaczyć, że wam przeszkodził.

Gdy wyszedł, Leon zamknął drzwi na zasówkę.

— Przepraszam panią! — wyrzekł rozgorączkowany — nie rozumiem, co się stało? konsierż nigdy listów na górę nie nosi.

— Och! to bardzo proste — wyrzekła spokojnie Wilhelminka — ten człowiek albo szpieguje z ciekawości, albo, jak to najczęściej w Paryżu bywa, na rachunek policji i ambasady.

— Pani przypuszcza?

— O! jestem tego nawet pewną. Pan jeszcze nie masz swego anioła stróża, ale za to mój szpieg mnie tu odprowadził i zdał mnie prawdopodobnie pańskiemu konsierżowi. Śnieg jest, zimno, nie miał ochoty czekać na mnie na dole.

— Ależ to okropne!...

— Nie; do tego można się przyzwyczaić.

Leon nie chciał usiąść już na krzesła, które odepchnięte przez niego w chwili wejścia konsierża, upadło z hałasem na ziemię i teraz prezentowało się fatalnie zjedną nogą wiszącą i sprężynami, które wyraziły u spodu. Przytem Leon od pewnej chwili był trapiiony myślą ofiarowania Wilhelmince szklanki herbaty, lecz nie wiedział, jak tę propozycję sformułować. Łyzeczki były cynowe, nie miał serwetek, cukier był w papierze. To paraliżowało jego zamiary. Gdyby to była Mazia, nie Wilhelminka, potrafiłby grać rolę gościnnego gospodarza. Lecz elegancja Wilhelminy onieśmieliła go szalenie. Tymczasem Wilhelmina, wysuszywszy woalę, zabrała się do spełnienia swej misji.

— Siadaj pan — wyrzekła — niechże nareszcie opowiem panu, o co chodzi.

Leon obejrzał się z rozpaczą. Na czemże miał usiąść, kiedy nie było na czym? Jedyne krzesło zajęła Wilhelminka, drugie rozbite leżało na ziemi.

— No... siadajże pan! — powtórzyła niecierpliwie piękna panna.

I rozpacz natchnęła Leona wcale ładną myślą. Nagle, nie namyślając się, osunął się na ziemię i usiadł na podłodze z niezgrabnym wdziękiem zażenowanego podrostka.

— Już siedzę! — wyrzekł prawie dziewczęcym głosem. Wilhelminka roześmiała się wesoło.

— Lubi pan siedzieć na ziemi?

Leon uczuł się dumnym ze swego pomysłu.

— Pasjami!

— Ja także często siadam u siebie przed kominkiem na dywanie!

To „na dywanie“ popsuło radość Leona. W tej chwili za najnędniejszy dywan przed kominkiem oddałby pół pensji w kantorze.

— Jeszcze nie urządziłem mieszkania... — zaczął tłumaczyć nieśmiało.

— Słuchajże więc pan, z czym ja tu przyszedłam. Broszura, jako perjodyczne wydawnictwo, musi być podpisana przez jakiegoś Francuza, jako żyranta. To konieczne. Inaczej drukarnia nie będzie drukować...

— Skądże ja takiego Francuza wezmę?

— Podpisze Durozier.

— Któż to jest ten Durozier?

— To właściciel małej księgarni, socjalista. On zawsze nam swoje nazwisko pożyczka.

— Trzeba mu za to będzie zapłacić?

— Broń Boże! On się obrazi. On nam oddaje ogromne usługi i bardzo nam jest pomocny w sprawie. Czyni to z zasady, z przekonania, nie dla interesu. Trzeba, ażeby pan z nim był bardzo grzeczny, bo on nas wszystkich, niestety, trzyma w ręku. Nie powiem, ażeby od czasu do czasu nie wypadło u niego coś w sklepie kupić... ale to wobec przysług, które nam oddaje, jest drobnostką. Pieniądzy jednak Durozier nigdy nie bierze.

— A czemu mu się za książki płaci? — zapytał naiwnie Leon.

— Czemu?... pieniędzmi. Ale to przy kupnie za towar, ale nie za... firmę.

— Gdzież on mieszka?

— Rue Monffetard, 58. Niech pan jutro rano do niego idzie.

Obejrzała się dokoła i jakby przez grzeczność wyrzekła:

— Bardzo tu przyjemnie!

— O, nie to, co u pani! — zawołał Leon z zapalem. Wilhelminka uśmiechała się zadowolona.

— Nie umiałabym żyć bez komfortu — wyrzekła, — byłam do tego przyzwyczajona od dziecka. Muszę być zawsze ładnie ubrana i ładnie mieszkać. Bez tego żyćbym nie mogła!

I ładna socjalistka przybrała minę łakomej i tłustej kotki.

— I gdy pomyślę, że są kobiety, które prawie nie dbają o to, co Moskale nazywają „obstanowka“, dochodzę do przekonania, że w takich kobietach niema artyzmu. Prawda?

— O tak! — z całym zapalem potwierdził Leon.

— Nie chcę źle mówić o moich koleżankach — ciągnęła dalej studentka — ale te panny, chodząc na wykłady w bankowych czapkach i kaloszach, dają fatalne wyobrażenie

o naszym kraju. Powinnyby *pro honore domus* więcej dbać o siebie. Nie uwierzy pan, jak się francuscy studenci z nich śmieją.

I z rodzajem przechwałki dodała:

— Mnie nikt za Polkę nie bierze. Wszyscy mówią, że mam szyk paryski.

— Pani jesteś bogatą — wtrącił w formie uwagi Leona.

— Och! tu nie chodzi o bogactwo, ale o szyk, o sznit, o gust. A zresztą biedne panny nie powinny przyjeżdżać na medycynę.

Leon spojrzął na mówiącą z wielkiem zdziwieniem.

— Biedne nie — tylko bogate? — zapytał — a cóż bogatym po tym kawałku chleba i dyplomie? Wszak one tego nie potrzebują.

— Ach Boże! mówisz pan jak dziecko. Skończyć medycynę w Paryżu, to rzecz bardzo kosztowna. Już jeżeli przejść całe kursa, to należy uczynić z rozgłosem, szykiem i reklamą. Na to trzeba po ludzku wyglądać, ubierać się dobrze i przyzwoicie mieszkać. Też trzeba bronić z całą pompą — inaczej wszystko sensu nie ma. A przytem to jeszcze nie wszystko. Trzeba się bardzo elegancko zainstalować, zaimponować Francuskom urządzeniem poczekalni i gabinetu i mieć na tyle pieniędzy, aby móc spokojnie czekać na klientów. Przebierać klientelę, nie brać tak jak Mazia piekarek i rzeźniczek, ale znaleźć dystygnowane *quartier* i w niem się osiedlić.

Mówiła to wszystko spokojnie, trzeźwo, z chłodnym spokojem i Leon odczuwał straszne wrażenie zimna, jakie ze słów jej wiało. Nie chciał widzieć w niej zwyczajnej studentki, goniącej za karierą, a cały ton, wreszcie treść słów, utrzymywały go w tem mniemaniu.

— Jeżeli pani jest bogatą, pocóż i pani bogata klientela? — zapytał wreszcie.

Wilhelminka śmiać się zaczęła długim, zagadkowym śmiechem.

— Poco?... — wyrzekła, przeciągając się jak kotka — poco? och! Od przybytku głowa nie boli.

Z jej ust to trywialne przysłowie szarpnęło całym Leonem.

— Chyba dlatego, aby mieć więcej na partyjne cele — rzucił pośpiesznie i rozpaczliwie, jakby broniąc się przed demonem zwątpienia, który ogarnął jego duszę.

Wilhelminka popatrzyła na niego z ukosa i sprytem kobiecym odczuła, co się w nim działo.

— Zgadłeś pan! — wyrzekła — chodzi mi o pomoc partji, o rozszerzenie naszego działania, o... wszystko.

I zaraz zaczęła mówić o Grzegorzewskim z entuzjazmem trochę sztucznym i wracała ciągle, uparcie, do jego wielkiej urody.

— Co za profil! — powtarzała — czy uważał pan jego profil! A oczy!... marzące, olbrzymie, czasem znów płoną jak iskry. Ja jestem formalnie zakochana w piękności Grzegorzewskiego!

Gawędziła tak, widocznie nie mając ochoty oderwać się od ognia i wychodzić na zimne powietrze. Leon uszczęśliwiony rzucał na nią chwilami ukradkowe spojrzenia. Prosto w jej oczy patrzeć nie śmiał.

Wreszcie Wilhelmina zaczęła upinać na twarzy woalkę, wkładać rękawiczki i powstała z miejsca z wielką gracją. Zachowanie się jej w tem kawalerskim mieszkaniu było ogromnie swobodne i widocznem było, że postępek swój uważała za rzecz zupełnie naturalną i właściwą. Leon z pośpiechem włożył palto.

— Odprowadzę panią do omnibusu Saint Jaques.

— O nie! — wyrzekła studentka — ja pojedę dziś dorożką. Ostatni omnibus Saint Jaques musiał już odejść. Zasiadziałam się u pana.

Gdy wyszli przed dom, zatrzymali się oboje olśnieni. Śnieg padał wciąż dużemi płatami i pokrył zupełnie ulice tak, że nawet zatarł zupełnie ślady trotuarów.

Cisza była zupełna.

Po ulicy Coulaïnscourt, pnącej się ku wyżynom Montmartru nie szedł nikt, nie jechała ani jedna dorożka.

Z wielką ostrożnością Leon i Wilhelmina iść zaczęli, brodząc w śniegu po kostki. Pod śniegiem flizy stały się szalenie śliskimi. Co chwila któreś z nich ślizgało się, chwytając się instynktownie ramienia swego towarzysza. W ten sposób przebrnęli most zawieszony nad cmentarzem. Nigdy cmentarz nie był tak biały, tak cichy, jak w tej chwili.

— Bardzo szykownie pan mieszka — wyrzekła Wilhelmina — nad cmentarzem! To bardzo nastrojowe!

— Wolałbym w tej chwili mieszkać na Glacierre.

— Dlaczego?

— Byłaby pani prędzej w domu.

— Chce się pan mnie pozbyć?

Leon zaprotestował gorąco.

— O! jak pani może nawet to przypuszczać! Jeżeli to mówię, to tylko ze względu na panią. Zima, śnieg. Pani przemoczy nogi, a stąd na Glacierre w dorożce nawet godzina drogi.

— E! dostaniemy na placu Clichy dorożkę i niedługo będę w domu.

Lecz na placu Clichy nie było ani jednej dorożki.

Omnibusy wskutek straszliwej ślizgawicy, tem zdradniejszej, że konie w Paryżu bywają niekute, przestały kur-

sować zupełnie. Tramwaje także zawiesiły swój ruch z powodu zupełnego i ciągłego zasypania szyn.

Wilhelminka i Leon zatrzymali się na środku pustego placu i widocznem było, że studentka drzeć zaczyna od chłodu i wysiłku, z jakim brodzić musiała wśród śniegu.

— Co my poczniemy? — zapytał Leon.

— Idźmy w dół ku Trinité, może spotkamy dorożkę.

Szli więc, ale coraz wolniej, gdyż Wilhelminka miała cieniutkie obuwie i to przemokło na wskrós i utrudniało jej brodzenie wśród śniegu.

Na ulicy Clichy spotkali kilku przechodniów, którzy klnąc, złoszcząc się, wymijali ich, padając co chwila w śnieg, to znów co chwila się podnosząc.

Mimowoli ogarnął ich śmiech na widok tych Francuzów, którzy zostali pokonani z taką łatwością przez miękki puch śniegowy.

— Pogromca Napoleona — śmiała się Wilhelminka.

Lecz nie dokończyła jeszcze zdania, a już potknąwszy się, upadła i z pomocą przerażonego Leona powstawszy, śmiać się nie przestawała.

— A co? Jak się rozciągnąwszy? — mówiła, przedrzeźniając siostrę Ignasia.

Lecz widocznem było, że cała drżała i odwaga ją opuszczała pomimo, że pokazać nie chciała stanu przygnębienia, jaki ją ogarniał.

Leon jednak odczuł i zrozumiał wybornie, co się musiało dzieć z tą elegancką i lekko ubraną dziewczyną. Był w rozpacz. Miał ochotę porwać ją na ręce, nieść wśród śniegu, lecz nie śmiał. Szedł obok niej, cisnąc jej rękę swoim ramieniem. Wilhelminka powoli przestała się śmiać. I gdy oboje wydostali się na plac Trinité, pusty i cały biały od śniegu, Wilhelminka oparła się o balustradę kościoła i zmienionym głosem wyrzekła:

— Nie mogę iść dalej!

Stali tak naprzeciw siebie bezradni, z rękami zwieszonymi, a śnieg padał coraz gęściej, moczając ich twarze, włosy, ręce i odzież.

— Co począć? — powtarzał Leon, podczas gdy Wilhelminka z nerwowem rozdrażnieniem powtarzała:

— Nie mogę iść dalej!

Nagle coś z ulicy Chateaudun zabłysło i powoli sunąć zaczęła ku nim dorożka. Woźnica szedł obok konia, prowadząc go za uzdę, Kierował się ku Montmartrowi przez ulicę Clichy. Koń potykał się co chwila. Woźnica klął i podtrzymywał biedne zwierzę.

Leon pobiegł ku dorożce w nadziei, że woźnica zgodzi się odwieść Wilhelminkę na Glacière, lecz ten, postłyszawszy propozycję Leona, obrzucił go stekiem obelg i wymysłów,

mszcząc się w ten sposób chociaż za ów śnieg, który dla niego był klęską, katastrofą syberyjską trudną do przeniesienia.

Napróżno Wilhelminka ofiarowywała woźnicy dziesięć franków za odwiezienie na Glacière, — woźnica nie raczył nawet odpowiedzieć na tę ofertę i zaczął powoli wspinać się na ulicę Clichy.

I znów pozostali oboje. sami na pustym placu, wśród wymarłego miasta, podobnego do owego zasypanego śniegiem cmentarza.

I znów on powtarzał bezradnie:

— Co począć?

A ona coraz ciszej skarżyła się, jak dziecko:

— Nie mogę iść dalej!

Wreszcie, w chwili, gdy już pogrążał się w ostatniej rozpacz, panna wybuchła dzieciennym śmiechem.

— Jacy my jesteśmy nierozsądni. Stoimy tu i marzniemy, Bóg wie, czego. Wrócę się po prostu do pana i do czekam ranka.

— Prawda!

I porwawszy się pod ręce szybko iść ulicą Clichy zaczęli. Razem ze zmoczeniem grzywki i buczków Wilhelminkę opuszczać zaczynała ciągła troska o szyk i pozę. Wesołość jej udzielała się Leonowi. Był tak szczęśliwy, iż zdawało mu się, że go niosą po śniegu anieli. Odważał się otulać Wilhelminkę, drżącą ręką nawet poprawił koinierz jej żakietu i, pod pozorem zdjęcia zmoczonej woalki, dotknął jej włosów.

Wreszcie po długiej i mozolnej drodze dobili się do ulicy Damremont.

Wchodząc po wschodach, Leon stąpał cicho, zdjęty wrodzoną hipokryzją męską. Natomiast Wilhelmina szła głośno, śmiejąc się i szeleszcząc suknią. Idąc, powtarzała ciągle:

— Ach, Boże! byle tylko ogień nie wygaś.

Gdy weszli do pokoju, światło lampy, ciepło, bijące z kominka, na którym płonął jeszcze koks, przejęło ich radością. Zaraz Wilhelmina zaczęła suszyć nogi, woalkę, rękawiczki, żakiecik. Śmiejąc się, powtarzała ciągle:

— Niech pan na mnie nie patrzy, muszę być straszna z temi rozfryzowanemi włosami!

— Straszna?

Boże! Jemu zdawała się aniołem piękności. Gdy zdjęła żakiet, pozostała w białej, jedwabnej, cieniuchnej bluzce, spiętej na guziczki, ozdobione fałszywymi brylantami. Przez cieniuchny fular bluzki przebiegał niziuutki lila gorset, różowe ciało i białe koronki koszuli. W stanie bluzka była ściśnięta aksamitnym, fioletowym paskiem, zakończonym śliczną, oksydowaną kłamrą, przedstawiającą pajaka na rozpiętej pa-

jęczynie. Po raz pierwszy Leon ogarnął tak wzrokiem i zapamiętał szczegóły stroju Wilhelminki.

Prawda, że po raz pierwszy widział ją tak naturalną, wesołą i taką... sobą.

Zażądała lusterka i wyjętym z włosów grzebykiem przyczesowała gładko na dwie strony zmoczone włosy, które trochę przesuszyła przy kominkowym ogniu.

Natychmiast, w tem obramowaniu ciemnych pasem, twarz jej zmieniła się zupełnie i przybrała dziewiczy, skromny, czarujący wyraz. Foremne rysy twarzy wyszlachetniały, twarzyczka zmniejszyła się w niezwykle sposób.

Resztę włosów związała w duży węzeł i upięła nisko na karku. Leon dostrzegł wówczas, jak doskonały, jak śliczny miała kształt głowy. I gdy usiadła na krześle, koło ognia, który staraniem Leona zapłonął jaśniej i goręcej, i przymknawszy oczy, odpoczywała trochę blada i znużona, śladu w niej nie było tej bezmyślnej, trochę aroganckiej kokieterji, jaka dawniej przebijała się w każdym jej kroku.

Leon zdobył się na wielką odwagę, na krok stanowczy i cichym, nieśmiałym głosem spytał.

— Napije się pani herbaty?

— Chętnie... zmarzłam strasznie. Niech pan mi zrobi herbaty.

I znów przymknęła oczy i pozostała tak nieruchoma w blaskach ognia i świetle lampy.

Leon wyszedł do drugiego pokoiku i tam drżącymi rękami zaczął przygotowywać herbatę. Ile wody wylał, jak strasznie się oparzył, on jeden wiedział tylko. Wreszcie spocyny, zmęczony, jakby drwa rąbał, przyniósł Wilhelminie szklanekę herbaty, cukru w papierze i trochę ciastek, nazwanych magdalenkami.

Ona ocknęła się ze swej zadumy i z wdzięcznością przyjęła ciastka i herbatę. Zaczęła jeść i pić z wielkim wdziękiem, tak, jak umie to czynić ładna kobieta. Leon ośmielił się uklęknąć przy niej i trzymał w swych dłoniach spodeczek, na którym Wilhelminka szklanekę co chwila stawiała. Klęcząc tak naprzeciw niej, z wyrazem zachwytu na zgorączkowanej twarzy, był tak naiwnie ładny, że Wilhelminka patrzyła na niego z pewną przyjemnością.

— Pan wyglądasz w tej chwili jak paż średniowieczny — wyrzekła z uśmiechem.

A po chwili dodała:

— Ile pan ma lat?

— Dziewiętnaście!

— A!... jaki pan młody!

— Była w jej głosie nuta żalu, jakby za ubiegłą dla niej dziewiętnastą wiosną, lecz Leon odczuł jej słowa inaczej. Sądził, że zdziwiła się, iż jest tak młody.

— Ale ja przeszedłem wiele w życiu — dodał pospiesznie — i jestem o wiele starszym moralnie, niż pani przypuszcza.

— Każde z nas dużo przeszło w życiu! — wyrzekła twardo studentka — przeszło i przechodzi...

Gdyby Leon przyjrzał się uważniej jej twarzy, dostrzegłby, jak razem z temi słowami postarzała się napozór młoda twarzyczka Wilhelminy, lecz on zaprzeczył gorąco.

— Pani przeszła co w życiu? Pani jest przecież dzieckiem szczęścia.

Ona powtórzyła z pewną goryczą w głosie:

— Dziecko szczęścia!

— Przecież pani bogata, młoda, piękna — do pani się życie śmieje i śmiało od kołyski...

— Co pan wie, co pan wiedzieć może!

— Tak sądzę...

— Sądzisz pan powierzchownie, jak wszyscy.

Wypiła resztę herbaty — i nagle zmieniając ton, dodała:

— Rozgrzałam się trochę.

— Ja pani jeszcze przyniosę herbaty — zawołał Leon.

Odchodząc, miał straszną pokusę pocałować rękę Wilhelminy, która bieląta na ciemnym tle sukni. Lecz nie śmiał. Poszedł więc do drugiego pokoiku i tam znów zaczął walczyć z wodą i ogniem, aby przynieść studentce szklanekę gorącego napoju.

Gdy powrócił, Wilhelminka czytała przy ogniu kominowym jakiś list. Słyszac wchodzącego Leona, zwróciła się ku niemu, wyciągając rękę z owym listem.

— Przeczytaj pan — wyrzekła — i powiedz mi, co o tem sądzić należy!

I szybko dodała w formie usprawiedliwienia:

— To jedna z moich koleżanek otrzymuje niemal codziennie podobnie listy... prosiła mnie, aby zapytać się kogokolwiek.. obcego... nie znającego ani jej, ani osoby, która pisze, co można wywnioskować z podobnego listu.

Leon postawił herbatę na stole i dziwnie zmieszany, wziął list do ręki.

Zaczął czytać po cichu, przysunawszy się do lampy i zaraz pierwsze słowa dały mu do poznania, że jest to pismo zakochanego do szaleństwa człowieka.

„*Vous êtes venu de bien loin pour me faire souffrir*“...

Mówiły słowa listu.

„Przyszłaś z bardzo daleka, aby mi kazać cierpieć“!...

Leon nie mylił się. List ten był pisany do Wilhelminy, on to czuł, on tego był pewien.

Co więcej, tamten drugi pisał to samo, co on powiedziałby tej strojnej dziewczynie, gdyby mógł, gdyby śmiał.

Skończył czytanie listu i drżał cały jak liść. Zimno przebiegało jego ciało — głowę zdawały się trzymać w szponach jakieś straszne kleszcze.

Ocucił go głos Wilhelminki.

— Co pan sądzisz o autorze tego listu?

A on — głosem sennym — dziwnym, który go przeraził — jakby pochodził od innego, nie od niego samego.

— Sądzę, że i on panią bardzo kocha!

— Och!... i on! Mówi pan tak, jakby byli inni...

Czekała na odpowiedź, lecz napróżno. Leon już odwagi nie miał. Czując się odgadniętym — przeraził się, lękał się obrazić ją zbyt jasnym słowem.

Lecz ona się nie obraziła.

Owszem — jakiś złośliwy ogień zagrał w jej przygastych oczach. Uśmiech okrasiał wargi.

Wyciągnęła rękę po list i odbierając ową ćwiartkę papieru, pytała dalej:

— Czy pan sądzi, że to jest uczucie... serjo?

Leon paznogciem stół krajał.

— Ja sądzę... — odparł powoli i cicho — że każde uczucie, które pani wzbudza, musi być... serjo.

— Och!...

Piękna panna zaczęła śmiać się przeciągle i tak dziwnie, że Leonowi śmiech ten szarpał serce na strzępy.

Zdawało mu się, że ona, odgadłszy jego uczucie, wyśmiewa się teraz z niego i traktuje tę miłość jak fraszkę, jak głupstwo, jak wynik studenckiej fantazji.

I nie mogąc mówić otwarcie, wziął w obronę nieznanego autora listu.

— Nie wiem co do innych! — wyrzekł, nie patrząc na Wilhelminkę — ale co do tego człowieka, który list ten pisał, zaręczycie mogę, że kocha panią gorąco, poważnie i na serjo. On gotówby całe swe życie złożyć u stóp pani, on gotówby...

— Dziękuję! — przerwała Wilhelminka — o to mi tylko chodziło. Chciałam wiedzieć, jakie wrażenie robi na niezaputem i młodem, jak pańskie serce, podobny list.

I zwiijając ów liścik, zasunęła go za fałdy bluzki.

Ogrzana, syta — poprawiła się na krześle i odwróciła się teraz ku Leonowi, jak dziecko, które zabiera się do wbięcia pojmanego motyla na szpilkę.

— A pan... byłbyś zdolny napisać list podobny?

— Do pani?

Ten naiwny wykrzyknik wprowadził Wilhelminkę w doskonały humor.

— No, przypuśćmy, że do mnie.

Leon milczał zmieszany, oglądając się rozpaczliwie za jakąś pomocą.

— Może pani wypije herbatę? stygnie — wykrztusił, podając jej szklanekę z herbatą.

— Chętnie... ale pod warunkiem, że mi pan znów za pazia służyć będzie.

Leon ukląkł, ale ręce mu tak drżały, że herbata wylać się zaczęła.

— Co panu jest? Czy panu zimno? — pytała studentka.

— Tak... tak... widocznie się przeziębiłem.

— Niechże pan wypije tę herbatę... proszę... Ja pana będę poić łyżeczką, jak małe dziecko... Sza, ani słowa. Królowa każe — paż służyć musi.

I bardzo delikatnie wlewała mu w usta łyżeczki herbaty jedną po drugiej, które on przełykał, choć herbata była bez cukru i parzyła mu gardło. Ona umyślnie przedłużała tę zabawę, która zabijała poprostu czas, w chęci doczekania się świtu.

Wreszcie znudziła ją rola niańki — położyła łyżeczkę i ziewać zaczęła.

— Jestem senna! — wyrzekła, chyląc głowę jak kwiat o zachodzie słońca.

— Może się pani położy? — zaproponował nieśmiało Leon — w tamtym pokoiku jest moje łóżko. Drzwi pozostawię otwarte, ciepło w ten sposób będzie jednakowe. Zresztą mam jeszcze węgle...

— A pan?

— Ja będę tutaj siedział i dokładał węgla do ognia.

— Dobrze!

Wstała, nagle zmorzona snem, jak małe dziecko. Przeszła przez pokój prawie z zamkniętymi oczami i stanęła na progu. Włosy jej się rozpuściły zupełnie i spływały czarną lawiną po białej bluzce. Tu i owdzie miała na nich i na sukni poczepiane fioletki, które wypadły jej widocznie z mufki. Stanęła na progu, otworzyła powoli swe ogromne, czarne oczy i rzuciła sennym, cichym głosem:

— Dobranoc!

Poczem znikła we drzwiach.

Leon długą chwilę wpatrywał się w te drzwi otwarte. Wreszcie wziął z półki pierwszą lepszą książkę i dorzuciwszy węgla do ognia, usiadł na krześle przed kominkiem.

Chciał czytać, lecz czytać nie mógł.

Ogarnęło go jakieś wielkie, nieznane mu wzruszenie. Zdawało mu się, że ta śpiąca w drugim pokoju dziewczyna jest na jego łasce i pod jego opieką — że on odpowiada, nie tylko za spokój jej snu, ale za jej istnienie.

Dokoła była wielka cisza i Leon, położywszy książkę, ukrył twarz w dłonie.

Och! chciałby, aby ta noc przedłużała się w nieskończoność. Chciałby tak wieki całe przesiedzieć na straży koło tej śpiącej królowej — on giermek, paź — rycerz, broniący do niej dostępu zimnej rzeczywistości. Jeśli śni w tej chwili o szczęściu, toć on jej sprowadził te błękitne sny pragnieniem swego serca. Jeśli zapomina o tem, co przeszła (jak sama mówiła), toć jego uczucie, szczerze i gorące, odpędza precz czarną marę niedobrych, dręczących wspomnień.

— Śpij!... — szepcze egzaltowany marzyciel — śpij... ja czuwam nad tobą!

Czysta, jasna, promienna, młodzieńcza była to noc.

I gdy świat wstał nad Paryżem zaśnięzonym i białym — Leon powitał go jak wroga. Ten świat zbudzi śpiącą królową i każe jej związać płaszcz włosów w modną fryzurę, a on paź, giermek, rycerz, uwolniony ze swego posterunku, pożegna ją i pozostanie znów sam ze wspomnieniem tej nocy, która po sobie w jego i jej życiu pozostawi wrażenie nieskalanie pięknego klejnotu.

We drzwiach pokoiku stanęła Wilhelmina, bardzo blada i bardzo znużona.

Leon oczekiwał na nią, lecz był tak jej pełen przez marzenie tych kilka godzin, że nie śmiał odezwać się do niej, nie śmiał zapytać, czy dobrze spała.

— Idę do domu... już omnibusy i dorożki kursują. Słyszę dzwonki tramwajów.

Zaczęła się śpiesznie ubierać. Czempredzej zakryła woalką swoją twarz znużoną.

— Uciekam! niech pan nie zapomni być dziś u Durrosiera.

Już będąc na progu, zatrzymała się i jakby do siebie — bezwiednie rzuciła:

— Jaka to była dziwna noc!

I wyszła.

XVI. Socjalista francuski i siedemdziesiąt trzy tomów Voltaire'a.

Nie upłynęło dziesięć minut od wyjścia Wilhelminy, gdy zastukano do drzwi Leona.

— Proszę wejść! — zawołał Leon.

Wszedł Kręcki. Miał na sobie grube, zimowe, warszawskie palto. Był w doskonałym humorze.

— Śnieg! Śnieg! — wołał od progu — przypomniła mi się Warszawka i śnieżne barykady na Marszałkowskiej ulicy, pączki, które struś może strawić, kręciołki u państwa Wiercińskich, czyszczenie fraków benzyną i walka z krawatem, który gwałtem leci do ucha.

Obejrzał się dokoła i spostrzegając niedopitą herbatę, ciasta, ser, ogień na kominku:

— Ho! ho! ślady orgij! Młodzieńcze, zaczynasz się puszczać!

Lecz Leon, sądząc, iż uratuje sytuację, odparł naiwnie:

— Wcale nie. Był tu ktoś z kolonji... śnieg padał w nocy... nie było dorożki... więc przesiedzieliśmy do rana.

— A ja wiem, kto był ten ktoś! — zawołał Kręcki.

— !!!

— Panna Wilhelmina.

— Wcale nie.

— Wcale nie? Spotkałem ją na placu Clichy. Opowiedziała mi wszystko. O tem, jak mazgaju jakiś, stałeś na placu Trinité i powtarzałeś „co począć“... o tem, jak zrobiłeś jej herbaty, jak się potem porządnie przespała — słowem powiedziała mi wszystko.

Leon milczał.

Sądził, że ta bytność Wilhelminy będzie przedewszystkiem partyjnym sekretem, a potem pragnął, aby wspomnienie tej dziwnej nocy nie zostało zatarte drwinami i żartami ludzi obcych.

— Bardzo dobrze zrobiła Wilhelminka, że mi szczerze wszystko opowiedziała — ciągnął dalej Kręcki — ona jest bardzo rozumna, przebiegła — nie skompromituje się nigdy niczem, gdy potrzeba, zagra szczerą i otwartą — słowem, robi wszystko to, co robi panna, chcąc wydać się za jakąkolwiek cenę zamaż.

— Ona?

— Tak! tak — ona! — Czy pan sądzisz, że ona tu po co innego przyjechała do Paryża? W Warszawie nie wiem dla jakich przyczyn nie miała widoków — więc skorzystała z manji jeżdżenia na medycynę, i tu zadaje szyku jako studentka i... działaczka. Może być, że złapie coś w swe sieci. Mówiono mi już nawet o jakimś Francuzie, studencie medycyny, ale to gruba ryba, człowiek bogaty... Tylko Wilhelminka sprytna i potrafi sobie z Francuzem dać radę!

O! śpiąca królowno! Śpiąca królowno.

Leon patrzył, dokoła, jakby chcąc pozbierać szczątki czaru minionej nocy i z nich wzniesie mur dość silny, który potrafiłby zasłonić go przed sarkazmem Kręckiego.

Lecz Kręcki był już na progu drugiego pokoju i zaczął śmiać się ironicznie.

— Chodźno pan tu — spojrz pan, jaka to mądra i dowcipna paniusia. Niby tak z niechcenia, a pozostawiła na poduszce, na kołdrze, fiołki. Ona i pana kokietuje... najlepszy dowód.

Leon, z bladego jak ściana, stał się purpurowy.

— Kto panu pozwolił obrażać pannę Wilhelminę? — krzyknął — fiołki miała panna Wilhelmina poczepiane na włosach i na całym ubraniu. Pozostały na pościeli wypadkiem, a nie pozostawiono ich z umysłu!

I rzucił się na te zgniecione kwiatki, pozbierał je i powrócił z nimi do pierwszego pokoju. Za nim poszedł Kręcki i ironicznie na niego patrzył.

— No!... dalej! — wyrzekł — wrzuc je pan do ognia, jeśli rzeczywiście intencji w pozostawieniu tych kwiatów nie było.

— Ale pan tego nie zrobisz — dodał po chwili — bo pan sam czujesz, iż popełniłbyś w swoim przekonaniu rodzaj świętokradztwa, niweczając to, co z myślą o panu pozostawione tu zostało!

Leona przejęła myśl dziecinno-bohaterskiego poświęcenia.

— Widzi pan, że się mylisz — wyrzekł, wrzucając zwiędłe kwiaty do kominka, w którym tlały jeszcze resztki węgla.

Zdawało mu się, że w ten sposób ocala honor śpiącej królowny.

Kręcki wzruszył ramionami.

— E! to mnie nie przekona! — wyrzekł. — Pan pocieszasz się myślą, że znajdziesz jeszcze inne na pościeli lub na ziemi. A teraz — umyj się pan, ubierz i chodź za mną wprost na Faubourg Saint Antoine. Muszę tam pana zarekomendować firmie Durand jako mego reprezentanta. Będziesz tam dziś cały dzień obecny przy ładowaniu termometrów, potrzebnych do Władystoka. Chodź pan!...

— Ja przyjdę do kantoru!

— Nie trzeba. Tam siedzi Kwiatkowski. Chodzi o pospiech, dlatego po pana zaszedłem. No... jazda, zakochany szaleńcze.

— Zakochany? W kim?

— W Wilhelmince!

— Pan oszalałeś. Pomiędzy mną a panną Wilhelminą zachodzi tylko przyjaźń partyjna — nic więcej.

Leon wymówił te słowa z pewnego rodzaju pompą i napuszeniem.

— Z jej strony — odparł Kręcki — wierzę, ale z pańskiej nie... nie!

Pojechali razem tramwajami na owo przedmieście św. Antoniego, oddalone bardzo od ulicy Damremont. Leon był ciągle zgorączkowany i egzaltowany. Zdawało się, że urok dziwnej nocy nie chciał go opuścić nawet wśród gwaru Paryża. Przytem przemysłował, jakby się wymknąć Kręckiemu i wydstać na ową ulicę Mouffetard, do sklepu p. Durosier, który miał mu pożyczyć swą firmę dla wydania broszury. Dopiero udało mu się skorzystać z dwóch godzin wolnych, pozostawionych robotnikom na śniadanie. Jak szalony pognął za omnibusami idącymi w stronę ulicy Saint Jacques.

Wreszcie po godzinnej jeździe wydstał się na ową ulicę Mouffetard i odszukał sklep p. Durosier, socjalisty francuskiego, który tak bezinteresownie przysługi oddawał polskiej narodowej partji.

Był to mały sklepik, ciemny i cały założony starami książkami i gazetami.

Drzwi przejściowe, przedzielone na pół, stanowiły rodzaj okna wystawowego. W oknie tem leżało kilka książek w starej, różowej oprawie, a na szybie przylepiono kartkę z francuskim napisem:

„Tu można kupić siedmdziesiąt trzy tomów Voltaire'a. (Stare, ilustrowane wydanie)“.

Nad drzwiami szyld z napisem: *Librairie Durosier fils.*

Gdy Leon wszedł do środka sklepu, zastał drzemiącego w fotelu małego, siwego człowieczka, który spał tak mocno, że Leon musiał trącać go kilkakrotnie, zanim śpiący się przebudził. Wreszcie właściciel sklepu i siedmdziesięciu

trzech tomów Voltaire'a otworzył oczy i natychmiast przyszedł do równowagi, obrzucając Leona ciekawem, bystrem i chytrem spojrzeniem.

— Vous désirez ?

Leon przyciszonym głosem — powołując się na Grzegorzewskiego, Mazię, Wilhelminkę, zaczął objaśniać rzecz całą. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy Francuz z chytrą miną oświadczył, że on nie zna wymienionych osób.

— Nie znam nikogo! — mówił dobitnie — pierwszy raz słyszę nazwiska tych pań i tego pana. Przynajmniej pierwszy raz powinienem je słyszeć.

Z ostatnich słów Leona zrozumiał, że popełnił błąd, wymieniając inne nazwiska i że powinien z Durosierem traktować wprost, w swem własnym imieniu.

Francuz porozumiał się z Leonem prędko. Był to handlowiec, mówiący szybko i wtrącający od czasu do czasu jakiś frazes, mający związek z kwestją socjalną. Zgodził się na podpisanie swego nazwiska, jako żyrant wydawnictwa i Leon zdumiony był tak szybkim załatwieniem całej sprawy. Mimo to jednak nie czuł najmniejszej sympatji do Durosiera. Jakiś chłód wiał z tej małej postaci, której wydłużona twarz przypomniiała ryj szczura.

Durosier pytał się Leona, czy dawno przyjechał, czy jest zadowolony z bytności w Paryżu, lecz widoczne było, iż odpowiedzi Leona mało go interesowały.

I nagle — sięgnął ręką do witryny i położył na kantarze jeden tom owego słynnego Voltaire'a.

— Jeśli pan lubi książki — wyrzekł — niech pan obejrzy... rzadkie niezmiernie wydanie „Siedmdziesiąt ilustrowanych tomów“ za bezcen... pięćdziesiąt franków“.

Leon przez grzeczność wziął książkę w rękę i przejrawszy, położył na kantarze.

— Rzeczywiście... bardzo interesujące.

Po głowie przemknęła mu myśl kupienia tego Voltaire'a. Miałby czem zapełnić półki.

Ale pięćdziesiąt franków, blisko całomiesięczna pensja! Durosier — nalegał.

— Mógłbyś pan skorzystać z tej rzadkiej okazji i kupić. Taka sposobność się nie zdarzy. Mnie to nic nie obchodzi... To nie moja własność. To jeden socjalista jest zmuszony z wielkim żalem pozbyć się tych książek. Kupując, zrobiłbyś pan nawet dobry uczynek.

Leon nie chciał się przyznać, że nie ma pieniędzy, przytem w głosie Durosiera czuł, pomimo grzecznego tonu, jakiś rozkaz, rodzaj przymusu.

Bał się odmówić wręcz, lękał się, aby Durosier nie cofnął swego podpisu na broszurze.

— Ja nie wiem!... — wyrzekł nieśmiało — może później wezmę... teraz nie — ale później.

— A więc ja te książki dla pana odłożę! — nalegał księgarz.

— Ależ nie... Jeśli kto inny się trafi i da panu więcej, niech pan sprzeda!

— Nie! nie!... ja wolę je dla pana zachować. Nie chcę, aby kto inny korzystał z tak rzadkiej okazji. Potem, gdy dan się ich zechce pozbyć, każdy da panu podwójną i potrójną cenę.

Leon posunął się ku drzwiom.

— Więc... — zaczął, biorąc za klamkę — liczę na pana z podpisem.

— A ja na pana z moim Voltairem! — odparł bezinteresowny socjalista.

— Powiedziałem już panu, że teraz wziąć go nie mogę!

— Dobrze! dobrze! to nic szkodzi. Nie jestem twardy skała. Żegnam pana!

Leon wyszedł niespokojny i zirytowany. Zdawało mu się, że wyszedł z jakiejś złodziejskiej jaskini. Ciągłe miał przed oczyma twarz o szczurzym pysku. Szedł szybko ulicą Mouffetard i patrzył po brudnych kramach starzyzny, któremi ta ulica jest przepełniona, jakby chcąc zatrzeć wspomnienie swej bytności w sklepie Durosieré'a.

Wydstawszy się na ulicę Saint Jacques, natknął się na Mazię, która, stojąc na chodniku, żywo rozmawiała z siostrą Ignasia.

— Dzień dobry paniom! — zawołał Leon — a zwracając się do Mazi, dodał:

— Wracam od Durosieré'a.

— Cóż, dobrze poszło?

— Dobrze, zgodził się.

Poczem zwrócił się ku siostrze Ignasia:

— Czy pani znów szuka brata?

Lecz dostrzegł, że dziewczyna miała oczy czerwone od płaczu i twarz pobladłą.

— Nie! — odparła — Ignas siedzi w domu, namalowany nieubranego starca... on to nazywa akt. Niech będzie! Ale tu gorsze mankamenty z panią Kamillą...

— A! ta, co się nie chce uczyć robić kapeluszy?

— Ta sama! — pochwyliła Mazia — nie uwierzy pan, ile mam z nią kłopotu.

— Ta chodź do niej, duszko! błagała siostra Ignasia — ona siedzi, włosy rozpuściwszy, jak posąg boleści. Mówi, że to ze wzgardy nad sobą i nad resztą ludzi. Ona mówi takie rzeczy, że aż mróz przechodzi. Ona całkiem zwątpiwszy!

Mazia wzruszyła ramionami.

— Boże mój! Ja nie mam czasu. Pan Grzegorzewski trochę chory, muszę iść do niego.

Leon się przeraził nie na żarty.

— Chory? Co mu jest?

— Nic nadzwyczajnego. Trochę gorączki, katar silny, sądzę, to przejdzie. Ale muszę zająć do niego i zmusić go, aby leżał w łóżku.

— O tak! tak! koniecznie. Ja dziś wieczorem przyjdę. Może się wam na co przydam.

— Dziękuję panu. Męska pomoc w takich razach nie do odrzucenia.

— O tak! — wtrąciła siostra Ignasia — i ja pana chciawszy prosić, może z nami pójdzie do Kamilli. To ją trochę rozerwie, a przed nieznanym nie będzie roztaczać takich smętnych záchcianek. Pójdzie pan z nami?

— Nie mam wiele czasu!

— Chorego odwiedzić! Tak każe pismo święte. Chodźmy... to dwa domy, tu, na Saint Żaku!

I nie zważając na błoto i na przechodniów, Litwinka puściła się, jak bomba naprzód, grożąc co chwila „rozciągnięciem się” na ziemi.

Mazia obróciła się ku Leonowi:

— Chodź pan z nami! — wyrzekła — dodasz mi pan odwagi do zniesienia tej wizyty. Już teraz kręci mi się w głowie.

Po bardzo cuchnących schodach doszli wszyscy troje do drzwi prowadzących do pokoiku panny Kamilli. Była to maleńka izdebka z malusieńkiem okienkiem, wychodzącym na dachy.

W głębi stała sofka, stół — piecyk wygasły, na ścianie suknie — na krzesłach kapelusze, bielizna i trochę fejletonów z Kurjera i gazet powycinanych i poseszywanych nitką.

Panna Kamilla leżała na sofce z głową owiązaną chustką i czytała jakiś fejleton.

Zobaczywszy wchodzących, zerwała się z sofki i przybrała melancholijny wyraz twarzy.

Leon zauważył, że panna Kamilla jeszcze utyla, zarumieniła się jeszcze więcej i zaokrągliła na twarzy, w biuście i wszędzie...

Siostra Ignasia przybrała ton żałobny i natychmiast rozmowę zagaiła:

— A to my, duszko, przychodzimy cię odwiedzić, dowiedziawszy się, żeś niezdrowa...

— Proszę, niech państwo siadają! — mówiła panna Kamilla, zrzucając suknie i gazety na ziemię — strasznie mnie głowa boli...

— Niech pani zażyje antypiryny! — rzekła Mazia.

Panna Kamilla uśmiechnęła się zagadkowo.

— Antypiryna! na chorobę?

— Cóż pani jest właściwie? — badała Mazia — może ja pani mogę dopomóc?

— Pani? — Na moją chorobę nie ma lekarstwa!

— Ona z wątpiwszy — tłumaczyła siostra Ignasia — ona straciwszy wiarę w religję, w ludzi, w siebie... ona z tego chora i jeść nie chce.

— Ja sędzę, że to jest coś żołądkowego! — odparła spokojnie Mazia.

Panna Kamilla oblała się pąsem.

Z wyszukaną grzecznością i przesadzoną skromnością zwróciła się ku Leonowi.

— Przepraszam pana! — wyrzekła, pochylając głowę.

— Za co?

— Za słowa panny Mazi. Ale widzę teraz, że na medycynie wszystko traktują bardzo materialnie. Choroba moja nie tkwi w ciele, ale w duszy.

Mazia przygryzła wargi, tłumiąc w sobie ochotę do śmiechu.

— Jakiż powód? — zapytała.

Lecz Kamilla przybrała znów sfinksowy wyraz twarzy.

— Powód?... mój Boże! — odparła powoli — pani zna go po części.

— Kapelusze?

— O nie! — przestałam już chodzić do magazynu.

— A! więc pani się nudzi i nie wie, co z czasem zrobić?

— Teraz już wiem! — odparła ponuro Kamilla.

— Może pani i nam swoje projekta odkryje?

— Dowiedzie się o nich! — zawołała Kamilla z egzaltacją.

Leon powstał.

— Ja tu jestem zbyteczny — wyrzekł — panie łatwiej się porozumieją, gdy mnie tu nie będzie. Do widzenia pani!

Lecz Kamilla wyciągnęła doń rękę z dziwnym, pośpiesznym gościem.

— Żegnam pana! — wyrzekła znacząco.

On się zatrzymał przy drzwiach.

— Czy pani gdzie wyjeżdża?

Kamilla roześmiała się gorzko.

— Być może... jadę... daleko...

— Ja pani trochę bromu zapiszę! — wyrzekła Mazia — bo pani naprawdę jest bardzo rozdrażniona.

— Bromu! — zawołała Kamilla — wy, medycy, macie tylko do rozporządzenia medykamentu. I brom mi nie pomoże.

— No, duszko, wszakże spróbowałeś — wtrąciła Litwinka.

Leon wyszedł już na schody — za nim wypadła siostra Ignasia.

— Ach panie! — zawołała, chwytając go za mankieta — ach panie, co to będzie?

— Co ma być? — spytał rozbawiony Leon.

— Ona coś strasznego zrobi. Albo się rozchoruje, albo zajączki dostawszy, albo...

— Ona zdaje mi się już ma owe zajączki.

Siostra Ignasia aż krzyknęła, zasłoniła oczy, tak bardzo się przestraszyła myśli, że panna Kamilla naprawdę zwarjowała.

— Niechże mi pani powie, o co właściwie tej pani idzie. Skąd taka czarna rozpacz? — pytał Leon.

— Pan wie... — tłumaczyła przyciszonym głosem biedna Litwinka — ona rzuciwszy kapelusze, bo zachciała na medycynę. Potem już nie na medycynę, ale na przyrodę albo na filozofję. Sama już nie wiedziała, na co się zdecydować. Tymczasem jej wuj czy stryj, co pieniądze dawał na naukę w Paryżu, odpisał, że ani grosza nie da ani na przyrodę, ani na filozofję, ani na żadną inną Sorbonę. Tak, ona — ot... włosy rozpuściwszy, siedzi i płacze i złorzeczy. Och! panie, co ona wygaduje! Szczęściem, że jej Ignas nie słyszy.

— Cóż to? Takie bluźnierstwa?

— Och panie... aż strach słuchać. Mowi... mówi... nie — ja tego nie śmiem powtórzyć.

Błada jej twarzączka wyrażała taki przestрах i oburzenie, że Leona zdjęła ciekawość i zapragnął zmusić panią do wymówienia owych strasznych słów.

— Przecież... cóż takiego? Niech pani powie. To pani obowiązek. Można będzie jeszcze na czas uratować pannę Kamillę i jej duszę, jeśli ją tak zaprzepaszczą.

Słowo obowiązek podziało magicznie na siostrę Ignasia. Wszakże ona żyła cała obowiązkiem.

— Powiem panu! — wyrzekła z rezygnacją — ona mówi, że się... zabije!

Leon parsknął śmiechem.

— Pan się śmieje?

— Niech się pani nie boi — ona tego nie zrobi. Jest na to za tłusta, za czerwona i za dobrze utoczona.

Drzwi od mieszkania Kamilli się otwarły i słychać było, jak Mazia żegnała się z niedoszłą kapeluszniczką.

— Niech pani u siebie posprząta, ubierze się i przejdzie trochę... radziła Mazia.

— Pani mi dała słowo... — niech pani pamięta! — odezwał się z głębi pokoju głos panny Kamilli.

— Dobrze! dobrze!

Na schodach pojawiła się Mazia. Litwinka rzuciła się ku niej, pytając:

— Czego ona chce od pani?

Chce, żebym koniecznie przysłała do niej rano o siódmej...

— Przyjdzie pani?

— Przyjdę, przyjdę — co mam począć? — A pani tu zostaje?

— Tak... napalę jej w piecyku.

Mazia ujęła za rękę siostrę Ignasia i pociągnęła dziewczynkę ku światłu.

— Błada pani jesteś, mizerna... lepiej pomyśl pani o sobie! Idź do domu, odpocznij — wyrzekła z troskliwością w głosie.

— Ach! nie! nie! Ja nie mogłabym ją zostawić samą — gorąco zaprotestowała Litwinka — to byłby grzech z mej strony opuścić kogoś w nieszczęściu.

— Ależ panna Kamilla nie jest nieszczęśliwa.

Lecz siostra Ignasia znalazła w swem czystem sercu pocziwej kobieciny argument, według niej silny — według świata, jak puch lekki.

— Ona płacze, panno Mazio, ona musi być nieszczęśliwa!

I weszła do izdebki Kamilli, sama blada i wyczerpana — pociechę i opiekę innym niosąca.

Leon z Mazią zeszli na dół, śmiejąc się z Kamili i jej dziwacznych pretensyj. Leon zapowiedział ponownie wieczorem swoją bytność u Grzegorzewskiego i pożegnawszy Mazię, powrócił na Faubourg Saint Antoine, gdzie już rozpoczęto pracować bez jego dozoru.

Po obiedzie u Kwiatkowskich, podczas którego pani domu liczyła kęski, które Leon niósł do ust i zabierała mu talerz, zanim on zdołał zjeść połowę wydzielonej mu porcji, Leon poszedł do siebie, chcąc zabrać ze sobą niektóre gazety, nadesłane mu z Galicji.

Na dole powitał go konsierż temi słowy:

— Winien mi pan już jesteś piętnaście franków.

— Za co?

— Dziesięć dawnych, a pięć, które dałem komisjonerowi.

— Za co?

— Jakto — za co? Za książki, które przywiózł i które złożyłem na górze.

— Jakie książki?

— Z ulicy Mouffetard — z księgarni. Mówił, że księgarz kazał mu odebrać od pana 50 fr., ale, że pana nie było, więc kazałem mu przyjść jutro rano.

Leon jednym tchem przebiegł schody i wpadł do swego pokoju.

Całą podłogę zalegały stopy książek w starych, różowych okładkach.

Były to... siedmdziesiąt trzy tomy Voltaire'a które mu przesyłał Durosier — bezinteresowny, francuski socjalista.

Leon z przestraczem i rozpaczą wpatrzył się w zalegające podłogę książki. Czuł, że jest ofiarą wyzysku, lecz postanowił walczyć i narażając się nawet na przykrość, książki oddać Durosierowi. Pięćdziesiąt franków była to zbyt poważna suma, ażeby mógł ją płacić. I tak zaangażował się w drukarni z wydawnictwem swej broszurki.

Skąd — że mógł wziąć pieniądze na to wszystko?

Znalazłszy się w quartier Glacjery, wstąpił do sklepu Durosiera. Francuz jeszcze nie zamknął swojej księgarni i drzwi były tylko przymknięte. Odwaga jednak, z jaką Leon chciał zaprotestować przeciw narzuceniu mu owych siedmdziesięciu trzech tomów Voltaire'a, ustąpiła z jego duszy i niemal drżący jak winowajca wszedł do sklepu wyzyskiwacza.

Durosier powitał go uśmiechem i uprzejmem zapytaniem, czy książki odstawiono w całości. Zapytywał troskliwie, czy Leon przeliczył dokładnie ilość tonów, bo postaćcom wierzyć nie można i parę tomów mogło po drodze zaginąć.

Lecz na pierwsze słowa Leona, które były protestem przeciw podobnemu narzucaniu towaru, którego on kupić nie miał zamiaru, wyraz twarzy Dusiera zmienił się bardzo.

— Co? jak? — zapytał hardo — pan nie miałeś zamiaru kupować? Pan ośmielasz się mówić coś podobnego... Ja jestem uczciwym kupcem i wiem, co znaczy kupienie towaru. Ja natychmiast po wyjściu pana właścicielowi książek wypłaciłem 50 franków, mając pewność, że pan te książki kupujesz.

I przechylając się przez kantor, dodał prawie syczącym głosem:

— Ja przywykłem Polakom wierzyć i szanować ich słowa. Dlatego i panu zawierzyłem. Spodziewam się, że się nie zawiodę.

I odwróciwszy się, zaczął coś na półkach układać.

Leon stał jeszcze chwilę w sklepie, odurzony tą arogancją, pewnością siebie i umiejętnością w wyzyskiwaniu sytuacji. Widząc, że Durosier nie odzywa się do niego i nie zwraca na niego uwagi, przeraził się, sądząc, że księgarz cofnie swój podpis na broszurze i że wszystko przypadnie. Nieśmiało więc zapytał:

— A... w drukarni... czy pan byłeś?

Durosier, nie odwracając się, odparł:

— Pojdę jutro... Ja mam tylko jedno słowo! Co obiecuję, dotrzymuję. Spodziewam się, że i pan tak względem mnie postąpi!

Leon wyszedł i kierując się ku ulicy de la Glaciere, pytał się sam siebie:

— Z czego ja mu za tego Voltaire'a zapłacę?

Wszedłszy do mieszkania Grzegorzewskiego, zapomniał na chwilę o Voltairze i o swoich kłopotach. Grzegorzewski leżał ubrany na łóżku i widocznie gorączka trawiła go nie na żarty. Obok niego stał Władek i okładał mu głowę zimną wodą. Władek był zapłakany, niespokojny i drżący. Witając się z Leonem, wyszeptał z rozpaczą:

— Pan widzi? on chory!

Leon zbliżył się do łóżka. Grzegorzewski widocznie był rad z jego przyjścia. Pociągnął go ku sobie i natychmiast zapytał.

— I cóż? Durosier?

— Będzie jutro w drukarni. Zgodził się!

Blask radości rozjaśnił twarz Grzegorzewskiego.

— To dobrze!... doskonale!... za dwa tygodnie całe wydawnictwo rozrzucimy po kraju. Wszyscy się zdumieją... pytać będą: skąd? jakimi środkami? A to my, my biedaki wszystkiego dokonali, my... sami!...

— Panie! — pochylił się nad nim Władek — panna Mazia prosiła, żeby pan dużo nie mówił.

— Co? co? — rzucił urywanym głosem Grzegorzewski — dlaczego wy wmawiacie we mnie chorobę?... Jestem zupełnie zdrow, silny... Mam trochę gorączki i kataru, ale to przejdzie... Dajcie mi kompres...

Władek starał się zaoponować:

— Panna Mazia będzie się za te kompresy gniewała. Któż widział w katarze?...

— Proszę się nie wirać. To moja metoda. Ja zawsze katar zimną wodą leczę...

Zwrócił się znów do Leona:

— Durosier poczciwy człowiek — prawda? Trochę „kupiec“, ale to trudno — on dużo robi dla idei, ale od Francuza bezwzględne poświęcenie wymagać niepodobna... Co... ha?...

— Tak! tak!

Leon tak czuł się szczęśliwy ożywieniem, jakie zabłyśto na twarzy Grzegorzewskiego i serdecznym uściśnięciem dłoni, jakim go leader obdarzył, że najchętniej byłby w tej chwili zgodził się na przyjęcie stusiedmdziesięciu tomów Voltaire'a z Roussem i Bossuetem w dodatku.

Drzwi się otworzyły — weszła Mazia i Wilhelmina. Grzegorzewski, widząc wchodzące panny, zerwał się z łóżka, lecz one ze śmiechem zaprotestowały.

— Studentki medycyny, przed nimi nie należy się kłepować.

— Gdyby chorzy w szpitalach chcieli nas traktować w ten rycerski sposób, nie mogłybyśmy wejść do sal, gdzie leżą chorzy — mówiła Wilhelmina, witając się z Leonem.

Mazia natychmiast zaczęła gniewać się na owe zimne okłady i nie pozwoliła dalszej zimnej kuracji. Opukawszy i osłuchawszy Grzegorzewskiego, którego widocznie ta konsultacja żenowała, Mazia zamyśliła się chwilę — wreszcie wyrzekła:

— Ja... radziłabym postawić kilkanaście suchych baniek.

Władek już chwycił paltro, aby biec po felczera, lecz Grzegorzewski, śmiejąc się, zaprotestował energicznie.

— Otóż to... damy lekarze. Gwałtem chcą i ze mnie zrobić delikatną kobiecą naturę. Na katar stawiać bańki... ależ to śmieszne i szalone.

— Lękam się, czy to jest tylko katar! wyrzekła półgłosem Mazia.

— Właśnie... suchoty! — śmiał się dalej ochryłym głosem Grzegorzewski — należy wysłać mnie jeszcze dziś wieczorem do Meranu.

Chciał podnieść się z łóżka, lecz widocznym było, iż przychodzi mu to z trudnością.

— A widzi pan — wyrzekła Mazia.

— Jestem trochę osłabiony. Oto wszystko! Pracowałem dużo w ostatnich dniach... Ale jutro ani śladu nie będzie z mojej choroby. Zobaczycie! Powiodł wzrokiem dokoła i dodał, jakby wyczerpany i senny:

— To dobrze, żeście tu dziś przyszli. Chciałbym jeszcze widzieć Barumzwiąga i Jaskólską... Zostańcie tutaj dziś długo... długo...

— Ja mam chorą w Maternité — wyrzekła Wilhelmina — muszę iść za pół godziny.

— Dobrze! dobrze!... zostańcie!... — wyszeptał Grzegorzewski jakimś dziwnym, zmienionym, dziecinnym głosem.

Przymknął powieki i zdawał się zasypiać.

Mazia cichym gestem wywołała Leona, Władka i Wilhelminę do kuchenki.

— Lękam się zapalenia płuc — wyrzekła — szczególniejszyż mnie niepokoi.

— Z jego wycieńczeniem byłoby to ciężkie do przeniesienia! — wyszeptała Wilhelmina.

Nagle szlochanie przerwało ich naradę.

Władek, wpakowawszy pięście w usta, szlochał gwałtownie.

— O Boże! Boże!...

— Cicho! — krzyknęła prawie rozkazująco Wilhelmina — jak będziesz beczeć, to cię wyrzucimy za drzwi!

Władek spojrzął na nią z całą nienawiścią i wlaź w ką, za piec, gdzie zaczął cicho jęczeć i szlochać.

— Może ja się mylę! — mówiła dalej Mazia — jutro rano, jeśli nie będzie lepiej, weźmy którego z profesorów.

— Naturalnie — przyświadczyła Wilheminka.

— Co tam mówicie? — odezwał się nagle głos Grzegorzewskiego. — Chodźcie tutaj!

Wyszli z kuchenki, lecz Grzegorzewski natychmiast zamknął oczy i leżał nieruchomy, pogrążony w półśnie.

Wilhelminka zęgnąć się z Mazią i Leonem zaczęła.

— Do widzenia. Jutro rano zajdę się dowiedzieć. Idę do Maternité... Mam nadzieję, że jutro będzie lepiej.

— I ja tak sądzę! — odparła Mazia.

— Do widzenia panu — wyrzekła Wilhelmina, zwracając się ku Leonowi.

Napróżno Leon w jej twarzy szukał śladu owej Wilhelminki, która ubiegłej nocy nazywała go swoim paziem. Pragnął w błysku oczów dostrzec rozwiązania zagadki, czy fiołki rozsypane na pościeli były pozostawione mu z myślą, z intencją jakakolwiek...

Nic wyczytać nie mógł na tej gładkiej, cacanej twarzyczce szykownej Warszawianki. Biała, różowa, ufryzowana Wilhelminka, zajęta była dość widocznie tylko troską o chorobę Grzegorzewskiego. Leon dla niej nie istniał zupełnie.

Gdy Mazia z Leonem pozostali sami, Mazia natychmiast zaczęła wypytywać Leona o Durosier'e'a. On, nie mając dla Mazi sekretów i czując się bardzo usposobionym do szczerości w towarzystwie tej dziewczynki — opowiedział jej całe zajście z Voltaire'm i nie tait swego oburzenia nad postępowaniem Durosier'e'a.

— Ale ja się tak wyzyskiwać nie dam — wyrzekł z oburzeniem — ja mu jutro odeślę owego Voltaire'a. Niech lepiej powie otwarcie, ile chce za swój podpis, a zapłacę mu — lecz niech nie pakuje mi książek, z którymi nie wiem co zrobić..

Mazia zakłopotana się widocznie. Gładka jej twarzyczka zmarszczyła się wielką troską.

— Ach, mój Boże! — wyrzekła cichutko — to bardzo będzie dla całej partji przykre, jeśli Durosier się obrazi. On nas trzyma w ręku... może wydać nasze nazwiska ambasadzie..

— Przecież on jest także podobno socjalistą?

— Tak!... ale on się różni od nas barwą. Potem on jest Francuzem, a to olbrzymia różnica... Bardzo — bardzo byłoby nam nie na rękę, gdyby Durosier się obraził.

— Więc cóż mam zrobić, wziąć tego Voltaire'a?

— Nie... tego od pana wymagać trudno... Ale, niech pan nie odsyła tych książek Durosier'owi. Proszę pana o to.

Niech pan je m n i e odeśle. Ja załatwię tę sprawę z Durosier'em. Właściwie nie ja sama, ale... partja, zapłacimy za te książki.

Leonowi zdawało się, że mu ktoś wymierzył bardzo delikatny i bardzo dyskretny policzek. Przez chwilę nie mógł przyjść do słowa, wreszcie oprzytomniał i odparł trochę sucho:

— Daruje pani! ale ja na to pozwolić nie mogę. Voltaire u mnie pozostanie i to ja Durosierowi zapłacę.

VII. Panna Kamilla dąży ku wyżynom. — Zapalenie płuc.

We troje, Mazia — Leon — Władek siedzieli długo w nocy u Grzegorzewskiego.

Ażeby nie drażnić chorego, który, zapadając w półsen, budził się znów co chwila i na widok czuwających dokoła jego łóżka ludzi, gniewał się i niecierpliwił — Mazia udawała, że dyktuje jakieś wyciągi Leonowi, a Władek skrył się w kuchence.

— Dlaczego pani spać nie idzie? — pyta Mazię Grzegorzewski.

— Niech pan mi pozwoli jeszcze pozostać u siebie... tu cieplej, u mnie dziś bardzo chłodno... Szyba wybita... I rada z wynalezionej kłamstwa, powtarza:

— Tak, wiatr mi szybę wybił.

Na te słowa Grzegorzewski chce się zerwać z łóżka.

— Ja pójdę do kuchenki... Pani się tu prześpi...

— Ale co znowu, ja mam pracę. Pan Leon tak grzesny, że mi dopomaga. Muszę tę książkę oddać jutro koleżance Falkenzwajg a radabym mieć z niej niektóre wyciągi.

— Ale ja wstanę... — upiera się Grzegorzewski. Lecz i to trwa niedługo. Głowa mu opada na poduszki i Grzegorzewski drzemie znowu półsnem gorączkowym.

I wtedy podchodzi do niego Mazia i Leon widzi, jak pochyla się nad nim, wsłuchuje się w jego oddech — delikatnie pot z czoła ociera. Jest taka młoda, taka miła, taka kochana w każdym ruchu, w każdym spojrzeniu swych dużych, czystych ocząt, taka jest „panienka“, „dziewczynka“, że Leon nigdy w życiu nie mógł już później zapomnieć wrażenia, jakie odniósł tej nocy. Mazia snuła się, jak widmo, jak cień, jak uosobienie cichej a silnej kobiety i Leon, jakkolwiek niezbyt biegły jeszcze w rzeczach miłosnych znawca, odkrył w oczach Mazi wielkie, głębokie przywiązanie do Grzegorzewskiego. Wzrok jej, gdy patrzyła na śpiącego, różnił się od spojrzenia, jakim Wilhelminka obrzucała zwykle lidera partji. I tu i tam była bez wątpienia miłość,

ale jakaż różna, jakaż inna i w różnicy tej mówiąca o dwóch różnych istotach obu młodych kobiet.

Na twarzyczce Mazi widoczna była wielka troska i niepokój. Nie ufała swej wiedzy i Leon dostrzegł, jak wyszedłszy do kuchenki, załamała rozpaczliwie kilkakrotnie rękę. Zrozumiawszy ten giest, podszedł do studentki i zapytał szeptem:

— Czy grozi niebezpieczeństwo?

— Ach!... nie!... — odparła Mazia — ale on jest tak wyczerpany, organizm jego jest tak podminowany, iż boje się dla niego jakiegokolwiek choroby...

I patrząc w okno, czarne od smutnej nocy, dodała:

— Ach! żeby ten dzień już nadszedł.

W kącie, na miejscu, gdzie dawniej stało łóżko, które sam Grzegorzewski przysunął za dnia do pierwszego pokoju — siedział skurczony Władek. I on nie spał. Podłożył obie pięści pod brodę, oparł łokcie o kolana i z oczu jego płynęły bezustannie łzy.

Mazia zbliżyła się ku niemu i pochyliła się, szepcząc:

— Cicho, nie płacz... przecież on jeszcze nawet nie jest serjo chory.

Lecz Władek nie odpowiedział nic i łez nawet nie ocierał, które płynęły swobodnie, mocząc mu ręce i rękawy palta.

W Mazi zbudziła się kobieta.

— Ja wam zrobię herbaty...

— Niepotrzeba! — zaprotestował Leon — ja lepiej napalę na kominku w tamtym pokoju, bo ogień wygaś.

I zajęli się oboje, ona herbatą, on paleniem w piecu i tylko kaszel Grzegorzewskiego krótki, urywany przerywał nocną ciszę.

Wreszcie Mazia zbliżyła się do Leona ze szklanką herbaty w rękę.

— Niech pan wypije... pan musi być zmęczony... Pan całą noc przesiedział na krześle... mówiła mi Wilhelminka.

— A!... Wilhelminka mówiła pani?

— Tak, opowiadała wszystko i mnie i Grzegorzewskiemu. On nawet się na nią trochę gniewał.

— Zaco?

— Zato, że nie wróciła pomimo śniegu i niepogody. Ale Grzegorzewski, mężczyzna, nie rozumie, że kobiecie może sił zabraknąć...

— Rzeczywiście — potwierdzał z zapalem Leon — panna Wilhelmina zachowywała się jak bohaterka, brnęła w śniegu... robiła, co mogła, ale była za elegancko ubrana. Przytem ona tak wytworna, taka... delikatna, taka nadzwyczajna, że ona, jak pierwsza lepsza, nie może iść po śniegu w nocy tak daleko.

— Zapewne... — odparła Mazia z uśmiechem — ale Wilhelmina chce być doktorem, więc powinna się zahartować i umieć chodzić w nocy, po śniegu i daleko.

— O! — odrzucił Leon — panna Wilhelmina jest w tem szczęśliwem położeniu, że może wybierać klientów. Będzie miała klientelę w bogatym quartier i będzie...

— Jeździć kareta! — dokończyła z pewną ironją Mazia.

— Naturalnie! — zawołał prawie głośno Leon — tylko bogate panny powinny chodzić na medycynę.

— O!!!

Szare oczy Mazi wyrażały bezbrzeżne zdziwienie. Patrzyła chwilę na Leona i on czuł, że mu się dziwnie robi pod tem spojrzeniem. Wreszcie dziewczyna pokręciła głową i wyrzekła:

— Zdaje mi się, że pan jest bardzo... impulsywny!

Wstała i zbliżyła się znów do łóżka i ujęła Grzegorzewskiego za rękę. On z pewnym przestachem patrzył już od kilku chwil na otaczających i nagle ochryplym głosem zapytał:

— Która to już godzina?

A potem, nie czekając na odpowiedź, dodał:

— Dlaczego jej tu niema?

I zapadł znów w pół sen, w pół majaczenie.

Leon zbliżył się ku Mazi i zapytał:

— O kim on mówił? Kto jest ta ona?

Mazia ze smutkiem odwróciła twarzyczkę.

— Nie wiem!... — szepnęła — nie wiem nic.

I wyszła do kuchenki, gdzie usiadłszy na ziemi przy Władku, usiłowała uprosić go, by wypił szklanekę herbaty.

Powoli zaczął wstawać świt szary i niepewny. Zdało się, że jakaś zasłona co chwila rozdziera się i ginie. Na łóżku trupio blady leżał na wznak Grzegorzewski i spał, otworzywszy usta. Czarne jak heban włosy rozsypały się dokoła twarzy. Leon, spojrzawszy na niego, aż drgnął, tak mu się straszną wydała ta zmieniona i blada twarz z sinemi plamami powiek i z czarną, ściągniętą linią brwi.

Mazia zziębnięta, blada także, przeszła cichutko przez pokój i szepnęła do Leona:

— Pilnuj pan ognia, ja idę do siebie, ubiorę się... potem pójde do tej warjunki Kamilli i wrócę tu z Barumzwaigiem, aby pana zluzował. Do tej chwili nie odchodź pan... proszę... bo Władek znużony płaczem śpi jak zabity na podłodze.

Wyszła i Leon zaczął gospodarować sam, sprzątać, otulać Grzegorzewskiego i mimowoli przybierał ruchy i sposób bycia Mazi. Gdy ujął rękę Grzegorzewskiego, dostrzegł, iż na palcu Grzegorzewski miał pierścionek w formie zło-

tego łańcucha. Coś nim szarpnęło. Wczoraj na palcu Wilhelminki widział podobny pierścionek.

Co to miało znaczyć?

Siedział tak długą chwilę i nagle wstał przecuciem wiedziony. Odgadł instynktem, że po wschodach idzie Wilhelmina. Rzeczywiście, weszła u fryzowana, wypoczęta i upudrowana. Przywitała się z Leonem dość uprzejmie i natychmiast zaczęła ustawiać na stole przyniesione drobiazgi. Była tam woda kolońska, refreszyser, koniak dobry, cytryny, elegancki termometer, duży pęk fjołków. Studentka, szeleszcząc pokój wodą kolońską, ustawiła koniak przy łóżku i zabrała się do robienia lemoniady. Branzoletki jej dzwoniły o szkło i Leon czuł, że każdy ruch Wilhelminki jest nieszczerzy i obliczony na efekt. Mimo to podziwiał jej grację i wdzięk, z jakim kręciła się po pokoju.

— Ach! ta Mazia!... — wyszeptala, wzruszając ramionami — o niczem nie myśli...

Grzegorzewski w tej chwili otworzył oczy i widocznem było, że z pewną radością powitał obecność Wilhelminy.

— Dobrze pani zrobiła, że przyszła... — powtarzał, trzymając jej rękę w swych dłoniach.

— Jakże się pan czuje?

— Och! o wiele lepiej... nic mi prawie nie jest... wstanę niedługo...

— Nie! nie!... nie wolno... Przyniosłam panu fjołków choć pan kwiatów nie lubi...

— Ja nie lubię? Kto pani to powiedział?

Wziął fjołki i długo poił się ich wonią, topiąc w nich spalone gorączką usta.

Leon patrzył na niego z podziwem.

Nigdy go nie widział takim łagodnym, takim spokojnym, zajęтым drobiazgami życia i odczuwającym jego potrzeby.

— Psujecie mnie... — wyrzekł Grzegorzewski — tak tu ciepło, ogień na kominku...

I prawie dziecięcym głosem dodał:

— Napiłbym się herbaty!

Wilhelminka zwróciła się ku Leonowi.

— Pan Leon herbatę robi — prawda? Ja przy panu posiedzę.

— Tak! tak! Niech pani odemnie nie odchodzi!

Trzymali się za ręce i palce ich splotły się tak, że Leon widział dokładnie dwa jednakowe pierścionki w formie łańcuszków. Zmieszany, wyszedł do kuchenki. Tam Władek, rozczochrany i umurusany, krzątał się koło herbaty.

— Pawica! — mruzczał chłopak — perfum przyniosła i teraz udaje, że się o niego troszczy... Narzeczona!...

— Co? jak?

— A no! zobaczy pan... ona sobie z niego narzeczonego robi.

— Oszalałeś!

— Wcale nie. U niej taka mania. Zaraz — co bądź... narzeczony. Ona ich miała całe tuziny. Teraz zakroiła na Grzegorzewskiego, bo jej imponuje jego rozum i stanowisko w partji.

— Ale on? On?

— To też właśnie, że to jest straszne i nie do pojęcia. Pan widział... jak on się uśmiechnął, kiedy ją zobaczył. Do nikogo się tak nie śmiał, ani do mnie, ani do Mazi...

Otarł znów łzy kułakiem.

— A przecie my go więcej kochamy!

Otworzyły się drzwi i wszedł Barumzwajg i Mazia. Student podszedł do łóżka i przywitawszy się z Grzegorzewskim, zawołał:

— Proszę bab wyjść z pokoju, bo ja będę na serjo pacjenta askultował.

Wilhelminka broniła się.

— My... przecież... koledzy.

Barumzwajg, który żywił wspaniałą pogardę dla kobietorek, machnął ręką.

— E... to tam... w szpitalu... na kursach... ale tu... gdzie ktoś chory — ktoś, co nas obchodzi, żadne flirty z nauką nie w miejscu. Proszę za drzwi...

W tej chwili Leon dostrzegł, że Mazia była bardzo pomieszana.

— Co pani? — zapytał po cichu.

— Proszę was, chodźcie do mnie — wyrzekła z wysiłkiem Mazia.

Gdy Leon, Władek, Wilhelminka i Mazia wyszli do sieni, zastali stojącą koło wschodów siostrę Ignasia. Litwinka była zaledwie ubrana i zanosila się z płaczu.

— Co się stało? — spytał Leon.

— Ach!... — wyjękła — panna Kamila się zabiwszy!

— Jako?

— A no... niech się pan spyta Mazi.

Wszyscy zwrócili się ku studentce, która urywanym głosem, sama widocznie przerażona, opowiedziała, że — przyszedłszy, według danego Kamilli słowa, rano do jej mieszkania, została zatrzymana na dole przez konsierżkę, która powiedziała jej, że „mademoiselle“ wyszła z domu, skoro jeszcze było ciemno i przez drzwi podała jej klucz od swego pokoju, prosząc, aby go wręczyć Mazi. Tknięta złem przecuciem Mazia, pobiegła na górę i tam w pokoju Kamilli znalazła na sofie przypięty arkusz papieru, na którym łaknąca wiedzy panna napisała, co następuje:

„Do panny Mazi,
studentki medycyny w Paryżu.

Skoro pani te słowa czytać będziesz, już mnie na świecie nie będzie. Zadałam sobie śmierć, bo doszłam do przekonania, że ludzie są zli i nie warto mieć rozum i serce i przerastać ludzi głową. Ja pragnęłam wiedzy i światła i nauki, a mnie starzano w kapeluszach i innych prozodjach życiowych. I choć kobiety ofiarowują mi przyjaźń a mężczyźni miłość i djamenty mi ślą pod stopy — ja wolę umrzeć we młodości, bo mi zawiązano skrzydła i okrutnie udreńczono we mnie człowieczeństwo kobiece i swobodę stworzenia. Proszę na grobie napisać tylko Kamilla i osadzić grób niezapominajkami.

A śmierć moja niech spadnie na tych, co we mnie zdręczyli jestestwo ludzkie! (Ś. p. Kamilla. *)

Mimowoli Leon i Wilhelmina wybuchnęli śmiechem.

Pan się śmieje? — krzyknęła siostra Ignasia — to źle, to bardzo niegrzecznie... ona tam umarła gdzie leży — a pan się cieszy.

— Ależ nie — usprawiedliwiał się Leon — tylko ten list tak dziwnie napisany.

— Ona ma rację! — odparła wyniośle Litwinka — świat jest zły, ludzie podli, a ona była wyższa kobieta i żyć nie mogła!...

— Z tem wszystkim trzeba jednak iść do policji — wyrzekła Mazia — i tak się to nieszczęśliwie wszystko składa. Grzegorzewski chory, ja mam dziś tyle zajęcia... możeby koleżanka pojechała na policję? — dodała, zwracając się do Wilhelmini.

Lecz piękna panna skrzywiła ładny nos.

Merçi — wyrzekła — ja mam także dziś zajęcie... przytem obowiązek każe mi czuwać nad Grzegorzewskim.

Mazia przygryzła usta, jakby chciała coś gorzkiego odpowiedzieć swej koleżance, lecz powstrzymała się i zwróciła się ku Leonowi.

— To my pojedziemy — co?

— Dobrze!

— I ja z wami! — zawołała siostra Ignasia.

— Nie trzeba — zaproponowała szybko Mazia — pani niech wraca do mieszkania Kamilli i tam czeka na nią. Może ona powróci... .

— Oho! z tamtego świata!..,

Lecz Mazia ociągała się jeszcze, widocznie chciała doczekać się końca badania Barumzwaيجا.

Wreszcie student wyszedł i dość szybko i brutalnie wyrzekł:

*) Autentyczne. (Przypisek autora).

— Zapalenie oskrzeli!

— A!...

— Nic wielkiego... ale niech leży i niech ciągle będzie ciepło w pokoju.

I zaraz dodał z chłopską szczerością:

— A macie na węgle?

— Nie — ale ja się wystaram — odparła żywo Mazia. Wilhelminka sięgnęła po portmonetkę.

— Tu jest dziesięć franków... trzeba posłać po węgle... Lecz Władek wmieszał się do rozmowy:

— Obejdzie się... ja z Mazią węgli dostaniemy!

Wilhelminka bez żadnej zmiany w wyrazie twarzy pieniądze do portmonetki schowała.

Gdy w kwadrans później Mazia z Leonem spieszyli w stronę prefektury policji, Mazia była rozpromieniona i weselsza znacznie.

— Jestem teraz spokojniejsza... — mówiła — Barum-zwajg jest bardzo zdolny... zadziwiająco zdolny... On się nie myli. Zapalenie oskrzeli przy troskliwej opiece przejdzie... Organizm słaby, ale to wytrzyma.

I po chwili dodała cichym głosem:

— Tak się bałam... zapalenia płuc!

I pozbywszy się tej głównej troski, zwróciła się teraz myślą ku owej Kamilli, za którą mieli rozpocząć poszukiwania w Paryżu.

— Gdzie ona jest? Co ona ze sobą zrobiła? Jeżeli się naprawdę utopiła, to dopiero się dowiemy znacznie później, za dni kilka.. A to warjotka!...

— Wczoraj pani ją widziała... czy nie nie dawała poznać, że myśli o samobójstwie? spytał Leon.

— Bóg ją wie... plotła trzy po trzy... kupowała sobie jakieś dziwaczne stroje. Naprzykład dwa dni temu widziałam, jak kupowała męską czapkę jedwabną z daszkiem... Pytałam jej, na jaki użytek kupuje coś podobnego. Uśmiechnęła się tajemniczo.

W biurze policyjnym urzędnik chłodny i spokojny ściągnął ze słów Mazi protokół i zawołał dwóch agentów. Przy nich zaczął wypytywać Mazię o szczegóły powierzchowności i ubrania Kamilli.

— Czy przeglądała pani rzeczy? Jakiej sukni brak?

Mazia odparła z zakłopotaniem:

— Otóż to, że nie brak żadnej sukni. Wszystko leży na ziemi. — Gorset nawet jest. — Jedyne kapelusze, jaki ta panna posiadała, także wisi na oknie...

— W takim razie — odparł spokojnie urzędnik, ta panna wyszła na miasto... przebrana.

— !!! —

— Ale jak? —

— Po męsku! zawołała nagle Mazia.

— Skąd pani wnosi?

— Kupowała męski kaszkiet jedwabny. — Wczoraj, przypominam sobie, widziałam u niej na krześle męską, różową perkalową koszulę.

— O! to nam wystarczy. A więc — mała, krępa, gruba — odziana po męsku — panna czerwona na twarzy — koszula różowa — kaszkiet jedwabny, jak u złodziei. Zrozumieliście!

Agenci wyszli. Urzędnik zwrócił się znowu ku Mazi:

— Państwu nie pozostaje nic, tylko iść do domu i czekać, aż moi agenci tę panienkę żywą odprowadzą, albo damy znać, że trup został znaleziony.

— A teraz żegnam państwa!

Gdy wyszli, popatrzyli na siebie z pewnem zdziwieniem.

Jak to wszystko zostało prędko załatwione.

Żywą odprowadzą lub znajdą trupa!

I Leon poszedł do swego zajęcia, do kantoru, przyrzekłszy Mazi, iż zajrzy wieczorem, skoro tylko uwolni się z lekcji u Kwiatkowskich.

Szedł do kantoru znużony i wyczerpany. Drugą noc nie spał. Przejścia z Durosierem także go przygniotły. Pożegnawszy się z Mazią, natychmiast zaczął myśleć, skąd weźmie pieniądze na drukarnię, na zapłacenie Durosiera, na zwrócenie długu Kręckiemu i konsierżowi. Myśli te wpiły mu się poprostu w mózg i dręczyły go bezustannie. Kręcki patrzył na niego i wzruszył ramionami.

— Pan wiesz... panu przez tę Glaciereę dziesięć lat przybyło. Jak pan teraz wyglądasz? Ja przysięgnę, że się pan dziś nie mył.

I po chwili z ironją dodał:

— Cóż to — dziś była ekspedycja czy co, że pan całą noc znów nie spał?

Leon był tak znużony, że za jakąbądź cenę zapragnął spokoju.

— Grzegorzewski chory, — więc przy nim siedziałem!

Lecz Kręcki szydził dalej:

— Zapewne... w towarzystwie... Wilhelminci? co?

Lecz Leon już nic nie odpowiedział. Pochylił głowę na stół i siedzący zasnął.

Kręcki popatrzył na niego przez chwilę — ramionami ruszył wreszcie, zdjął ze ściany palto i delikatnie okrył niem płecy Leona.

— Głupiec... on jeszcze zachoruje! — wyszeptał sam do siebie.

Potem z pokoju wyszedł — gaz zagasił i zamykając drzwi, wyrzekł do Kwiatkowskiego:

— Proszę tam nie wchodzić. Ja tam szkielełka do lornetek na ziemi poskładałem i nie chcę, żebyście mi je poniszczyli.

Gdy Leon przyszedł na Glacière, zapukał najprzód do pokoiku Mazi. Otworzyła mu drzwi siostra Ignasia zapłakana, w kapeluszu na bakier.

— Niema Kamilli! — jęknęła — ona się gdzieś pod szyny rzuciwszy...

Od stołu wstała Mazia.

— Jakże Grzegorzewski?

Mazia pokręciła głową.

— Nie jestem zadowolona. Prosiłam naszego profesora, aby przyszedł. Obiecał być koło dziewiątej.

— Za chwilę dziewiąta.

— Pójdziemy do Grzegorzewskiego.

Lecz siostra Ignasia zastąpiła im drogę.

— Na imię Jezus, nie zostawiajcie mnie... — jęknęła — a jeśli agenty przyniosą jej trupa...

— No to chodź pani z nami!

Siostra Ignasia zarumieniła się jak wiśnia.

— Przecież... ja nie studentka, a on do łóżka się położywszy...

Mazia wzruszyła ramionami.

— Ach! prawda! nie widzę sposobu. Niech pani do domu wraca... my pani znać damy.

— Na nic. Nie odejdę, póki się nie dowiem, co się z nią dzieje.

— A Ignas? A ryży piecyk? — wołała już rozpaczliwie Mazia.

Lecz siostra Ignasia machnęła ręką.

— Piecyk dawno wygaś, a Ignas... on już trzeci dzień do domu nie wraca... on prawie się wyprowadziwszy.

— Gdzie?...

Litwinka spuściła oczy i twarzyczka jej przybrała wyraz ślicznego zakłopotania.

— Ja wiem — ale ja — nikomu nie powiem!

Nagle zastukano do drzwi.

Mazia poskoczyła żywo i otworzyła.

W sieni zaczerniło się. Stało tam kilka osób ciemno ubranych.

— Czy tu mieliśmy odprowadzić przebraną pannę — zapytał po francusku jakiś mężczyzna.

— Tu! tu!

— Niech panna wejdzie!

I wepchnięto raczej niż wprowadzono... Kamillę! Mazia porwała ze stołu lampę, podniosła ją i światło jasne oblało postać dziewczyny skulonej, drżącej, strasznej w przebraniu męskim, jakie miała na sobie.

— Panno Kamillo! Jezu! Co to? — wykrzykiwała Li-twinka.

Lecz panna Kamilla tak była zziębnięta, zawstydzona zmęczona, że nie mogła na razie wymówić słowa.

— Spotkaliśmy pannę w lasku Bulońskim, daleko het za torem, za Longchamps. Siedziała na zamarzniętej ziemi i płakała.

— Powinna Bogu dziękować, że jej tam nie zabili — do-dał drugi agent — tam sami zbrodniarze się włóczą o tej porze...

I poprawiwszy swoje pelerynki, dodali:

— Dobranoc całej kompanji.

I wyszli, z hałasem zamykając drzwi za sobą.

W pokoju zapanowała chwilowa cisza.

Wreszcie Mazia podsunęła Kamilli krzesło i wyrzekła:

— Niech pani siada!

Leon ze zdumieniem patrzył na Kamillę i porywał go śmiech, tak, że musiał czynić nad sobą wysiłki, ażeby nie parsknąć głośno.

Kamilla bowiem, ciesząca się dobrą tuszą, w ubraniu młodego chłopca, w króciuchnej kurtce, w obcisłych spodeń-kach, wyglądała jak karykatura. Włosy obcięte nierówno, wschodki sterczały tu i ówdzie, twarz miała spuchniętą i siną.

Mazia wzięła z łóżka pled i narzuciła go na plecy nie-doszłej samobójczyni.

— Pani zimno, niech się pani ogrzeje.

Lecz siostra Ignasia już pochwyciła Kamillę za rękę.

— Panno Kamillo! — wołała — jakże można było!!! A toż grzech, obraza Boga i ludzi. My tu mało nie umarli z trwogi o panią, a pani, ot Boże odpuść, ubrała się w spo-deńki, ta i chodzi po lesie w takie zimno! Ta gdzie pani była? POCO pani pisała, że się chce zabić?

— Bo chciałam się zabić! — odparła ponuro Kamilla.

— Dlaczego? — spytała Mazia.

— Ja napisałam zdaje się dość wyraźnie — mówiła da-lej Kamilla, a głos jej nabierał coraz ostrzejszych i tward-szych tonów — chciałam się zabić, ale mi się nie udało... Zresztą, ja powzięłam inny plan i byłabym go doprowa-dziła do skutku, gdybyście byli za mną nie wysłali w tropy... policji!

Oczy jej płonęły teraz gniewem. Otulona w szal, odzy-skiwała swą śmiałość i wymowę.

— Jakiż to plan? — spytała Mazia, widocznie powstrzy-mując się całą siłą woli od powiedzenia słów prawdy tej zuchwałej dziewczyni.

— Plan... — ciągnęła Kamilla — który byłby wam może nie na rękę... ale przekonałby was, że i ja potrafię być kimś

i dojdę do imponowania światu. Chciałam iść, aż znajdę jakiś wielki zakład naukowy męski. I tam chciałam wejść i już zostać. Skończyłabym nauki jako mężczyzna, zostałabym sławnym profesorem i dopiero wtedy odkryłabym, że jestem kobietą.

Szalony wybuch śmiechu przerwał jej mowę.

Śmiała się Mazia — śmiał się i Leon. Kamilla porwała się z krzesła. Pled spadł na ziemię. Z pod pół kurteczki wydobywały się okrągłości, nie pozwalające ani na sekundę wątpić o płci tej osóbkii.

— Tak!... dopiero wtedy, bo umiałabym dochować sekretu i niktby się nie domyślał we mnie kobiety! — wołała ze złością Kamilla — i przekonałabym wuja, całą Warszawę — panią, panno Maziu, że skoro się ma zamilowanie, to można dojść do wyżyn!!! A jakże!

Lecz siostra Ignasia załamała ręce.

— Duszko! Kamilciu! Ta tłusta jesteś jak gęś tuczona... Ta jakże nie poznać, żeś kobieta... ta popatrz na siebie...

Lecz Kamilla już słuchać nie chciała.

Obwinawszy się w pled Mazi, postąpiła ku drzwiom.

— Idę do siebie. Pled pani odeślę! Mam nadzieję, że państwo policji za mną wysyłać więcej nie będą! — wyrzekła wyniośle i skinąwszy głową, na którą włożyła złodziejski kaszkiet, wyszła, wlokąc za sobą róg pledu.

— Ona zwarzjowawszy! — rzuciła siostra Ignasia i jak kula wybiegła za swoją przyjaciółką.

Leon i Mazia pozostali sami.

Przez chwilę spoglądali na siebie ze zdziwieniem, wreszcie Mazia wyrzekła z uśmiechem:

— Narobiła mi kłopotu — ale na chwilę pozwoliła mi zapomnieć o moim niepokoju. Chodźmy teraz do Grzegorzewskiego *).

Właśnie po wschodach szedł na górę profesor, Francuz, miły człowiek lat średnich o siwiejących cokolwiek włosach. Przywitał Mazię z wielką życzliwością i szacunkiem. Wszedłszy do pokoju Grzegorzewskiego, Leon dostrzegł natychmiast Wilhelminkę, która bardzo swobodnie i kokietyjnie powitała profesora. Ten natychmiast przystąpił do badania chorego, którego tylko twarz silnie zgorączkowaną i błyszczące oczy dostrzegł Leon w półcieniu.

I znówu cała garstka wyszła na wschody — oczekując rezultatu.

Koło chorego pozostał profesor i Barumzwajg.

Leona uderzyło to usuwanie kobiet lekarek w chwilach poważniejszych od łoża chorego.

*) Całe to zdarzenie z Kamillą jest autentyczne, jak wszystkie niemal szczegóły w tej powieści zawarte. (Przyp. Autor).

Długą chwilę stali tak wszyscy w tej sieni oświetlonej syczącym płomieniem gazu. Z poza drzwi słychać było tylko kaszel Grzegorzewskiego i gruby głos Barumzweiga. Nawet Wilhelmina przestała szeleścić suknią i dzwonić bransoletami.

I nagle otworzyły się drzwi i wyszedł z nich profesor. Miał brwi ściągnięte i uśmiechał się, jakby obowiązkowo.

— To zapalenie płuc... — wyrzekł cicho, jakby wahaając się — radziłbym chorego przenieść do szpitalu... na mój oddział... damy osobny pokój... będziecie go mogli dozorować...

I widząc pomieszenia i przerażenie na twarzach obecnych, dodał:

— Na razie... niby nic... ale wyczerpanie sił duże... Tymczasem wydałem rozporządzenie Barumzwajgowi... on wam powie, co robić... Dobranoc!

Zeszedł cicho ze schodów, a oni jeszcze stali, nie mogąc znaleźć słowa, tak ich to widmo groźne, choroby, walące się na to wynędzniałe ciało, przygniotło i przeraziło.

XVIII. Śmierć fanatyka.

Duża sala szpitalna. Widna — biała — czysto utrzymana. Tak czysto, że aż nagle w sercu zakłuje, bo mimowoli widać obojętność i wypełnienie płatnego obowiązku.

W sali jest dwanaście łóżek, zasłanych białymi kocami, lecz łóżka te są puste.

Jedenaście pustych — na dwunastem widać plamę czarnych włosów, jakieś zapadłe policzki, słycać z kąta oddech przyspieszony, widać od czasu do czasu migające gorączkowo ręce wychudłe, które zdają się coś chwycić w powietrzu.

Jest teraz południe. Dzień wyjątkowo jasny w Paryżu — aż złoty od słońca, które już wiosenną ma jasność i ciepło.

W sali okna duże — na wpół zaciągnięte białymi storami. Lecz te story nie przyciemniają. Owszem — światło przez nie wpadające, jest jeszcze bielsze, dziwniejsze — prawie olśniewające.

W kącie sali, rodzaj małej klatki, oddzielonej oszkloną ścianką. Wewnątrz widać dozorczynię w białym czepku, która rozmawia z doktorem i co chwila ma charakterystyczny ruch ramion.

Leon siedzi u stóp łóżka — siedzi i patrzy w te szyby, poza którymi jest prawdopodobnie już wyrok śmierci, a on go nie słyszy, pomimo, że jest on już konieczny i nieubłagany, pomimo słońca, blasku światła — wszystkiego.

Leon nie żywi już nadziei, aby uratowano Grzegorzewskiego. Przeniesiono go do szpitala na żądanie doktorów, którzy bardzo gorliwie zając się chorym obiecali. Nie można przecież było wymagać, aby ci „sławni“ drapali się na Glacière kilka razy dziennie i należało zrobić ustępstwo.

I wtedy Leon przekonał się, jak głęboki i silnie zakorzeniony tkwi w każdym człowieku wstręt przed szpitalem. Mazia — Wilhelmina — inni — ci studenci, studentki medycyny całą siłą woli tłumili w sobie żal i smutek na widok wchodzących z lektyką ludzi. Ta czarna buda, obciążona ceratą, robiła wrażenie próbnej trumny...

Sam Grzegorzewski uśmiechnął się smutnie.

— Do szpitala? — powtórzył smutnym głosem — mam iść do szpitala?

Leonowi zdawało się, że słyszy służącą, która u nich w domu zachorowała ciężko i także wobec szpitalnej lektyki, mówiła ze smutną rezygnacją:

— Do szpitala — mam iść do szpitala!

W szpitalu dano Grzegorzewskiemu całą, niewielką salę, która wypadkowo znajdowała się opróżnioną. Złożono go w kącie, aby mu było trochę przytulniej i zastawiono ten kąt parawanem, aby zasłonić widok pustych łóżek i ścian za czystych, za pustych, za smutnych mimo jasnej barwy, jaką pociągnięte zostały.

Lecz Grzegorzewski prosił, aby odsłonięto skrzydła parawanu.

— Chcę widzieć, co się tam dzieje — naokoło mnie — gdy tak mam blisko przed sobą ścianę, umysł mój sili się zgadnąć, co po za nią... Weźcie parawan!

Choroba postępowała bardzo szybko i wkrótce zajęła oba płuca. Szła od szczytów i wkrótce wszyscy skonstatawali zupełny brak nadziei. Leon długo wierzyć nie chciał, nie mógł. Najdłużej łudziła się Mazia, czuwając noce i dni nad umierającym. I ona wreszcie opuściła ręce. Teraz jest — tam — za drzwiami, w drugiej sali zajęta trzeźwieniem Wilhelminki, która dostała ataku nerwowego płaczu. Leon mimo wszystkiego zauważył, że Mazia znosi z większą godnością swój ból i smutek, niż Wilhelminka.

Drzwi się otwierają cicho, wchodzi Barumzwałj — olbrzymi — rosły i stara się stapać jak najciszej, pomimo, że chodnik tłumi odgłos jego kroków.

Zbliża się do łóżka, dotyka ręką zamyślonego Leona.

— Jak się macie?

I nie czekając na odpowiedź, pochyla się nad chorym.

Ten jest pogrążony w półśnie, i straszny jest teraz bladeścią swej twarzy, sinemi pręgami oczodołów — otwarciem ust zczerniałych i zwężonych dziwnie.

Lecz natychmiast podnosi z ciężkością powieki i zwraca wzrok szklany, straszny na Barumzwałja.

— I cóż? i cóż? pyta, otwierając przy tem kilkakrotnie szczęki, jakby zmartwiałe i chcące się zawrzeć na wieczne milczenie.

— W tej chwili Władek przyniesie korektę... Błysk radości rozjaśnia szklane oczy, rodzaj uśmiechu wykrzywia zczerniałe usta.

— Dobrze! dobrze!...

I głowa Grzegorzewskiego kilkakrotnie porusza się, jakby chory próbował podnieść się na poduszkach.

Leon porywa się i poprawia, podsuwa poduszki — Grzegorzewski chwytą rękę Barumzwałja i szepcze bardzo szybko:

— Korektę zrobicie przy mnie... trzeba, ażeby natychmiast zabrano się do roboty... wyjść musi na przyszły tydzień... jeśli nie znajdziemy emisariusza, ja sam pojedę, co?

— Dobrze! odpowiada Barumzwiąg — pojedziemy sami, to będzie najlepiej.

— O!... fundusze się znajdują, muszą się znaleźć... mają czy dalej Grzegorzewski — nie mamy wiele, ale brat przysze... miesięczną pensję... potem... ja pojedę trzecią klasą... jeść nie wiele będę... ja mało jem...

Zamyka oczy i teraz wśród ciągłego kaszlu, który mu literalnie rozdziera co chwilę piersi — mówi:

— Mało jem... tak! tak!... przeniosę przez granicę — dużo — och nie! tysiąc, dwa tysiące... znam, wiem — jak, co — potem po kraju... chodzę, chodzę... och! głupstwo — za żyda — krawka, za co bądz... Widzę kraj, widzę — chłopów... widzę moich... widzę... nareszcie!

Cichutko jak duch weszła teraz Mazia, stanęła u stóp łóżka i oczy swe pełne rozpaczy utkwiała w twarzy Grzegorzewskiego.

— A potem — mówi znów Grzegorzewski — potem mówię do nich, budzę, do działania zagrzewam... rozdaję broszury... oni czytają — i pragną, chcą, drżą cali na wspomnienie wolności, zrzucenia kajdan... Kraj się odradza... Polska powstaje... och!

Szalonym wysiłkiem usiadł na łóżku, podobny do widma, wspaniały.

— Rewolucja!...

I z tem słowem osuwa się znów na poduszki, a wzrok jego znów gaśnie, staje się szklany — trupi.

— Nie męczcie się! — prosi Barumzwiąg.

Lecz on cicho odpowiada:

— Zostawcie mnie... pozwólcie mówić... milczenie mnie dławi!

Lecz mimo to milknie już i leży wyczerpany a z twarzy jego znikają powoli błyski życia, nadziei, pragnienia.

Mazia usuwa się w kącik sali wraz z Barumzwiągiem. Naradzają się tam gorąco.

Widocznie studentka chciałaby zmienić jeszcze lekarstwa, spróbować heroiczych środków, choć wie, że to napróżno.

Lekarz w niej — ma pewność — lecz kobieta zwalczyć śmierć pragnie.

— Gdzie Wilhelminka? — pyta Barumzwiąg.

— Jest na kurytarzu. Boi się swoich nerwów. Lepiej niech tam czeka na...

Mazia nie może wymówić tego słowa, które przecież tyle razy wymawiała w tym samym szpitalu, może i w tej samej sali.

Grzegorzewski porusza się niecierpliwie.

— Korekta! korekta!

— Zaraz przyniesie, — uspakaja go Leon — Władek przyniesie...

— Żeby po drodze nie zgubił — szepcze Grzegorzewski. Leon zbliża się do Barumzwaيجا.

— On chce widzieć korektę! — mówi, dławiąc się łzami.

— Spieszyłem, jak mogłem. Wytłumaczyłem drukarzowi, że chodzi tu o...

Olbryzi student zawahał się. On był zawsze szorstki i brutalny pozornie. Sentymenty nie miały przystępu do jego serca.

— Chodzi tu o... zadowolenie kaprysu chorego!

— Och!... kaprysu! — mówi Mazia.

I Leonowi to słowo wydaje się nie na miejscu. Grzegorzewski, umierając, życzy sobie widzieć swe pragnienie. swą myśl, swój trud, wszystko, dlaczego żył, czemu poświęcił swą młodość, zdrowie, zamienione w czyn! Chce widzieć, czuć w swych rękach te broszury, to wydawnictwo dla wszystkich ras, dla wszystkich klas — które ma, jak dzwon na trwogę, zajęczęć w całej Polsce i znaleźć echo w sercach stuletnich niewolników.

Jarzmo wrosło w kark, ale zerwać je trzeba choćby z krwią, choćby z ciałem własnem! Ranę zagoi słońce wolności, a blizna, choć zostanie, toć i lepiej; przypomni nam, dlaczego sto lat gięto nam kark, lecz — złamać nie zdołano.

Och! jeszcze nie zginęła!

I wszystkie te nadzieje, pragnienia — kto wie może... miraże — wirują teraz w promieniu słonecznym, który się przedarł przez szyby i ścieli się złotą strugą po piersiach i rękach umierającego.

Twarz wychudłego fanatyka pozostaje w cieniu. A pierś jego, w której mieściła się tak olbrzymia, tak potężna, tak wielka i święta miłość dla kraju, cała się kąpie w złocie i blasku. Ręce jego drżą z niecierpliwości, aby pochwycić te zadrukowane świstki, w których żyć będzie dalej jego dusza, i te ręce także całuje i pieści słońce, jakby na ostatnie pożegnanie dając mu to, co najwspanialszego natura dać może: Blask — ciepło!

Nie zagnał on ani jednego, ani drugiego.

I na tem śmiertelnem łożu zapomniał o Wilhelmince, o kokieterji jej czarnych oczów, które chwilami (o jak rzadko) niepokoily jego czyste serce. Umierający jest tylko uosobieniem swej idei — i jej oddaje ostatnie swe technieie.

Zniszczył, strawił, zgniół swe ciało, rzucił je, jak zwiędnięty kwiat w święte dzieło odrodzenia kraju. Dziś to ciało gaśnie, a duch wyzwolony czepia się dzieła, sprawy idei — silnie przekonany, że on żyć będzie.

I dlatego Grzegorzewski, który już od wczoraj, według obliczeń lekarzy, umrzeć był powinien, żyje jeszcze i czeka.

— Korekta! — szepcze — korekta!

Mazia to czuje, wie, rozumie.

I gdy Barumzwajg chce biegnąć znów do drukarni po ową korektę, dziewczyna wstrzymuje go ze łzami.

— Och! nie... jeszcze nie!...

— Ależ... on prosi!... on się męczy!

Mazia wstydzi się swego egoizmu. Jednak szepcze:

— Skoro on te broszury zobaczy — umrze!

Barumzwajg wrusza ramionami.

— Szaleństwo, uspokoi się, zaśnie!

— Nie! nie! — przeczy Mazia — on tylko na nie czeka, a żeby umrzeć!

Leona przeszedł dreszcz.

Jakto? Więc człowiek może chcieć, pozwolić zamrzeć swej istocie?

I ta głośna, czysta sala szpitalna wydaje mu się straszną i tajemnic pełną.

Długą chwilę stoją tak milczący, nieporuszeni, wpatrzeni we drzwi, przez które wnieść mają ową „korektę“, mającą położyć kres jednemu życiu — położyć kres, jak nóż mordercy.

I powoli, cicho, bez hałasu otwierają się drzwi i Leon widzi, jak w nich pojawia się zgarbiony, postarzały Władek, który po chodniku, jak cień z paczką zadrukowanego papieru idzie ku łóżku Grzegorzewskiego w milczeniu, podobny raczej do nieżyjącej istoty, do owego przeznaczenia, które ziścić się musi na każdym żyjącym, czy martwym i któremu przeszkodzić nikt nie ma siły i prawa.

I zapewne dlatego oni stoją także beczynnie, nie robiąc ani jednego gestu, ani jednego słowa nie wymawiając, które mogłoby wstrzymać pochód tego zwiastuna śmierci i tylko szeroko otwartymi oczyma patrzą, jak Grzegorzewski podnosi się nagle na łóżku i na zbliżenie się Władka czeka.

Czarujący uśmiech rozjaśnia nagle twarz fanatyka, cała dawna piękność jego wraca mu z podwójną siłą, oczy na chwilę odzyskują blask i siłę. Przyzywa niemi idącego ku sobie, wyzywa go z przestrzeni. Władek nie idzie, lecz sunie jak automat pchany niewidzialną siłą.

I doszedłszy do łóżka, z cichym jękiem rzuca na pierś, na ręce Grzegorzewskiego stos zadrukowanych karteczek o szerokich, białych marginesach. Grzegorzewski przyryka na chwilę oczy, jakby wciągał w siebie woń kwiatów, promienie słoneczne.

Tymczasem — Władek wyczerpany usuwa się na kłęczkach na ziemię.

Pierwsza Mazia odnajduje w niewyczerpanym skarbcu kobiecego serca odwagę i męstwo.

— Chodźmy do niego! — mówi — teraz mu będziemy potrzebni.

Lecz Grzegorzewski upadł już na poduszki i tylko ręce jego nerwowo cisną ku piersiom ćwiarteczki papieru.

— Nareszcie!... — szepcze — nareszcie!...

Lecz głową kilkakrotnie robi ruch dziwny, nieokreślony. Coła ją wtył, jakby przed uderzeniami jakiejś niewidzialnej pięści. Twarz, blada przed chwilą, sinieje, piersi zaczynają z ciężkością chwytać powietrze. Trochę piany pojawia się w kącikach ust.

Śmierć nadchodzi.

Widocznem jest, że Grzegorzewski chce coś mówić, bełkoce, lecz tchu złapać nie jest w stanie.

— O... o!... te... dalej... dalej...

Mazia podtrzymuje mu głowę. Drży cała i męstwo jej precz poszło wobec grozy chwili.

Leon pochyla się nad łóżkiem, pragnąc podnieść wyżej umierającego.

Sądzą, że choć w ten sposób powstrzymają agonję.

Lecz Grzegorzewski przez mgłę szklaną, która mu wzrok zasłania, dostrzegł Leona. I Leon drgnął, gdy nagle poczuł, jak ręka umierającego koścista, straszna, szarpie jego odzież i ręce.

— Wy... wy... — charcze Grzegorzewski.

— Co panie? Co każeć? — pyta Leon, cały zamieniony w słuch, tak ciche, tak strasznie ciche są słowa, które idą z ust konającego.

— Wy... dalej...

I ostatnim wysiłkiem Grzegorzewski wciska w dłonie Leona owe korekty, które, jak stada sępów, opadły na jego półtrupie ciało.

Leon jest tak oszalały z bólu, że w pierwszej chwili nie rozumie, o co chodzi i szepcze:

— Tak!... Tak!...

— Wy!

— Tak!

Jeszcze jeden kurcz, jeszcze jedna chęć oddechu, potem cisza, wśród której coś rzęży strasznie, okropnie, jakby wichur wył w rozsypujących się w gruzy ruinach.

I nagle — i to rżenie milknie i Grzegorzewski leży blady, siny, wychudły, z szeroko otwartymi żrenicami, zasklonemii łzami.

I podczas gdy trup stygnie w swej nieruchomości, te łzy powoli staczają się po policzkach czyste, jasne — ostatnie.

I trup zdaje się płakać sam nad sobą, nad swoją dolą—
a może... nad tymi, którzy pozostali.

.....

Gdy Barumzwajg pozbierał z łóżka korektę, zwrócił się
z nią ku Mazi.

— Proszę... weźcie to do siebie! — wyrzekł — ja nie
będę mógł się tem zajmować. Mam egzamina.

I z wielką wprawą, choć drżącymi rękami, naciągnął
na trupa Grzegorzewskiego prześcieradło, zakrywając ręce
i głowę zmarłego.

Lecz Mazia wskazała ręką Leona.

— Oddajcie to panu! — wyrzekła — czyście nie wi-
dzieli i nie słyszeli, że on zamianował pana swym na-
stepcą!...

W Leonie na sekundę serce bić przestało.

Teraz zrozumiał, co znaczyło:

— Wy... dalej!...

KONIEC



THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1850
1851
1852
1853
1854
1855
1856
1857
1858
1859
1860
1861
1862
1863
1864
1865
1866
1867
1868
1869
1870
1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

SPIS RZECZY TOMU I.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

W prywiślańskim kraju.

I. Matwiej Iwanowicz Tagiejew	3
II. Propaganda i buntownicy	11
III. Pan policmajster poluje	29
IV. Kto u dragonów pije szampanskoje	34
V. Chwila zwątpienia	40

CZĘŚĆ DRUGA.

O ni.

I. Uroczystość narodowa.	55
II. Banda Grzegorzewskiego	63
III. Jeden z „wielkich“	73
IV. Jeden z „małych“	81
V. Leon pracuje	93
VI. Wilhelmina	104
VII. Leon się buntuje. — Władek	111
VIII. Jan Grzegorzewski	120
IX. Fanatyczka	131
X. W kraju swobody	141
XI. U Wilhelminy	150
XII. Zwątpienie	162
XIII. Anioł Stróż paryski	174
XIV. W czem odrodzenie	182
XV. Dziwna noc	188
XVI. Socjalista francuski i siedemdziesiąt trzy tomów Voltaire'a	213
XVII. Panna Kamilla dąży ku wyżynom. — Zapa- lenie płuc	227
XVIII. Śmierć fanatyka	239

826712/1/80

W

60.-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

137429

Biblioteka WSP Kielce



0140175